DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.



Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

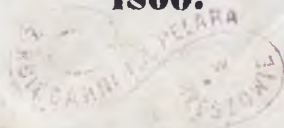
Tom II.



LWÓW.

Druk i nakład E. Winiarza.

1860.




BIBLIOTHECA JAGELLONICA

SPIS RZECZY
zawartych w Tomie II.

I. Żywoty świętych, legendy, podania o cudownych miejscach w Polsce i rozmaite historje święte:

Stronica.

Śty. Stanisław, przez B. Bielawskiego 36
O męczarniach za wiarę świętą katolicką, przez Bartłomieja z pod Wiśnicza . 58
Pustelnik i Anioł 65
O dumnym królu, podanie (przedruk) 81
Śty. Izydor patron rolników, przez B. Bielawskiego 97
Podróż na świętą Kalwarję, opowiadanie Wojciecha z pod Opatowca . . . 126, 129
Kłosy, podanie (przedruk) 193
Śty. Jacek w Kościelcu, przez B. Bielawskiego 225
Śta. Kinga, przez tegoż 257
Najświętszy Sakrament Ołtarza, legenda (przedruk) 273

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historji polskiej:

O Nowym roku, przez B. Bielawskiego 1
Stacho Frydka, przez Paulinę z L. Wilkońską 11
Bolesław śmiały, przez B. Bielawskiego 17, 33, 49
Strach złapany 23
Laska zaczarowana, przez Walentego ze Smolnicy (W. Łoziński) 40
O wiejskich szkodnikach, przez Jana Kantego Gregorowicza (przedruk) . . . 70
Jarmark na ś. Annę, przez Paulinę z L. Wilkońską 87
Historja o kłótniach Szeligów i Berdyszów, przez Józefa z pod Krakowa (J. Szujski) 104, 118, 134, 152
Władysław Herman, przez B. Bielawskiego 113
Bolesław Krzywousty, przez tegoż 145, 161
Sen, opowiadanie Józefa z pod Opatowca 167
Jak Marcin Zrzęda rozpowiadał o ludzkiej biedzie, spisał Organista z Budyłowa . 177
Skradziona koszula, przez Paulinę z L. Wilkońską 182
Łaskawy chleb, przez Walentego ze Smolnicy 195
Bój się Boga — powieść o złym handlarzu, przez Ludwikę Leśniowską . . . 209
O synach Macieja, opowiadał Grześ z Mogiły (J. Starkel) 213
Bartek Połatajko, przez Walentego ze Smolnicy 229
Jak się działo w Polsce po śmierci Bolesława Krzywoustego, aż do króla Władysława Łokietka, przez B. Bielawskiego 241
Pogadanka starego rolnika, przez Jana Kantego Gregorowicza (przedruk) . . . 245
Niby bieda a nie bieda, przez B. Bielawskiego 261
Władysław Łokietek, przez tegoż 275

III. Wiersze:

Na nowy rok, przez Mieczysława Romanowskiego 10
Dopomóż Boże, przez J. Holowińskiego (przedruk) 21
Brat i siostra, przez T. Lenartowicza (przedruk) 39
Trzy plamy, przez S. Witwickiego (przedruk) 57
Kolenda Mazowiecka, przez Teofila Lenartowicza 68
Co starzy mówią 64
Słowa prawdy, przez W. P. 48
Ze dzwona o smętarzu wiejskim gadanie, przez T. Lenartowicza 85
Śpiewka o umierającym żołnierzu, przez Bartłomieja z pod Wiśnicza 108
O solarskiej figurze, podanie przez Grzesia z Mogiły 115
Najcięższa łza, przez T. Lenartowicza 133
Śpiewka matuli nad kołyską, przez J. Grajnerta (przedruk) 150

Śpiewka na wiosnę, przez Grzesia z Mogiły 166
Nieszczęśliwa ręka, przez T. Lenartowicza 180
Majowa pieśń do Matki Boskiej, przez Grzesia z Mogiły 194
Gniazdo bocianie, przez J. K. Turskiego 212
Konik Zwierzyniecki, przez A. K. (przedruk) 228
Śpiew Łobzowian, przez J. N. J. (przedruk) 244
Śpiewka o królu Janie, przez Grzesia z Mogiły 259
Rolnik podolski, przez Jaśka Żuka (Romanowski) 274

IV. Piękne przykłady:

Franciszek Grzywacz, przez B. Bielawskiego 14
Włościanie ze Złotowa (przedruk) 280

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

Waszemu zdrowiu na pożytek, przez W. Wielogłowskiego (przedruk) . . . 27, 49
Prawdy gospodarcze, przez J. K. Gregorowicza (przedruk) 32, 172, 269
Kolej żelazna, przez Walentego ze Smolnicy 77, 93
Sól, przez B. Bielawskiego 140
Wieliczka (przedruk) 156
Ptaszkowie jako nam z Bożej łaski służą w gospodarstwie, przez Grzesia z Mogiły 168, 185
Rada jak się macie zachować w czasie grzmotu, przez B. Bielawskiego . . . 189
Czy pożyteczną jest rzeczą siać gęsto? (przedruk) 202
Rada jako matki powinne baczyć na swoje dzieci, przez B. Bielewskiego . . . 204
Pogadanka wiejska, przez J. K. Gregorowicza (przedruk) 223
Szkło, przez Grzesia z Mogiły 236
Co wróży na pogodę, a co na słotę? 253, 267, 282
Rada jak macie ratować utonionych, przez B. Bielawskiego 284

VI. Różności:

Jan III. pod Wiedniem 15
Pożar w Uszwicy 16
Jakto i w samem nieszczęściu bywa jeszcze szczęście 47
Czyn godny wspomnienia . . . 79
Wawrzyn Knapiński z Lipowca . 79
Gdzie djabeł nie może, tam babę pośle 80
Co lepiej: podwodzić czy też łagodzić? 96
Nieszczęsne przypadki 128
Tegoroczna zima 143
Parobek 144
Wróżba 144
Poprawka 160
Książę Panie-kochanku 175
Nie wolno kląć 176
Antek Szuba 176
Gwiazda zagasła 191
Dwa miecze ogniste 191
Czarne bociany 191
Zgoda za znaleźne 191
Roztropny chłopek 206
Gradowa burza 207
Cudowna władza modlitwy . . . 207
Dwa pożary 224
Przypadek na sanie 224
Nieszczęśliwy ojciec 240
Dobry pies na złodzieja 240
Śmierć od piorunu 255
Pies wściekły 255
Podły Skąpiec 256
Mazurowie nasi gościną w Krakowie 270
Pożary 271
Ciekawe zdarzenie 272
Pokaranie Boże 287
Gradobicie 287

Dawne przysłowia i przypowieści:

stronica: 16, 112, 144, 208, 272.

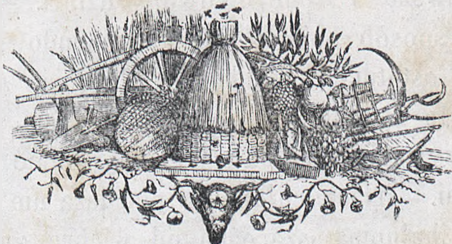
Tom II. Nr. 1.

1. Stycznia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O NOWYM ROKU.

(Bajka.)

Nazwiska wsi nie pomnę, ale to wiem dobrze żeć się działo w naszej Polsce. Kiedy? mniejsza i oto!...

Siedział sobie chłop w lichej chałupince pod lasem. Niegdyś, powiadali, że się miał dobrze a nawet za bogacza uchodził; ale jedną razą jak ci go była *Bieda* przysiadła, tak odtąd ani daj Boże jej się pozbyć: źle i źle, i coraz to gorzej, aż wkońcu zeszedł co się zowie na psy i gorszy był od dziada. — Jeszcze jakoś na razie nie dało mu się licho tak bardzo we znaki, przynajmniej ludzie go żałowali i jaki taki miewał u nich przytułek; ale z czasem tak się był przez tę swoją biedę osławił, że choć jego najszczersi przyjaciele i krewniacy, jużci go z daleka obchodzą jakby od tego zapowietrzonego, bo im straszno było o własną skórę, aby się przypadkowo nie zarazili na *Biedę* przez niego. Wtedy nieboraczysko może byłby się i zapomniał, bo mu już do żywego dopiekło, a nawet jużci sobie w grzesznej myśli ukręcił był sznurek z konopi i upatrzył piękną sosnę w nieda-

lekim lesie, ta iżby się juz raz na zawsze skończyło; ale jeszcze jakoś odwlekał z dnia na dzień, nie mając nigdy dosyć serca, pożegnać na zawsze i żonę i dwoje dzieci. — A tymczasem w niespodziany sposób pojawił ci mu się cudowny dobrodziej.

Było to w ostatnią noc miesiąca Grudnia. A strach powiedzieć, co to była za noc!... wichry gdyby się powściekały tak straszliwie dokazywały po polu, a taka zamieć była, że niech ręka Boska broni. — Nasz chłopek z pod lasa nie mógł oka zmrużyć tej nocy. Chałupina szarpana od wichru groziła co chwila zapaść mu nad głową. To też siedział skurczony we dwoje, a przy nim tuliła się *Bieda* wyschnięta jak szczypa, a zimna jako mróz srogi, a głodna gdyby sam głód. Zaś w kącie tej ciemnej izby leżała żona na pół konająca, a przy niej dwoje piskląt niebożątek żaliło się, straszliwie omrożonych i głodnych. Burza na polu na raz nie ustawała. I była już może północ. Właśnie tej nocy w taką burzę przepadał na wiek wieków *Stary rok*. Nasz chłopek miał wielki żal do niego, więc zaklął aż ci się sama *Bieda* przestraszyła:

— Leć, leć stary, na złamanie karku, nie mam ja czego za tobą żałować, boś mi dał się we znaki, że radbym i pamięć zatracić po tobie. Gdybyś choć teraz na ten mróz, na tę zawierzuchę zabrał moją *Biedę* ze sobą, tobym ci jeszcze był wdzięczen!....

— Hi, hi — zapiszczała *Bieda* z boku i takci go przytem serdecznie uchwyciła w swoje ręce niby w kleszcze kowalskie, aże chłopisko na całe gardło zakrzyczał od bolu: — A bodajżeś przepadła! o ja nieszczęśliwy!...

Ale w tej samej chwili przypomniał sobie, że oto *Nowy rok* nastał. I przyszła mu szczęśliwa myśl, udać się w prośby do niego. Nuż wtedy wołać;

— O Nowy roku! o miejże litość nademną, i zabierz mię z tego świata, albo daj lepsze życie!....

Jeszcze nie dokończył, kiedy wedle chaty cosik straszliwie zaszumiało i drzwi się rozwarły z łoskotem. Naraz stało się jasno i tak ciepło na izbie, jakoby w najpiękniejszy dzień wiosny. Chłop się zdumał: przed jego oczyma pojawił się pan jakiś młody. A cudnie był piękny i hoży, i dziwnej jasności

na licu. A gdy zagadał miłą mową, to chłopu zaraz się zdało że ma przyjaciela przy sobie i dziwnie mu się wesoło zrobiło na sercu, a zasie *Bieda* naszczurzyła się jak ten pies, kiedy poczuje wroga w pobliżu siebie.

— Jam jest *Nowy rok*, prawi, i przychodzę, człeku, do ciebie iżeś mię oto wzywał o poratowanie.

— O mój dobrodzieju! zawoła nasz chłopek — o jasny panie Nowy roku, a dajże ci Bóg zdrowie, skoroś o biednym człeku nie zapomniał. I chciał jeszcze coś dużo mówić i dziękować, ale gość pilnie mu przerwie mowę:

— Hola, chłopie, nie dziękuj naprzód, bo jeszcze niewiadomo czy będzie za co. Wprawdzie przychodzę tu, aby ci rękę podać i postawić na nogi, ta żebyś kiedy nie miał żadnej racyi wyklinać na mnie, tak jak to dzisiaj na mego starszego brata czyniłeś. Ale aby się moja pomoc tobie przydała, głównie to będzie od ciebie samego zależeć; dam ci trzy próby do wykonania: podołaż im, to wygrałeś sprawę — a nie, to już i ja ci nie poradzę i przepadłeś na wieki.

— O mój dobrodziejaszku! o mój łaskawco! wszystko co rozkażesz, to zrobię — zawoła chłop uradowany, a *Bieda* jużci spuściła nos na kwintę.

— No zobaczymy! prawi *Nowy rok*. — Naprzód tedy, mój człeku, wybierz mi się zaraz do miasta, gdzie masz nakupić leków dla twojej kobiety a dla głodnych dziatek świeżego chleba. Daję ci na to pieniędzy ile potrzeba, ale uważ sobie, abyś ich gdzie nie zapodział i na co innego nie przetracił, bo inaczej wszystko przepadło.

— Nie bójcie się, już ja się wam sprawię jak należy! krzyknął chłopisko, i gdyby z procy tak szybko wybiegł na pole i hajda do miasta. Tuż za nim krok w krok czmycha *Bieda*. Przechodzą wedle karczmy co stała na drodze. *Bieda* kusi człeka: — Brrr.... ależ to setne zimno, dla Boga! kieliszeczek by nie zawadził na ogrzanie! a właśnie też nie spią żydy, bo się świeci — co oni tam porabiają do tak późna? ano zobaczmy! —

I skusiło licho chłopa, że się zatrzymał pod oknem. A tu w karczmie jasno jakby w dzień, na kuchni wesoło pali się ogień, a tuż prawie pod samem oknem na stole porozstawiał arędarz

różne a przeróżne flaszki i flaszeczki z gorzaliną, a każda z tych flaszek niby żywą twarz miała, tak mile uśmiechała się do naszego chłoposka przez okno, a każda gdyby jej kto żywe ręce przyprawił, tak ci go wabiła do siebie, że nieborakowi aż słabo się zrobiło. Już był na samym progu, i już już co miał wejść do karczmy, gdy w tem zdało mu się tam od strony lasu zasłyszeć płacz żony i żalenie dziatek....

I wtedy opamiętał się, precz od siebie odtrącił *pokusę*, skoczył czemprędzej na drogę i co tchu zdążył za sprawunkami ku miastu. A *Bieda*, jakby jej kto na to mówiąc w twarz dał, jużci o krok dalej od niego szła w tyle, srodze zawstydzona i zła, żeć się jej tą razą nie powiodło u chłopa, i że ją przezwyciężył.

Nad ranem powrócił chłopek z drogi, przyniósł lekarstwo dla chorej żony i chleb dla głodnych dzieci, a *Nowy rok* pochwalił go że się tak pięknie na początek spisał i kazał mu pójść za sobą. Kilkanaście kroków za chałupą, idąc ku lasowi, był głęboki parów. Nad brzegiem tego parowu stanęli obaj.

— Patrz człeku — powiada *Nowy rok*, ukazując na dół parowu — widzisz tam na samym spodzie tę sosnę zwaloną od wiatru?....

— A widzę, mój łaskawco! na to chłop.

— Otóż tę sosnę masz mi do wieczora z tamtąd wydostać na brzeg. Będzie to druga próba, a również ważna jak i pierwsza. Więc ostro zabierz się do tej pracy — a niech cię Bóg broni, abyś miał ręce opuścić, nic nie skurawszy! natenczas wszystko przepadło.

Chłopek poskrobał się w głowę, bo to nie żarty w jedynaka taki ciężar i jeszcze z tak głębokiego parowu wydźwigać na górę. A tu jeszcze zdradziecka *Bieda* kłapie mu do ucha: — Głupiś ty, głupi! nie na twoje siły takowa robota, ot daremnie tylko zmachasz się nieboraku! lepiej legnij do góry brzuchem w chałupie i odpocznij sobie, bo i tak dopieroś co przywędrował z miasta — a nie kuś się nadaremnie do takiej roboty, chyba żeś zwarjował.

— Ha, myśli chłop, zobaczymy czy nie dokażę, pracujący przez cały dzień szczerze! — I splunął w obie garście, a potem

śmiało zsunął się z brzegu do dołu. Prawie do samego południa nasuszył sobie głowy nie lada, jakiejby to sztuki zażyć wedle tej sosny, ta żeby ją na wierzch wydobyć; więc obchodził ją to z tej to z owej strony, próbował tak i owak, aż nareszcie po długiej pracy doszedł przecie sposobu, i dokazał swego, bo jeszcze przed nocą wywindywał sosnisko na brzeg. *Nowy rok* znowu go pięknie pochwalił, poprowadził do domu na miły spoczynek, ukazał mu żonę w lepszem zdrowiu i dziatwę bawiącą się wesoło, i drzwi od chaty już teraz zamknął przed *Biedą*. Aleć ta *Bieda* to uparta sztuka! nie zaraz da się ona odpędzić za dziesiątą górę! oj dobrze trzeba się z nią naborykać zanim się jej pozbędzie!.... Toć i tu chociaż jej drzwi przed nosem zamknięto, taki się nie dała odstraszyć, i przykucnęła sobie jak niepyszna pod progiem, myśląc w duchu: — Choć ta chłopu dwie próby się udały, może się przy trzeciej poszkapi. Bo i tak nieraz bywa, że ktoś całą rzekę przepłynie a u brzegu utonie.

Toć to jeszcze sprawa nasza nie przegrana; czekajmy do jutra! — I czekała *Bieda* zaczajona przez caluteńką noc pod progiem.

A nazajutrz miałci sobie nasz chłopek zadane na trzecią próbę: zebrać się rychło świt i pójść na mszę świętą do parafialnego kościoła, który stał za lasem w drugiej wsi.

— Będziesz miał człeku — przestrzega *Nowy rok* — nielada przeszkody, strachy stawać ci będą na drodze, przeróżne pokusy odwodzić od domu Bożego — ale ty się nie daj obałamucić, idź sobie śmiało prostą drogą, odmawiając: *Kto się w opiekę poda panu swemu*.... aż dojdziesz do samego kościoła. Tam się wyspowiadasz ze swoich grzechów, pomodlisz się gorąco o błogosławieństwo Boskie na dalszy twój żywot, i dopieroż spełniona będzie ta twoja trzecia i ostatnia próba, po której już ja *Nowy rok* zaręczam tobie, że ani za mego panowania ani też nigdy potem, nie zaznasz tej paskudnej *Biedy* u siebie.

Nasz chłopek ślicznie mu się pokłonił i zaklął się na wszystko w świecie, że bądź jak bądź, ale i tej trzeciej próby dokazać musi.

— O ta *Bieda*, ta *Bieda!* powiada — już też mi ona,

jasny panie *Nowy roku*, dość gorącego sadła zalała za skórę. Radbym się jej pozbyć jak najrychlej i dla tego z ochotą uczynię po raz trzeci wedle twego rozkazu, a choćby mi przyszło i raczkiem zawlec się do naszego kościoła.

Rzeczywiście nazajutrz, jeszcze dobrze nie rozświtało, a chłop już był na drodze do kościoła. Za nim w te tropy i *Bieda* pognała. Przyszedłszy do lasu poczęła wymyślać na chłopka: — A ty błaźnie! a czy ci rozum odjęło żeś się tak wczas wybrał do kościoła! a to po co? albo się w domu tak dobrze pomodlić nie możesz jak i w kościele?... widzisz jakiś ty durny, jeszczeć sobie pociemku guza nabijesz o jakie drzewo!...

Ledwo co rzekła, a tu chłop szturk głową o sosnę której nie dowidział w ciemności, aż się całem ciałem zatoczył i omal jak długi nie rozciągnął się na ziemię. *Bieda* w śmiech: — Masz tobie teraz! a com mówiła? Dobrze ci tak, poczekaj! jeszcze nie koniec na tem, zobaczę ja wkrótce że się gdzie w jakim dole skąpiesz po uszy w śniegu.

— Szczekaj sobie, szczekaj, paskudnico jakaś! bąknął chłopek pod nosem i ruszał śmiało dalej, rozpatrując się pilnie za drogą. Ale właśnie, znaleść mu tam było drogi kiedy wszędy śniegiem pozamiatało i nie znać było najmniejszego śladu. Wnet też stało mu się jak *Bieda* przepowiadała: buchnął w jamę zasypaną śniegiem, aż prawie po same uszy się schował i ledwo z biedą co się na wierzch wygramolił.

A ona pokuśnica znowu swoje: — No jeszcześ nie mądry? jeszcze ci się zachciewa kościoła?... a bodajże cię wilcy zjedli! bo i o to w lesie nietrudno.

Oj, taże prawda! chłop aże struchlał na razie, kiedy spojrzał na bok w gęste krzaki, a z tamtąd załyskały ku niemu dwoje wilczych ślepiąt niby dwie palące się świeczki. A jeszcze bardziej się postraszył, kiedy wyraźnie usłyszał, jak tam wilczysko zębcami kłapał o koście, co je z mięsa obgryzał. Ale niebawem opamiętał się ze swego strachu, i począł na głos przepowiadać sobie modlitwę: „*Kto się w opiekę poda Panu swemu*“ — i dalej w drogę. — Już też i rozwidniło się; z dniem chłopu ducha przybyło, a zaś *Biedzie* diabelnie poszło po nosie, skoro tu już widzi koniec lasu, i wieś niedaleką i błyszczący

krzyż na kościółku, a chłopek wali naprzód a głuchy jakby z kamienia był na jej wszystkie pokusy. — Aliści wychodząc z lasu, patrzy: drogą ode wsi sunie żwawo kilkoro sań, a na nich luda jak nabito, a wszystek tak dziwnie był wesoły: kobiety spiewające, chłopy trzaskający z batów i wykrzykujący od czasu do czasu. Znać gdzieś z jarmarku wracali, a nie żałowali sobie przez noc poczęstnego, że w takiej wesołości byli. Widząc to *Bieda* aże z radości podskoczyła na obie nogi i przyklasnęła sobie w dłonie: — Poczekaj paniczu! powie — jeśli cię teraz nie złapiemy, to już nigdy.

Tymczasem owa drużyna wesoła coraz bliżej najeżdżała na naszego chłopka, spieszącego się na mszę do kościoła. Nareszcie trza im się było z drogi ustąpić. Pierwsze sanie minęły go i nic, drugie także, ale na trzecich powoził jakiś chłopisko zawadyja. Ten skoro zajrzał naszego chudopachołka, duchem powstrzymał konie i paląc mu z bata nad uchem, woła: — A niełaskaby z nami do kompanii? hej!

— Bóg wam zapłać! odrzecze nasz chłopek i chce dalej; ale tamten w tej chwili ze sanie, i zaskakuje mu drogę:

— Co dziękujesz kpie jakiś! krzyknął i za barki go chwyta — siadaj kiedy cię proszą i kwita.

— Ależ nie mogę! wyprasza się nieborak. — Puszczaj mnie, człeku, co ciebie nie znam, i nie napastuj podaremnie ludzi.

— Siadaj! wrzeszcze pijanica i jużci go przez moc wlecze do sań — póki cię proszę po dobremu, ty! bo jak zacznę bić to będzie gorzej, siadaj!

Toż samo i drudzy proszą, to znowu klną aż brzydko było słuchać, a od wszystkich buchało już zdaleka gorzałczysko jak z kotła. I byliby już może wciągnęli go między siebie; ale nasz chłopek cięta sztuka, skoroć zmiarkował, że tu nie przelewki, i że gotowi go nareszcie przemódz, czemprędzej pochwycił pijanicę w pół i jakby klockiem pomiótł nim na ziemię, a sam tymczasem dał susa w bok i dalej w nogi ku wsi, zkąd już właśnie słychać było dzwonienie na mszę świętą.

Temu wszystkiemu przypatrywała się *Bieda* z daleka. Już też cieszyła się że chłopa posiędzie na powrót — aż tu widzi: źle! chłop zmyka ku wsi jakby go sami diabli gonili, a pijaczyska

w swoją stronę pognali. Już tedy nie miała czego wyglądać, przegrała sprawę ostatecznie i musiała się rada nierada chłopa odczepić. I poczmychała w las na cztery wiatry... ta niechby ją tam wilcy zagryźli tę paskudną *Biedę*, żeby już nigdy po naszych ludziach nie chodziła!...

Owóż nasz chłopek i trzeciej próby szczęśliwie dokonał; do kościoła przyszedł na czas, wysłuchał mszę świętą i pięknie się wyspowiadał a pana Boga prosił gorąco o błogosławieństwo na dalszy żywot.

A kiedy po mszy świętej wychodził z kościoła, to mu się prawie tak wydało, jakby nowo narodził się na ten świat, taki był jakiś wesoły, taki szczęśliwy, a wszędy gdzie okiem rzucił widział samą przyjaźń dla siebie; znajomi zachodzą mu w drogę, witają: — A jakże się macie, miły kumie! a co tam porabiacie? a żona, dzieci zdrowe?....

— Dobrze, dobrze! odpowiada chłopisko nieprzytomnie jak ten pijak co sobie głowę zabałamuci wódką. Oj, i pijany on był, i bardzo pijany, ale nie od wódki ani od piwa ani też od jakiego trunku, jeno od szczęścia wielkiego, co mu się tak niespodzianie pojawiło. — I przecie mu raz dali pokój z witaniem i puścili szczęśliwego do domu. I było już gdzieś niedaleko południa kiedy wychodził z lasu. Patrzy, gdzie chałupina jego co była pod samym lasem:

— O Jezu Milatyński! zawołał i stanął jak wryty na miejscu. — A to co się podziało!...

Ba, i miał się czemu tak bardzo dziwować: chałupinka gdzieś znikła dorazu jakoby jej nawet nie było, a natomiast stanęło domostwo pięknie obudowane, z oborą, z stodółką i pysznym sadem do koła.

Stoiż chłop pod lasem i oczom swoim nie dowierza, a wtem ktoś go uchwycił za ramię: był to *Nowy rok*. Nasz chłopek pokłoni mu się i powie:

— O mój dobrodziejaszku! a toć mię tu widzisz stojącego jak głupca, bo dali Bóg że nic nie wiem, co to wszystko ma znaczyć?...

— *Boskie to błogosławieństwo*, człeku, coś go sobie dziś rano wymodlił w kościele — odrzecze *Nowy rok* i pociągnie

go za sobą do domu. Skoro weszli na dziedziniec, naprzeciw wybiegła gospodyni czerstwu i zdrowa kobieta, ani znać było na niej chorobę, a wystrojona czysto, a na szyi pełno korali jak u bogaczki. Własny mąż odpoznać ją nie mógł, dopiero kiedyć mu się rzuciła na szyję i nazwała go po imieniu, przekonał się, że to sprawiedliwa jego baba. W izbie znowu dzieci przebrane w czyściuchną bieliznę, wesoło biegną do ojca i mile go witają. — Przez ten czas *Nowy rok* nic nie mówił, jeno z boku przypatrywał się ludzkiemu szczęściu, a niebieska jasność ogarnęła lica jego.

Skoro zaś chłop już dosyć nacieszył się i żoną, i dziećmi, i tem całem swojem bogactwem, wtedy dopiero przemówił *Nowy rok:*

— Owóż skończyliśmy już ze sobą, mój człeku! teraz wypada nam w przyjaźni się rozstać. Bywajże mi zdrów, a popamiętaj sobie dobrze, jaką to próbą doszedłeś do tego szczęścia, co go masz dzisiaj; musiałeś się wyrzec kieliszka, po raz pierwszy — musiałeś pracować ciężką i pilną pracą, po raz drugi; a taki jeszcze *Bieda* trzymała się proga twego, dla czego? bo nie było w tem jeszcze Boskiego błogosławieństwa— dopiero za trzecim razem, uprosiwszy go sobie u Boga w gorącej modlitwie, napędziłeś *Biedę* precz i oto jak się szczęśliwie wszystko przemieniło dla ciebie. Szanujże się, chłopie, i czyń tak przez całe życie twoje jak gdybyś miał zawsze odbywać te trzy próby, które ja *Nowy rok* tobie zadałem, a do końca żywota twego nie będziesz potrzebował narzekać i wyklinać na *zły rok*, bo same *dobre lata* nastaną dla ciebie.

To mówiąc od razu znikł, jakoby się w powietrzu rozpłynął, i na tem już koniec. —

Co się tam dalej działo z tym chłopkiem, czy był taki szczęśliwy na zawsze, albo nie? — o tem nie słyszeliśmy z nizkąd, to wam też i nie powiemy. Toć jeno wiadomo dobrze, że *Biedę* nie zagryźli wilcy w onym lesie, owszem do dziś dnia rozkosznie się chowa między naszymi ludźmi i wcale to jej zdrowiu nie szkodzi, żeć ten i ów srodze na nią wyrzeka i paskudzi jak ostatnią łajdaczkę.... *„Pop swoje a czart swoje.“* — I powiadają że już nie ma na *Biedę* sposobu! co zaś nieprawda.

Jestci i na nią pewno lekarstwo — jakoż znajdziecie go w tej bajce o *Nowym roku*, jeśli pilnie poszukacie.

Na nowy rok.

Bogdaj rok nowy był nam weselszy!
Bogdaj człek stanął na duszy bielszy —
Bogdaj z tym Bogiem, co na świat schodzi,
Poczuł że Bóg mu w sercu się rodzi!
I z Aniołami czysty anielsko,
Witał go co dnia przed strzechą sielską,
W boru, na kośbie i na swej roli,
I w onczas kiedy serce zaboli.

Bogdaj rok nowy był nam weselszy!
O! bo łez wiele kosztował stary.
Niechby człek patrzał w niebiosa śmielszy,
I ufał, i był żelaznej wiary.
I gdy go ucisk albo grzech gniecie,
Otrząsł go z siebie szorstkiemi dłonie,
Jak pył otrząsa, co go omiecie
Nieraz przy pracy tam na zagonie.

Bogdaj ten bocian, co wróci z wiosną,
Bogdaj jaskółka pod nasze strzechy
Wieść nam przyniosły z dali radośną,
I dla zbawienia i dla pociechy.
O! bo te ptaki to Boże posły!
Spytajcie ojców — oni powiedzą
Że już im nieraz dobrą wieść niosły;
I szczęście bywa gdzie się osiedzą.

I niech nam słońce wstające z rana,
Gdy pociągniemy z pługami w pole,

Otworzy oczy na wolę Pana,
Na lepszą wolę i lepszą dolę,
I niechaj spali ten płomień Boży
Tych co roznoszą fałszywe wieści —
Niechaj zły szatan wielce się strwoży!
Bo szatan sprawcą naszej boleści. —

A kto mogiłę ujrzy na błoni,
Niech o niej pyta u starych ludzi.
Starzy powiedzą o starej broni.....
O dziadach dawna wieść się obudzi.
Słuchajcie pilnie, gdy stary prawi
Jako kto zginał, jako się wsławił.
Myślcie, co każdy swoim zostawi?.....
I..... bogdaj Bóg nam pobłogosławił!.....

Mieczysław R.

Stacho Frydka. *)

(Zdarzenie prawdziwe.)

We wsi Kawęczynie był najzamożniejszym gospodarzem Matyasz Mantyk, człek luterskiego wyznania. Lecz potrzeba przyznać, że był porządnym, pracowitym, uczciwym, a przedewszystkiem rządnym. Miał trzech parobków polaków i katolików: Janka, Stacha i Maćka, i czwartego niemca Jakóba. Jednę dziewkę miał polkę, katoliczkę Jagusię, a drugą do domowej posługi niemkę, Karolinę. Z tego wszystkiego widzicie, że śliczny musiał mieć szmat roli, i że tąm i dobytku podostatkiem było, skoro tyle trzymał czeladzi.

*) Wprawdzie ta historja o *Stachu Frydce* nie dotyka nas tu w Galicyi, jako żeśmy tu wszyscy prawowierni katolicy i z lutrami nic nie mamy do czynienia; ale zawsze ciekawe to zdarzenie. Bo naprzód: działo się to w *Wielkiem księstwie Poznańskiem* czyli w tak nazwanej *Wielkopolsce*, zostającej pod rządem Pruskim; więc nie zawadzi też od czasu do czasu posłuchać, jakto się tam dzieje pomiędzy Wielkopolanami a braćmi naszymi — powtóre zaś pokazanem jest w tej prawdziwej historyi, jakto brzydko być człekiem łakomym, i jak taki łakomiec zbyt łatwo poddaje się grzesznej pokusie i jeszcze potem na śmiech ludzki się wystawia. A toć taka nauka, myślę, nie zaszkodzi nikomu, a może nie jednemu z nas wypaść na dobre.

W ostatni Wtorek sute wszystkich spotkało poczęstne, Gospodyni przyrządziła im pełną misę kiszek i kiełbasę z czosnkiem, do tego kapusty i ziemniaków, skraszonych przewybornemi skwarkami. Gospodarz zaś nalał im po sporej lampie słodkiej a mocnej wódki. Poczem tak do nich zagadał:

— Słuchajcie-no teraz, moi kochani! Wiecie, że jestem luterskiego wyznania, i że u nasz postów nie masz. Teraz zaś dla was katolików nadchodzi od jutra post wielki. Ani ja, ani moja żona, uchowaj nas Boże! nie chcemy, ażebyście przeciwko wierze swojej grzeszyli, — to też dla was którzy pościć chcecie, gospodyni nasza postne sporządzi potrawy. Czy wszyscy przez post cały pościć chcecie? pytam — bo jeżeli z was który zamną i Jakóbem woli mięso spożywać, to niechaj się odezwie.

Janek i Maciek od razu wyrzekli:

— Jużci, miły gospodarzu, tak nam wiara święta nasza nakazuje. I Bóg wam zapłać, żeście na to baczyli, i żeście złego dla nas nie żądni.

— Uchowaj mnie, panie Boże, od tego! — powtórzył raz jeszcze Mantyk.

Nadeszła Jagusia i także prosiła, by z postem jadać mogła.

— No, a ty, Stachu! — zwrócił się gospodarz do trzeciego parobka, który stał sobie nic nie mówiąc, jeno oblizywał się jeszcze po kiełbasie i skwarkach. — Możebyś ty wolał zemną jeść mięso?

Stacho targnął się za palce, że aż w stawach trzasnęły i patrzał się na stół. Znać mu żal było mięsa i słoniny.

— No, to i gadajże przecie? — zapytał raz jeszcze Mantyk.

— Ha! no! — Stach przestąpił z nogi na nogę — kiedyć się tak dopytujecie, panie gospodarzu, toć już wolę wasz posiłek aniżeli tamtę jałowiznę. Człek jakoś i do roboty rzeźwiejszy kiedy posili się lepiej.

— Dobrze, mój kochany, dobrze, jak zechcesz — odrzekł Mantyk i rozśmiał się z cicha, niby sam do siebie.

Parobcy Janek i Maciek coś tam poszeptali, a potem każdy do swojego poszedł zatrudnienia.

Od samego popielca aż do wielkiej niedzieli Mantykowa przed Janka i Maćka jeno postne stawiała potrawy, dobrze spo-

rządzone, smaczne i zdrowe. Zaś Stacho siadywał przy gospodarzu i mięso z nim zajadał. A niekiedy to nawet niby z przekąsem spojrzał, jak tamci zajadali polewkę albo kaszę.

Tak nadeszła wielkanoc. Przez cały wielki tydzień była krzątanina w domu. To też całe gospodarstwo już we wielką sobotę wyglądało tak czysto i schludnie, że aż miło było patrzeć.

We wielką niedzielę raniutko wysłali gospodarstwo Janka z koszem różnego jadła do święcenia przed kościół. Czemu dziwili się wszyscy, boć Mantykowie lutrami byli, a tacy święconego nie miewają.

Gdy Janek wrócił, zawołał gospodarz całą czeladź do izby.

— No, moi mili — przemówił — Janku, Maćku i Jagusiu pościliście przez półsiodma tygodnia, toćże się wam teraz i święcone należy.

Gospodyni wniosła dla nich trzy misy, a na każdej było: spory kawał przedziwnej szynki, pół łokcia wędzonej kiełbasy, pół prosięcia pieczonego, dwa jajka, kawałek sera, połowa gryzki, masło, pieprz i sól, i placek gruby na cztery palce, pulchny, z cukrem i rozenkami po wierzchu, że aż pachniał.

— Chodźcież tutaj — przemówił znowu gospodarz — to twoje, Janku, to twoje, Maćku, a to twoje Jagusiu — i rozdzielił pomiędzy nich trzy misy. Każde skłoniło się obojgu gospodarstwu z uśmiechem.

— Ty zaś, Stachu — mówił dalej Mantyk — zjesz ze mną jak za zwyczaj, *frydki*. Myśmy nie pościli.

Staśko obejrzał się na święcone, myślał, że i on swoje dostanie — i aż go ckliło, gdy gospodarz tak do niego przemówił.

Karolina stół nakryła i przyniosła *frydkę*.

No, Jakóbie i Stachu! — zawołał Mantyk znowu, i pierwszy począł *frydkę* zajadać.

Za jego przykładem poszedł Jakób, a potem i Stacho — bo i cóż miał począć? Jeść mu się chciało. Ale gdy raz jeszcze na święcone spojrzał, to aż niby świeczki stanęły mu w oczach.

A wiecież co to jest *frydka?* Ot, coś niby, jak zacierka albo kruszonka gęsta na wodzie, z mąki żytnej. Śliczny mi

przysmak we wielką niedzielę, kiedy inni zajadają kiełbasy, szynki i placki wyśmienite!

Stacho jak zmyty przez dzień cały chodził.

W drugie święto powtórzyło się znowu to samo. Janek i Maciek dostali święcone, a Stacho *frydkę* przy stole gospodarza.

— .... wciornascy! — zaklął też nielada — byłbym wolał pościć, aniżeli chłypać teraz tę jałowiznę.

Gorzej jeszcze było, gdy parobcy w niedzielę do karczmy poszli. Wszyscy tam już o *frydce* wiedzieli, i niejedna rażna dziewucha z przekąsem zapytała Stacha:

— Staśko, a smakowała ci *frydka?*

I to tak poszło we zwyczaj, że nieraz kiedy mówiono o Stachu, dodawać lubili: oj, ten Stach *Frydka* — a zostało mu już to przezwisko na całe życie.

Paulina z L. Wilkońska.

PIĘKNY PRZYKŁAD

sumienności jednego sługi.

Franciszek Grzywacz był rodem z Poznania, a mieszkał w Warszawie, wielkiem mieście, służąc za kucharza u X. X. Pijarów. Miał żonę i dwoje dzieci, majątku żadnego bo i zkądby go wziął?.. zarobek wszystek szedł na jakie takie utrzymanie domu, a zaś innych tak nazwanych pokątnych obrywek nie miał, ani też jako rzetelny sługa łapczywy był na nie. Ot żył sobie krótko powiedziawszy jak Bóg przykazał: chociaż ubogo ale uczciwie.

I będzie temu lat trzy i cosik tam jeszcze miesięcy, gdy razu jednego wyszedł sobie Franciszek za sprawunkami na miasto. Spiesząc przez ulicę Miodową, potrącił o jakąś rzecz leżącą na ziemi. Patrzy coby to było, i widzi że to jakaś torbeczka skórzana, którą zapewnie ktoś przypadkowo zagubił.

A kiedy wziął ją do ręki i popatrzył co się w niej znajduje, przekonał się iż to był schowek na pieniądze, i do tego wcale niepróżny. Znajdowało się w nim blisko do 2000 naszych reńskich papierami, i jeszcze wiele innych papierów kupieckich, które także miały swoją wartość.

Cóż tedy Franciszek nie robi! może myślicie, ze znaleziony grosz uważał już za swoją własność, i zechciał z niego użytek zrobić dla siebie i dla swoich dzieci?.... A broń Boże! nawet mu to przez myśl nie przeszło, choć jaki był biedny i potrzebny grosza. Wiedział on dobrze, iż cudza krzywda nie zbogaci nikogo, a kto ją przyjmie na swoje sumienie, to mu kamieniem zaciąży — i trudniej mu przyjdzie dźwigać się z krzywdą ludzką, aniżeli z samą biedą. Dla tego też z daleka od siebie trzymał wszelką pokusę, i prostą drogą puścił się do urzędu z znalezionemi pieniądzmi. Tam co do grosza złożył wszystko, opowiedział dokładnie w którem miejscu znalazł i o jakiej godzinie, i dopiero z tamtąd poszedł sobie dalej za sprawunkami na miasto.

Ma się wiedzieć, że zguba nie długo leżała w urzędzie. Wkrótce potem znalazł się ich prawy właściciel, który sam nie wiedząc gdzieby je podział, już ci tego i owego ze swoich sług miał w posądzeniu, że mu niby oną summę skradli; aż się dopiero pokazało, że to nieprawda, i że jakiś biedny sługa znalazł je na ulicy Miodowej. Skoro się wywiedział o nazwisku swego dobrodzieja i gdzie mieszka, pobiegł natychmiast do niego, aby mu za to pięknie podziękować, i nadto za jego fatygę wynagrodzić.

Aleć największą nagrodę już tu sobie sam Franciszek Grzywacz wypłacił, zachowując się przy czystem sumieniu — i dając ze siebie taki *piękny przykład sumienności* dla drugich.

RÓŻNOŚCI.

Jan III. pod Wiedniem. Niedużo było takich rycerzy na świecie, jak nasz król polski, Jan III. po ojcu Sobieski zwany. Ten gdy przyszedł

z wojskiem swojem pod Wiedeń, wielkie miasto cesarskie, które natenczas było w srogiem oblężeniu przez Turków i gdyby nie jego pomoc dzielna, niechybnie byłoby w ręce poganów popadło — zanim jeszcze stanął z nieprzyjacielem do boju, od wielkiego ich hetmana, którego inaczej Wezyrem zwano, odbiera przez posła kwartę maku i taką wiadomość na piśmie: „Waszmość królu Janie III.! racz przyjąć i policzyć tę kwartę maku, a jak go zrachujesz, dopiero się dowiesz o liczbie mojego wojska.“

Widocznie było, że sobie ten pan hetman turecki chciał z króla naszego żarty stroić, jakoby rzekł: że się porywa z motyką na słońce. Ale Sobieski nie w ciemię bity i nie długo myśląć, jeszcze przez tego samego posłańca takiem pismem się odciął: „Wezyrze! powiada — liczyć kwartę twojego maku, byłaby zbyt wielka mitręga czasu i zresztą nacóżby się przydało liczyć twój mak?... Posyłam ja ci kwartę pieprzu, który masz nie liczyć ale zjeść, co jest rzecz bardzo prosta; a jeśli go zjesz, poznasz dzielność mojego wojska.“ — I tak się też wkrótce stało, jak powiedział król Jan: Nasi nie zważali na Turków, chociaż ich była taka moc nieprzeliczona, wpadli na nich niby sroga burza, rozbili w puch całe wojsko pogańskie i niedość że Wiedeń od nich oswobodzili, ale jeszcze z królem Janem na czele pognali za nimi na Węgry. I przekonał się ów hetman turecki, że łatwiej było królowi polskiemu uporać się z jego kwartą maku, niż jemu zjeść kwartę pieprzu polskiego.

W pierwszych dniach tamtego miesiąca późno wieczorem wybuchł przez nieostrożność ogień w *Uszwicy* pod Wiśniczem u włościanina Ignacego Karasia. Gospodarz z żoną i starszemi dziećmi zbyt długo zabawiał się ratowaniem sprzętów domowych, tak, iż ogień nagle potem chałupę ogarnął i nie było już którędy uciekać. Na próżno wołali o ratunek, niepodobna było przystąpić do ognia... zginął nieszczęsny ojciec i matka z czworgiem dzieci, z których najstarsze liczyło lat 19, a najmłodsze półtora roku.

Dawne przysłowia.

1. Każda liszka swój ogon chwali.
2. Trzyma się jak pijany płota.
3. Na pszennej ziemi tak się nic urodzi, jak w głupich głowach.
4. Na to kowal ma kleszcze, iżby się nie sparzył.
5. Gdzie nie masz kary, tam też nie ma miary.
6. Patrz lepiej swego, niż nosa cudzego.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

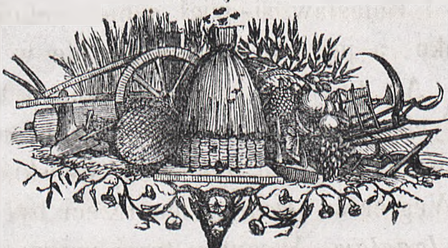
Tom II. Nr. 2.

11. Stycznia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BOLESŁAW ŚMIAŁY
i
Święty Stanisław.

I.

Nie masz ci już naszego Kazimierza, co nam *odnowił Polskę.* Złożony ciężką chorobą i miesiąca nie doczekał. Przy śmiertelnem łożu jego stała żona Dobrogniewa z trojgiem dzieci, i służba pańska i panowie Radni — a wszyscy z wielkim żalem patrzali na to królewskie konanie. W ostatnej chwili jeszcze polecił panom starszego syna Bolesława na króla — i zgasł. Było to roku pańskiego 1058, toż właśnie przed dwoma laty przypadała osiemsetna rocznica tej śmierci.

Miał wtedy lat szesnaście Bolesław kiedy objął panowanie nad Polską. Imiennik i prawnuk króla Bolesława Chrobrego, wielce też jemu był podobny: takiż odważny na wojnie, taki przebiegły i zmyślny w różnych okazyach, taki w sądach sprawiedliwy, taki w domu gościnny i hojny — słowem: kubek w kubek ten sam co jego wielki pradziad. A toć nie napróżno nazwano go Bolesławem śmiałym.

Silna była po te czasy Polska, wewnątrz dobrze zagospodarowana, a na zewnątrz groźna dla każdego, coby śmiał był zaczepić. — I Bolesław siedział sobie spokojnie na królewskim swoim zamku, a już nie w Gnieźnie ale w mieście Krakowie nad Wisłą. Aż tu jedną razą zawitali goście na zamku z trzech rozmaitych stron. A dostojni to byli goście, bo sami książęta i królowie: więc jeden był książę Czeski, *Jaromir;* więc drugi był król Węgierski, *Bela;* więc trzeci był książę Ruski i pan na Kijowie, *Izasław.* Wszyscy trzej wygnani byli z krajów swoich i jako tacy poszkodowani na sławie i na majątku przybyli w prośby do króla polskiego, iżby się za nimi ujął i użyczył im swojej pomocy.

Bolesław że był wspaniałego umysłu i dziwnie mężnego serca, nie wiedział co to słabszemu odmówić opieki, zwłaszcza kiedy ten słabszy miał wszelką słuszność po sobie. Toż przyjął ich gościnnie, i szczerze się zabrał gromadzić wojska, aby pokrzywdzonym w ich krajach przywrócić prawo, jakie się im należało. Skoro już wszystko było gotowe, wyruszył naprzód do Węgier w pomoc królowi *Beli.* I nie zabawił tam długo, bo zaraz w pierwszej bitwie pokonał nieprzyjaciół i królewskiego gościa swego osadził na węgierskim tronie.

Tymczasem *Jaromir,* książę czeski za dozwoleniem króla, zebrał kupę ludu polskiego na ochotnika i z takiem wojskiem poszedł na Czechów — ale pobitym został na głowę i musiał się ratować ucieczką. Czechy zaś, oddając wet za wet, wpadli zbrojno do naszego kraju i dalejże tam gospodarować po swojemu: *ogniem i mieczem.* Dowiadujeż się o tem Bolesław, będący jeszcze na Węgrzech — i duchem wraca do Polski. Jużci umykali Czechy ze zdobyczą, ale Bolesław gnał dniem i nocą i dopadł ich nareszcie w gęstych lasach, gdzie się byli rozłożyli dla odpoczynku. No i ma się wiedzieć żeć im nie podarował, odebrał wszystką zdobycz co ją byli w Polsce narobili i pobiwszy im dużo luda, napędził het z kraju. Ale jeszcze na tem nie dosyć; aby ich bardziej ukarać, najechał ich własny kraj i tam im dopiero dopiekał; aż radzi nie radzi musieli się udać w pokorę i prosić o pokój. Dopieroż udobruchał się nasz Bolesław, króla czeskiego Wratysława grzecznie przyjął u sie-

bie i podał mu rękę do pokoju. A że ten Wratysław upodobał sobie królewską siostrę, *Świętochnę*, to mu ją dał w dowód swojej przyjaźni, i obojgu sute wyprawił wesele w Krakowie na zamku. Zaś Jaromira księcia pogodził z bratem Wratysławem — i w taki sposób już drugą sprawę załatwił. — Pozostała mu jeszcze trzecia sprawa księcia na Kijowie, Izasława. Niebawem też zabrał się i do niej.

Trzema szlakami ruszył Bolesław z doborowem wojskiem na Ruś i do Kijowa. Widząc że to nie przelewki, i żeby się takiemu wojsku nie oparli, stchórzyli przeciwnicy księcia Izasława i otworzyli mu bramy miasta Kijowa. Tam dopieroż książę z wdzięczności za doznaną pomoc, podejmował hojnie króla polskiego z całem wojskiem przez lato i przez zimę. A kraj to bogaty, a przyjęcie było szczere, toż działo się tam naszym jak w Raju, tak dobrze i wesoło.

Ale z tem wszystkiem taki raz trza się było pożegnać i wracać do domu; bo już i gospodarze poczęli się krzywić na swoich gości co ich tak długo podejmowali u siebie; i znowu na Węgrach świeża powstała zamieszka, gdzie musiał spieszyć Bolesław aby tam po raz drugi jaki taki ład zaprowadzić. Więc duchem kazał się wojsku zebrać, pożegnał księcia Izasława, który jeszcze za to co mu pomagano, obiecał Polsce co roku pewną daninę wypłacać w złocie, i tak nareszcie po dobrej zabawie wyruszyli nasi z Kijowa. — Po drodze wstąpił Bolesław na Węgry i zaraz kłótliwych pogodził; poczem już wprost zdążał do domu.

Jako dobry gospodarz zajął się teraz pilnie sprawami własnego kraju: gdzie co uwidział niedobrego i szkodliwego dla Polski, wszelkiemi siłami temu zaradzał; pokrzywdzonych brał w swoją opiekę a niesprawiedliwych i przekupnych sędziów, jeśli się który znalazł, karał najsurowiej — przeciwnie dobrych pochwalał i nagradzał hojnie, prawdziwie po królewsku.

Tutaj opowiemy jedno zdarzenie, które wam najlepiej pokaże, jak dziwnie hojny był nasz król, ten Bolesław śmiały. Pewnego razu siedząc w Krakowie przed swoim pałacem, odbierał król od posłów z Rusi wielkie pieniądze, które mu jako roczną daninę w samem złocie przywieźli. Wtem słyszy nie-

opodal straszliwie jęczącego człeka, a rozumiejąc że go kto uderzył, pyta: — A co tobie, chłopie?

Na to królewskie zagadnienie zbliża się człeczyna jakiś w podłem odzieniu, skulony we dwoje i drzący na ciele jakby go choroba tłukła. Oj, nie choroba to ale brzydkie łakomstwo tak mocno nim zatrzęsło, kiedy zajrzał na kupie tyle złota leżącego u stóp królewskich. Udał więc przed królem bardzo ubogiego, bo go znał dobrze jako miłosiernym i hojnym bywa dla ubogich.

— Oj miłościwy królu! zawodzi płaczącym głosem — oj panie miłosierny! oj biedny ja, biedny aż strach!...

A król mu na to: — Jeślić tylko o to chodzi, no to zaraz temu zaradzimy. Widzisz, chłopie, tę kupę złota?

Chłop się jeno uśmiechnie i głową pokiwa. Król zaś prawi dalej:

— Przystąpże sobie bliżej i bierz z tej kupy tyle złota ile ci się spodoba.

Łakomiec nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, skoczył co tchu do złota jakby do kochanki, i dalej napychać niem kieszenie i poły od kapoty aż mu się od zbytku naderwały. Wtedy król jeszcze go odziać kazał w swój płaszcz królewski i dopiero tak udarowanego puścił do domu. Aleć powiadają że on łakomiec tak się był przeładował złotem, aż się oberwał od tego ciężaru i gdzieś pono tam w drodze marnie zginął.

To wam przepowiedziawszy o hojności królewskiej, zabieramy się teraz do dalszej historji. — Po latach kilku Rusini, nad którymi przewodził książę Izasław w Kijowie, wzięli znowu na kieł i księcia swego precz napędzili z kraju. Skoroć się to doniesło do Polski, zaraz król na wojnę się gotuje, gromadzi rycerstwo, sam dosiada konia i wali na prost przez Wołyń do Kijowa. Po drodze siła nazdobywał zamków. Nareszcie pod Kijowem nieprzyjaciele zastąpili naszym w dużej sile; ale że to była sama hałastra, a wojsko polskie siedziało na dobrych koniach i w żelaznych zbrojach, śmiało przeto uderzył na nich Bolesław i pobił na głowę. Jeszcze w mieście chcieli mu się postawić, pozamykali bramy, obsadziwszy mury żołnierzem. Myśli sobie Bolesław: — Poczekajcie! i jednego męża nie stracę a wasze miasto zdobędę. — Tak tedy wojsku rozkazał gęsto

rozstawić się do koła, aby do miasta nie dopuścić żywności. Niebawem począł im tam głód nie na żarty dokuczać, i radzi nieradzi musieli się w końcu poddać królowi.

Wjeżdżał Bolesław do Kijowa tą samą bramą, co i jego pradziad Chrobry i uderzył mieczem po tym samym znaku na złotej bramie, co ją był tamten uczynił przed laty. Wojsku przykazał spokojnie się w mieście zachować i mieszkańców nie trapić — a Izasława księcia zrobił po raz drugi panem Kijowa.

Aliści licho skusiło Bolesława, że do domu nie wracał, i na zimę pozostał w tej rozkosznej krainie!....

Dla czego? o tem dowiecie się za drugim razem, gdzie także będzie mowa o S. Stanisławie, który był za czasów Bolesława śmiałego biskupem Krakowskim.

Dopomóż-Boże.

Rano w jesieni szedł starzec ubogi
Wielkim gościńcem, co się wił przez pola;
Spotkawszy siewcę niedaleko drogi,
Rzekł: — *Pomóż-Boże!* — Dzięki, choć ma rola —
Odparł mu wieśniak — bujnie rodzić może
I bez twojego, starcze, *pomóż-Boże.*
Żyżny czarnoziem dobrze utłuszczony
Dwa razym orał, dwa razy bronował,
Najlepszem ziarno na posiew zachował,
Chcąc nie chcąc muszą być obfite plony —
Tylko mi siewu nie ma znaczyć komu;
Pomóż, nim chłopiec mój powróci z domu.
Słońce dopieka, zrzuć twoję sukmanę,
Ciężko przez pole chodzić poorane
Z twemi latami. — I starzec w milczeniu
Zdjął i zawiesił świtkę na promieniu.
— A, tyś czarodziej! — Nie kłopoć się oto,
Lepiej się naszą zajmijmy robotą. —
Bez przeżegnania kmieć na rolę czarną
Równem półkolem rzucał z torby ziarno —
Dziad słomą znaczył. Trzy razy przez pole
Zeledwo przeszli — wróciło pacholę,

I odszedł starzec. W tejże samej chwili
Inni wieśniacy drogą przechodzili.
Jeden z nich młody, co więcej zabawą
Lubił się zająć, niż roli uprawą,
Ujrzawszy pierwej w niemałem zdziwieniu
Wiszącą świtkę na słońca promieniu,
Myśląc że pracę cud zastąpić może;
Więc z taką prośbą ku niemu przystąpił:
By mu swej łaski cudownej nie skąpił.
Starzec nań wejrzał i rzekł: — *Pomóż - Boże!*
Tedy on spieszy ku gliniastej niwie,
Którą od dawna zarzucił odłogiem,
Pewny, że wszystko pójdzie mu szczęśliwie,
Gdy swe leniwstwo mógł wyręczyć Bogiem —
Stanął na polu i rzekł: — Pomóż - Boże,
By mi ta glina urodziła zboże.

Dalej gościńcem szedł starzec ubogi;
Widzi, chłop trzeci sieje wedle drogi,
A w imię Ojca i Syna i Ducha.
— Dobrze, rzekł starzec, siejba i otucha;
Pomóż ci Boże! — Dzięki ojcze tobie,
Bez Boga, odrzekł, nic biedny nie zrobię,
Choć uprawiłem ziemię w czoła pocie,
Ale to piasek, i złe ziarno sieję!
Niewiele przeto ufam swej robocie,
Lecz całą w Bogu pokładam nadzieję. —
Starzec w milczeniu przeżegnawszy pole,
Odszedł powoli i zniknął w rozdole.

Rola piaszczysta, gdy nastały żniwa,
Bujnym i gęstym kłosem się pokrywa.
Bez żadnej pracy rąk, niwa gliniasta
Gdzie niegdzie tylko piołunem zarasta.
A on czarnoziem żyzny miast pszenicy
Pełno ma chwastu, kąkolu, mietlicy.
Tylko ślad starca, gdzie przechodził rolę,
Kłosem w trzy rzędy złocił się przez pole.
I odtąd zimą, wiosną i jesienią,
Zawsze się ślady w kształcie stóp zielenią,
I kiedy plonem przyodziana niwa,
Ślad starca bujniej nie wierzch się dobywa.

J. H.

Strach złapany.

Lat już temu kilkanaście, gdy jednego poranku wybrało się dwóch panów myśliwych na polowanie. Właśnie jesień nastawała, dzień był pogodny, powietrze takie świeże aże się niem oddychać chciało, a w tej okolicy huk zwierzyny; to też nic nie pytając pukali sobie nasi panowie z fuzyjek od rana do wieczora i upolowali coś z kilka zającow. — Tymczasem słonko uciekło, a że to było właśnie przy nowiu, nocka stała się ciemna i trudno było drogi dopatrzyć. Idąż myśliwi pociemku, macając rękoma pilno wkoło siebie, żeby gdzie na jakiem drzewie nie utknąć. Nareszcie po długim czasie wydobyli się z lasu na równe pole. Ale cóż? skoro się lepiej rozpatrzyli w okolicy i zmiarkowali gdzie są, pokazało się że na jakie dwie mile drogi odsadzili się od domu. Wracać już było za późno, ułożyli więc sobie w najbliższej wsi przenocować u pierwszego lepszego gospodarza. I tak się też stało. Niebawem idąc prostą drogą, widzą na uboczu porządną chłopską zagrodę. Z okienka chałupy jasne biło światło, znać jeszcze tam ludzie czuwali, co tem mocniej uradowało naszych myśliwych, że nie potrzebowali długo się dobijać. Ledwie też zakołatali do drzwi, od razu usłyszano ich w izbie.

— Kto tam? ozwie się babski głos z wnętrza.

— Prosimy was matko — zawoła jeden z myśliwych — otwórzcie nam.

— A cóż wy za jedni?

— Wracamy właśnie z polowania, bądźcie tak dobrzy przyjąć nas na nocleg.

— Ale czy to pewno panowie myśliwi?

— Możecie sobie zobaczyć przez okno, skoro nie wierzycie, pokażemy wam torby nasze z zającami — rzekli obaj, i na to pokazanie stanęli tuż pod oknem.

W samej rzeczy kobieta przyłożyła oczy do szyby i popatrzywszy chwilę, skoro się przekonała że tak jest a nie inaczej, poszła zaporę u drzwi odsunąć.

Ta ostrożność zdziwiła nieco myśliwych. Wszedłszy do izby oświetlonej sporym ogniem na kominie, zastali tam starego gospodarza, kobietę jego i trzeciego parobka co był ich synem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powitali goście, a starszy z nich dodał: — Pozwólcie nam przenocować u siebie — noc tak ciemna, a mamy daleko do domu.

— Z całego serca! odpowie gospodyni, ścierając zapaską ławę stojącą przy piecu. — Prosimy siedzieć — wydajecie się panowie poczciwymi ludźmi, i dobrze nawet że nas więcej razem przez noc zostanie; będziemy trochę spokojniejsi.

— A to czemu? zapytali goście.

— Ej, ba! będziecie tu panowie sami mieli strachu, to wam z góry zapowiadam.

— Cóż to wy takiego mówicie?

— Samą szczerą prawdę, tak mi Panie Boże dopomóż! no, ale co tam moje słowa, niedługo sami panowie zobaczycie.

— Ale cóż takiego? czy tu złodzieje są w tych stronach?...

— Ba! właśnie, gdybyć to tylko złodzieje!...

— Jeszcze co gorszego? cóż więc takiego być może?... pytają a pytają goście wielce rozciekawieni.

— E! bo panowie nic nie wiecie — poszepła kobiecina i z widoczną trwogą do koła siebie się opatrzy — tu w nocy *przeszkadza*. Oto nieboszczyk Marcin, nasz sąsiad, co umarł niedawno, teraz chodzi po nocy.

Na te słowa panowie myśliwi w śmiech, bo jużcić jako ludzie rozumni nie wierzyli w żadne strachy. Ale zababonni ludziska inaczej sobie takowy śmiech wytłumaczyli; im się wydało że to sami diabli przebrali się po strzelecku i przywędrowali do ich chaty, abyć im jakiego figla wypłatać. Toż popatrzyli na nich z ukosa i już się zaczęli żegnać i po cichu odmawiać modlitwy od złego ducha, gdy wtem znowu jeden z gości powstanie z siedzenia i w te słowa się odezwie:

— Nie bójcie się, moi ludzie! wszak widzicie iż wcale nie wyglądamy na diabłów, a nawet jeżeli chcecie to na przekonanie przeżegnamy się wam znakiem krzyża świętego. Ale powiedzcie nam, jekeście dobrzy, o jakim to strachu mówicie?... bo dalipan że was nic a nic nie rozumiemy.

— Otóż kiedy tak, to zaraz panom opowiem — rzekła kobieta, przyszedłszy nieco do siebie. — Od dawna mieszkał w tej wiosce gospodarz jeden, co się zwał Marcin. A był on bardzo miłosiernym dla wszystkich ubogich. Jak umarł, temu dwa miesięcy, pełno było płaczu wszędzie. Pochowali go pięknie i każdy dał na mszę za jego duszę. My nie jesteśmy tacy zamożni, więc nie daliśmy nic, ale też za to dobrze teraz wypokutujemy. Mamy tylko kawałek pola i ten ogródek, coście tam może panowie widzieli wedle chałupy; ale i tak zawsze by lepiej było dać ile tyle na mszę świętą za duszę zmarłego, który nam, mówiąc Bogiem a prawdą, siła też świadczył dobrego za życia. Teraz widno zagniewał się na nas, bo jak tylko zwieźliśmy zboże z pola, chodzi w nocy do naszej stodółki, wymłaca nam żyto, i potem rozdaje ubogim.

— Ależ powiedzcie nam, moi dobrzy! zapytali znowu goście — zkąd wiecie, że to nieboszczyk Marcin wymłaca wam zboże?...

— Zkąd? alboż to nie słyszymy go co nocy jak młóci? a potem, wszak on sam do nas gadał i słyszeliśmy to wszystko na własne uszy, co do panów mówimy.

— I wy tak zaraz temu uwierzyliście? zawoła starszy myśliwy — Oj ludzie! a nie mógł to ten wasz drągal syn pójść i zaglądnąć temu strachowi bliżej w oczy?...

— Właśnie! burknął pod nosem synalek — albož to ja nie wiem, czem to pachnie, stroić żarty ze strachem? Aha! nie głupim.

— Jak widzę, wszyscyście głowy potracili! rzeknie myśliwy — wam się zdaje że to strach jakiś chodzi, a jabym się o niewiedzieć wiele założył, że to po prostu złodziej udaje przed wami stracha, widząc żeście tu wszyscy tchórzem podszyci, i pod samym nosem wymłaca wam żyto.

— Łatwoć to tak gadać sobie! wtrącił teraz gospodarz — aleć my tu nie sami tylko tchórze, bo choć i nasz sąsiad Stanisław, jekeśmy mu o tem powiedzieli, nie chciał ani razu przyjść do nas na noc, mówiąc że takich nieboszczyków strasznie się boi. A to przecie stary wojak, co nie raz i nie dwa, jak sam powiadał, śmierci w oczy zaglądał.

— Stanisław! powiadacie, stary wojak! wasz sąsiad! zawoła pilno jeden z gości — a nie chciał przyjść na spanie do was? no! to już mam waszego stracha tak prawie jak w garści — poczekajcie, a cicho mi się sprawować!...

To powiedziawszy, myśliwy nabił strzelbę, poszeptał potem coś drugiemu do ucha, i zaraz-ci obaj wynieśli się z izby na pole, i wprost skoczyli do stodółki na zasadzkę. Tymczasem ludziska pozostali w chacie, drząc na całem ciele ze strachu, i już gości swoich uważali tak dobrze jak za przepadłych. — Około północy myśliwi z zasadzki swojej patrzą, aż tu cosik całkiem białego od stóp do głowy śmiało podsuwa się do stodoły, wyciąga kilka snopków ze sąsieka, kładzie na boisku, i zaczyna sobie młócić na piękne. W tej chwili nasi panowie myśliwi cichaczem wychodzą z zasadzki, i dalejże z tyłu na stracha! Jeden z nich wystrzelił na wiatr. Strach bęcnął jak długi na ziemię, wrzeszcząc w niebogłosy: gwałtu! ratujcie!... a myśliwi do niego, cap panicza za łeb, podnosząc na nogi i grożąc mu strzelbą jeśliby chciał zrywać się do nich, prowadzą go na pokaz i dziwowisko do chaty.

— No, prawi jeden, wstępując na izbę a za nim drugi popycha stracha kułakiem — przycapiliśmy wam nieboszczyka — przypatrzcież mu się lepiej! może nie taki czarny diabeł jak go malują.

— Aa! zakrzyczała cała rodzina i rozwarła gęby na oścież z podziwu. — Taże to nasz sąsiad, Stanisław!

— Czy doprawdy on? patrzajcie! a jak się dziwnie ustroił do młócenia! a siłaż mu płacicie od kopy, gospodarzu? zapytał starszy myśliwy niby żartując.

A ludziska nic, jeno pokiwali sobie głową, powtarzając raz po raz: Stanisław! Stanisław!

Dopieroż gość wsiędzie na nich: — A fe, a wstydzilibyście się ludzie takiej głupoty, żeby wierzyć w strachy. A ty młody tchórzu! widzisz, żebyś był zaraz z samego początku przyłożył pięście do tego stracha, miałbyś teraz całe to zboże, co ten niegodziwiec, choć i wasz Stanisław, wam pokradł. Otóż to korzyść być *tchórzem* i *zabobonnym!* Nie umarłych to bać się trzeba, ale żywych i złych ludzi, co dybią na waszą szkodę!

Oni to korzystają z waszej ciemnoty, aby was okłamywać, okradać i na złe drogi nawodzić — słowem, źli judzie stoją wam na zdradzie, a nie jacyś tam nieboszczycy, i strachy którymi sobie podaremnie nabijacie głowy. Niechżeż wam dzisiejszy wypadek posłuży za przykład, iżbyście na później podobnym baśniom nie dawali wiary.

— Teraz zaś, wy gospodarzu wraz z synem odprowadźcie owego stracha do sołtysa, a my jutro rano jako świadkowie w urzędzie potwierdzimy jego złodziejstwo i oszustwo, aby za to otrzymał karę na jaką zasłużył.

Od tego czasu gospodarz i gospodyni ani sobie dali wspomnieć o strachach, a jeślić się kiedy zdarzyło że który kum albo kumoszka gwałtem im w ucho kładli o jakim nieboszczyku, straszącym po śmierci, to zaraz onym wierzącym opowiadali na zbicie ich głupiej wiary, historję o *złapanym strachu.*

Waszemu zdrowiu na pożytek.

Z końcem przeszłego roku podaliśmy wam z *Kalendarzyka* p. *Wielogłowskiego* to i owo, coć psuje ludzkie zdrowie i o nieszczęście ich przyprawia. Dziś z tejże samej książeczki wypisujemy dla was zbawienne rady i przestrogi, jak się zachować macie w tej lub owej chorobie i jakich leków zażywać należy, aby się przy Boskiej pomocy podźwignąć na nogi. —

„Najczęściej się, moi ludzie, skarzycie na ból we wnątrzu, co nazywacie ogólnie: „*boleniem.*“ Na to jakież jest u was lekarstwo? Oto półkwaterek wódki z pieprzem albo bez pieprzu. — Czasem wam to pomaga, a częściej was zabija. — Widzicie że ból brzucha z różnych powodów pochodzi: — albo z przeziębienia, albo ze zbytniego najedzenia, albo z zatrucia się surowizną lub niezdrowym pokarmem, albo też jest ogólna choroba w powietrzu, która sprowadza ból mniej lub więcej niebezpieczny. Kiedy więc są rozmaite przyczyny bolu, i rozmaite rodzaje chorób,

to muszą być i rozmaite lekarstwa, stosujące się i do przyczyn i do rodzaju choroby. — Nie można też wódki uważać za tak cudowny środek, iżby na cobądź pomogła; bo wódka to ogień, a wiecie że ogień grzeje, albo też i pali, więc wódką zamiast się zagrzać moglibyście się i spalić. Otóż, moi kochani, tak wam powiem: Gdy was albo kogo z waszych w domu brzuch zacznie boleć, dowiadujcie się naprzód, czyli nie jadł chory jakich niezdrowych pokarmów, albo owoców niedojrzałych, albo też czy się nadto nie objadł. — Jeżeli się dowiecie, iż ten a nie inny jest powód jego choroby, to ugotujecie mu w kwarcie wody małą garść polnego rumianku i dajcie mu pić ciepło, aby wypił tę kwartę w godzinie. Wtenczas albo wyrzuci z żołądka (coby było nalepiej) albo pomoże mu ten rumianek do strawienia. Gdyby to nie pomogło, to idźcie do dworu albo na plebanią po proszek na wymioty, i ten proszek wsypcie do kwaterki letniej wody i zamieszajcie. Połowę tej kwaterki dajcie zaraz choremu wypić, a drugą połowę za trzydzieści Zdrowaś Marja, które na intencją chorego na korónce zmówicie. — Gdy chory zacznie mieć wymioty, dajcie mu pić letniej wody jak najwięcej, ale *letniej* mówię a *nie gorącej*. Chory podczas zimy musi leżeć w chałupie, a w lecie może leżeć w stodole, ale nie na polu i nie na wilgotnej ziemi. — Jak z niego dobrze wytarga, to dajcie mu kleiku z jęczmiennej kaszy albo rosołu, ale broń Boże, dawać mu tego dnia kapusty, ziemniaków, kwaśnego mleka, jabłek, gruszek i śliw, choćby chory miał do nich smak. — Nie ważcie się również dawać wódki ani piwa, ale może sobie popijać rumianek, albo peż w wodzie gotowany, albo zjeść wieczorem i wodzianki lub rzadkiej kaszy na wodzie. Gdyby chory cierpiał wielkie boleści, albo dużą biegunkę, to weźcie ścierkę, albo sporą szmatę na dwa łokcie, albo zapaskę i umaczawszy ją w zimnej wodzie, wykręćcie dobrze szmatę do jednej kropli, złóżcie we dwoje i obłóżcie tą wilgotną chustą brzuch na około krzyżów, a na tem wilgotnem przywińcie znowu suchą szmatę lub reintuch, albo płachtę i niech tak chory leży. — Najprzód mu się będzie zdawać zimno, ale zaraz potem się zagrzeje. Gdy ta pierwsza wilgotna szmata uschnie, to powtarzajcie to samo, dopóki się choremu zupełnie nie ulży. To jest

sposób niezawodny a łatwy, bo wszędzie się woda znajdzie i dwie jakie takie szmaty.

Sposób ten używania okładów z zimnej wody równie jest skutecznym w razie, gdy boleści pochodzą z przeziębienia brzucha; jednak gdyby nie pomogły te okłady, to wam tak doradzę: — Zbijcie jaj cztery, odrzućcie białka, a żółtka rozbijcie na misce, nalejcie na to kieliszek mocnej okowity i zapalcie ją a zaraz się usmaży jajecznica. Wyłóżcie tę jajecznicę na szmatę dopóki ciepła i posypcie ją pieprzem i taką przyłóżcie choremu na pępku, obwiązawszy chustką aby nie spadła, i niech tak chory leży z tem trzy godziny, a popija rumiankiem lub lekkim odwarem mięty.

Jeżeli się pokaże krwawa biegunka, jakto w lecie ta choroba zwykła panować w skutek jedzenia zielonych owoców lub młodych ziemniaków, albo napicia się po rozgrzaniu zimnej lub niezdrowej wody z bagna lub rowu; to wtenczas nie można z tem żartować, bo to zła choroba, tylko niech się zaraz chory położy, aby spokojność zachował, a wy się zabierzcie do dworu albo na plebaniją i proście o ratunek, dopóki doktor nie przyjedzie. — Najprzód ugotować kaszy jęczmiennej z tłustem i choremu letnio cały brzuch obłożyć a chustką obwiązać. — Zimnej wody, wódki, piwa i żadnych kwasów, ani jarzyn, to jest kapusty, ziemniaków i rzepy mu nie dawać, tylko kleiku z jęczmiennej kaszy bez soli i masła niech pije ile chce, a niech leży przykryty. — Ze dworu albo z plebanii uproście sobie dobrej oliwy utartej z cukrem pół na pół i tej dawajcie choremu co dwie godziny po łyżce. — Gdyby po siedmiu dniach biegunka nie ustała, to dostańcie sobie zkąd suszonych borówek i na garść tych borówek nalejcie gorącego ukropu pół kwarty. — Gdy tak to lekarstwo postoi przez godzinę, dawajcie choremu tej wody pić po kieliszku. Zapowiadam wam zaś, abyście w tej chorobie nic tęgiego, ani kwaśnego, ani słonego nie dawali, i aby chory na trawniku wilgotnym nie leżał. — Czasem i to nie pomaga, więc meldujcie się doktorowi powiatowemu lub w mieście jakiemu innemu doktorowi, ale babskich rad nie słuchajcie, bo to choroba nie lada!!

Także często gęsto dostajecie febrę czyli zimnicę, którą wy *zimnem* zowiecie, i skarżycie się że was już kilka razy

utłukło a nie chce wam ustać. Jakże wam ma ustać, kiedy przy febrze zajadacie kwaśne mleko, maślankę, jabłka, gruszki, a żołądek macie nieczysty, bo język wasz jakby wam go kto gliną z wapnem obłożył. Dopóki z żołądka nie usunie się śmieci i niezdrowizny, dopóty was zimno będzie tłukło najprzód co trzeci dzień, a potem co czwarty. — Gdy się zaś febra we czwartaczkę zamieni, a na jesień się usadowi, to tego gościa ani się już w zimie nie pozbędziesz. Dla tego radzę wam abyście w zimnicy czyli febrze zaraz proszek na wymioty zażyli, a na trzeci dzień proszek na przeczyszczenie, co się nazywa *jalapa.* — Dopiero jak wymieciecie z wnątrza tę niezdrowiznę, to już wtedy może chory połknąć pierwszego dnia na czczo dwa ziarnka białego pieprzu, a drugiego dnia cztery ziarnka, a trzeciego sześć ziarnek, aż czwartego ośm i piątego dziewięć, a febra niezawodnie ustąpi.

Gdyby się zaś broń Boże tyfus wdał w jaki dom, to po proszku na wymioty pierwszych dni zadanym, już więcej nie brać na przeczyszczenie ani Eliasza ani *jalapy*, ale tylko pić zimną wodę i barszcz burakowy, a w razie dużej gorączki i majaczenia, ciasto z tłuczonej gorczycy i mąki żytniej z wodą lub octem zarobić i te na łydki przyłożyć i przez pół godziny trzymać. — Broń zaś Boże chorego w ciepłej kąpieli kąpać! W ważnych chorobach lepiej nic nie robić jak bez rady doktora odważać się na leczenie, i życie bliźniego brać na swoją odpowiedzialność i sumienie. —

Teraz mówić wam będę o bardzo ważnej chorobie, to jest o zapaleniu płuc, które wy nazywacie kolką pod piersiami. — Ta choroba jest wśród was bardzo częsta, bo zapociwszy się w lesie w czasie zimy, zrzucacie nagle kożuch i raptownie się ostudzacie. — Wiecie dobrze ile to już między wami ludzi na to umarło. — Zwykle się zaś na tę chorobę tak leczycie, iż słoniny natopiwszy do wódki, kwaterkę i więcej wypijacie. — Jest to zupełnie to samo jak gdyby kto chciał siarką ogień gasić. — Otóż mało który z was z tej choroby wyjdzie, ale zawsze prawie umiera. — Gdy kogo kolka pochwyci, to zaraz trzeba posyłać po doktora aby krew puścił, a gdyby doktora nie było to wziąść i cyrulika aby pijawek pod piersiami ze 20

postawił, albo bańki siekane. — Pić mleko słodkie na pół z wodą, a na piersi można przykładać płatek zmaczany w zimnej wodzie i dobrze wykręcony, i nakryć go suchą chustą i często odmieniać, a w braku doktora szukać rady we dworze lub na plebanii. Nic tęgiego, ani kwaśnego, ani słonego pić ani jeść nie trzeba, ani broń Boże proszku na wymioty nie brać, bo byście samochcąc sprowadzili śmierć na siebie.

Kiedy którego z was gardło zaboli, tak iż wam zawadza w gardzielu i przełykać wam nie pozwala, to tego samego dnia gdy ból poczujecie, umaczajcie sobie przed spaniem szmatę w zimnej wodzie, wykręćcie ją i wysączcie dobrze a obwińcie nią całe gardło, a potem na tej mokrej szmacie przywiążcie grubo suchą szmatę i nakrywszy się dobrze, spijcie z Bogiem. — Zwykle już rano bolu czuć nie będziecie. — Gdyby zaś wasze dziecko na chrypkę czy gorzej na *krup* wam zachorowało i zaczęło kaszleć tak jak kiedy młode kurcze pieje, a przytem dusiło się, główkę w tył odchylało, to też zaraz obwińcie mu gardło zimnym ale dobrze wykręconym z wody okładem i na to obwińcie suchą chustkę a biegnijcie do dworu po proszek na wymioty, który rozpuścicie w kwaterce letniej wody i dacie mu co pięć minut po łyżce, dopóki kilka razy nie zrzuci. Także enemę ze szlazu jednę i drugą dajcie, i pić szlaz wygotowany a cukrem osłodzony dawajcie. — To straszna choroba! i z ratunkiem przy niej spieszyć się należy. — Jeśli więc jak zwykle po północy wypadnie, to nie czekajcie rana, ale zaraz do dworu albo na plebanią po proszek biegnijcie. — Często też między wami panują bolączki za uszami i pod szczęką. Na to rozmaite liście i smalce przykładacie, a najczęściej psie sadło, skrom zajęczy i różne inne leki. Najlepiej jest na to z samego początku przyłożyć plaster *melilotowy*, który dostaniecie w każdej aptece, albo którego użyczą wam może we dworze, lub na plebanii. Gdyby zaś tego plastru nie było, to zróbcie tak:

Ugotujcie kaszy jęczmiennej z niesłonem sadłem lub wreszcie i masłem, ale na rzadko i wyłóżcie tę kaszę na szmatę cienką. Zawińcie ją w jedno aby wilgoć z tej kaszy przechodziła przez chustę i przyłóżcie na bolączce, a co godzina przygrzywajcie aby zawsze było letniawe. Gdy się bolączka nie

rozejdzie, ale się tak wyniesie w środku, że się ma ku przepuknięciu, wtenczas możecie białej cebuli upiec i rozetrzeć w skorupie a na bolączce przyłożyć. — Bolączki oziębiać nie można i trzeba koniecznie twarz podwiązać.

Najpospoliciej zdarza się na wsiach, iż sobie kto nogę albo rękę stłucze, to podnosząc drzewo, to znowu gdy drabina z wozu spadnie, koło przejdzie, lub koń uderzy, wół albo krowa nadepnie. — W takich razach należy wziąść mokrą szmatę i miejsce stłuczone obwiązać, a na szmatę ciągle polewać zimną wodą i tak przez cały dzień i noc robić, aby puchliny nie dopuścić; zwykle po 24 godzinach pilnego w ten sposób opatrywania stłuczenie jest wyleczonem.

(*D. n.*)

Prawdy gospodarcze.

(*Z elementarza dla chłopców wiejskich.*)

Pytanie. Czy praca około roli jest zasługą przed Bogiem?

Odpowiedź. Jest zasługą, bo jest według przykazania Boskiego. W piśmie św. mówi Bóg do człowieka: *W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba.*

P. Co powinien czynić dobry gospodarz i dobry sługa?

O. Bogu cześć oddawać, ludziom poczciwość, roli pracę od rana do zmroku:

Próżniactwa i boskiej obrazy
Unikać jakby zarazy.

P. Czy dobry gospodarz tylko dla siebie samego pracuje?

O. Nikt na świecie dla samego tylko siebie nie pracuje; ale owszem z każdej pracy, czy w rzemiośle, czy w czem innem, musi być przecie pożytek dla drugich. To samo i gospodarz: nie tylko dla siebie pracuje, ale i dla wszystkich, którzy ziemi nie mają, a jeść potrzebują:

Kęska chleba
Wszystkim trzeba;
Więc kto roli chleba sporzy,
Łaskę Boga sobie mnoży.

P. Czy niedbały gospodarz i zły sługa Pana Boga obraża?

O. Bardzo obraża, bo Pan Bóg przykazał żyć poczciwie i pracowicie:

Kto próżniak, niedbalec, niepoczciwie służy,
Ten duszę piekłu na mieszkanie dłuży.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

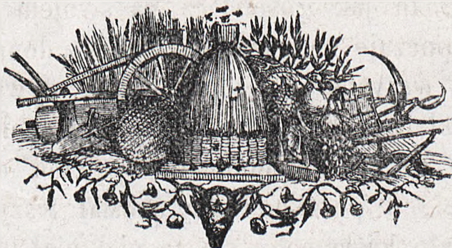
Tom II.

21. Stycznia

Nr. 3.

1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BOLESŁAW ŚMIAŁY
i
Święty Stanisław.

II.

W Kijowie kniaź Izasław z całego serca raczy króla i Polaków. Dniem i nocą grzmi muzyka wesoło na uciechę, a krasne i grzeczne Rusinki wabią naszych wojaków do skocznego tańca. Po ciężkich trudach wojennych pocieszna to była dla nich nowina — to też zasmakowali w niej i wnet rozpuścili się na piękne. Jużci im teraz żelazna zbroja wydała się za ciężką, tak do razu zniewieścieli w tych ustawicznych hulankach; więc się jej pozbyli, a natomiast przebrali się w bławaty i wieńce z kwiatów, jakby jakie paniątka, i słodkie popijali wino, i wesołe pieśni sobie spiewali, i zawodzili tańcem z krasnemi Rusinkami aż do upadłego — a o Polsce ani dudu. Król się nie spieszył z rozkazem, wojsko też nie napierało się cale wracać do domu. I tak przeszła jedna zima, nastało lato, a potem lecie znów zaszło na drugą zimę i na drugie lato — a nasi jak bawią się tak bawią w Kijowie.

Tymczasem w Polsce, że już tak długo króla nie było, wszystko się psuło — i straszliwy powstał nieład. Bo i nie dziw! król w państwie, to jak gospodarz na swojem gospodarstwie: niechno czeladź poczuje że pana nie ma w domu, oho! jużci zaraz dokazuje i wszystko do góry nogami wywraca. — Takci teraz w Polsce słabszy był pod rozkazem mocniejszego, a ten mocniejszy robił co mu się podobało — ztąd działo się dużo niesprawiedliwości, a poszkodowany musiał wszystko cierpliwie znosić, bo nie było króla coby się za nim ujął. Do tego złego przymieszało się jeszcze drugie: owo żony tych co popochodzili z Bolesławem na wojnę, poczęły sobie przykrzyć bez mężów. Powiadają: — Kto wie, co się tam z *naszymi* podziało na tej wojnie, że ich tak długo nie widać! — I nuż jedna drugą buntować: — Bierz ich tam kaci, kiedy się gdzieś bez pamięci zawieruszyli, to i my zapomnijmy o nich. Dziękować Bogu, jestci tu jeszcze dosyć chłopców! niechże sobie każda wybierze jednego na męża i będzie dobrze.

Hej! hej! masz tobie teraz — nasi cieszą się w Kijowie, i ani im w głowie, co się tam podziało w ich własnych domach: że się im żony pobuntowały i za innych popochodziły mężów. — Jedna tylko pomiędzy niemi była poczciwa niewiasta. Po imieniu zwała się Małgorzata, a miała za męża Mikołaja Strzemieńczyka, dziedzica na Ziębocinie co jest wieś niedaleko Krakowa. Tenże Mikołaj był jak i drudzy na wojnie z Bolesławem. Małgorzata jego z dwiema siostrami została w Ziębocinie na gospodarstwie. Toć i ją napastowali zli ludzie, aby o *swoim* zabyła i poniechała go, a innego sobie obrała męża; ale ona na takie gadanie zatykała uszy i żegnała się, jak gdyby przed samym diabłem. Nareszcie widząc że to nie żarty, i że jej na żaden raz spokoju nie dają, nie wiele myśląca ucieka z domu a z nią i obie siostry, i wszystkie trzy skryły się na wieżycy Ziębocińskiego kościółka, gdzie mocno zatarasowały drzwi przed napastnikami, tak że się już do nich dostać nie mogli. Tam dostawały jedzenie na sznurze przez okno od jednej wiernej sługi; i to trwało tak długo, aż póki pan Mikołaj z Kijowskiej nie wrócił wyprawy.

Po niewczasie dowiadują się mężowie o tej buntacyi żon.

Już tedy ani myśleć im o zabawie, ale co tchu kwapili się do domu. Przed tem jeszcze prosili króla, żeby dłużej nie zwlekał, i nazad do kraju ich poprowadził. A król im na to powiada: — Siedzieć cicho! i ani myśli o powrocie. Widocznie jakieś licho opanowało go tu w Kijowie, że siedział tak długo i jeszcze mu się nie sprzykrzyło. Wtedy wojsko, widząc że z królem nieporadna godzina i że go w żaden sposób nie potrafią namówić do domu, stało mu się nieposłusznem, i powoli jeden po drugim zaczął się wynosić cichaczem z Kijowa. Niebawem mało kto został przy królu, a tu jeszcze jak na nieszczęście Kijowianie znów się ruszają, i głowy hardo podnoszą, i z pogrzóżkami się odzywają. Śmiały był nasz Bolesław co prawda, i nie dał się byle komu postraszyć; ale z tak słabemi siłami jakie mu pozostały, trudno było się srożyć i to jeszcze w obcym kraju. Rad nie rad musiał z miasta ustąpić, i do Polski powracać.

Pierwszy to raz w życiu przydarzyło mu się, że przed kimś z placu umykał — toć go to zmartwiło nielada, i przyprowadziło do wielkiego gniewu tak na onych wojaków co go opuścili w Kijowie, jak i na te żony, co mężów swoich pozdradzały.

I mieli oni za swoje, skoro Bolesław przybył do kraju. Niech ręka Boska broni, co się tam działy za okrucieństwa! co zaś gorsze, że ani daj Boże przebłagać króla, tak srodze zaciekł się był w gniewie.

A był wtedy w Krakowie niejaki Stanisław Szczepanowski Biskupem. Ten widząc co Król dokazuje, i że nikt nie miał na tyle odwagi, aby go w gniewie pohamować, litością przejęty sam jeden podjął się tej niebezpiecznej sprawy. Począł tedy króla nachodzić w jego zamku, i wołać na niego: — Panie! opamiętaj się, a niebądź taki zawzięty i okrutny na swoich poddanych! —

Te częste nawidziny Biskupa gniewały Bolesława; powiedział mu to wręcz i nawet zakazał przychodzić więcej na zamek. Aliści w tym razie trafiła kosa na kamień: upartym był król, niemniejszego uporu był i on mąż świątobliwy, Stanisław, bo tu chodziło o życie bliźniego. Mając teraz wzbroniony przystęp do zamku, Biskup taki nie zaniechał sprawy, i gdzie tylko

króla zobaczył, w kościele, czy na ulicy, zaraz mu stawał przed oczy i ciągle napominał: — Królu, upamiętaj się! Nareszcie widząc, że dobre słowo nic nie pomaga, owszem Bolesław na przekór jeszcze się okrutniejszym stawał, wyklął go, to jest: zabronił mu bywać w kościele i śś. Sakramentów przyjmować. Tem ostatniem postępowaniem Biskup krakowski srodze oburzył króla na siebie. Jużci mu tego nie mógł podarować do śmierci i rychłą poprzysiągł zemstę. A czekał jeno sposobnej chwili, aby ją na osobie św. Stanisława wykonać.

Zanim się ta królewska zemsta sprawdziła, posłuchajcie pierwej krótkiej historyi o tym świętym Stanisławie, co jest naszej Polski patronem.

Dwie mile od Bochni, gdzie to jak wiecie sól kopią, leży wioska Szczepanów. Tam się rodził święty Stanisław z ojca Wielisława Szczepanowskiego, dziedzica tej wsi i z matki Bogny. Choć był jedynakiem, rodzice przyznaczyli go do stanu duchownego, bo taki byli panu Bogu ślub uczynili, iż pierwszego syna co się im narodzi, poświęcą służbie Bożej. Ciche, potulne to było dziecko, i od małego już samo rwało się do kościoła na nabożeństwo; w domu zaś największe miało upodobanie w ustawianiu sobie ołtarzy i przebieraniu się za księdza. Mocno się tem cieszyli rodzice i panu Bogu serdecznie dziękowali, że im dał syna tak łagodnej i cichej natury i z takiem upodobaniem do stanu, który mu oni przepisali na później.

Skoro się w domu podchował i wyrósł na chłopca, oddał go ojciec do Gniezna na nauki, gdzie się bardzo dobrze sprawował, a z tamtąd wysłano go potem do Francyi, aby się jeszcze lepiej poduczył. Po kilku latach powrócił do kraju i był w Krakowie wyświęcony na księdza. Wkrótce zasłynął po całej Polsce z świątobliwego życia i z prześlicznych kazań, jakie miewał często w kościołach krakowskich do ludu. Toż gdy umarł Biskup krakowski *Lambertus,* Stanisław został jednogłośnie wybrany na Biskupa w Krakowie. Wysoki to był stan i prawie pańskie dochody miewali tacy Biskupi, a przecie nasz Stanisław nic a nic nie spyszniał, i żył sobie jak poprzód skromnie, na-

wet ubogo, oddając większą część pieniędzy na biedne sieroty i wdowy. Niedziw, iż takim świątobliwym żywotem zaskarbił sobie łaskę Boską, która mu już za życia nadała moc czynienia cudów, jak to zaraz zobaczycie.

Nadarzyła się była Biskupowi sposobność, zakupić dobrą wieś dla kościoła od jednego szlachcica nazwiskiem Piotrowina. Aliści zaraz jakoś potem umiera Piotrowin, a krewni jego pozywają Biskupa do sądu, aby im wieś oddał, którą, jak mu zarzucają, nieprawnie posiadał. Wytoczyła się cała ta sprawa przed królem, który według ówczesnego zwyczaju sam sądy odprawiał. Biskup nie miał żadnego dowodu na piśmie, bo się nie spodziewał, że nieboszczyk tak rychło umrze, i kupił na gołe słowo. I jakże tu się obronić bez dowodu? A zaniechać sprawy jakoś nie wypada: bo raz żeby się przez to stała krzywda kościołowi, dla którego ta wieś była nabyta; a potem i wstyd Biskupowi słuchać, jako mu fałsz zadają przed światem, żeby się nie miał usprawiedliwić.

— U ludzi, myśli sobie Stanisław zafrasowany — nadaremniebym szukał pomocy; jeden tylko Bóg wszechmogący może mię poratować.

I westchnie do Boga z gorącą wiarą, że jego słusznej sprawie przybędzie cudowną łaską swoją na pomoc, a potem udaje się wprost na cmętarz, gdzie spoczywał Piotrowin, każe odkopać grób, trumnę otworzyć i dotykając trupa laską biskupią, zawoła: — W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Piotrowinie wstań i poświadcz mi!...

I oto patrzcie! na to zaklęcie Biskupa powstaje z trumny umarły, i otoczony wielką kupą ludzi co na ten cud własnemi patrzyli oczyma, idzie do sądu na świadka. Tam przed królem przyznał Biskupowi prawdę, a krewniaków swoich ostro napomniał za to, iże w tak niesłuszną wdali się sprawę. Poczem ustąpił nazad do grobu. Nie trzeba było lepszego dowodu dla Stanisława — wygrał sprawę i został przy wsi. Krewniacy zaś nieboszczyka tak się tym wypadkiem skruszyli, że zaraz potem udali się na pokutę i aż do śmierci surowy prowadzili żywot.

Od tego czasu ubyło już może z pięć lat. Biskup wyklął Bolesława, jak to już wiemy, i odtąd stał mu się solą w oku. Znamy zaś króla jako twardy był pan, i żadnej urazy nikomu nie podarował. Tak tedy i na Stanisława zawziął się, aby go zgubić.

Miał zwyczaj Biskup, co rana chodzić na Skałkę, gdzie był kościółek świętego Michała nad Wisłą, i tamże odprawiać mszę świętą. Wiedział o tem Bolesław i razu jednego wybrał się tam wczas rano ze swoimi ludźmi, a z jego gniewnych ócz nie trudno było wyczytać, że cosik niedobrego zamyśla. — Już stał Biskup ze mszą świętą u ołtarza, gdy naraz dały się słyszeć w kościele gwałtowne kroki. Byli to posiepaki królewscy. Z dobytemi szablami wpadli do kościoła i w prost lecą ku ołtarzowi gdzie stał sprawiedliwy Biskup, aby go pochwycić. Aliści zaledwo kilka uczynili kroków, nagle ślepota ich ogarnęła tak, że zgoła nic nie widzieli przed sobą. Radzi nie radzi wycofali się z kościoła, i opowiadają to przed królem. A on na nich: — Kłamcy jesteście! zawoła i znowu napędził ich do kościoła. I stało im się po raz drugi to samo; wyszli nic nie skurawszy. Wtedy król skoczy, srogim rozpalony gniewem:

— A tchurze! a baby! zawoła strasznym głosem — w spodnice was poubierać a nie chodzić przy broni! — I sam dobywa szabli, piorunem wpada do kościoła, i od jednego zamachu zadaje śmierć męczeńską Biskupowi, klęczącemu u stóp świętego ołtarza.

Działo się to na dniu 8. Maja roku pańskiego 1079 — a policzywszy na lata, wypadnie do teraz akurat 781 lat. Na tę to pamiątkę obchodzimy 8. Maja co roku w Krakowie wielką uroczystość świętego Stanisława Męczennika.

Ciało świętego Biskupa wywłóczone z kościoła, a posiekane i porąbane na kawałki, wrzucone potem było do pobliskiej sadzawki. Tam przez trzy dni i przez trzy nocy spoczywało, a cztery wielkie orły stały przed nim na straży, w nocy zaś nad świętemi członkami cudowna światłość widzianą była.

Gdy się Papież dowiedział w Rzymie o tej zbrodni, rzucił jeszcze większą klątwę na króla i rozkazał, aby odtąd monarchów polskich nie koronowano.

Panował ci jeszcze Blesław w Polsce, ale niedługo. Pozamykano przed nim wszystkie kościoły, zbrzydzili go sobie duchowni, znienawidzili panowie, służba odstąpiła. Odtąd samotnie przemieszkiwał na zamku, nikt się tam nie pokazał aby króla zabawić, nie było komu słuchać jego rozkazów, a gdy się pojawił na ulicy, żywej nie napotkał duszy, tak wszyscy od niego stronili. Do tego jeszcze złe sumienie go gryzło wciąż a wciąż, i za dnia i w nocy nie pofolgowało; aż nareszcie Bolesław on śmiały, co się żadnego nie uląkł wroga na świecie, zastraszył się przed własnym sumieniem. Myślał nieborak, że może mu się za domem gdzieś na obczyznie polepszy. Więc porzucił Polskę i udał się zagranicę. —

Jaki go tam koniec spotkał, o tem będzie mowa w następnym numerze.

BRAT I SIOSTRA.

Nie siwa kukułka w ciemnym boru kuka,
Nie mała ptaszyna gniazdka sobie szuka:
Z miłym bratem siostra rozmawia zdaleka —

Co słówko powie,
Wiatr uchem łowi,
Miłego słówka czeka.

— Bracie mój bracie, — gołąbku szary,
Przyjdź pod ten jawor stary,
Przyjdź do mnie, pociesz nieco!
Bo widzisz, łzy lecą.

— Siostrzyczko moja, — siostro rodzona,
Ty gołąbeczko młoda,
Jakżeż ja przyjdę? daleka strona,
Góry, lasy i woda!...

— Przeleć sokołem, lasy wertepy,
Przepłyń łabędziem przez wody duże,
Przebież przepiórką szerokie stepy,
Gołąbkiem spadnij na me podwórze;

Rozwesel serce twoje, nie czyje,
Co mi tak bije.

Cudze dziewczyny z cerkwi wychodzą,
To śmieją się, to komoszą,
Jako jaskółki, swarzą się, godzą,
Na kołacz ludzi proszą.

A mnie nie proszą na kołacz biały,
Na chleb, na sól gościnną —
Dawniej mnie siostrą rodzoną zwały,
Takby to być powinno;

Dziś uciekają jak od zarazy,
Aż mi łza z oczu ściekła —
Drużki nie drużki, to zimne głazy,
Rodzina się wyrzekła.

T. L.

ŁASKA ZACZAROWANA.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

Długoby pochodził po świecie, nimby w jednej wsi znalazł dwóch ludzi, którymby się tak jakoś wszystko spólnie składało w życiu, jak Wawrzkowi Surmie i Bartkowi Kwiczole.

Obadwaj w jednym porodzili się roku, w jednym czasie pobrali żony i to siostry obie, w jednym roku odumarli ich starzy i w jednej porze obadwaj stanęli na swojem gospodarstwie.

A też i gospodarstwo obydwóch nielada — sołtysowskie grunta co się zowie, zagrody i budynki jak na pańskim folwarku, a chudoby i dobytku jak na dziesięć mil poszukać.

Nie darmo dziwili się też ludzie, że im się tak jakoś wszystko razem splotło do kupy, a oni sami bacząc nato, rzekli do siebie:

— Jesteśmy sobie szwagrami, w jednym czasie i z jednakim dobytkiem rozpoczynamy gospodarstwo. Starajmyż się pokazać ludziom, kto z nas lepszy gospodarz.

— Tak! zawołał Bartek Kwiczoła — próbujmy, gospodarujmy a za rok za dwa porachujemy się kto więcej przysporzył, i komu Bóg lepiej pobłogosławił.

— Zgoda — odpowiedział Wawrzek Surma — obadwaj chytajmy się jak możemy, a przekonamy się nawzajem.

I jak mówili tak też sobie postąpili. Rzucili się obadwaj do gospodarstwa, jeden chciał prześcignąć drugiego.

I aż dziw bierze jaki to gospodarz Bartek Kwiczoła, Matko Boża! toć to się zabrał do pracy. Nim jeszcze zadnieje na dalekiem niebie, on już na nogach, i już przy robocie wedle potrzeby. Trzech najmytów trzyma, a żaden nie dorówna mu w pracy, bo nawet wszyscy trzej razem nie zrobią tyle, co on sam jeden choć gospodarz.

Przy młóćbie toć parobcy jeszcze kopy nie omłócili, a on już drugą kończy, a podczas żniwa na polu, to niech i dwudziestu ma żeńców, zapędzi się sam pewno daleko naprzód, jakby go nieprzymierzając dziesięciu nadstawników pędziło ognistemi nahajami.

A jak przy młóćbie i przy żniwie, tak i we wszystkiem, przy sianokosach, siejbie, orce i wszystkiem innem.

I niedość nawet że tak ciężko trudzi się i pracuje, ale najpotrzebniejszego sobie odmawia, od gęby odejmuje, aby tylko włożyć w gospodarstwo, przysporzyć dobytku.

I otużci dziw nad dziwami, uroki, czy czary, czy jakieś inne złe nasłanie! choć tak ciężko pracuje, że kiep wół i muł przeciw niemu, choć tak skąpi że nawet w niedzielę, w dniu odpoczynku żadnej a żadnej nie pozwoli sobie uciechy, jakoś przecie w gospodarstwie nie idzie mu glaźno od ręki. Ot, Bogiem a prawdą nie tylko że nic nie przyrobił, ale jak sobie sąsiedzi szeptają na ucho, nawet ubywać zaczyna ojcowizny. Żnie, młóci, wieje, sieje, zwozi, chowa, zamyka, a jakoś i w stodole niepełno, i w spichrzu nie wielkie zbytki, pcha w bydło co się wlezie, a żal się Boże: woły pomizerniały i koniom sterczą żebra jak żydowskim kandybom.

— Co w tem za przyczyna? — pytają ludzie.

— Co w tem za licho? — narzeka Bartek Kwiczoła.

Nie tak tymczasem dzieje się z Wawrzkiem Surmą. Fiu fiu, mospanie! jak mówi stary organista: u niego stogi i zasieki pną się aż powyż topoli, w spichrzu mucha miejsca nie znajdzie, bydło, konie, świnie, na kloc jak się patrzy.

A przecież Wawrzek Surma ani o połowę tak ciężko nie trudzi się, nie mozoli, nie pracuje jak poczciwy Bartek Kwiczoła. Trzyma sobie także trzech najmytów, ale mu się ani śni prześcigać ich w pracy; najmuje także po dwudziestu żeńców, ale za nicby się nie zapędzał naprzód. Prawda, że się nie leni, nie zasypia białego dnia, z częsta gęsta sam do wszystkiego przykłada ręki, alić się znowu wcale nie wysila, nie forsuje, zwyczajnie jak gospodarz całą gębą, co mu na niczem nie zbywa. A przytem niecnota i niczego sobie nie żałuje, nie skąpi, opływa we wszystko, a do pierogów z syrem i śmietaną tak się już przyzwyczaił, że się ani obliże po obiedzie.

I zkąd się bierze to dziwo, że jemu wiedzie się o tyle lepiej, o ile gorzej Bartkowi?

Po dwóch latach własnego gospodarstwa zeszli się z sobą jakoś w niedzielę po południu.

Biedny Bartek zgarbił się z ciężkiej pracy we dwoje, schudł i zmizerniał jak szczypa, a wyglądał o dziesięć lat starszy, niż był rzeczywiście.

Przeciwnie aż lubo spojrzeć na Wawrzka Surmę.

Twarz miał okrągłą i pocułowatą jak paska wielkanocna, a i ładnie wyszywany i złocistemi gwoździkami wybijany rzemień miał co obejmować w pasie. Krótko mówiąc, Wawrzek Surma wyglądał sobie jak prawdziwy sołtys zamożny, co nie tylko sam opływa we wszystko po uszy, ale jeszcze i kilku innych miałby czem zaopatrzyć.

Rzekł też do niego Bartek Kwiczoła:

— Widzę, mój Wawrzku, żeś mię we wszystkiem prześcignął; ale gniewaj się albo nie, powiem ci szczerze, że mi twoje szczęście i powodzenie zdaje się trochę podejrzanem.

— Jakto podejrzanem? — zawołał Wawrzek — przecieżem pana Boga nie przekupił, ani się diabłu nie zapisał.

Na to Bartek:

— Toć tego nie mówię, ale wszystko mi się zdaje, że

musisz mieć jakiś tajemny sposób, jakto nie pracując ciężko, przyjść do majątku i pomnażać dobytek! bo ot spojrzyj tylko na moje ręce, ciało z pracy od kości odstaje, krzątam, ubiegam, tuptam się, co mi sił starczy, od gęby odejmuję, snu oczom odmawiam i przecież ani rusz mi postąpić dalej!

Wawrzek Surma zaśmiał się głośno, a potem zamyślił się czegoś głęboko, i ozwał się wreszcie:

— Prawda ci w tem i potroszę! Mniej ciężko pracuję niż ty, a dzięki Bogu jakoś mi idzie i powoli rośnie gospodarstwo. Alić to już takie szczęście moje.

Bartek Kwiczoła machnął tylko ręką.

— Aj, nie twoje, nie twoje, ale jakiegoś sposobu tajnego, co go masz zkądsić.

Wawrzek poskrobał się za ucho, i znowu zamyślił czegoś głęboko, a potem pokiwał głową i uśmiechnąwszy się z lekka, rzekł do swego rówiennika:

— No, kiedy tak już nastajesz, to ci wyznam szczerze wszystko. Mamci naprawdę taki sposób.

Bartek oboma rękami chwycił się za głowę, i nuż błagać i zaklinać Wawrzka, zkąd wziął tego sposobu, i jaki on jest właściwie.

Wawrzek wziął go na stronę, i pokazując mu swoją zwyczajną laskę z wiśniowego drzewa, rzekł zniżonym głosem:

— Ot widzisz bratku, ta laska jest zaczarowana.

Bartek aż o krok odskoczył tak się przestraszył, a potem wypatrzył się wybałuszonemi oczyma i na Wawrzka samego i na jego laskę niesumowitą.

A Wawrzek mówi dalej:

— Otóż widzisz, zamiast jak ty pracować naspół z najmytami na jednym tylko miejscu, wypuszczając tymczasem z pod oka inne gospodarstwo, ja muszę z tą moją laską przynajmniej rano i wieczór obejść wszystkie kąty zagrody, stajni, zwiedzić stodołę, spichlerz, muszę z nią zajrzeć wszędzie, gdzie tylko się coś robi na polu, a ona mi przynosi takie szczęście.

Bartek przybliżył się do cudownej laski, i zaczął ją oglądać ze wszystkich strón.

— I nic więcej, tylko to potrzebujesz robić ze swoją laską? zawołał.

— Ani o włosek więcej — odpowiedział Wawrzek.

— A dla duszy to nic nie szkodzi? — pytał dalej Bartek.

Wawrzek wzruszył ramionami.

— Toć nie widzisz, że ja z tą laską chodzę do kościoła, i spowiadam się przed księdzem proboszczem?...

Bartek tedy nuż dopytywać, zkąd przyszedł do tej laski cudownej.

A Wawrzek na to:

— Już ci tego nie mogę żadną miarą powiedzieć, ale abyś wiedział jakim dla ciebie szczery, pożyczę ci tej laski na cały rok, a przekonaj się sam, jakie cudowne w niej siły.

Bartek mało z radości ze skóry nie wyskoczył, i nie mógł się dość nadziękować dobremu przyjacielowi. Zaraz zasię nazajutrz postanowił, jak mu to przykazał Wawrzek, obejść wszystkie kąty gospodarstwa i wszystkie roboty na polu z laską zaczarowaną.

Rychło świt miał z pługiem jechać na pole, ale naprzód poszedł do stajen. I cóż widzi! oto krowy źle poprzywiązywane, mało się nie zakłują z sobą, a pastuch spi sobie w jak najlepsze bo wiedział, że gospodarz skoro dzień, zajdzie na pole a nie zajrzy do obory. Ale się pomylił tym razem, dostał zaczarowaną laską po grzbiecie, i musiał zaraz wypędzić bydło na paszę.

Bartek poszedł tymczasem do stodoły; patrzy a wszystkie gęsi, kury, kaczki i kilkoro nierogacizny grzebie i skubie pszenicę że aż miło. Nagniewał się znowu gospodarz, i pierwszy raz dopiero zobaczył, że w stodole taka wielka dziura, którędy świnie i kury pchały się do środka, i robiły szkodę. Postanowił zaraz zabić dziurę, a sam idzie koło spichrza. Tu go mało diabli nie wezmą. Widzi że w jednej ścianie odsuwa się tarcica, a parobek Grzela cały wór zboża wynosi na plecach. Ledwie tego złapał i ukarał należycie, ażci widzi że drugi parobek Jaśko, zamiast koniom wysypać obrok do żłobu, wsypał je do sporej torby i pędzi z tem do żyda.

Nie pozostało nic biednemu Bartkowi, jak zaraz na cztery wiatry ponapędzać parobków, i kazać rychło naprawiać ściany w spichlerzu.

Poszedł jeszcze co prędzej na pole, gdzie miał siać żyto trzeci parobek, i zastaje że zamiast dwóch, wysiał tylko jeden korzecz, a drugi sprzedawał przejeżdżającemu przy gościńcu żydowi.

Bartek włosy sobie z głowy rwał.

— To tak się działo zawsze, a ja się niczego nie domyślałem. O cudowna laska!

I odebrawszy skradziony wór, wysiał prędko resztę zboża, a sam pobiegł do robotników co kopali kartofle.

Przychodzi i zastaje, że wszyscy spią jak zabici.

I znowu Bartek zawołał: O cudowna laska!

I w samej rzeczy była to cudowna laska, bo nie minął rok, a inny ład w gospodarstwie Bartka i wszystko naprawiło się z gruntu. Zapełniła się stodoła, zapełnił spichlerz, a bydło i konie nie ustępują już Wawrzkowym, ba nawet sam Bartek wyprostował się, odmłodniał i nabrał ciała.

I dopiero po roku rzekł mu przemyślny Wawrzek:

— Widzisz bracie, że więcej znaczy nadzór, pilność i baczne oko gospodarza, niż najcięższa z jego strony praca. Lepiej wyjdzie zamożny gospodarz jak wszystkiego dojrzy, doglądnie, dobrze zarządzi, niż kiedy tylko jak ślepy jednej chwyci się roboty, i na resztę nie patrzy. Niech się nie leni i sam do tego i owego przyłożyć ręki — ale nadzór, czujność, to grunt!

I powiedział mu teraz że lasce tej ani się śniło być zaczarowaną, ot była to sobie zwyczajna palica jak każda inna, ale Wawrzek umyślnie go tak zaszedł z mańki, aby go tem snadniej przekonać o wszystkiem.

Chociaż dowiedział się Bartek, że laska pożyczona nie jest wcale zaczarowana, toć zawsze wyprosił ją sobie na pamiątkę od Wawrzka i zachował ją do samej swej śmierci.

Waszemu Zdrowiu na pożytek.

(Dokończenie.)

Na rany mniejsze albo na gojące się, i które się zagoić same z siebie nie chcą, łatwy jest sposób. — Najprzód ranę trzeba przemywać letniem mlekiem na wpół z wodą, potem zaś zrób sobie sam w skorupie maść następującą: — Weź białej żywicy z drzewa, ale czystej bez kory i prochów, roztop ją w skorupie na ogniu, potem dodaj dwa razy tyle żółtego wosku i niech się też roztopi razem z tą żywicą. Gdy dobrze patyczkiem wymięszasz, nalej na to drugie tyle oliwy i dobrze na ogniu wymięszaj. Dopiero wystudź i miej sobie tę maść od przypadku dla siebie i dla drugich, bo jak tę maść przez czas jakiś przykładać będziesz, to ci się rana zagoi. — Topić zaś trzeba na węglikach a nie na płomieniu, boby ci się maść zapaliła i wszystkobyś zepsuł.

Teraz do was się kobiety odzywam, a upominam iżby każda co rok uzbierała, wysuszyła i miała w pogotowiu następujące zioła na różne choroby przydatne:

1. Rumianek polny i ogrodowy (czyli rzymski).
2. Miętę pieprzową, którą w ogrodzie sadzić trzeba.
3. Boże drzewko także w ogrodzie sadzić.
4. Barwinek na kołtuna, także w ogrodzie sadzić.
5. Melissę, także w ogrodzie sadzić.
6. Józefek zbierać lub sadzić.
7. Lewandę sadzić w ogrodzie.
8. Kwiat bzowy biały pospolity zbierać i suszyć.
9. Kwiat lipowy zbierać, suszyć i mieć kilka kawałków samego drzewa, jakby było potrzeba upalić węgla na rany.
10. Kminku na łące uzbierać i ususzyć.
11. Dziewanny uzbierać i ususzyć, bo to dobre dawać pić dzieciom na kaszel, a także rany zastarzałe wymywać.

12. Kwiatu czerwonego polnego maku, uzbierać i ususzyć, bo tego szczyptę można dodać do dziewanny i dawać pić dzieciom na kaszel. —
13. Peżu uzbierać, wypłukać i wysuszyć, bo to dobre na napój czyszczący żołądek i całe ciało. —
14. Kwiatu szlazowego uzbierać i ususzyć, bo to dobre jest ugotowane w wodzie na kaszel.
15. Korzenia szlazowego uzbierać, wypłukać, pokrajać drobno i wysuszyć, bo to jest bardzo pomocne w wielu wypadkach. —

Otóż w mniejszych słabościach śmiało idźcie po radę do księdza, albo do dworu; tam wam powiedzą jak i kiedy tych ziół używać macie — potrzeba jeno, aby każda z was miała je na strychu porządnie schowane, lub w komorze w suchem miejscu umieszczone. W ważniejszych zaś razach nie spuszczajcie się już na rady ludzi co się na tem nie wiele znają, tylko odżałujcie na doktora i aptekę, a ratujcie życie i zdrowie, za które Bogu jesteście odpowiedzialni. — Kiedy ci się wóz albo pług zepsuje, to nie idziesz do kumoszki tylko do kowala; a gdy ci się twoje własne ciało i zdrowie popsuje, to idziesz do głupiej siąsiady, albo do lada jakiej baby, zamiast iść do doktora, który jest od tego majstrem. — Przecież twoje życie droższem ci być powinno od wozu!

Nie bądźcież więc samobójcami własnymi, zaniedbując się w chorobie, ani zabójcami drugich, dając złe i niestosowne rady; lecz słuchajcie świętego Pawła, który mówi, iż się doktorowi należy posłuszeństwo i cześć dla nauki jego. —

Niech wam Bóg użycza zdrowia!

RÓŻNOŚCI.

Jakto i w samem nieszczęściu jeszcze bywa szczęście. Na drodze między Warszawą a Częstochową leży miasto Piotrków. Otóż nieopodal tego miasta na *kolei żelaznej* wydarzył się w roku 1859 w miesiącu Październiku taki wypadek. Jechał sobie chłopek jednokónką, wioząc drzewo na sprzedaż do Piotrkowa. Po drodze spił się niecnota jak *bela* i zasnął na furze, a tymczasem konisko zboczył z drogi i wjechał na kolej

żelazną. Na takiej *kolei* trzeba wiedzieć są kładzione szyny żelazne, po których maszyna pędzi. Na tych szynach utknął wóz; konik czując że go coś zatrzymało, przystanął w miejscu i zwiesiwszy smutnie głowę, stał sobie spokojnie w poprzek drogi. Jak na nieszczęście noc była ciemna że wykól oczy. Strażnik co miał pilnować tej części, podobno zasnął w budzie, więc nie zauważał co się tam działo i wozu nie uprzątnął z drogi. A tymczasem od Warszawy pędzi maszyna jak sto diabłów. Wprawdzie przy takiej maszynie kiedy się nocą puszcza, są na przodzie urządzone latarnie, aby pokazywały, czy nie ma jakiej zawady na kolei. I pokazałyć one co prawda, jeno że już za późno i niepodobna było tak prędko powstrzymać maszynę, która z całym zamachem uderza na wóz i w drobne go rozbija kawałki. Zaraz potem zatrzymano maszynę, i pozłazili ludzie co tam przy niej byli, aby się przekonać co za nieszczęście się stało. I znachodzą konia żywego, widać że go nie zachwyciła maszyna, więc ocalał; i widzą wóz rozsypany na drobne kawałki i drzewo rozmiecone wszędy po drodze — ale o człowieku nie było ani słychu dychu; co się naszukali, czy bodaj jakiej kosteczki po nim nie znajdą — ani rusz!... Tak nareszcie po długiej szukaninie zabrali konia ze sobą i puścili się dalej do Piotrkowa. Już dzień się robił kiedy tam przybyli. I jakież było ich zdziwienie, gdy naraz widzą jakiegoś człeka na przodku maszyny przy latarniach śpiącego. Budzą go, pytają kto jest i zkąd się tu wziął śpiący na maszynie?... Chłopisko wybałuszył na nich oczy, i na razie ani słowa bąknąć nie umiał, tak mocno się tem zmięszał. Aż po dobrej chwili przyszedłszy do siebie, wyznał że jest gospodarzem z tej i tej wsi, że jechał z furką drzewa o jednym koniu do Piotrkowa, że się był po drodze trochę napił i zasnął na furze; ale co się z nim dalej stało: bij, zabij on sam o tem nie wiedział. Teraz oni mu opowiedzieli jak było, i że wszystko utracił, jeno koń mu żyw pozostał. Ale w jaki sposób on sam ocalał? tego już mu nikt powiedzieć nie umiał.

Zdarzenie to prawdziwe pokazuje nam, jak to i w nieszczęściu bywa czasami szczęście — i z drugiej strony: jak łatwo przez tę *wódkę bałamutkę* nabawić się można kłopotu a nawet i śmierci.

Słowa prawdy.

U nas tak mówią: „po chrzcie idzie wiara,
Po głowie czeladź — a po grzechu kara —
Po biedzie statek — obyczaj po rodzie —
Po pracy spokój — a już chleb po głodzie.
Kto się bić lubi, tego i pobiją —
Kto często krzyczy, tego nikt nie słucha —
Kto się nie myje, tego nie obmyją;
Gdzie nie wład okiem, tam już dołóż ucha —
Gdzie nie dołożyż ni ręką ni okiem,
Tam nadstaw grzbietu albo dołóż workiem.“

W. P.

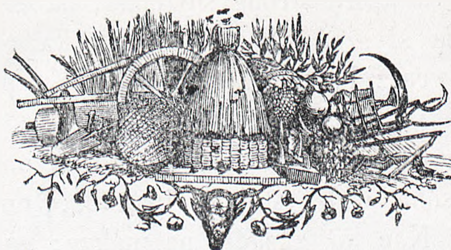
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II. Nr. 4.

1. Lutego 1860.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BOLESŁAW ŚMIAŁY
i
Święty Stanisław.

III.

Daleko, gdzieś za *Dunajem* na obczyźnie górą i lasem szedł sobie pielgrzym ubogi. Była to pora jesienna, słońce miało się ku zachodowi — powietrzem wysoko ciągną od północy żurawie, smutnie pokrzykując. Pielgrzym odsłonił szeroki kapelusz, co mu całą twarz zakrywał i zapatrzył się takiem okiem na odlatujące żurawie, jakby ich zapytać chciał, czy nie mają dla niego jakiej pociesznej nowiny. A gdy mu już znikło z przed oczu to ptactwo wędrowne, on jeszcze ku północy się zwrócił i długo, tak bardzo długo pozierał onym szlakiem zkąd nadciągnęły żurawie, aż póki mu łzami nie zapłonęły oczy, aż póki mu głowa umęczona nie opadła na piersi...

I puścił się dalej w drogę górą i lasem pielgrzym ubogi. Dokoła szeleściały drzewa suchym liściem, z głębi boru od czasu do czasu odzywało się ptactwo krzykiem wieczornym, a coraz większa nastawała ciemność od wschodu. — Podróżny zatrzymał

się i począł pilnie oglądać za jaką dróżyną, co by go z lasu wywiodła i zaprowadziła między ludzi na gościnę. I gdy tak patrzy niepewny w którą stronę się udać, na raz z boku gdzieś niedaleko dał się słyszeć miły głos dzwonka na Anioł Pański. Za tym głosem ruszył pielgrzym na prost, przedzierając się przez gęste krzaki i chaszcze.

Niebawem wydostał się z lasu na równe pole. O jakie sto kroków przed sobą widzi stojący klasztor, opasany wysokim murem do koła. Noc już zapadła na piękne; podróżny podwoił kroki. Skoro stanął przed zelażną bramą, ujął za młotek wiszący i uderzył nim po trzykroć, aż się rozległo po całym klasztorze.

Kto tam? zapytano z wnętrza.

Pielgrzym nie odezwał się; stał sobie spokojnie i czekał póki mu nie otworzą.

— Czy nikt nie odpowiada? pytają znowu za bramą.

Ale i tą razą milczał podróżny jak przeklęty.

Nareszcie po niejakiej chwili z okienka, co było nad samą bramą, wychyla się podgolona głowa mnicha.

— Bracie! zawoła on na dół do nieznajomego — dobijać się umiesz porządnie, a języka żal ci na odpowiedź. Czego chcesz?

Na tę przemówkę pielgrzym złożył ręce na piersi, pokłonił się nisko, a potem twarz bladą podniósł do mnicha, wskazał ręką na usta że mówić nie umie i na bramę, żeby mu z łaski otworzono.

— Aha, niemowa! poszeptał mnich — to co innego. I czem prędzej skoczył na dół do bramy i wpuścił ubogiego pielgrzyma do klasztoru.

A trzeba wiedzieć, że dawnemi czasy pielgrzym bywał w każdym domu pożądanym gościem. Zwiedzając dalekie kraje i różne miejsca święte, miałci taki gość zawsze coś ciekawego na podorędziu do opowiadania, i rozmaitemi powiastkami gospodarzy bawił. Toć i teraz na widok szerokiego kapelusza, jaki zazwyczaj używali pielgrzymi, wielce się ucieszyli w klasztorze. Ale niedługo było i po radości, skoro się dowiedzieli że gość ich niemowa. Zresztą i cała jego postać nie zapowiadała bynajmniej zabawnego człeka, raczej patrzał on na bardzo nieszczęśliwego

i pobudzał do litości. Posadzono go w izbie gościnnej za stołem, podano skromne jedzenie aby się pokrzepił, ale on niczego się nie tknął choć go bardzo proszono. Nareszcie ofiarowano mu kącik wolny na przespanie się — i widać że był mocno zmęczony, bo też zaraz wstał, pokłonił się i odszedł na spoczynek.

A w całym klasztorze wielka była ciekawość: Co on za jeden i za co taki nieszczęśliwy?...

Nazajutrz skoro przedzwoniono na pierwszą mszę, jużci i pielgrzym pojawił się w kościele. Podczas całego nabożeństwa krzyżem leżał, a kiedy się już wszystko skończyło i zakonniki wychodzili z kościoła, on wstał najpóźniej i szedł powolnym krokiem za nimi. Po drodze spotkał tego samego mnicha, co mu bramę otwierał. Ujął go za rękę i cosik mu na migi pokazywał, czego na razie tamten nie umiał zrozumieć; aż powoli odgadł że niemowa chciałby się z przełożonym widzieć, i zaprowadził go do niego. — Widząc się sam na sam z przełożonym, pielgrzym rzucił się duchem na kolana i jął się przed nim srodze bić w piersi, jakoby rzekł:

— Ojcze! jam wielki grzesznik.

Potem zwrócił smutne oczy ku niemu i patrzył długo, bardzo długo, aż ksiądz starszy zrozumiał że grzesznik szczerze żałuje i chciałby czynić pokutę. Natenczas niemowa wstał z ziemi, chwycił przełożonego za rękę i powiódł go ze sobą do kuchni, gdzie była służba klasztorna. Tam odrzucił precz kij i kapelusz, zakasał rękawy u sukni i wziął się pilnie oglądać po całej kuchni. Wszyscy stali zdumieni, nikt nie wiedział co to ma znaczyć?... Tymczasem niemowa przepatrzył sobie dobrze całą służbę i co który robił. I przystąpił do najlichszego z posługaczy, odebrał mu z rąk jego robotę i sam się szczerze do niej zabrał, a na księdza przełożonego z nową pozierał prośbą, jakoby rzekł:

— Ojcze! pozwól mi być najlichszym sługą w klasztorze.

Cóż było robić? odmówić mu nie miał serca przełożony, skoroć tak żałośnie prosił. Więc zezwolił, i on dziwny pielgrzym został odtąd na wysługach w klasztorze. I byłać tem większa ciekawość u wszystkich: Co za jeden? i dla jakiego grzechu samochcąc skazał się na taką pokutę?.... Ale na nieszczęście nie było komu zaspokoić ich ciekawości! — W takim razie, jak

to zwykle bywa między ludźmi, zaczęli się niby to prawdy domyślać, wygadując niestworzone rzeczy; zwłaszcza słudzy to już po całych wieczorach spierali się o to między sobą, i różne, przeróżne bajki układali na swojego nowego kamrata.

Powiada jeden: Wiecie co, mnie się tak wszystko zdaje, że to musiał być jakiś wielki czarownik co się diabłu zaprzedał. Ale jak sobie rozmyślił co go na potem czeka za taki figiel, że to piekłem nie na żarty pachnie, tak ci się postraszył nieboraczysko i czmychnął do klasztoru na pokutę.

— Ale! czarownik! prawi drugi — Nie patrzy on mi na czarownika! prędzej powiedziałbym że to jakiś herszt rozbójników, co....

— Nie prawda! zakrzyczał trzeci, nie dając temu nawet dokończyć. — Przypatrzył ja mu się doskonale i dalipan że nie widzę w nim ani jednego ani drugiego. Hej, hej, kto wie, bywają i takie wypadki! co byście na to rzekli gdybyć się wykazało, że to jakiś pan wielki, a może książę albo nawet i sam król, czyniący pokutę? he! a ja bym złamanego szeląga za to nie dał, czy tak w rzeczy samej nie jest. Wszak ci niedawno temu, pamiętacie, kiedym tego nicpotem Franka chciał obić za plotki, jakie porobił fałszywym sposobem na mnie i na kucharza przed bratem szafarzem, a on niemowa wtedy ujął się za nim, a jam go w gniewie będąc aże odtrącił, bom chciał koniecznie postawić na swojem i przetrzepać Franusia po skórze?

— Aha, prawda, prawda! potakiwała reszta.

— Jakżeż on mi się wtedy nie pastawił srodze, ten niemowa! wszyscyście tam byli, a żaden ani mur mur, jak trusie staliśmy przed nim, takci jakoś groźnie i wspaniale wydał nam się w tej chwili.

— Tak, tak! zawtórowali wszyscy do koła.

Tu znowu pierwszy pochwycił za słowo: — A co ja mówił? nie na mojeż wychodzi, że to jakiś czarownik, co się tak na raz potrafił zmienić, ażeśmy go poznać nie mogli?

Drugi zaś, co go chciał mieć za rozbójnika, zawołał: — Oho, ja bym się był założył, mojeściewy, o nie wiedzieć co, że widzę herszta rozbójników przed sobą, taki mi się wtedy srogi wydał.

— A ja zasię prawię swoje — dodał trzeci — że tu nie kto inny czyni pokutę, jeno sam król.

Takie i tem podobne gadania można było słyszeć co wieczora w klasztornej kuchni. —

Tymczasem niemowa pełnił swoją służbę należycie, pracował za dziesięciu a do jedzenia był zawsze ostatni; co rano zaś leżał krzyżem w kościele i takoż w nocy, jak zauważano, do późna klęczący się modlił. Do tego skromny był i potulny jak dziecko, nikomu na włos nie uchybił, każdemu pierwszy ustępował z drogi — raz jeno szczególnie co się był ostro postawił, jak już wiecie, ujmując się za onym Frankiem, któregoć za jakieś tam plotki mieli poturbować. No, to i nic dziwnego, żeć takiem pięknem zachowaniem się powoli wszystkich sobie pozyskał. I jużci nawet od jakiegoś czasu nie trapiła ich zwykła ciekawość: kto jest ten co tak srodze pokutuje. — Aż tu jednego dnia, ni ztąd ni z owąd nadniosło licho onego Franka wściubinosa z nowiną, która wszystkich wprowadziła na nowo w ciekawość.

Owóż powiadam, razu jednego pod sam wieczór wpada Franek jak szalony do kuchni, a już od samego progu począł wrzeszczeć: — Co ja wiem, he, he, co ja wiem!

Naturalnie iż każdy co tchu nastroił ucha i rad był się dowiedzieć, co też Franek wie.

— Aj, aj, gdybyście wy wiedzieli, kędy to nasz niemowa co wieczór łazi! powiada chłopiec dalej.

Wszyscy poglądali po sobie.

— A prawda, prawda! zawołali całą kupą — nie ma go tu między nami, i tak co wieczór. Powiadasz Franku, że kędysik łazi?...

— A łazi, niech go kule biją! ta żebym wam kazał zgadywać do jutra nie odgadlibyście, gdzie?...

— Owa! któryś tam sobie zadrwił, co znowu chłopca rozgniewało.

— Kiedyś taki mądry — powiada — to zgaduj!

Aleć reszta nie dała mu spokoju. Zakrzyczano go zewsząd: — Gadaj ty, co byś na niego zważał! gdzie? gdzie?...

— Na wieży! krótko powiedział Franek i wziął się pysznie pod boki, jak gdyby mówił: A co, nie nowinaż to dla was?...

W klasztornej kuchni powstał rejwach niesłychany.

— Co ty gadasz, Franek! wołano ze wszystkich stron — Chyba cyganisz?

— Jak Boga kocham! zaklął się chłopiec.

— Ale cóż on tan robi, u licha?!

— Zobaczcie sami.

I podskoczył Franek ku drzwiom, a za nim całą kupą wysypała się reszta na dziedziniec. Z tamtąd przeprowadził ich boczną furtką do ogrodu, wskazał im na wieżycę od północnej strony, żeby się popatrzyli, a sam co tchu pędził z tą samą nowiną nazad do klasztoru.

Wysoko sterczała wieża po nad kościołem. U samego jej wierzchu był ganek żelazny, na który rzadko się kto dostawał, chyba robotnicy jeśli mieli co poprawić na wieży. I tam to według opowiadania Franka miał co wieczora łazić ów niemowa. Niedziw więc że się tak wszyscy rozciekawili, i że teraz z taką chciwością poglądali ku wieży, czy go nie zobaczą. Aliści właśnie wtedy jakby na umyślnie, schował się księżyc za chmurę i na próżno zrywali sobie oczy w ciemności. Wypadało przeczekać aż się wyjaśni. Tymczasem i księża zakonnicy nadciągnęli z klasztoru na to widowisko. — Od północy dął wicher srogi, i gwałtem posuwał chmurę naprzód. Noc stawała się coraz widniejsza. Chwilkę cierpliwości!... już już koniec chmury i blada światłość księżyca co raz bardziej pokazywała się na niebie.

— Widzicie go, o, o!... zawołał nagle Franek, ukazując palcem na ganek u wieży.

— To on, nasz niemowa! podziwiło całe zgromadzenie ciekawych, patrzące na ganek, zawieszony u szczytu wieży, gdzie się teraz w księżycowem świetle wyraźnie ukazała postać ludzka. Był to na prawdę on pielgrzym pokutujący w klasztorze. Wszyscy go od razu poznali. Stał on nieruchomo jak kamienna figura, ciałem wspaniale wyprostowany, nie taki jakim bywał zwykle w obec ludzi. Włos długi i czarna broda chwiały mu się od wiatru, a zaś lica bledsze od samego miesiąca zwrócone miał ku północy. I zdało się tamtym patrzącym: jakoby on z góry poglądał daleko, gdzieś tam za *Dunaj*, ku północy

tęskniący, i jakoby pilnie nadsłuchiwał, czy mu z tamtych stron wicher północny nie nadniesie jakiej pocieszej nowiny. Tak to im się wszystkim wydało, patrzącym z dołu. Ale czy w tem była jaka odrobina prawdy?..... może się kiedyś dowiemy.

I znowu pociemniało od chmury. W ogrodzie nikt się nie ruszył; ciekawi byli jak też długo niemowa zabawi na wieży. Ale gdy się na nowo wypogodziło, jużci go więcej nie zobaczyli.

Skoro powracali do klasztoru, widzą że w czeladnej izbie jak zwykle niemowa klęczał wedle swego łóżka i gorąco się modlił. Odrywać go od modlitwy jakoś nie wypadało — odłożyli więc ciekawość swoją na jutro.

Aliści rychło świt wpada znajomy nam Franek do brata szafarza. Na twarzy pokazywał że ma jakąś niepocieszną nowinę.

— Co mi powiesz, chłopcze! zapyta brat szafarz.

— Proszę jegomości, prawi chłopak żałośliwie — nasz niemowa chory, bardzo chory!

Braciszek aże się przeżegnał, tak go ta wiadomość zaszła niespodzianie.

— Cóż mu się stało, tak nagle?

Chłopiec poruszył ramionami: Albo ja wiem!

— Matko najświętsza! a to trzeba zaraz o tem księdza starszego zawiadomić.

— Jużci że trzeba. Ja zaś wracam do chorego, może mu wypadnie czem się przysłużyć... on taki dobry!... zawodził Franuś na pół z płaczem i puścił się w dyrdy do chorego. — Tymczasem brat szafarz skoczył po księdza starszego.

W zakątku czeladnej izby na ubogiem posłaniu leżał niemowa. Śmiertelna niemoc patrzyła mu z bladej twarzy, oczy miał zamknięte niby śpiący, a ręce na piersiach złożone jak do modlitwy. W pobliżu stał Franuś rozżalony; dalej nieco ku drzwiom zgromadziła się czeladź w jedną kupkę i rozmawiała po cichu między sobą. Niezabawem poczęli się i mnichy jeden za drugim ściągać do izby. Każdy szedł naprzód do chorego, przypatrzył mu się z bliska, pokiwał głową i cofnął się ku oknu do swoich co już tam pierwej przybyli. Nareszcie nadszedł

przełożony klasztoru z bratem szafarzem. Wtedy chory otworzył oczy i z wielką biedą podniósł się na łożu. Wszyscy zwrócili się w tę stronę — na izbie stała się cisza gdyby makiem zasiał.... a w tej chwili niemowa przemówił:

— Bliska śmierć, słabym prawi głosem — rozwiązała mi usta, które na czas pokuty z dobrej woli zamknąłem. — Dalej nie mógł mówić, bo w izbie na taką niespodziankę powstał gwar między ludźmi. Skoro się uciszyło, on tak dalej począł:
— Proszę was, posłuchajcie kruciuchnej historyi, co wam tu opowiem; będzie to moja ostatnia spowiedź.

Ludziska mało co ze skóry nie wyskoczyli z ciekawości; każdy jeno uszy nastroił i oddech w sobie zaparł, żeby broń Boże najmniejszego nie utracił słówka.

Opowiadał chory: — Był sobie król, mocarz nad mocarze co władał szerokim krajem. Na imię było mu Bolesław, a ludzie dodawali: *śmiały* iż się nie bał nikogo w świecie. — I znowu w tym samym kraju zamieszkał biskup nad biskupy co nic nie zważał na ziemskie dostatki i wszystko między ubogich rozdawał. Na imię było mu Stanisław, a ludzie dodawali: *święty* iż miał wielką łaskę u Boga. — I długo działo się dobrze w onym kraju, gdzie był król taki śmiały i biskup taki święty. Aż po latach inaczej się stało: król zmienił się w srogiego pana i począł rozmaite wyprawiać brewerje — za co biskup raz i drugi nabrał go z góry, bo mu żal było ludzi, co musieli znosić tyle niesprawiedliwości. A oto zły duch poszepnął królowi: zabij biskupa, co on ma tobie rozkazywać!.. I takci też zrobił król jak mu zły duch poszepnął: i zabił świętego biskupa. —

Ciężkie westchnienie zatamowało mowę choremu. Zamilkł ale nie na długo — wnet zebrał się na dalsze opowiadanie:

— Odtąd dla króla mordercy smutne nastały czasy! dniem i nocą gryzło go własne sumienie i tak przez rok cały, aż póki go nie wygryzło z kraju, z ojczyzny jego. Poszedł król na wygnanie. Długo tułał się po obcej ziemi, ale nigdzie spokoju nie znalazł — wszędzie prześladowała go krew Świętego. Aż pychę z serca złożył, przebrał się w suknię pielgrzymią, wziął kij do ręki i ruszył w daleką drogę, górą i lasem. Na pokutę on szedł do klasztoru... i trafił, dziękować Bogu, do waszego klasztoru. —

Przez chwilę zdało się wszystkim jakoby ich sen omamił, tak ani daj Boże uwierzyć w to co na własne słyszeli uszy. Pierwszy był przełożony co się opamiętał:

— Toś ty król?! zagadnie wielce zdziwionym głosem.

— Jestem nim! odrzeknie chory — ja Bolesław śmiały, król polski co zabił Stanisława, Świętego Biskupa w Krakowie. Oto mój znak królewski, mówił dalej, dobywając z zanadrza złoty pierścień i oddając go w ręce księdzu starszemu — Przekazuję go waszemu klasztorowi na wieczną pamiątkę i zarazem na świadectwo, jako prawdziwie w tem tu miejscu odbywałem moją pokutę. A jeśli kiedy ktoś z Polski, ojczyzny mojej, zawita w te strony i wasz klasztor odwiedzi, to mu ukażcie ten pierścień złoty, jako pamiątkę po królu Bolesławie i powiedzcie mu żeby nie mniał najmniejszego żalu do króla swego, ani on ani kto bądź w całej Polsce, na teraz i na później, bo król bardzo kochał Polskę! i że co wieczora z onej wieżycy przy kościele wyglądał ku północy, srodze za nią tęskniący. I powiedzcie mu także jaka była moja pokuta, jaka śmierć moja; i że święty Stanisław sam przebaczył królowi i podał mu rękę na pojednanie, co się stało właśnie dzisiejszej nocy. A potem zaprowadźcie go na mój grób, niech się pomodli za Bolesławem na wieczny mu odpoczynek...

W tej chwili dziwna jakaś wesołość wystąpiła na lica królewskie. Oczy zamknął a ręce wyciągnął przed siebie, i jakby we śnie marząc, odezwie się słabiuchnym głosem: — Idę, już idę, święty Stanisławie, kiedy mię wołasz do siebie. W Imię Ojca i Syna i ducha świętego... I z lekka pochylił się na posłanie; a wszyscy myśleli że król zasnął a to już było jego skonanie. —

Taki był koniec naszego Bolesława śmiałego. — Zachowujcie go w miłej pamięci!

TRZY PLAMY.

Biegnie biały koń przez pole,
A krew błyszczy mu na czole;
Biegnie biały koń po niwie,
A krew błyszczy mu na grzywie;
Biegnie biały koń po drodze,

A krew błyszczy mu na nodze.
Aż już zarżył, jest u bramy,
A trzy na nim krwawe plamy.

„Witaj, witaj, koniu biały!
Czemuś drżący i spotniały?
Gdzież twój Pan? Czy tam w pobliżu
Zmówić pacierz kląkł przy krzyżu?
Czy u studni odpoczywa,
A z kurzawy twarz obmywa?
Prędkoż wyjdzie już na wzgórek,
Do synka, do dwóch swych córek?“

Starsza córka wnet wybiegła,
Krwi na czole nie postrzegła;
Młodsza konia pogłaskała,
Krwi na grzywie nie dojrzała;
Ale synek puścił z ręki
Swe zabawki, kląkł maleńki,
Konia w nogę pocałował,
Krwi się ojca użałował. *S. W.*

O MĘCZARNIACH
za wiarę świętą katolicką.
Opowiadanie.

Słyszymy często w kościele o okropnych mękach, któremi pogany dręczyli pobożnych katolików. Bogu dzięki, że dziś już koniec pogańskiej wierze, że nie ma już w naszym kraju bałwanów z drzewa i z kamienia, ale sam Pan Bóg jeden niewidomy na wysokościach; że w mieście Rzymie już nie mieszkają pogańscy cesarze, ale sam Papież, Ojciec święty!

Tak jest, powiadam, nie ma w naszym kraju pogaństwa, a razem z pogaństwem powinny by też przepaść męki i prześladowania za wiarę. — Już to w naszej Polsce najwięcej jest i było katolików, ale są też i Żydzi, Lutry, Kalwini i ludzie innej religji a przecież nigdyśmy nie przymuszali ich gwałtem, aby przeszli na naszą wiarę. Prawda, żeśmy mówili do nich: „Patrzcie! oto kościoły nasze otwarte, toż przyjdźcie i posłuchajcie słowa Bożego a niech was oświeci święta Ewanielja!“ — prawda żeśmy tak mówili, żeśmy zachęcali ślepych aby przejrzeli, ale na tem i koniec.

Tymczasem heretyki inaczej obchodzili się z nami!

Za naszego już życia tysiące naszych braci cierpiało od nich męki za wiarę. Długa to i smutna historja, to też teraz część wam tylko opowiemy.

Daleko ztąd, bo z jakich sto mil za kordonem, na ostatnim końcu naszej Polski jest spore miasto, które nazywa się Witebsk. Na około po wsiach i miasteczkach mieszka tam lud mówiący tak samo jak i my i tak samo katolicki z dziada i pradziada. Lud to spokojny i cichy: pracował w polu, modlił się po kościółkach, dawał zresztą cesarzowi rosyjskiemu rekruta, płacił podatki i nikomu w drogę nie właził. Przecież na lud ten przyszła okropna próba. Dwadzieścia lat temu będzie, jak Moskale umyślili odebrać im to co mieli najdroższego, to jest mowę i wiarę ich ojców i przymusić ich do swojej moskiewskiej mowy i wiary. Trzeba wiedzieć że właśnie w tym roku był głód wielki, tak że ludzie gotowali korę z drzewa, pokrzywę i inne takie rzeczy aby się wyżywić. To też Moskale na zmyślny wzięli się sposób: obiecywali korzec mąki i trzy korce kartofli każdemu, który poszedł do urzędu i dał się zapisać na wiarę moskiewską, czyli jak oni to nazywają: *prawosławną*. Ale nie udała się ta sztuka; ludzie odpowiadali, że nie mają wiary swojej na sprzedaż i wolą życie stracić niż duszę. — Wtedy moskiewscy urzędnicy wzięli się do innego sposobu. Rozgłosili po kraju cesarski nakaz, aby wszyscy katolicy przeszli na prawosławną religję; a kiedy i to na nic się nie przydało, dopiero gwałtem i mocą zaczęli zmuszać ludzi. Komisarze cesarscy z wojskiem i żandarmami jeździli od wsi do wsi, odbierali klucze od katolickich kościołów i cerkwi, poświęcali je na moskiewskie czyli prawosławne, porywali przez siłę katolickich księży, którzy nie chcieli się wyrzec swojej wiary i osadzali na ich miejscu moskiewskich szyzmatyckich popów i cały lud zapisywali na moskiewską wiarę. A niech no by kto opierał się tej robocie! W dziesięciu książkach by nie zapisał co tam było w całym kraju płaczu i lamentu, co gwałtów, bicia i katowania! Dosyć że wszyscy trzymali się razem, jako dzieci jednej matki: i księża i szlachta i ludzie prości — to też wszyscy jednakowo ucierpieli. Ze stu takich było dziedziców, którym Moskale odebrali dobra

a samych wywieźli na Sybir, co jest kraj zimny, zawsze pełny śniegu i lodu, o tysiąc mil od nas. To samo się stało także i z wieloma księżami. — Inszych jeszcze okropniej karano: i tak jednego, który był kanonikiem, przymusili że musiał zostać kościelnym u moskiewskiego popa; drugiemu znów, a nazywał się ksiądz Alexander Zabiełło, kazali być u tego popa prostym niewolnikiem — musiał mu drwa rąbać, wodę nosić i kopać w ogrodzie. — A cóż dopiero mówić o ludziach prostego stanu! Mnóstwo ich pod kijami kaleczało na zawsze a nawet oddawało ducha! a ilu zabrano w rekruty! ilu jęczało po podziemnych lochach! Był cały jeden taki miesiąc, że w mieście Witebsku nie było próżnego więzienia: tylu tam siedziało niewinnych aresztantów. — Po innych wsiach jeszcze straszniejsze działy się rzeczy: gdziekolwiek lud nie chciał odstąpić od wiary swoich ojców, tam krew lała się strumieniami i wsiąkała w ziemię. W jednem miejscu się zdarzyło, że żandarmi właśnie gnali całą gromadę do szyzmatyckiej cerkwi, gdy w tem wyrwało się ze trzydzieścioro ludzi i uciekło w bok na staw, nie całkiem jeszcze zamarznięty, wołając, że wolą prędzej zginąć niż odstąpić świętej katolickiej wiary. Otóż żandarmi tak długo walili w lód drągami i kamieniami aż pękł, i wszyscy co tam uciekli, poszli pod wodę... A było między nimi z pietnaścioro starców, kobiet i dzieci. W żadnej książce nie są zapisane imiona tych świętych męczenników, tylko chyba jeden Pan Bóg je zapisał...

Ale nie skończył bym do jutra, opowiadając wam wszystko, co się działo po wsiach około Witebska w owym okropnym czasie. Bo też i dreszcz człowieka przejmuje na samo wspominanie o takich cierpieniach i mękach, chociaż przy strachu tym jest i jakaś radość z tego, że nasi bracia znieśli wszystko odważnie i wytrwali przy wierze swoich ojców. Opowiem wam tylko co się działo w jednej tamtejszej wsi, nazywającej się *Dziernowicze.*

Wieś ta należała do pana Antoniego Korsaka. Pan ten pochodził jak się zdaje od błogosławionego Kazimierza, o którym mówiliśmy wam już dawniej — to też sam był bardzo pobożny i litościwy, i podobnie jak błogosławiony Kazimierz, Korsak kochał swoich poddanych. Bo też te Dziernowicze szczęśliwa była to wieś! oprócz takiego pana miała i księdza siwego jak gołąbek

i jak gołąbek dobrego. — Ale nie długo było tego szczęścia. Zjechał moskiewski komisarz z żołnierzami i szyzmatyckim popem aby odebrać klucze od kościoła i zapisywać lud na prawosławną wiarę. Zgromadzili się chłopi przed kościołem a z nimi razem stanął dziedzic i proboszcz. Komisarz widząc że dobrowolnie nie oddadzą mu kluczów, chciał je gwałtem odebrać. Wtedy dziedzic porywa te klucze i rzuca w środek gromady wołając: „brońcie co wasze!“ Na to żołnierze wpadają pomiędzy lud z pałaszami. Nikt nie oddał kluczów, musieli je odebrać z rąk starca, który pierwej dostał dwie śmiertelne rany. — Dopiero wtedy zaczęły się bolesne rzeczy. Kościół katolicki poświęcono na moskiewski i lud zapisano na tę wiarę, a księdza razem z panem wysłano na Sybir do onego kraju, gdzie wieczna zima. Ale ksiądz już tam nie dojechał: biedny staruszek umarł z żalu w pół drogi i przygniata go teraz ciężka bo obca ziemia..... Wieczny niech mu będzie odpoczynek, a światłość wiekuista niechaj mu przyświeca!

Teraz dopiero gorżkiem stało się życie dla włościan dziernowickich. Kiedy w pierwszą niedzielę nowy moskiewski pop kazał dzwonić na prawosławną mszę, ani jedna dusza nie wyjrzała z chaty. Każdy płacząc modlił się w domu, zatykając uszy od głosu tych dzwonów, które dawniej tak były miłe, ale dzisiaj już na moskiewskie nabożeństwo wołały. Każdy uciekał jak najdalej, i od kościółka w którym teraz prawosławny pop odmawiał swoją mszę, i od popa tego, którego dali im zamiast dawnego ich proboszcza. — I tak długo, bardzo długo trwało, bo przez całych ośmnaście lat. Bracia nasi wytrwali przy wierze swoich ojców, chodzili się po kryjomu spowiadać do dalekich kościołów, o dziesięć mil a nawet i więcej, sami chrzcili nowonarodzone dzieci i umierając nawet woleli westchnąć tylko szczerze do Boga, aniżeli przyjąć prawosławną komunię. I tak ośmnaście lat czekali, czy nie wróci się ich pan, czy nie wróci proboszcz. Proboszcz na nieszczęście nie mógł już powrócić, bo był u Pana Boga, ale w ośmnastym roku nastał nowy cesarz i ten wypuścił pana Korsaka z Sybiru. Wrócił więc dziedzic a z nim razem wróciła do Dziernowicz nadzieja, że przecież będzie lepiej. Zgromadzają się więc chłopi i piszą podanie do cesarza, prosząc aby im dozwolił zostać katolikami. —

Nie spodziewali się biedacy co ich za to spotka.... Na wiosnę dwa lata temu będzie, jak to wszystko się działo. Każdy z nas pracował spokojnie i ani mu się śniło, co tam właśnie wtedy cierpieli nasi bracia. Zaledwie trzy miesiące minęło od podania prośby do cesarza a już ci zjeżdża do Dziernowicz cała komisja moskiewskich urzędników i popów, a z nimi dwie kompanje wojska. Ciągną jednego gospodarza po drugim, pytają kto radził podawać prośbę do cesarza, kto ją układał i pisał i kto odmawiał lud od prawosławia. Ale włościanie dziernowieccy pokazali że żaden z nich nie był zdrajcą, bo żaden nie powiedział ani słowa. Daremnie komisarze moskiewscy bili ich kułakami po głowie i siekli rózgami: niczego nie mogli się dowiedzieć. Panu Korsakowi aż serce pękało z wielkiego żalu, to też ujął się za swoimi poddanymi i chciał ich bronić. Wtedy starszy komisarz obstawił cały dwór żandarmami i nie pozwolił dziedzicowi na krok nawet wychodzić, aż się wszystko skończy a sam dopiero na dobre wziął się do katowania gromady. I trwały takie męki przez półtora miesiąca; niejednego po trzy a nawet i cztery razy brali do czarnej sali i do krwi ćwiczyli rózgami, tak że omdlewał, a przytem żołnierzów rozłożyli po chałupach na kwaterę, aby dzień i noc nie dawali ludziom spokoju, ale wciąż ich namawiali do prawosławnej wiary. — I w całej gromadzie jeden tylko człowiek się znalazł, który zbity i osłabiony dał się zapisać na prawosławie. Józef mu było na imię. Ale ten trzech dni nawet nie dożył i ze zmartwienia sam się powiesił na drzewie, podobnie jak Judasz co zaprzedał Chrystusa. Wszyscy inni trwali przy świętej wierze a żaden ani nie jęknął pod kijami. Wtedy znalazł się we wsi gospodarz, imieniem Wincenty, który postanowił sam siebie poświęcić aby drugich tem uratować. Staje przed komisją i bierze na siebie całą winę — to też za to Moskale wyrywają mu włosy, wybijają zęby, okładają kijami tak że przez dwa tygodnie nic nie wiedział o świecie, a nakoniec wywożą go do Witebska, rzucając do więzienia i jak prostemu złodziejowi albo rabusiowi każą mu w kajdanach pracować po ulicach i rynkach. O! niech Pan Bóg pokrzepi tego nowego polskiego męczennika.

Ale Wincenty poświęceniem swojem na męki i katowania nie potrafił wykupić od cierpień reszty swoich braci. Lud dzierno-

wicki ani chciał słyszeć o prawosławiu, to też przyjechał nakoniec wyższy cesarski urzędnik, nazywający się senator, i kazał się zgromadzić wszystkim gospodarzom. Kiedy się zeszli na dziedziniec, wtedy senator występuje przed nich w paradnym mundurze a w koło niego mnóstwo urzędników w mundurach i przy pałaszach. I odezwie się do nich senator: „Przyjechałem tutaj do was od cesarza, aby wam powiedzieć, że musicie przejść na prawosławną wiarę. Cóż, czy zgadzacie się?“ — Ale lud na to kłania się i odpowiada: „Jaśnie wielmożny senatorze! my cesarza słuchamy i szanujemy wolę jego we wszystkiem, co nie tyczy się sumienia naszego i duszy; płacimy podatki, dajemy w rekruty najtęższych chłopców, lecz wiary świętej nigdy nie odstąpimy!“ — A na to senator: „To wy buntownicy! wy sprzeciwiacie się woli cesarza, a wola cesarza to wola Boga! Powiedźcie kto was buntuje, wydajcie swoich przywodźców, abyśmy ich ukarali, bo jeśli nie to wszyscy pójdziecie na męki i na Sybir! Ani żon, ani dzieci własnych więcej nie ujrzycie!“ — Na to zaczął się między ludem okropny płacz i lament. Wszyscy jednym głosem zawołali: „Jaśnie wielmożny senatorze! my wszyscy jesteśmy przywodźcami, bośmy wszyscy katolicy. Gotowiśmy na Sybir i na śmierć nawet, ale wiary naszych ojców odmienić nie możemy. Pozwólcie nam, podobnie jak żydom i lutrom, chwalić Boga jak go chwalili ojcowie nasi, bo my prawosławia nie znamy i nie chcemy!“ — Ale senator zaśmiał się tylko na ten płacz i na te lamenta i rzekł: „Ostatni raz powtarzam wam cesarską wolę, że musicie odstąpić od katolickiej wiary. Przytem powinniście wiedzieć, że cesarz jest posłannikiem Boga: Bóg na niebie, cesarz na ziemi! Kto się sprzeciwia cesarzowi, ten się Bogu sprzeciwia. Cesarz chce i Bóg chce abyście byli prawosławnymi. Macie całą noc do namysłu, a jeśli jutro wszyscy nie zejdziecie się do cerkwi i komunji prawosławnej nie przyjmiecie, wtedy to się z wami stanie, co z tymi dwoma ludźmi.“ I tu kazał senator chwycić dwóch starców, którzy stali na przodzie gromady i dać każdemu z nich po pięćdziesiąt rózeg, i skrwawionych jeszcze i niewiedzących o świecie wrzucić do ciemnego lochu. —

I przeszedł potem cały dzień i noc minęła, a żadne oko w całej wsi się nie zamknęło; wszyscy płacząc modlili się i cze-

kali jutra. Nareszcie pokazało się słońce i dzień biały; skowronki śpiewały w powietrzu, niebiesko w górze, zielono na ziemi, ale w sercach gromady tak smutno jakby w ciemnym grobie. Nakoniec w dawnym kościółku a teraźniejszej szyzmatyckiej cerkwi pop moskiewski kazał uderzyć we wszystkie dzwony, zwołując ludzi na prawosławne nabożeństwo. Ale nadaremnie czekali Moskale, lud pamiętał na groźby senatora a przecież żaden nie poszedł do cerkwi. Wtedy senator stał się nie jak człowiek ale jak wściekłe jakie zwierzę i na nowo zaczęły się bicia i inne męczarnie.

Ale dosyć już opowiadania o tych mękach. Człowiek wypłakałby oczy, płacząc nad takiem nieszczęściem! Nikt nie zrachowałby ran które włościanie dziernowieccy odnieśli za wiarę świętą katolicką, ale u Pana Boga każda łza ich stała się kosztowną perłą, a każda kropla krwi przelana drogim koralem, a każde westchnienie cudownym i złocistym ptaszkiem!

Nareszcie senator nie mogąc sobie już inaczej poradzić z gromadą, kazał żołnierzom wypędzić ludzi z chałup, zbierać do kupy i tak razem pędzić do cerkwi jak trzodę. Broniła się gromada jak mogła; niejeden czepiał się klamki i drzwi cerkiewnych, wtedy im siekierami i pałaszami odrębywali palce. Skoro tylko wszyscy stanęli w cerkwi, wystąpił pop moskiewski i nie słuchając nawet spowiedzi, nie pytając się czy który był na czczo czy też po śniadaniu, każdemu gwałtem pchał w gębę prawosławną komunję. Nie jeden przecież potrafił się obronić, ale i ci którzy musieli połknąć komunję nigdy już potem nogą nie postali w cerkwi i nie wyrzekli się wiary katolickiej. I tak pokazało się, że jedna gromada stojąc mocno przy świętej religji, którą razem z życiem i mową dostała od swoich ojców, potrafiła się obronić przed siłą i nie upadła aż dotąd, chociaż wciąż co kilka miesięcy zjeżdżają moskiewscy urzędnicy i zaczynają na nowo prześladowania. — To też zapomnijmy na chwilę o własnej biedzie a módlmy się do Pana Boga za nieszczęśliwymi naszymi braćmi. Panie! daj im odwagę i siłę aby wytrwali, chociaż ciało odpada im od kości a łzy krwawe płyną z ócz! Pozwól aby przynajmniej ich dzieci były szczęśliwemi!

Co starzy mówią.

Kto żyje w zgodzie z swymi sąsiady,
Kto się wystrzega kłótni i zwady,
I kto nie wchodzi w drogę nikomu,
Sam także święty spokój ma w domu.
Bo też to prawda co mówią starzy:
Że ten ma rozum co się nie swarzy,
I że jest lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces.

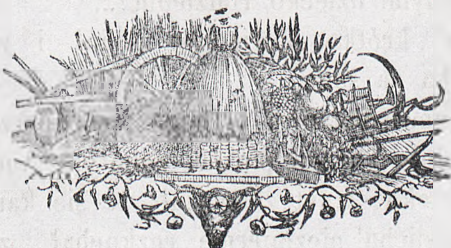
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II. Nr. 5.

11. Lutego 1860.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

PUSTELNIK I ANIOŁ.

Jeden świątobliwy pustelnik zapragnął raz wiedzieć, jakie też skryte grzechy ludzie na świecie mają? — Często odwiedzał go Anioł; pustelnik oznajmił mu raz swoje życzenie. — Anioł rzekł:

— Chodź ze mną pomiędzy ludzi, jużeś ich dawno nie widział.

Gdy się do pewnego miasta zbliżali, napotkali dwóch młodzieńców cudnej urody. Anioł mijając ich, zatkał sobie nos i twarz swoją od nich odwrócił.

Niedługo potem napotkali ścierwo końskie, które z daleka cuchło. Pustelnik sobie nos zatkał, Anioł zaś tego nie uczynił.

Minęli miasto i przyszli do wsi, gdzie sobie u jednego kmiecia nocleg zrobili. Gospodarz ten miał jedyne dziecko, z którem się on i jego żona wielce pieścili. W nocy, skoro ojciec i matka posnęli a jedynaka między siebie ułożyli, Anioł nic nie mówiący zbliża się do nich i śpiące dziecko ręką dotknął. Zadziwiło to pustelnika, co miał Anioł do tego dziecka że go ręką dotykał, i zapytał go o to. A on mu na to:

— Uczyniłem tak, żeby już więcej nie wstało...

— Dla pana Boga! zakrzyknął pustelnik — czy to być może, zabiłeś jedyne dziecko rodzicom?...

— Zabiłem! krótko powiedział Anioł i w dalszą drogę powiódł pustelnika za sobą.

Na drugą noc zostali u jednego karczmarza, który sobie sprawił kielich złoty bardzo pięknej roboty. Anioł co miał na wszystko baczne oko, wnet zauważał, że się karczmarz w tym swoim złotym kielichu niezmiernie rozkochał, zawsze go miał przy sobie i rad na niego pozierał, a o kościół i pacierz wcale nie dbał. Około północka, gdy karczmarz spał jak zabity, Anioł zabrał mu złoty kielich. Pustelnik aż się za głowę złapał, tak go to zadziwiło — chciał coś mówić, ale Anioł nakazał milczenie i coprędzej wyprowadził go z gospody, aby szli dalej.

Trzeciej nocy zostali w karczmie pod lasem, gdzie zwyczajnie wieprzarze radzi nocowali. Gościnnie ich tam przyjęto; gospodarz człek uczciwy i bardzo miły, robił im wszelkie wygody, nakarmił, napoił i własnego im łóżka odstąpił — Anioł zaś w nocy zawołał pustelnika, i poszedł z nim do stajni na spanie. Rychło świt wstali i kazał Anioł pustelnikowi zapytać gospodarza, co winni od noclegu? — Gospodarz nic nie żądał, owszem dziwował się jeszcze, dla czego do stajni poszli spać. Ale Anioł uparł się na swojem, że nocleg zapłacony być musi — i dał mu ów złoty kielich.

Tego już było za nadto pustelnikowi. Skoro też wyszli na drogę, zatrzymał się przed Aniołem i rzekł:

— Wiesz co, ja ciebie za Anioła nie uważam.

— A to czemu? zapyta tamten.

Pustelnik mówi: — Zatkałeś nos przed pięknymi młodzieńcami, a nie zatkałeś go przed cuchnącem ścierwem.

— Młodzieńcze, odpowie Anioł — których ty pięknymi widziałeś, mieli zabrudzoną duszę od grzechu, i przeto stali się obrzydliwymi przed Bogiem; to też woń, która mię od nich dolatywała, bardziej była mi nieprzyjemną aniżeli to ścierwo, przed którem ty nos zatkałeś.

Pustelnik prawi dalej co miał na sercu: — Zabiłeś dziecko niewinne, jedyną pociechą rodziców, a pan Bóg wie za co?

Na to mu znowu Anioł: — Zabiłem choć było niewinne, ale z czasem, mój człecze, nie byłoby ono takie! Rodzice psuli go pieszczotami i dawali mu złe wychowanie. Gdybyć tak było wyrosło, stało by się potem zbójcą i złodziejem. Zabijając uratowałem go od szubienicy, a rodziców od hańby i wiecznego potępienia, iże tak niedobrze dziecko swoje prowadzili.

— A ten kielich złoty, coś go zabrał jednemu karczmarzowi a podarował drugiemu? zapytał jeszcze pielgrzym, ale już znać było po nim, że się powoli nawracał do Anioła.

— Co do tego kielicha, prawi Anioł, to znowu tak się ma rzecz cała. Ten pierwszy karczmarz, co sobie taki piękny kielich kazał urobić ze złota, chciwiec był i bardziej pamiętał na złoto aniżeli na Boga. Dla tego chciałem mu dać nauczkę i za jego chciwość ukarać. Tamten zaś drugi, mieszkający pod lasem, widziałeś sam jak nas szczerze przyjmował i choć to nie był taki człek zamożny jak pierwszy, mimo to nie chciał ani grosza wziąść za nocleg, co pokazywało że nie był żaden łakomiec. Dla tego dałem mu ten kielich złoty, bo wiedziałem dobrze, że go to złoto nie popsuje i nie odwróci serca jego od Boga. — A teraz wypowiedziawszy swoje, pytam się ciebie, pustelniku: co ty na to?...

Pustelnik zaczerwienił się po uszy ze wstydu, iże tak niesłusznie posądził Anioła i prosił go o przebaczenie.

— Odtąd, mój Aniele — powiada, złożywszy przed nim ręce — nigdy a nigdy dziwować się nie będę nieszczęściu ludzkiemu, choćby i coś takiego się stało, czegobym nie rozumiał: za co tak a nie inaczej się stało. Z twojej łaski poznałem ja niektóre grzechy tajne u ludzi, których nikt prócz jednego Boga nie zmiarkuje. To też często gęsto powiadają, że ten lub ów niewinnie cierpi u Boga — a to tymczasem nieprawda, jeno musi tam być jakiś grzech tajny, go co świat nie dopatrzył i dla tego prawi że niewinny. I także nie powiem już nigdy, żeby to było prawdziwe nieszczęście, jeżeli się komuś coś złego wydarzy; bo oto nauczyłeś mię, mój Aniele, jako niejedno złe właśnie na dobre ludziom wychodzi.

Anioł wysłuchał go uważnie i rzekł:

— Tak to mi się podoba, pustelniku! dobrze mówisz!

*

Wracajże teraz na puszczę do swojego mieszkania; a jeślić się kiedy zdarzy że ktoś tam po radę zawita do ciebie, to go, mój pustelniku, naucz przedewszystkiem święcić wolę pana Boga, co jest naszym najlepszym ojcem.

To powiedziawszy, Anioł zniknął — a pustelnik wrócił do domu i jeszcze potem w długie lata nauczał ludzi, co się do niego zewsząd garnęli po radę, aby pana Boga, który jest naszym nalepszym ojcem, szczerze kochali, a wolę Jego świętą szanowali.

KOLENDA MAZOWIECKA

przypisana Paulinie z L. W... na pamiątkę starych czasów.

Urodził się Pan Jezus, dzieciąteczko, dla zbawienia tego świata nędznego i wszelkiego rodzaju ludzkiego — Matka Boża nad nim siedzi, raduje się, weseli...

A Józef i Anieli
Jako potrzeba służą,
Ani oka nie zmrużą,
Chwała, śpiewają, chwała!
Dziecineńko mała.
A dzieciąteczko leży
Prawie jak bez odzieży,
Na garsteczce siana,
Posłanie dla Pana
Niebiosów.

Aż ci człeku żałko,
Że na święte ciałko
Nie ma przykrywadka —
Przenajświętsza Matka
Ubożuchna Panienka!
Za całe ogrzanie
Oślęce chuchanie
I wole i wole.

Alić to marne słowa!
Bo gdy zechce się schowa
Pod ten obłok biały,
Co idzie z za skały,
A pod nim rój cały
Przeczystych,
Złocistych
Aniołów.

Nie bój się, o nie, człecze!
Mają tam nad nim pieczę
Jeszcze lepsi od ciebie,
Co służą Panu w niebie.
Dziecinka się śmieje,
Aż w szopie widnieje
Jakoby też zorza,
A to miłość Boża
Rozchodzi się, rozchodzi...

— A czegóż ci trzeba Staszku
robaczku?
A czegóż ci trzeba Janku
kochanku? —

— Oj trzeba mi, Panie, sam nie wiem czego, jedynej pociechy miłosierdzia Twego; trzeba mi iść do dom a nie mogę, bo mi straszny niedźwiedź zaszedł drogę...

— Idźże tam Aniele, a no duchem,
A porządek uczyń przed pastuchem,
A powiedz niedźwiedziowi:
Niech się tam nie sadowi,
Niech się tam nie nosi
Gdzie go nikt nie prosi,
Niech się tam nie żywi
Gdzie mu wszyscy krzywi.....
. . . .

T. Lenartowicz.

O wiejskich szkodnikach.

Pogadanka starego rolnika.

We wsi Marusicach żył sobie gospodarz zamożny, co się nazywał Janko Goździak. Był to już człek nie dzisiejszy, tak może po pięciu krzyżykach, ale jeszcze nie jednemu choć i młodszemu od siebie podołałby, przy takiej był sile. Ktoby go nie znał, myślałby z razu że to człowiek jakiś surowy i nieużyty; bo raz że się po prostu trzymał niby chojak w lesie, a potem że mu z oczu patrzyła jakby hardość, jakby dumność jaka. Ale gdyś się z nim wdał w bliższą znajomość, zaraześ zmiarkował że to człeczyna potulna i strasznie miękkiego a poczciwego serca — ma się rozumieć dla dobrych. To też wszyscy w gromadzie kochali go gdyby własnego ojca i radzi schadzali się do niego przy wolnym czasie na pogadankę. Trzeba zaś wiedzieć, że Janko Goździak to i głowa nielada: siła rzeczy na świecie sam przechodził, więcej jeszcze słyszał od mądrych ludzi, a po trosze i z książek wyczytał, bo był na nich za młodu uczony. Słowo też jego w gromadzie wiele znaczyło, a w każdej potrzebie Marusiczanie szli prosto jak w dym do Janka po radę.

Chałupa gdzie mieszkał, stała na małym pagórku i jak usiadłeś na przyśbie pod ścianą a rzuciłeś oczami po świecie, to szedłeś z niemi precz daleko, niby ptak na skrzydłach, co mu wszędzie równa droga i nic mu w locie nie przeszkadza. Tam zawsze w lecie wieczorami rad przesiadywał Janko, odmawiając pacierze. Bo powiadał, że jak wpatruje się w zielone łąki i w pola bujające jak fala na rzece podrastającem zbożem, jak nadsłuchuje ślicznego śpiewania skowronka i całej gromady ptasząt, i jak spojrzy w niebo złocące się promieniami zachodzącego słonka, po którem posuwają się białe chmurki jakby główki ze skrzydłami małych aniołków, to wtenczas w duszy swej tak się raduje, tak rozrzewnia, tak w tem wszystkiem widzi moc, wielkość, potęgę i miłość Boga, że zwykle modlitwę zaczyna serdecznem westchnieniem, a kończy łzami dziękczynienia

za te wszystkie cuda, jakiemi Stwórca otoczył człowieka, najczęściej grzesznego i nieoceniającego łask tych należycie.

Jednej niedzieli jak zwykle gromadka ludzi zeszła się do niego. Janek z odkrytą głową patrzył przed siebie, ludziska stali w milczeniu. Aż wreszcie odezwie się jeden z gospodarzy, nazwiskiem Bąbała, z którego zawsze dosyć było uciechy, że sobie był człek tak trochę śmieszny i w rozumie nie tęgi. Wydobywając tabakierkę, rzekł:

— Mój Janie, siedzicie ta i patrzycie nie wiedzieć czego; ot lepiej, żebyście nam powiedzieli co ciekawego, choćby i z łajaniem jakiem, bo i tego u was nie kupić.

— Mój sąsiedzie, odrzekł Janek, ciekawości nie trzeba szukać, ani w ludziach, ani w ich gadce, ino wedle siebie po świecie. Bo tylko spojrzyjcie na pola nasze, co się po nich zieleni ozimina i jarzyna, na tę oto rolę, co się z niej dobywają ziemniaki — czy to nie jest nawiększa ciekawość, kiedy z tego ziarna, które człek rzucił w ziemię zababrał bronami, pomaluśku wszystko podrasta, idzie w kłos, w ziarno, potem człek to zbiera, młóci i robi chlebuś kochany, o który codzień Boga w pacierzu prosimy? Czy to więc nie jest największa ciekawość? Ale ludzie mało to sobie ważą, bo codzień prawie na to patrzą, i gdyby Bóg, chcąc ukarać ludzi za ich grzechy, nie dał świętej ziemi przez cały rok wydać z siebie ani trawki, ani listka i ziemię zostawił czarną, jak to bywa po zimie, kiedy słonko spędzi śniegi, to wtedy dopierobyśmy poznali, jak cudowny jest świat cały, a jak maluśkim człowiek, co w dumności swojej ma siebie za coś wielkiego. A jednak ludzie darów tych Bożych nie szanują i choć na wszystko pracują w ciężkim pocie czoła, trwonią, marnują, jeden drugiemu niszczy...

W tem miejscu nagle urwał Janko i za czemś bardzo pilnie pozierał na drogę, co szła z podwórza dworskiego. Za nim też i drudzy obrócili się, aby spojrzeć. I było też na co! granicą bowiem biegł polowy dworski ku łąkom leżącym w rozdole, i machając laską, coś ostro wykrzykiwał. Od dworu zaś ekonom pędził na koniu w największym galopie, kierując się za biegnącym polowym. Niedługo z przeciwnej strony, jak lis kiedy ucieka przed gończemi, wysunął się jakiś włościanin na szkapie i okładając boki

batem biednemu bydlęciu, a kując go podkówkami od butów po brzuchu, cwałował tak szybko i tak przyspieszał, że tylko ziemia dudniła, kopyta piasek rozpryskiwały na wszystkie strony, a skrzydła u kapelusza trzęsły się jak skrzydła u ptaka, kiedy mu pilno lecieć gdzieś za jaką sprawą. Wyraźnie więc włościanin uciekał, i widać uciekał ze szkody, kiedy go gonił przystawca i oficjalista dworski. I byłby zapewne uciekł; ale skręcając z drogi na odłóg, gdy mu wypadło przez rów przeskoczyć, szkapsko nie dosadziło, przedniemi nogami ugrzęzło w błocie, włościanin się pochylił, a potem buchnął jak długi. W takim pędzie zlecić z konia, to jak nic kark można skręcić, a przynajmniej poturbować się na kilkutygodniowe leżenie. To też widać, ze włościanin dogodził sobie w spadnięciu porządnie, bo jakiś czas poleżał w zupełnej spokojności i dopiero po chwili powstał, podniósł kapelusz, otrząsł się z ziemi i podszedł ku rowowi do wydobywającego się z błota konia. Ale jednem złem nigdy się nie kończy; koń bowiem wyrwał się z błota, i kiedy włościanin poszedł ku niemu, chcąc go uchwycić za cugle, ten odwrócił się, wierzgnął tylnemi nogami i tylko zadudniło, co tak ostro poleciał na łąki. Na piechotę już nie było co uciekać, ekonom bowiem znajdował się nie więcej jak o staje drogi; włościanin więc zdjął kapelusz, uchylił głowy i z pokorną miną przystanął w miejscu.

— Wiecie co, że to Modras? odezwał się ktoś z gromady, zebranej u Goździaka; widzicie, jak się skrobie w głowę i ciągle kłania się, co tak wyprasza się od kary.

— Ba! nie ma się wypraszać, odrzekł na to Bąbała — ekonom w ręce taki cięty, że jak tnie, to jakby nożem.

— Widać, żeście już próbien tego, odezwał się tamten z uśmiechem — kiedy rękę ekonoma tak znacie doskonale.

— Ej! raz ino, raz, kiedy moja Jagna — odrzekł na to Bąbała, kuląc ramiona — nacięła sierpem koniczyny nasiennej dworskiej dla krowy.

— I jakże to było, na pokładańca, czy tak ino na suche razy?

— Ej! tak ta, odrzekł Bąbała, nic nie miarkując, że drugi

z niego pokpiwa — dał im ekonom dwa razy pięścią w plecy, a potem tym bacikiem liznął cosik z pięć razy.

— I ino tyla?

— Tyla, ino tyla, ale przez życie moje tego nie zabaczę.

— To wam widać uczciwie dogodził?

— Ba! mruknął tylko Bąbała, poruszył plecami i westchnął, jakby się to stało w tej chwili.

— A mój Tomaszu, za cóż was karał, kiedy to wasza Jagna, a nie wy szkodę robili?

— Ho! ho! człeku, człeku, on i Jagnie nie poborgował, a mnie za to wywałkował, co ja jej gospodarz. Bo widzicie, ja jej rzekłem, co by się postarała czego dla krów do doju, a jak powiedziala, że nie wie, gdzie ma czego szukać, tak ja jej rzekłem, żeby poszła ku koniczynie dworskiej. I widzicie, z mego rozkazania to ino raz tego było; ale dziewczysko jak się znarowiło, tak potem dzień w dzień nigdzie nie poszła, ino zawsze jak ta maciora nieprzymierzając, w koniczynę i w koniczynę. Tak jak ją złapali, tak też i jej i mnie się dostało, jakby ja temu był winien.

— Oj! prawda, prawda — niby żaląc, odezwał się na to znów tamten pierwszy gospodarz — już to wy macie zawsze szczęście do niewinnego na siebie posądku. Ot! na ten przykład dziewucha wasza nałamała płotu wedle dworskiej kapusty, a wy zapłacili karę, i o mało także nie przypieczętowaliście skórą.

— A prawda, i żeby nie panienka, takby był dziedzica nie uprosił. No, i jestże tu sprawiedliwość na świecie?

— Oj! prawda mój Janie, prawda — prawi tamten kręcąc głową — bo żeby tak na mnie, tobyście się byli ze skórą swoją nie poznali! bo wiecie wy, co się z tego zrobiło? Oto, wasza Jagna, jak jej brakło koniczyny, bo się bała ekonoma, to groch mój rwała, a jak dworskiego płotu nie stało, to się chyciła mego, bo już się jej do lasu po suche patyki pójść nie chciało.

— Albo to prawda? zapytał troszkę zawstydzony Bąbała — już mnie nikt tego nie dowiedzie.

— No, nie wypierajcie się, nie wypierajcie, bo że wy nie lubicie ludzkiej pracy szanować, to ani gadania. Ukraść, nie ukradniecie to prawda; ale urwać w polu co na paszę, albo

do garneczka, wedle domu złapać co na ogień, toście jedyny do tego.

Bąbała zaczął się tłumaczyć, wykręcać, jedni za nim świadczyli, drudzy przeciw, inni pokpiwali, aż wreszcie odezwał się:

— Moi sąsiedzi, co prawda to prawda, ze dworu to ta czasem jaką garstkę trawy, albo grochu, lub co innego to się skorzysta, ale z chłopa niech Bóg broni, bo to wielki grzech! Dwór ta i tak dworem będzie, a dobrze, że się człek troszkę pokrzepi.

— A jużcić, a jużcić! potwierdzono do koła — co to tam odrobina znaczy!

Janek przez cały czas tej rozmowy nic nie mówił, tylko słuchał; ale widać, że mu się wszystko strasznie nie podobało, bo marszczył brwi, a czoło często zmarszczakami się pokrywało. Chłopiska już znali z tego Janka, dla tego pomału zamilkli, oczy skierowali ku niemu, a Janek jakby się pasował sam z sobą, ścisnął pięść i po chwilce obcierając czoło, odezwał się z bolesnem westchnieniem:

— Moi sąsiedzi, to wy chrześcianie katolicy? Nie! wy jak jakie pogany, bo gdybyście się bali Boga Wszechmogącego, tobyście zawsze mieli na baczeniu dziesięcioro Bożych przykazań, gdzie powiedziano: *Nie kradnij, i nie pożądaj bliźniego twego ani wołu, ani osła, ani służebnicy, ani żadnej rzeczy, która jest jego;* a więc ani owsa, ani koniczyny, ani płotu, ani trawy na łące. A jednak czy zachowujecie to? czyż minie choć jeden dzień, żebyście dworowi jakiej szkody w polu nie zrobili, albo żebyście się między sobą o jaką psotę nie poswarzyli? A czyż to nie jest pożądanie cudzej własności? Czyż kiedyś za te krzywdy, co robicie i dworowi i między sobą, Bóg was nie ukarze?...

Na te słowa Janka chłopiska powzdychali i poruszyli głowami. Bąbała aż jęknął, co mu tak ciężko było odetchnąć, a Janek po chwili mówił dalej:

— Moi sąsiedzi, powiadacie, że szkodę zrobić dworowi, to nie ma w tem grzechu, ino kiedy chłop zrobi chłopu, to wtedy jest grzech śmiertelny. Moi ludzie, gadką taką oszukacie siebie, oszukacie ludzi, ale nie oszukacie Boga. Jak więc tylko

bierzesz to, co nie twoje, na ten przykład koniczynę, trawę, gruszkę z drzewa, ziemniaki, kapustę, suchy chrust, albo kołki z płotu i inne ta rzeczy, czy to chłopu czy dworowi, to jużcić dybiesz nie na swoje, bierzesz co nie twoje, czyli kradniesz, więc popełniasz grzech śmiertelny. Ale ludzie tak się popsuli, że już to nawet za złe nie uważają; dla tego też na grzeszących co dnia, co godziny, Bóg zsyła teraz różne klęski, jakich przedtem nie znano, jak: cholerę, febrę, zarazę na bydło, susze, ciepła w zimie, a przymrozki w lecie, wojny, głody i Bóg wie jakie inne nieszczęścia. I wszystko to dopóty ludzi trapić będzie, dopóki się ludzie nie poprawią; bo i jakżeż ma być dobrze na świecie? Wszystko żyje w rozdzieleniu, każdy ino dla siebie, pacierz ludzie choć mówią, to ino gębą, a w myśli to sobie układają, gdzie co urwać albo złapać, bo powiadają że to nie złodziejstwo. A ja wam powiadam, moi sąsiedzi, że wszystko, co tylko bierzecie nie swego, jest złodziejstwem, i za wszystko odpowiadać będziecie przed Bogiem. —

Jeszcze potem wiele rozgadek było między ludźmi. Każdy czuł, że Janek we wszystkiem ma racją, bo znali go dobrze, że zawsze w każdej rzeczy trzyma się sprawiedliwości, a nie pochlebstwa i przylizywania się; ale równie ten gadał tak, ten owak, aż wreszcie pomału zaczęli się rozchodzić. Wtem do gospodarza co to sobie z Bąbały nakpiwał, a miał na imię Mateusz, nadbiegła dziewucha jego i odsłaniając fartucha, rzekła:

— Patrzcie tatusiu, jakie to na dworskim ogrodzie ziemniaki.

— A i któż ci ich nakopał?

— A ja sama, odrzekła dziewucha z przechwałką; upatrzyłam, jak ekonom i polowy przelecieli za Modrasem w pole, tak też złapałam motyki...

— A ty niepoczciwe dziecko, przerwał z gniewem ojciec — to ty mnie we dworze będziesz robiła złodziejem? To ty mnie w takim posądku przed ludźmi będziesz stawiała?

I mówiąc to poczciwy ojciec, odpiął pasa, uchwycił własne dziecko za rękę i tak zaczął kropić po plecach jedną ino koszulą osłoniętych, że dziewucha i ziemniaki rozsypała i chustkę z głowy upuściła, i tak wrzeszczała, jakby z niej pasy

darto. Po frycówce dziewucha z płaczem pobiegła do domu, a chłopi przybliżyli się do Mateusza i jeden rzekł:

— Poczciwie zrobiliście, mój Mateuszu, bo przez jedną szkodnicę wszyscy moglibyśmy być we dworze w posądku o złodziejstwo, i nawet wypada wam, cobyście tę rzecz ekonomowi oświadczyli, bo po cóż na nas mają krzywo patrzyć?

Mateusz podrapał się w głowę, bo jakoś nijako mu było iść ze skargą na własne dziecko i nie wiedział, jak sobie radzić; ale Janek podsunął się i rzekł:

— Żeście dziecko, mój Mateuszu, ukarali za szkodę, to możecie opowiedzieć we dworze, ino odnieście ziemniaki i wszystko opowiedźcie, jak było, a dwór pewnikiem Maryśki na nowo karać nie będzie. Ale pamiętajcie, moi sąsiedzi, że to nie dosyć jest swoich domowników i swoje dzieci przestrzegać; trzeba i na siebie pilnie baczyć, bo my starzy, a oni młodzi, a młodzi to najczęściej we wszystkiem lubią iść za starymi. Jak więc i my, i nasze dzieci, i słudzy zabaczą o szkodach, to we wsi taka będzie święta zgoda, dwór nas będzie tak kochał, tak szanował, że zobaczycie, jaka to wtedy będzie u nas śmiałość, pójść po każdym interesie do dworu. A komu z tem będzie dobrze? Jużcić nam, bo jaką my, chudziaki, nieuczeni i niepiśmienni bez opieki i mędrszej głowy możemy sobie dać radę?

— Oj! prawda, prawda — odezwano się dokoła; wieleby o tem mówić, ale żeby dwór przekonać, co my nie szkodniki i z przychylnością dla dworu, to przyrzeczmy sobie, że każdego szkodnika wydamy na jaw i sami mu wyłoimy takie basiory, że przez całe życie o nich nie zabaczy.

— Zgoda! zgoda! potwierdzono do koła — szkodników nie ma co żałować — ażeby ta rzecz taka nie poszła w odwłoczkę, więc idźmy do dworu, prośmy dziedzica, coby Modrasa oddał pod nasze sądzenie.

Jak rzekli, tak zrobili. Dziedzic z chęcią przystał na sąd chłopski i Modras w pół godziny już był po basarunku, że skrzywiony i skurczony powlókł się do domu, jakby po obłożnej chorobie. Ale broń Boże! nic mu nie było, skóra przecierpiała i wnet się zgoiła; lecz za to od tego czasu Modrasek taki się zrobił poczciwy, że nad niego prawie nie było we wsi lepszego.

Potem zakręcili się z basarunkiem około Bąbały, ale już wam nie powiem tego, jak to było. Bo widzicie, Bąbała już niedzisiejszy, toby mu było bardzo markotno, gdyby się kiedy dowiedział, że go pismem przed ludźmi osławiłem. A jeżeli wstyd młodemu być szkodnikiem, choć ludzie mówią, że każdy młody to głupi, cóż to dopiero mówić o starych, u których znowu wedle ludzkiej gadki, w siwych włosach rozum ma siedzieć.

J. K. Gregorowicz.

(z Cz. N.)

KOLEJ ŻELAZNA.

Rozmowa Grzeli Łopucha z Walentym ze Smolnicy.

Grzela. Już też niech sobie ludzie bają i tak i siak, i niech tam sobie mówi co kto chce, ale ja taki jakem żyw nie uwierzę nigdy, aby zły duch nie miał już mocy na ziemi. Ho ho ho, bestya dokazuje zawsze i co krok radby biednemu człekowi siłkę zarzucić na szyję. Nie dalekoć jeździłem tamtego tygodnia, a widziałem na własne oczy nie przymierzając jak was tu przed sobą...

Walenty. Cóż takiego?

Grzela. Co? Ajzyban czy tam kolej żelazną jak zowią ludzie, a napatrzywszy się na to dziwo własnemi ślipiami, wiem ci już, co mam wiedzieć. W imię ojca i syna! Dzisiaj mi jeszcze mróz przechodzi przez skórę i taki mię strach zbiera, jakby mię djabeł pazurami łaskotał pod szyję.

Walenty. Dla Boga żywego! cóżeście to takiego widzieli?

Grzela. To już wam powiem kiedy chcecie, choć mi to Bogiem a prawdą strasznie niemiło. Człek tam różnie słyszał o tym Ajzybanie, ale nie wszystkiemu wierzył. Aż tu zeszłego tygodnia nająłem się buraki odwieść do fabryki do Łańcuta — bogdaj mię było nie skorciło! byłbym się nie nabrał tak okrutnego strachu. Proszę was, panie Walenty, kiedy już dojeżdżałem sobie zwyczajną drogą do Łańcuta, mówili mi ludzie, że będę musiał jechać przez Ajzyban. Ha, myślę sobie, co robić! Zdjąłem hamulec z woza aby zahamować, jadąc przez to dziwo i popę-

działem co prędzej koni, aby się tem rychlej pozbyć tej przeprawy. Aliści naraz widzę zdała rogatkę, a koło niej wiele luda i jezdnych i pieszych. Myślę sobie: pewnie jakieś mostowe! ba ba, aż tu się dowiaduję że to już Ajzyban. Stanąłem ci i ja przy tej zamkniętej rogatce i pytam ludzi, czy długo tu mamy czekać. A oni mi mówią: Ot nie długo aż przejedzie Ajzyban. Patrzę sobie na drogę, co to ją umyślnie wybudowali dla tego Ajzybana — tfy do licha! toć to całkiem jak nasz gościniec murowany, jeno duże szyny żelaza jakby dwa pręty biegną wam hen hen, prościuteńko, jeden wedle drugiego. Patrzę ja tylko na to, taj chowając nazad hamulec, myślę sobie: Owa, jakie mi to wielkie dziwo! I nie strachając się niczego, ukrzesałem sobie powoli ognia do fajki i tylko co chciałem sobie pyknąć trochę, aż też coś jak zaświszcze, jak zadudni nagle, aż konie parsknęły i fajka mi bęc na ziemię. A tu wszyscy wołają: jedzie! jedzie! Wyszczerzyłem oczy, powiadam wam, mało we mnie paralusz nie uderzył z przestrachu. Z daleka już widać wam było kłęby dymu jakby ze stu kominów na raz, i tak coś dudniło i terkotało, że aż ziemia się trzęsła pod nogami. I nic to jeszcze! Ale wyobraźcie sobie, mój panie Walenty, co mi się działo kiedy tuż koło nas z świstem i szumem przeleciała sama Ajzyban. Na Boga żywego! takci chyba czarownice pędzą na Łysą górę. Boć to uważacie, ani nawet zając nie ciągnął wam tej budy! Naprzód jakby człowiek żywy, sam sobie pędził wam jakiś niby wóz, niby kocioł z gorzelni z szerokim kominem, z którego dym walił kłębami, a z tyłu stał wam jakiś człowiek i nie ruszał się jakby malowany. A za tym pierwszym kotłem co jakieś osobliwe miał koła i skrzydła, Chryste panie! dudni wam na niskich kołach takie mnóstwo wozów, żebyście ich na sążniowej nie nakarbowali palicy. Ba, a jakie bo to były i wozy, hej hej, mocny Boże! kareta naszego dziedzica ani się umyła przy nich. Aliści to różne były między niemi gatunki: były i takie jak pańskie karety, i takie wam jak bryki naładowane, i jakieś jak skrzynie setne a wszystkie trzymały się jedne drugich i pędziły jak opętane na niskich kołach, choć ich nikt ani pchał ani ciągnął. A czego tam nie było w tych wozach! Naprzód to jechali i pany i żydy i żołnierze i chłopi nawet, a w tyle to i konie

i woły, i krowy, i owce, i świnie, i bryczki, i wozy i Bóg wie co jeszcze więcej. I nim się jeszcze człek mógł napatrzyć na to wszystko, furknęło i przemknęło nam jak wiatr w polu, tylko dym zawiał na nas jak po siarce piekielnej i biednej chudobie aż grzywa się najeżyła z przestrachu, a nam wszystkim włosy stanęły na głowie.

Walenty. I coście sobie pomyśleli o tem wszystkiem?

Grzela. Ha cóż! Mówili ludzie tamtejsi że to już taka maszyna cudowna; ale ja i Bartek Krzywonos i Kuźma Ciołek, tośmy zaraz poszli do głowy po rozum i inaczej to sobie wytłumaczyli. Fiu fiu, maszyna! maszyna! niby to my nie znamy różnych maszyn, i w gorzelni, i w młocarni, i w sieczkarni pańskiej — ale co te, to nie tamte. Toż już chyba głupi by nie poznał że to wszystko sprawka złego ducha. W tym pierwszym kotle, czy wozie siedział sobie nikt inny, tylko sam diabeł, odpuść panie Boże, i on to ciągnął ogonem resztę wozów. A ten dym co buchał z komina, to szedł z jego fajeczki na krótkim cybuchu, co bestya szatan ma zawsze przy sobie.

Co mu na to odpowiedział Walenty, wyczytacie w następnym numerze.

RÓŻNOŚCI.

Czyn godny wspomnienia. Przed dwoma laty we wsi Petlikowcach, co leży w obwodzie Czortkowskim, pogorzał kościół katolicki wraz z plebanią i wszystkiemi zabudowaniami. Właściciel wsi obiecał na odbudowanie kościoła i resztę budynków dać drzewa ze swego lasu, ile będzie potrzeba. Zaś wójt tameczny *Hryńko Romańczuk* ofiarował na sprawienie dzwonów 620 reńskich ze swojego majątku, co go sobie przy pilnej pracy i za Boską pomocą był zebrał a znowu *Leon Tytoń*, wójt w starych Petlikowcach obowiązał się wybudować własnym groszem dzwonicę na pięć dzwonów.

Wawrzyn Knapiński z Lipowca. Już temu lat dwadzieścia i kilka, jak umarł prosty chłopek, Wawrzyn Knapiński z Lipowca, którego koło Krakowa jeszcze pamiętają a nazywali go *Pitachem* albo *Bożkiem.* Tenże Wawrzyn już z młodu pokazywał wielki dowcip do robót stolarskich, choć u żadnego majstra w nauce nie był. Biskup krakowski Sołtyk, poznawszy zmyślnego Bożka, wziął go do swojego pałacu w Krakowie i polecił mu różne stolarskie roboty, za co mu potem darował kilka morgów roli w okolicy Lipowca. Niejeden dziś jeszcze westchnie nabożnie za duszę Wawrzyńca w Krakowie, gdy przygląda się flaszeczce, w której misternie zrobiona jest cała męka Pańska, bo rzecz tę zrobiła ręka Wawrzyńca. Piękne roboty jego przechowały się do dziś dnia po różnych kościołach około Krakowa, gdzie je też można każdego czasu oglądać.

Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. Wiele przysłowiów, które sobie ludzie przy różnych okazjach powtarzają, mają też swoją prawdziwą historję, zkąd poszły. I tak opowiedzieliśmy wam już dwie: jedną o Zabłockim co stracił na mydle; drugą o niezdarnym Maciusiu, co go ojciec pytał, czy żyje ciele — a on mu na to: żyje tatusiu, ale się nie rusza. Dziś znowu przepowiemy wam zdarzenie, co się miało stać przed wielu, bardzo wielu laty, a z którego ludzie urobili sobie taką niepiękną przypowieść: o diable i o złej niewieście.

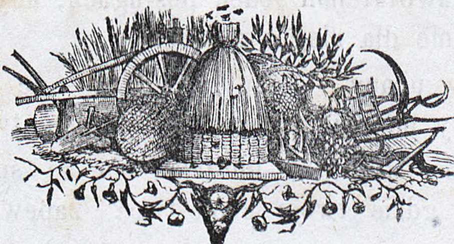
Gdzieś tam na Mazurach czy na Rusi, tego już niewiadomo dokładnie, żyło dwojga ludzi, mąż i żona, zgodnie i cnotliwie ze sobą. Nie podobało się to diabłu i chciał ich koniecznie poróżnić. Ale na próżno! choć tak przemyśliwał nad tem, za nic wszystko, bo oni kochali się bardzo i cale nie zważali na diabelskie pokusy. Co widząc zły duch, srodze się zafrasował. Aż tu razu jednego spotyka babę z sąsiedniej wioski, co ją znał że była bardzo niedobra. To też babsko wcale go się nie przelękło, owszem śmiało się z nim powita jakby z najlepszym znajomym: — Ale, coś mi waszeć wygląda posmutniały — co mu takiego? „Moja kobieto! odrzeknie zły duch — cóż mi pomożecie; oto już siedm lat pracuję, a nie mogę tego zgodliwego małżeństwa poróżnić.“ — Oho! a co mi dacie, to ja tego zaraz dokażę, Diabeł przyrzekł jej parę nowych trzewików. — Zgoda! przystała baba, i poszła naprzód do męża na pole, co orał: „Kumie! rzekła, przychodzę cię ostrzedz, że żona od dzisiaj dybie na twoje życie.“ Kmieć wytrzeszczył oczy i otworzył z podziwu gębę. „Jak przyjdziecie do domu, mówiła dalej, żona zechce was iskać, a będzie miała na podorędziu brzytwę, by wam gardziel poderznąć, bo rozmiłowana w waszym parobku.“ I poszła znowu do chałupy jego i rzekła żonie: „Kumo! twój mąż dziś umrze!“ — O mój Boże! wykrzykła z płaczem niewiasta — czyż taki niemocny, czy mu już nic nie pomoże? — „Nie troskajcie się o to, ja wam poradzę, a żyć długo jeszcze będzie.“ Niewiasta nadsłuchiwała ciekawie, bo baba była we wsi lekarka, ma się wiedzieć taką cyganką jak i drugie, co się podają na lekarki, choć się na tem nic a nic nie rozumieją. I kłamałoć niedobre babsko tak gładko jak po maśle: „Wasz ma włos na głowie taki, który trzeba brzytwą uciąć. Poznasz go łatwo, bo dłuższy od innych. Jak przyjdzie, powiedzcie że chcecie go iskać; wtedy mu włos wytniecie a zdrów i żyw będzie.“ Kmieć niecierpliwy przychodzi do chaty; żona mówi że go chce poiskać. Oho! pomyślał chłop, mam ciebie! ale nie uda ci się sztuka, będę ja ostrożny. Tedy nic nie mówiąc, nachyla głowę, ale tak żeby też widział co niewiasta uczyni. Ona znowu ujrzawszy włos dłuższy, bierze za brzytwę, co ją trzymała za pazuchą. Wtedy już kmieć był pewny, że go chce zabić, powala ją na ziemię i bić bez litości zaczyna. Napróżno biedna kobieta wyklina ciało i duszę! — nic nie pomogło — zbił niewinną na kwaśne jabłko i żyć z nią już dłużej nie chciał. Niedobre babsko, dowiedziawszy się o tem, co tchu biegnie i donosi diabłu o sprawności swojej; aże ten zdumiał i już się sam jej strachać począł. Dla tego nie wydał jej trzewików obiecanych z rączki do rączki, jeno na długiej żerdzi podawał, mówiąc: *Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.* — I od tego to czasu weszła między ludzi ta niepiękna przypowieść, która się stosuje do takich kobiet, co albo są wielkie sekutnice, albo plotkarki na wielki kamień — a od których zachowaj nas Panie!...

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II. Nr. 6.

21. Lutego 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O dumnym królu.

Podanie.

Był sobie jeden król, mający dużo krajów i mnóstwo luda pod sobą; z tej tedy możności swojej w taką się wzbił pychę, iż mniemał, jako nadeń nie ma już potężniejszego Pana na świecie. Zdarzyło się, iż pewnego czasu gdy poszedł na nieszpór, usłyszał księdza czytającego z Ewanielii świętego Łukasza takie wyrazy: *Pan Bóg mocarzów z tronu spycha, a maluczkich wywyższa.* Rozgniewały króla te słowa tak dalece, iż wydał rozkaz, aby miejsca tego w Ewanielii nigdy nie czytano, żeby o nich nikt nie wiedział, i żeby je całkiem wymazać z ksiąg świętych. Rozkaz ten ogłoszono po wszystkim kraju księżom i zakonnikom; księgi zaś, w których te słowa stały, publicznie spalono. A tak wszelkiemi sposoby ona myśl wytępioną została.

Owóż pewnego dnia, gdy król udał się był do kąpieli, Pan Bóg, chcąc go ukarać za świętokradztwo dokonane na słowach Ewanielii, zesłał anioła na ziemię, który przybrał na się królewską postać, i wszystkich oczy taką ślepotą nawiedził, iż go

mieli za króla, a prawdziwego króla nie poznawali. Gdy tedy król wyszedł z kąpieli i usiadł na ławeczce, na której wprzódy anioł siedział, zawołał nań jeden posługacz, aby wstał i precz poszedł, bo to nie dla niego miejsce.

— Czyś ty pijany — zapytał król — że tak śmiesz do mnie mówić? czy mię nie poznajesz, wszakem twój król i pan?

— A widzisz go! — odrzekł ten ze śmiechem — to mi to król! A gdzie twoje królestwo? zapewne pod wschodami?

— Bluźnierco! — wrzasnął król, siniejąc od gniewu, i porwał wiadro i cisnął na głowę posługaczowi. Parobcy posłyszawszy zgiełk, wypadli hurmem i tak porządnie królewskie plecy wysmarowali, żeby był może i na miejscu został, gdyby nie anioł, który w postaci króla się zjawił i wyratował go z rąk czeladzi.

Poczem anioł oblekł się w kosztowne królewskie szaty, i w orszaku dworzan z wielkim przepychem poszedł na królewski zamek. Prawdziwego zaś króla prawie nago wypchnęli za drzwi parobcy — stanął więc sobie przed drzwiami, trząsł się i nie wiedział co począć. A tymczasem pospólstwo zbierało się około niego, żacy naigrawali się i draźnili, właśni nawet słudzy wyprawiali mu psoty, bo rzeczywiście nikt go nie poznawał. W rozpaczy nie wiedząc co robić, wyrwał się naguteńki z tłumu ludzi i pędził przez ulice. Za nim wysypała się hurma chłopców i obrzucając błotem, dalej go prześladowała, aż wpadł do mieszkania jednego z swoich najpoufniejszych dworzan. Na nieszczęście odźwierny nie chciał go wpuścić i pytał kto jest?

— Jestem król; czy mię nie poznajesz? — odpowiedział.

— Pójdź precz, szaleńcze! — ofuknął odźwierny — jak świat i korona polska nikt jeszcze takiego króla nie widział.

Ale król, jak zaczął krzyczeć i wywoływać, tak też i ów dworzanin usłyszał, a wyszedłszy do sieni, spytał o przyczynę. Odźwierny na to: — Jest tam na ganku jakiś z przeproszeniem warjat, goły jak palec, który się mieni być najjaśniejszym królem naszym; wszystkie paupry i uliczniki gonili go aż na dziedziniec.

— Wpuścić tego biedaka! — odrzekł litościwy dworzanin — dajcie mu czem pokryć grzeszne ciało i nakarmcie jeżeli głodny.

Stało się według rozkazania pańskiego. Poczem przybranego wprowadzono przed onego dworzanina, który go także nie mógł poznać jako swego monarchę. Co widząc król, pełen rozpaczy zawołał: — Przyjacielu! musisz mię uznać za pana, czy chcesz, czy nie chcesz; chociaż, wyznam otwarcie, że dziś ociężała ręka Boska nade mną. Przypomnij tylko sobie o tem, cośmy w mojej izbie mówili wczoraj rano; przypomnij sobie, jaki ci dawałem rozkaz, i jak odpowiedziałeś, że takie rozkazy nie zgadzają się z godnością królewską. — I jeszcze wiele podobnych tajemnic przytoczył dworzaninowi, który na nie rozśmiał się tylko i rzekł: — Prawdać to wszystko co mówisz, ale kto wie czy nie szatan podpowiedział ci te tajemnice! — A król znowu: — Jakkolwiek mógłem zasłużyć na nieszczęście, jakie mię spotyka, wszelako w duszy wierzę i czuję, żem sprawiedliwy wasz król i pan.

Nie sprzeciwiał się mu dworzanin, wiedząc, iż nic bardziej nie jątrzy szalonych, jak przeciwieństwo. Nakoniec kazał go nakarmić i pomyślał sobie, że o tak osobliwym wypadku nie omieszka donieść królowi.

On, jako pierwszy dworzanin i przyboczna rada królewska, takie miał znaczenie we dworze, iż o każdym czasie miał przystęp do boku pańskiego; zatem niebawem udał się na zamek, gdzie znalazłszy anioła, opowiedział mu swoją dziwną przygodę z owym szaleńcem. Anioł kazał mu, aby tego mniemanego króla przyprowadził. Cały dwór ciekawy zebrał się w wielkiej sali, a służba cisnęła się po wschodach i sieniach. Owóż kiedy dworzanin wprowadził upokorzonego króla, wszyscy ze śmiechem nań wskazywali, wołając: — Witaj królu bez królestwa!

Anioł siedział w złocistej szacie obok pięknej królowej na tronie, i przywitał samozwańca, w którym krew nienawiścią zawrzała, gdy ujrzał go siedzącego obok własnej jego żony. Poczem anioł rzekł: — Czy prawda, żeś ty królem tego królestwa? — A zapytany odparł: — Jeszcze to miejsce może nie zastygło, kiedym tu siedział i królował, — a potem obra-

*

cając się do królowej: — A tyż małżonko moja, czy także mię nie poznajesz, mnie, twego pana, który cię z prochu podniosłem do godności królowej?

Mowa ta zuchwała wielkiego wstydu nabawiła dostojną panię; — więc obracając się ku aniołowi, rzekła: — Małżonku mój i panie, co ten szaleniec bredzi? — Któryś z panów, widząc tę zniewagę majestatu, już był dobył szabli i chciał zuchwalca skarcić — inni dworzanie toż samo rwali się doń, i pewnie byliby go pozbawili życia, gdyby ich anioł nie wstrzymał, i z dobrocią wziąwszy króla za rękę, nie zaprowadził do pobocznej izby. Tam odezwał się do niego w te słowa: — Powiedz mi, czy wierzysz, lub nie wierzysz, że Pan Bóg ma moc nad wszystkiemi stworzeniami swemi? Przekonaj się, jak jego potęga potrafiła cię poniżyć! Na cóż ci teraz zdały się ogromne twoje wojska, mocne twierdze i zamki? Widzisz bracie pyszałku, że nie zginęła ta święta prawda: *Że Pan Bóg mocarzów z tronu spycha, a maluczkich wywyższa!*

Tak mówił anioł, a król pytał ze drzeniem: — Któż jesteś człowiecze? Jestliś ty Bóg wszechmogący, o którym powiadasz? Jeżeliś nim jest, ulituj się nademną biednym, złośliwym i ciemnym!

— Bogiem nie jestem — odparł anioł — lecz posłańcem Jego, i prawym sługą Chrystusa. On to mię posłał z karą na twoją zapamiętałość. Bóg podwyższa i poniża kogo mu się podoba! Dla czego prześladowałeś tę świętą prawdę?

Jak długi upadł król do nóg anioła i prosił o łaskę Boską nad sobą i o przebaczenie winy. Anioł kazawszy mu powstać, tak przemówił: — Potrzeba abyś wierzył w te słowa pisma świętego, ogłaszane przez kapłanów kościoła! Powinieneś być litościwym dla tych, którzy w ten sposób skarzą się na swoją niedolę! Masz sprawiedliwość wymierzać równie dla maluczkich jak możnych! Przystajesz na to, a więc znowu wrócisz do władzy berła i zaszczytu korony.

Król znowu się upokorzył przed posłańcem Boskim, ukląkł i rzekł: — Posłuszen ci będę, tylko wyrób mi łaskę pańską! — I anioł podał mu rękę, i przyoblókł go w szaty królewskie,

i wrócił królewską postać. Poczem anioł znikł z oczu królewskich, unosząc się w niebiosa na łono przedwiecznego Ojca.

— Niechże będzie chwała Jezusowi Chrystusowi! — mówił po chwili król w zamyśleniu, — wszystko to święta prawda co mi anioł powiedział! — I wyszedł z izby z takiem obliczem, jakby mu nic się złego nie przytrafiło, a gdy go dworzanie pytali: co się z szaleńcem stało, — on, przyzwał królowę i wszystkie dworzany w koło siebie, i opowiedział im wszystko, przez co przechodził, nie pomijając i kłótni z posługaczem w kąpieli i z parobkami, i pokazując na dowód guzy i sińce na ciele. Dworzanie słysząc to, byli już w obawie, że łaskę stracą za owe naigrawania i kułaki; sama nawet królowa starała się go zapewnić na rzeczy najświętsze, iż bynajmniej go nie poznała; lecz król przycisnął ją do serca i rzekł: — Nie wymawiaj się żono moja, Panu Bogu się tak podobało ukarać mię! Cóż dziwnego, żeście mię nie poznali, kiedy ja nie znałem sam siebie?

Zaraz tedy wydał rozkaz, aby owe słowa, co je kazał wymazać z Ewanielii św. Łukasza, na nowo w księgach zapisano, i czytywano w kościołach, i odtąd był pokornym i dobrym panem. Kto zaś to podanie przeczyta, niech westchnie i prosi Boga, aby go zachował od zbytniej pychy i zarozumienia.

(*Cz. P.*)

ZE DZWONA

o smętarzu wiejskim gadanie.

W pośród cichej doliny
Stoją lipy kaliny;
Wiatr obrywa liść kruchy,
I niesie zwiędły, suchy.
Szumią trawy mogilne,
Gną się krzewy bezsilne;
Czasem z piasku pościeli
Ludzka kość się zabieli,

I na kąty struchlałe,
Pokaże szczęki białe,
Ciemnemi spojrzy oczy,
Z których się piasek toczy,
I z zazdrości się chmurzy:
Że tyle stoi wzgórzy,
A jej domek wiatr burzy,
Rozrzuca ściany chłodne,

I posłanie wygodne —
Że ją zimny deszcz rosi
A kości kruk roznosi,
Białe żebra, piszczele,
Leżące przy kościele —
A sówka się chichocze,
Ze się oto kłopocze.

A dalej jeden z krzyży,
Jak najstarszy z żołnierzy,
Stoi w środku najwyżej:
Radby spoczął od stania,
Skrzypi, k' ziemi się skłania,
Od onych wichrów wiania;
Ale mu rozkaz dano,
Strzedz swą wiarę rozsianą,
Pokąd nie zmartwychwstaną.

Dalej brzózka żałosna
Co łzy sączy co wiosna,
I zawijką swych liści
Zarośnięty grób czyści...
Jak to poszła od ziemi,
I już równa z drugiemi.

A ten jawór zielony,
Dawnoż temu sadzony?...
Będzie... pamięć zawodzi,
Coś na szósty rok schodzi
Jak Jan pornął na łodzi, —
A powrócił bez łódki
Sztywny, zimny, cichutki —
. . . .
Kto też po nim nie szlochał!
Kto Janosza nie kochał...
Lecz łzy ludzkie pocieką!
Dziś pod drzewa opieką
Już mu dobrze i lekko,
Żadna mu łza nie cięży,
Tylko chłodny liść rzęży.

A kalina liściasta,
Już mi bramę przerasta,
I na drugą na stronę,
Zwiesza liście zielone,
I na lewo, na prawo
Coraz kapnie łzą krwawą.
Zatęskniła się młoda,
Krew zwyczajnie nie woda,
Ciche, dobre, hej szkoda!...

Zabrali go w sołdaty,
Popędzili za światy,
Kęś na Sybir daleki,
Popędzili na wieki,
Popędzili kozacy,
A był sprawny do pracy.

Matka idzie a płacze:
— Kiedyż ciebie zobaczę?
Co odchodzi nie ginie,
Bacz o dzieciach, o żonie...
. . . .
Hej jak kamień popłynie,
Jak to piórko utonie...

Cicho w głuchej ustroni,
Tylko stary dzwon dzwoni;
I gdy wioska ucichnie,
Słowik śpiewa Marychnie
Od wieczora do rania,
Aż głucho od śpiewania...
A ludzie słuchać muszą, —
Panie świeć nad jej duszą.

T. Lenartowicz.

Jarmark na ś. Annę.

W miasteczku był jarmark na świętą Annę, a ze wsi Smolęcina biegło wszystko, iście gdyby na odpust jaki. A było właśnie po deszczu, bo przez noc całą, gdyby z wiadra lało — to i nie kurzyło się wcale i słonko nie dopiekało.

Wojtek Basaj, najraźniejszy z całej wsi parobczak, a zasobny przytem, bo syn jedynak u matki wdowy, włożywszy na siebie suknie świąteczne, także się w drogę zabierał.

— A kiedyż powrócisz? — zapytała matka, spojrzawszy z upodobaniem na jedynaka — abym wiedziała kiedy ci tam pożywienie sporządzić.

— Powrócę, matusiu, nim na *Anioł Pański* zadzwonią, boć i nie wielkie mam interesa na jarmarku, jeno kosę kupić i od Szmula te pare złotwin odebrać, co mi je niecnota jeszcze winien. Pałkowie już poszli, a byłoby mi raźniej iść z niemi.

— Wstąp do Gieruszków: — Stacho poprowadzi krowinę na jarmark, co im zjałowiała do szczętu.

— No, to i bywajcie zdrowi, Matusiu. Panu Bogu oddaję.

— Niech cię Matka najświętsza prowadzi, mój synu! — poczciwe matczysko zrobiło znak krzyża świętego, wyszła za nim i stanęła w progu domostwa, bo aż niby napatrzeć się na niego nie mogła — wyrósł gdyby topol, a był pracowity i zaradny, jak pan Bóg przykazał: i do tańca i do rożańca — i do Boga i do ludzi.

Wojtek szedł sobie przez wieś i pogwizdywał wesoło, a naprzód już wysełał oczy ku jednemu domostwu na lewo. Ej, boć też tam mieszkała dziewucha, gdyby malina, Małgosia Sroczanka, za którą wszyscy okoliczni parobcy zerkali. Wojtek aż się wyprostował, gdy pod okna ładnej Małgośki podchodził. Ale tam nikogo dziś widać nie było — i wszedł do domostwa. Izba była jeszcze nie zamieciona, na kominku ogień przygasł, głowienki się powywracały, w koło stały garnki nie poumywane,

miski i łyżki — a wszystko w nieładzie. Na łóżku leżała kobieta z przewiązaną głową i raz po raz postękiwała.

— Niech będzie pochwalony... — ozwał się Wojtek.

— Na wieki... — odrzekła kobieta i spojrzała ku wchodzącemu.

— A cóż wam to, gospodyni? Czy, oj, chorujecie?

— Jużcić zaniemogłam w nocy ogniście — odrzekła Sroczyna.

— No, i tak jeno sami zostajecie?

— A bo mój jest w polu przy robocie, zaś Małgośka poszła z drugiemi na jarmark.

— To i któż wam tu poradzi w potrzebie?

— Przyjdzie Rózia Gieruszkowej i poratuje mnie kąsek.

— No, to i zostańcie z Bogiem!

— Bóg zapłać, miły chłopcze!

Wojtek szedł znowu dalej — ale jakoś mu się niby gwizdać nie chciało. Doszedł do domostwa Gieruszków, a gdy do sieni wchodził, posłyszał pieśń ładną, pobożną. Wojtek przystanął na chwilkę, a potem wszedł do izby.

W izbie czyściutko umiecionej stała na środku młoda dziewucha i masło robiła. Pod ścianą były dwa łóżka z porządną pościelą, równiuchno usłane, a nad niemi wisiały obrazy święte, umajone gałązkami świeżemi. Stoły, ławy i zydle było czysto umyte — a na pułce stały garnki i miski w porządku. W kominie ogień był przygaszony i popiół umieciony. Przy oknie obok skrzynki niebiesko pomalowanej, stał kołowrotek z cieniuchną przędzą. Wszędzie był ład i porządek, jak się przynależy.

Dziewucha, która sobie przy pracy śpiewała, nie była bardzo urodziwą, ale wyglądała czerstwo i zdrowo, i wcale jej wesoło patrzyło z niebieskich oczów. Miała na sobie czyściutką koszulę, sznurówkę granatową, cycową spodnicę i zapaśnik płócienny w prążki; włosy płowe gładziutko uczesane i warkocz na plecy spuszczony.

Wojtek stanął we drzwiach i pana Boga pochwalił.

— Na wieki... — odpowiedziała dziewczyna i poczerwieniała jak wiśnia.

— Jenoś to sama, Róziu? — zapytał parobek.

— A jużci, bo matusia już, oj, długa chwila, jak poszli ze Stachem na jarmark.

— Bódajś!... syknął Wojtek — a toćżem się spóźnił. I tyżeś na jarmark nie poszła, Róziu?

— A ja po co? W domu jest robota, a na jarmarku całe żadnego interesu nie mam.

Wojtek spojrzał na dziewuchę — i powiódł oczami po całej izbie; a było aż popatrzeć miło, że tak wszędzie czysto i schludno.

— Kiedyć-ta już poszli — wymówił znowu — to i ja za niemi poskoczę, a może i dopędzę jeszcze. Niech będzie pochwalony...

— Na wieki...!

Wojtek szedł szparko bo spieszno mu było — i tuż pod lasem dogonił kilka dziewuch i gospodyń smolenieckich, jako też i dwóch parobków.

Małgosia była wystrojona w bieluchną jak śnieg spodnicę, w czerwoną sznurówkę i zapaśnik zielony. Przy warkoczu piękne uwiesiła wstęgi i okapiła się od słońca żółtą chustką. Chichotała się ciągle, białe wyszczerzała zęby, głaskała włos ciemny — a oczy, gdyby węgle, tam i sam latały. Baraszkowałać też ze wszystkiemi.

Wojtek gromadkę powitał, a dziewuchy spojrzały na niego i poczerwieniały; znać każda chciałaby się spodobać młodzianowi chwackiemu.

— Małgosia idzie na jarmark, a matka w domu chora leży — zaczął, zbliżywszy się do niej.

— Jeno tak ją, oj, przeszło trochę zwyczajnie, i nic jej nie będzie — odrzekła lekkomyślnie dziewczyna.

— A jakież tam pilne interesa masz na Jarmarku?

— Wstęgę nową muszę sobie kupić na odpust do jarmulca.

— Daj go katu! A przecież ich masz tyle, i wszystkie gdyby tęcze jakie — i ujął końce wstążek, które się z pod chustki zwieszały.

— Gadałbyś! Stareć to już i uprzykrzyły mi się — odpowiedziała twarz krzywiąc.

Wojtek szedł obok niej, ale tak jakoś posmutniał, że mu się i zagadać odechciało. Inni gwarzyli, spiewali, a on wyglądał gdyby sęp jaki.

Tak i doszli do miasteczka. Wojtek poszedł za swojemi interesami: kupił kosę, a wybierał z jakie pół godziny; odebrał pieniądze od Szmula, kupił dla matki pare polewanych garnuszków i rządek kołaczów — a potem poszedł w rynek i jakoś znowu z dziewuchami się zeszedł.

Małgosia zajadała piernik i kupowała wstęgi, śliczności! Kupiła jednę i drugą, i czystem za nie płaciła śrebrem.

— Jakież to drogie, niech je kaci porwą! — pomruknął Wojtek, pokręcając głową.

— Ba i prawie! Co ma być drogie! Nie znasz się ani *krzty!* — skrzywiła się Małgosia, kładąc w koszyk kupione wstążki.

— To i powrócicie już teraz do Smolęcina? — zagadał Wojtek znowu, zwracając się do dziewcząt — pójdziemy razem.

— Oj, widzicie go! żeby też już wrócić, nie używszy jarmarku! — zawołała Małgosia i drugi piernik zajadać poczęła.

— A cóż - że myślisz tu jeszcze poczynać? zapytał Wojtek kwaśno.

— Co? Oj, u Gołobuckiej gra katarynka ogniście, i pójdziemy potańcować trochę. Poszedłbyś i ty z nami!

— A przecie matuś twoja doma choruje!

— To jeno trochę tak ją ziąb przeszedł... Chodźcie dziewuchy! Chodźże Wojtku!

Pobiegły naprzód. Wojtek wolniej szedł za niemi. A gdy weszły do Gołobuckiej, i Małgosia z jakimś parobczakiem na dobre wywijać poczęła — Wojtek wcisnął kapelusz na oczy, machnął kijem sękatym, zaklął jakoś i ruszył z kopyta ku domowi.

Jeszcze dobrze przed zachodem słońca do Smolęcina powrócił. Idąc obok mieszkania Sroki, wstąpił by zobaczyć, jak tam Sroczyna się miewa.

Leżała biedaczka w łóżku i stękała. Ale izba była umieciona, sprzęty pomyte i poustawiane w porządku.

— Jakżeż wam, gospodyni? — zapytał Wojtek, pochwaliwszy Pana Boga.

— Nic mi, oj, nic lepiej.

— A możeby wam matusię przysłać i czy nie żądniście czego?

— Toćże tu była Rózia, posprzątała i zgotowała mi też kąsek polewki... A Małgośka rychło tam powróci? — zapytało matczysko.

— Pewnieć i wróci. Przyślę wam matusię.

— Bóg ci zapłać i Matka Najświętsza!

Wojtek wybiegł — niby sobie gwizdał, lecz był zły gdyby osa.

Zajrzał do domostwa Geruszków — w sionce leżała płachta z świeżo pożętą trawą dla krowiny. W izbie nikogo nie było — lecz palił się ogień na kuchni i jakaś tam w czystych garnkach gotowała się wieczerza.

Wojtek wychodząc z chałupy gwizdnął sobie niby raźniej — w tem posłyszał wesoły śpiew Rózi. Zajrzał po za płot chróściany; dziewucha siedziała na zagonie warzywnym i pełła.

— A co tam robisz, Róziu? — zagadał do niej, a jakoś mu miło było na sercu.

— Widzisz, że zielsko wyrywam — odrzekła Rózia — a snadno to idzie po deszczu.

— Jeno że tam z garnków tymczasem wykipi.

— Gdzie tam! Już to ja utrafię, by nie wykipiało.

— Szczęść Boże! — i Wojtek szedł dalej, po pare razy obejrzał się za siebie, coś tam głową pokiwał, a potem wcale raźno zagwizdał.

Gdy przyszedł do domu i powiedział matce, że Sroczyna nie domaga, zawinęła się zaraz poczciwa kobiecina i pobiegła do sąsiadki.

Małgosia późno wróciła z wstęgami i paką pierników, w sponiewieranych sukniach, a jeszcze i żółtą chustkę zgubiła.

Biedna Sroczyna przez cały tydzień chorowała. Przytem i zmartwiła się trochę, bo Małgośka żaliła się przed nią, że Wojtek chodzi koło niej, gdyby zmyty i ani spojrzy, ani zagada — a nawet cale odwraca się od niej.

Dnia jednego zamówiła się umyślnie do Basajowej o poży-

czenie motowidła, właśnie w samo południe, kiedy wiedziała, że Wojtka napewne w domu zastanie.

Weszła, pochwaliła Pana Boga, zagadała do Basajowej. A Wojtek ledwo spojrzał, jeno tam coś kozikiem strugał.

Basajowa poszła po motowidło do komory, a dziewucha przystąpiła do parobka.

— Cóż, oj, tak strużesz, Wojtku? zapytała, białe pokazując zęby.

— Aby nie próżnować: ząb do bronów — odrzekł, i ani podniósł na nią oczów.

— Jakoś osowiałeś i zmarkociałeś niby?

— To, bo i człek tak zmienia się z czasem.

— A jakiż to ciebie kur opiał?

— Com go, oj, na jarmarku kupił. — Wojtek się porwał i szybko z izby wybiegł.

Małgosi aż świeczki w oczach stanęły.

Nadeszła Basajowa z motowidłem. Pogadały coś tam jeszcze — a potem dziewucha poszła do domu, *jakby nie swoja, jak cudza* — i aż pobladła nieboga.

Na tydzień potem, we czwartek, były *względziny* czyli *pytanki* u Gieruszków — gospodarz Pałka poszedł tam z Wojtkiem jako drużba, by o białą, zabłąkaną, dowiedzieć się gąskę. W sobotę odbyły się na dobre *zmowiny* czyli *zrękowiny*, — a w niedzielę spadli z ambony: Wojciech Basaj i Rozalja Gieruszkówna.

Żałko tam było pono Małgośce, gdy o tem posłyszała. Ale dobijała wszelako na weselu w nowiuteńkich szmatach i wstęgach.

Wojtek zaś często powtarzał: że ten jarmark na św. Annę dopiero mu rozumu do głowy napędził, poznał się na poczciwej pracowitej Rózi; że Małgośce jeno stroje na myśli a reszta za nic — i że uroda na licho się zdała, kiedy przy niej nie ma pracy, statku — i cnoty.

Małgośka zawsze pozostała jednaką, i też męża nie znalazła.

Paulina z L. Wilkońska.

KOLEJ ŻELAZNA.

Rozmowa Grzeli Łopucha z Walentym ze Smolnicy.
(Dokończenie.)

Wysłuchawszy wszystkiego tego, co opowiadał Grzela, odezwał się Walenty:

— Bogiem a prawdą, największe to wasze i was wszystkich nieszczęście, że najczęściej tam tylko chcecie własnym dochodzić rozumem, gdzie rozum wasz nie wystarcza zgoła. Jak macie kupić lub sprzedać wieprza roczniaka, to wszystkich znajomych i nieznajomych prosicie o radę, a kiedy jakieś ujrzycie dziwo, to do własnej głowy idziecie po rozum, i ani wam w myśli zapytać kogoś mędrszego od siebie.

— Grzela. Ta co tam pytać kogo? kiedy powiadam wam i ja i Bartek Krzywonos i Kuźma Ciołek wpadliśmy zaraz na jedno, że to diabeł, taj diabeł.

— Walenty. Nie dziwię się temu, mój Grzela! diabeł przykuty na wieki do ciemności, przewiduje się zawsze jeno po ciemku — toć i w waszych głowach musi być ciemno jak w rogu, kiedy pierwsza myśl zaraz o diable. Na własne oczy widzieliście rzecz która was tak zadziwiła, a nie umiecie jej nawet nazwać po ludzku. Ciągle wam na języku jakiś *Ajzyban*, co to ani niemieckie, ani polskie słowo, ale tak jakieś pomieszane, że jeszcze stokroć gorsze od cygańskiego lub żydowskiego.

— Grzela. Kiedyć bo tak mówił ten stróż, co stał przy rogatce.

— Walenty. I cóż z tego? Toć gdyby ten stróż mówił po cygańsku, to i wy zaraz uczciwą gębą gospodarską macie cygańskie szwargotać słowa? Dla czegóż nie mówicie *kolej żelazna*, kiedy to jakoś i milej i dźwięczniej dla ucha i zrozumialej dla każdego.

— Grzela. Tać prawda, ale mniejsza o to, niech tam sobie będzie i kolej żelazna — jeno że ja zawsze obstaję przy swojem że to sprawa czartowska.

— Walenty. Tak ci samo czartowska jak i pług i brona i młyn i młocarnia i sieczkarnia — wszystkoć to polega na

wymyśle ludzkim. Rozum ludzki co wynalazł pług, bronę, młyny, młocarnie, sieczkarnie, doszedł powoli i do wynalazku kolei żelaznej. A żebyście tylko zechcieli posłuchać uważnie, tobyście sami własnym poznali rozumem, że nie ma w tem nic tak dziwnego, żeby aż diabła trza wzywać do pomocy.

Grzela. Zaco bym nie posłuchał? posłucham, byle tylko lazło do głowy, bo to przecie rzecz bardzo ciekawa jak się taki cud dzieje na świecie, jak mówicie bez pomocy diabelskiej.

Walenty. A powiedźcie mi, mój Grzela, jeżeli wodę gotujecie w garnku a przykryjecie ją mocno pokrywką, jak myślicie, to diabeł podnosi pokrywkę kiedy woda zaczyna kipić?

Grzela. At co też gadacie! a cóżby tu, odpuść panie, zły duch miał do czynienia! Toć nie co, tylko para podnosi pokrywę.

Walenty. Otóż dowiedźcie się, że nie co, tylko para ciągnie wozy po kolei żelaznej.

Grzela. (zdziwiony): Co też to gadacie para! para! (śmiejąc się) at figle wam w głowie, panie Walenty.

Walenty. Nie możecie tego pojąć od razu, ale ja wam zaraz wytłumaczę na rozum, mój Grzela. Wiecie przecie, że woda jak się mocno rozwarzy i rozkipi, to ucieka w parę, podobnie jak i para kiedy zastygnie i zgęstnieje, to przechodzi w wodę.

Grzela. Toć prawda; podnieść tylko pokrywkę z kipiącego barszczu, a zaraz cała zaleje się kroplami, a chuchnąć jeno w dłoń, to zaraz wilgoć osiada.

Walenty. Otóż widzicie, mój Grzela, potrzeba tylko okrutnie rozegrzać wodę, a zaraz wam będzie parowała i jeżeli nie zgasicie ogień, to nie przestanie parować, aż wam cała uleci. A ta para jak wiecie sami, koniecznie pnie się w górę, a zamknięta nawet w małym tylko garnku, tyle ma siły, że pokrywkę zrywa z wierzchu.

Grzela. Toć prawda, o tem to już i moja baba wie.

Walenty. A widzicie, cały wynalazek kolei żelaznej na tem stoi jedynie. Ta maszyna na przedzie, coście ją mieli za schowek diabła, to tylko na prawdę wielki kocioł jak w gorzelni, z wielkim piecem i takiem urządzeniem, że wszystka woda w nim przechodzi w gęstą i silną parę, a ta para nie

może wymykać się w powietrze, ale musi całą mocą cisnąć naprzód i tym sposobem pociąga za sobą nietylko całą maszynę, ale i wszystkie przyczepione do niej wozy.

Grzela (łapie się oboma rękami za głowę). Dla Boga co ja słyszę! Toć w tym wielkim kotle gotuje się woda, z wody idzie para, a ta para nie mając drogę uciekną́ć, wszystka naraz ciśnie naprzód i tym sposobem ciągnie cały Ajzy... chcę mówić wszystkie wozy za sobą.

Walenty. A tak, nie inaczej, mój Grzela, para prąc i rwąc się z okrutnym naciskiem naprzód, ciągnie wozy tak szybko i gwałtownie, jakby żadne konie tego nie potrafiły, a ten co stoi przy onym kotle, to tylko uważa, żeby znowu za wielki od tej pary nie był nacisk, i też dla tego znowu są żelazne szyny wszędzie położone po drodze, aby koła wozów toczyły się szybko i regularnie i nie nabawiły nieszczęścia. I wreszcie kiedy najlepszemi końmi i najlepszym wozem na godzinę zwyczajnie nie ujedzie się jak milę, to po kolei żelaznej z największemi ciężarami robi się przynajmniej cztery mil na godzinę.

Grzela. Mocny Boże co ja to słyszę! Ale zmiłujcie się, panie Walenty, komuć to przyszło pierwszemu na rozum, żeby w ten sposób takową parę zaprzęgać bez lejców i naszelników do tyla wozów i poganiać tak prędko, a nie potrzebując ani machnąć biczyskiem.

Walenty. Jak wszystko na świecie, nie od razu rozwinął się i ten wynalazek. Jeszcze przed dwiestu laty przyszedł on był na myśl pewnemu Francuzowi, ale czy on sam nie umiał go jeszcze jasno wypowiedzieć, czy świat nie umiał go dobrze zrozumieć, dość że biednego Francuza wzięto za warjata i zamknięto w domu obłąkanych. I całe dwieście lat nikt już nie wspomniał o tem, aż na początku naszego dopiero wieku Anglik, imieniem Watt, urządził z własnego wymysłu pierwszą maszynę parową, a drugi Anglik Stefenson użył tej maszyny do kolei żelaznej.

Grzela. Mocny Boże, co to może rozum ludzki!

Walenty. Przez miesiąc cały, mój Grzelu, nie opowiedziałbym wam wszystkich dobrodziejstw i korzyści, jakie spłynęły na świat z tego zbawiennego wynalazku. Ile to przez to oszczędzili sobie ludzie tego najdroższego skarbu na świecie — czasu. Zamiast

kilka dni spędzać na jakiejś koniecznej podróży, człowiek obywa się kilkunastą godzinami. A ileż jeszcze to kosztów, ile trudów oszczędza się człowiekowi! A z handlu jakie zyski! Ciężkie bryki co ledwo sześcią końmi mogły wlec się noga za nogą, przelatują dziś jak ptaki sto mil blisko na dobę, więc i towar musi być tańszy i zysk dla kupca większy. At, żeby wam dobrze powiedziećna rozum, przypomnijcie sobie jakeście za młodu woły pędzili do Ołomuńca.

Grzela. Ojoj, co to się człek nabiedował w drodze, a co kilka mil to jakiś przypadek! kilkanaście sztuk najmniej musieliśmy zawsze zostawić w drodze, a reszta na pół schudła nim doszła.

Walenty. Otóż widzicie, dziś jednego dnia z wołami siądziecie na kolej w Przeworsku, a na drugi dzień jesteście w Ołomńcu.

Grzela. A niechże pan Bóg błogosławi tej kolei i tym ludziom co ją wymyślili! Jużci kiedyście mi tak wszystko dobrze wytłumaczyli, to już wiem co kolej i muszę też zaraz wszystko opowiedzieć w niedzielę w naszej gromadzie, aby wszyscy wiedzieli, że to nie jest żaden wynalazek czartowski.

RÓŻNOŚCI.

Co lepiej: podwodzić czy też łagodzić? Pewien książę za jakieś tam ważne przewinienie skazał był jednego ze swoich sług na śmierć. Napróżno nieboraczysko chciał pana ubłagać, prosił, zaklinał, całował po nogach — książę zawziął się okrutnie: nie i nie — i odtrącił niemiłosiernie sługę a żołnierzom rozkazał aby go precz wzięli. Wtedy skazany widząc, że już nie wyprosi się od śmierci, srodze się na księcia obruszył, co był taki nieczuły i począł strasznie na niego wyzywać. Książę wprawdzie zmiarkował, że on tam coś bardzo wykrzykuje, ale z daleka nie mógł słów zasłyszeć; więc zapytał jednego ze swoich dworzan, co by on mówił? Dworzanin, widać jakiś uczciwy człek, nie chcąc księcia jeszcze bardziej drażnić, powie:

— Mości książę! on mówi iż ten co okaże miłosierdzie na tym świecie, dozna go na tamtym, gdzie wszyscy będą zarówno sądzeni, tak wielcy jak mali.

Książę wzruszony temi słowy, podarował życie winnemu. Aliści był tam drugi dworzanin, człek kiepski co jeno na każdego podwodzić lubiał. Ten się teraz odezwał:

— Mości książę, to nieprawda! ten nędznik coś go teraz ułaskawił, nie wart tego bo on ciebie przeklinał.

Książę zdumiał się na razie i pilnie spojrzał po jednym i drugim dworzaninie. Nareszcie rzekł:

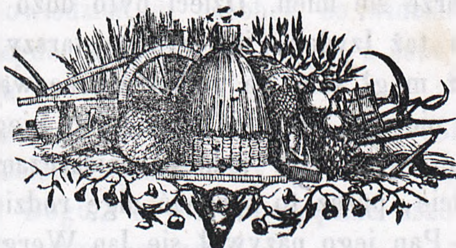
— Łaski mojej nie cofam. Tobie zaś coś mi prawdę powiedział, mówię żeś gorszy od kłamcy. On kłamiąc, ocalił życie bliźniemu, ty mówiąc niby prawdę, chciałeś go zabić. Wszakże, dodał zwracając się do pierwszego — nie kłam mi odtąd.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II. Nr. 7.

1. Marca 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Izydor,

patron rolników.

O! nie wiecie wy ludkowie,
Jak za dawnej tam pamięci
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.
F. M.

Kto był ten święty Izydor? — Byłże on pan jaki możny co posiadał włoście i dostatki, i dużo jałmużny rozdawał między ubogich? — Lub może on jaki Biskup sławny, tak jak św. Wojciech albo św. Stanisław? — A jeśli nie, to zapewne jaki bogobojny pustelnik, co na dalekiej puszczy ostry żywot prowadził? — Oj nie, moiściewy! Nasz święty Izydor nie był ani panem tak wielkim, ani sławnym Biskupem, ani też pustelnikiem, ale był on sobie wieśniaczkiem tak jak każdy z was, synem ubogiego rolnika, pracujący też na kawałek chleba w pocie czoła.

Kiedy się rodził, to już temu bardzo dawne czasy, bo będzie ze siedemset i kilkadziesiąt lat. A rodził się w kraju Hiszpańskim, od nas strach jak daleko, bo aże za Francją nad samem morzem.

Rodzice jego, ludziska uczciwi i bogobojni, choć ta niby siedzieli na własnej zagrodzie i byli sobie gospodarzami na roli, niekoniecznie dobrze się mieli. Dzieci było dużo a chleba przyskąpo. — Skoro też Izydor, ich syn najstarszy, przyszedł do swoich lat że już mógł sam na siebie zapracować, a zmiarkował że w domu nie ma co robić, bo i bez niego dadzą sobie radę, zabrał się i stanął u jednego mieszczanina na służbę. Chciał on, widzicie, przez to sprawić ulgę rodzicom co ich tak wielce kochał. — Pan jego nazywał się Jan Wergas, a był setny bogacz: miał kilka murowanych domów w mieście i spory kawał ziemi za miastem. Izydor zgodził się do niego za parobka.

Służyłoć ich tam więcej razem, ale żaden ani się umył do niego. On pierwszy stawał do pracy, a szedł ostatni na odpoczynek i spanie. Nikt go nie widział próżnującym; czy był jaki nadstawnik albo nie, on robił swoje i na nikogo się nie oglądał. Rola po której chodził pług Izydora, najczyściej była sprawiona; jego siejba zawsze najlepiej wypadła, a bydło któregoć doglądał, takie wam było rozkoszne, jakby nie na tym samym obroku chowane co i drugich. — Widział to pan i bardzo sobie polubił Izydora. Nie tak zaś jak inni parobcy. Ich to mierziło że Izydor nie trzymał się jednej z nimi kompanii, że ani sam ani drugiemu nie pozwolił w niczem co się nazywa ukrzywdzić pana, że wolał iść do kościoła jak do karczmy na zabawę — krótko mówiąc, nie podobał im się, przezwali go między sobą pańskim lizunem i bardzo nad tem przemyśliwali, jakby go z łaski pana wysadzić. Długo nie udawała im się ta sztuka — aż ci razu jednego któryś tam z nich zajrzał na pole, gdzie pracował Izydor. Patrzy, na zagonie stoi pług, przed wołami leży wiązań siana, a Izydora nie było. W bliskim kościółku dzwoniono na mszę świętą.

Parobczak z tego co widział tak się uradował, jakby jaki skarb wielki znalazł i co tchu pognał do swoich.

— Hej, hej! wrzeszczał na całe gardło, górą nasi, górą!
— Co tam powiesz? pytają drudzy i obstąpili go do koła.
— Trzeba zaraz iść do pana na skargę.
— Na skargę? czy cię opętało! a to na kogo?
— Jużcić że nie na was, jeno na Izydorka naszego.

— Albo co zbroił? gadaj, gadaj! zakrzyczano ze wszystkich stron.

Dopiero opowiedział im parobek co widział na swoje własne oczy: że Izydor odbiegł od pługa a sam poszedł jak się zdaje do kościoła.

— At głupiś ty! zawołali drudzy — to i cóż w tem złego że chodzi do kościoła? jeszcze by go za to pan pochwalił że taki pamiętny o Bogu, a tobie porządnie uszów natarł cobyś z taką skargą do niego przyszedł.

— Nie bójcie się! na to rzeknie pierwszy, i uśmiechnie się gdyby Judasz zdrajca — nie natrze on mi uszów, nie! bo ja nie głupi powiadać o kościele. Ho, ho, nie bito mię w ciemię — jak mu wezmę łgać, że Izydor nie pilnuje swojej roboty, że jeno ciągle gdzieś łazi, Bóg go tam pilnuje gdzie? do karczmy czy nie do karczmy? — tak zobaczycie, że musi uwierzyć i na przekonanie sam tu zjedzie nazajutrz.

Było tam kilku lepszych między nimi, którzy się na kłamstwo nie godzili; ale więcej znalazło się takich co sobie z tego żadnego nie robili sumienia, byle jeno drugiemu dokuczyć. Oni to uradzili, żeby wieczorem któryś skoczył do miasta i doniósł panu o wszystkiem. I tak się też stało — pan z razu nie chciał wierzyć i omal co za drzwi nie wytrącił parobka, który wygadywał na Izydora, tak go to rozgniewało. Ale jak mu się ten wziął kląć na duszę, a prosić iżby się sam przekonał — tak nareszcie pomyślał sobie: kto wie, może też i prawda! i obiecał dochodzić tej rzeczy. — Nazajutrz skoro już wszystko powychodziło w pole, nadjeżdżać pan z miasta. Właśnie w tym czasie na mszę świętą dzwoniono. Izydor wedle zwyczaju rzucił trochę siana wołom żeby sobie przez ten czas przegryzły, a sam co tchu skoczył do kościoła pana Boga pochwalić. Inni parobcy uwijali się żwawo przy robocie, bo wiedzieli że pan przyjedzie i chcieli się przed nim popisać. Ale pan jakoś cale dziś nie zważał na ich pilność ani też ich pochwalił — surowym głosem powołał wszystkich i rzekł:

— Chodźcie za mną! jeżeli to prawda że Izydor, którego ja dotąd miałem za najlepszego sługę, krzywdzi mię w robocie, niechże go zawstydzę i ukarzę przed wszystkimi; jeżeli znowu

inaczej się przekonam, wtedy biada kłamcy co mię chciał na Izydora podjudzić i wam coście go do mnie przysłali.

Parobcy okrutnie się przestraszyli, bo im sumienie wyrzucało że skłamali; ale wycofać się już było po niewczasie — pan zachmurzony ruszył naprzód, oni też wedle rozkazu powlekli się za nim. Niebawem stanęli na polu, gdzie pracował Izydor. I cóż oni tam nie zobaczą!... po zagonie chodzi pług; za pługiem anioł o białych skrzydłach, niebieską otoczony światłością, kieruje pięknie robotą, a woły pysznie pozadzierały karki jak gdyby im nic a nic ciężko nie było. Piorunem odbywała się ta cudowna robota; zagon po zagonie jeno się migał, a każdy niby pod sznur tak prościuchno był wyorany i zanim powrócił Izydor, już do połowy rola była sprawiona. Nie wszyscy ale dopatrzyli tego cudu: widział pan, widziało jeszcze kilku lepszych parobków co się kłamstwem brzydzili; reszta zaś jako niegodni, widzieli jeno pług stojący na polu, i wiązań siana leżącą przed wołami, i że Izydora nie było. Więc kiedy pan i inni upadli przed cudem Bożym na kolana i złożyli ręce do modlitwy — to oni jeno z podziwu rozdziwiali gęby i stali jak malowani, bo nie wiedzieli co to ma znaczyć. — Nareszcie wraca Izydor z kościoła i sam się zadziwił, co oni tu wszyscy porabiają? Dopiero pan mu opowiedział, jaka zaszła skarga na niego i bardzo go przepraszał, że kłamcom uwierzył. Powiedział mu także, jaki cud stał się podczas jego niebytności i polecił siebie i swoją rodzinę jego modlitwom, miarkując teraz jak wielką łaskę miał Izydor u Boga. Zaś onych niedobrych parobków chciał natychmiast ukarać i ze służby wydalić. Ale Izydor wyprosił ich od kary i tak sobie tą swoją dobrocią ujął wszystkich, że odtąd kochali go i szanowali gdyby własnego ojca.

Była w tej wsi jedna uboga dziewczyna, sierota po ojcu co ją odumarł jeszcze maleńką. Siedziała ona wraz z matulą niebogą komornem u dalekiego krewniaka. Nikt ta na nią we wsi nie zważał, chociaż dziewuszka pięknie wyrosła i zakazywała się na dobrą gospodynię. Aleć jak to mówią: *Bóg dobrze radzi o swej czeladzi* — nie dał on sierotce marnie zginąć i przeznaczył jej na męża Izydora. — Raz po mszy świętej wracając do dom matka z córką, spotkały na drodze Izydora. Spodobała mu

się od razu dziewucha, on też jej przypadł do serca — wkrótce potem pobrali się oboje. Pan w nagrodę wiernej służby wydzielił Izydorowi kawał gruntu i podarował na wieczne czasy. Izydor zaś swoją część z ojcowizny zdał na młodsze rodzeństwo.

Jak dotąd był najlepszym sługą, tak ci teraz stał się najlepszym gospodarzem. Żona mu też dopomagała wiernie, ulegając we wszystkiem woli mężowskiej, jak na uczciwą kobietę przystało. — Kłótni między małżeństwem nie zasłyszałeś tam nigdy — święta zgoda panowała w tym domu; to też pan Bóg błogosławił im w pracy i z każdym rokiem dziwnie pomnażał ich dostatek. U innych gospodarzy grad wybił zboże do szczętu — Izydorowe pole choć tylko o staję daleko, zostało nie tknięte. U sąsiada w chałupie wybuchł pożar, ogień dochodził aż do strzechy Izydora, a przecie się nie zajęła. To znowu raz padła we wsi zaraza na bydło, keżdemu ile tyle sztuk odeszło, a Izydorowi ani jedna. — Nie dziwowali się temu ludzie wcale, bo powiadali że Izydorowi sam pan Jezus pomaga — ani też zawidzili mu dostatku, bo widzieli, że go nietylko sam pożywa, ale i drugim co potrzebni, miłościwie udziela. Bo i prawda! nie było w całej wsi jednego gospodarza, któregoby nie poratował w złym razie: jednego groszem, drugiego ziarnem, trzeciego dobrą radą, czwartemu znowu dopomógł w robocie, pożyczył pługa, brony, wozu, siekiery i wszelkiego narzędzia jeślić było potrzeba — słowem niczego nie żałował. Dla ubogich był też prawdziwym ojcem: gdy przyszedł głodny, to go nakarmił, gdy przyszedł nagi, wnet go w własną bieliznę ustroił — taki był szczery, taki miłosierny, żeć od własnych ust odjął, a dał ubogiemu. I jakżeż go nie mieli ludzie kochać, a pan Bóg błogosławić!... Już też za życia pan Bóg okazywał mu łaskę swoją. I tak razu jednego rozdał był wszystek chleb, co go miał w komorze, między żebraków. Aż tu późno wieczorem przywlokła się jakaś staruszka niemocna i okrutnie głodna, i prosi Izydora o jałmużnę. Krucha rada, czem tu obdarzyć staruchę?... Komora pusta, dopiero nazajutrz mieli ją zaopatrzyć; z wieczerzy też nic a nic nie zostało. Odprawić z niczem ubogę, tegoć Izydor nie mógł przenieść na sobie. I westchnął zakłopotany do pana Boga, a potem pełen ufności w łaskę Jego obróci się do żony i rzeknie:

— Pójdź-no do komory i wynieś ubogiej co znajdziesz.

— Ależ mężu, odpowie żona łagodnie — chybaś zabaczył że się dziś wszystko rozdało?

— Idź no, idź moja ty! nalega Izydor — da Bóg może się co i znajdzie.

Żona posłuszna mężowi, nic już nie mówiąc, poszła i z wielkiem podziwieniem zastała wszystkie beczki i sagany cudownie napełnione mąką, kaszą, krupami i innem jadłem.

Drugą razą dźwigał Izydor do młyna pełny wór pszenicy. Z nim razem szedł sąsiad, a także ze zbożem do młyna. Na drodze zajrzeli gromadę ptaszków, którym głód widać niemiłosiernie dokuczał, bo strasznie to maleństwo piszczało. Więc Izydor że był bardzo czułego serca, ulitował się nad tem i począł garściami sypać pszenicę po drodze. Zanim doszedł do młyna, z worka prawie do połowy ziarna ubyło. Śmiał się z niego sąsiad — ale gdy przyszło do mlewa, pokazało się, że wór Izydora choć nadebrany, więcej mąki wydał, niż pełny jego sąsiada. — I dużo jeszcze takich cudów czynił Bóg, aby świat o tem wiedział, w jakiej łasce był u Niego Izydor, prosty chłopek.

Kto żył jak przynależy, uczciwie i wedle przykazania Boskiego, ten nie dozna strachu przed śmiercią. — Przeczuwał Izydor bliski swój koniec, i powołał całą wieś do siebie na pożegnanie. Z razu posmucili się wszyscy że go już utracą; ale skoroć go zobaczyli, jaki był wesoły i uśmiechnięty na twarzy, zaniechali smutku bo im się nie zdało, aby ktoś z takiem weselem umierał.

On im powiadał: — Za chwilę panu Bogu ducha oddam — ale nie macie się czego smucić. Choć przestanę żyć między wami, taki ja o was zawsze pamiętać będę i pana Boga prosić, aby wam się dobrze działo. W waszym stanie ja się rodził i nie wyrzekłem go się do ostatka. Jako chłopek, obstawać też będę przed naszym Ojcem niebieskim za chłopkami. Ale też i wy, bracia moi, nie zechcecie mi robić przykrości. Kto mię kocha, ten będzie żyć pracowicie, uczciwie, w zgodzie i bratniej miłości między sobą. Każdy grzech wasz zaboli Izydora, patrona waszego — toż pamiętajcie na to i wystrzegajcie się grzechu.

Po tych słowach już nie było Izydora na świecie. Umarł jak umierają Święci Pańscy, z jasnem obliczem, uśmiechający

się do anioła, co jego duszę czystą na białych skrzydłach uniósł do nieba.....

Święty Izydorze módl się za nami!

Spiewka o umierającym żołnierzu.

(Złożył do składu Bartłomiej z pod Wiśnicza.)

Hej na łące zielonej
Leży żołnierz skrwawiony —
Leży Jasio z raną w piersi,
Koło niego dwaj najszczersi.
Kamraci jego —
Kamraci jego!

— Bądźcie zdrowi kamraci,
Pan Bóg niech wam zapłaci —
Niech ja tu już marnie zginę,
A wy wróćcie w swą krainę,
Do rodzinnej wsi —
Do rodzinnej wsi!

Wyjdą matuś stareńka,
Spytają o Jasieńka —
Wyjdzie róża co rozkwita,
Kasia moja i zapyta:
„Gdzie kochanek mój —
Gdzie kochanek mój?"

Więc odrzeczcie matuli:
— „Jasia twego zakłuli —
Obca ziemia go przykryła,
Na pamiątkę ci przysyła
Chustkę z swoją krwią —
Chustkę z swoją krwią!"

Potem rzeczcie Kasience
Że mam pierścień na ręce —
Niech nie płacze zbyt nieboga,
Niebawem u pana Boga
Obaczym się znów —
Obaczym się znów. —

HISTORJA

o kłótniach Szeligów i Berdyszów, dwóch kmiecych rodzin w Gajowie — i jak się pogodzili z sobą.

Przez

Józefa z pod Krakowa.

Ci, co się staremi dziejami zajmują, w księgach odwiecznych siedzą i szperają, wiedzą dobrze, jak to nieraz na świecie swarzyli się królowie z królami, wielcy panowie z innymi wielkimi panami. Wiedzą także, ile to złego z tego powstawało, ile jedni i drudzy na tem cierpieli, ba nawet i tacy, którzy temu nie byli winni. Święta zgoda zawsze najlepsza! Ale chociaż mądrzy ludzie wiedzą i piszą o tych smutnych historjach, nie wiedzą pewnie, że i w Gajowie, sąsiedniej wsi ode mnie, od dawna, bo od sześćdziesięciu lat prawie, była wielka kłótnia i niezgoda między dwiema najbogatszemi kmiecemi rodzinami, która także niemało narobiła złego, a teraz, chwała Panu Bogu, szczęśliwie się zakończyła. Bo jużció, jeśli królowie się swarzą, to słychać w ich królestwach a nawet na całym świecie; jeśli zaś kmiecie gajowscy, to tylko w Gajowie, chyba że tam ludzie z sąsiedztwa o tem pogwarzą, jak na ten przykład ja dzisiaj. —

Gajów piękna to a wesoła wieś. Jest ci tam, jak to powiadają: mąka i łąka, grzyby i ryby. Pola dobre, pszeniczka na nich stoi jak mur — łąki i pastwiska doskonałe, że się bydło pięknie chowa — jest ładny lasek i kilka rybnych stawów, tak że całe przysłowie stosuje się do Gajowa. Na niewielkiem wzgórzu stoi dwór murowany — tuż przy nim z pośród odwiecznych lip wygląda kościół starożytny i piękny — niżej plebania i organistówka, a w około wzgórza wzdłuż drużyny rozłożyły się chałupy kmieci i zagrodników białe, schludne a zasobne widać, bo i stodółki niemałe i innych pobudynków siła, jak na pańskim folwarku. Poniżej wzgórza mruczy sobie strumień obsadzony olchami i klekocze młynek — a dalej już na wschód i zachód bujne pola to dworskie, to chłopskie dobrze uprawione,

ciągną się z jednej strony pod las jodłowy, a z drugiej spuszczają ku zielonym łąkom, co je niebieski wężyk rzeczki przekrąża. Duża znać wieś, bo ledwie daleko gdzieś widać rzekę wielką, a za rzeką inne wsie i sadyby.

Gajów słynie zamożnością pana i chłopów. Mówią o niejednym, że ma konewkami cwancygiery i talarki w domu, czego dziś u nikogo w mieście nie uświadczy. Gospodarstwo idzie jak z płatka: bo i pan dobry i ludzie pracowici. Chociaż pańskiego już nie ma, zachował się w Gajowie zwyczaj pomagania sobie nawzajem. Pan nie żałuje żadnemu chłopu ani drzewa na budowlę, ani pastwiska za mierny odrobek, a jeśliby, czego Boże broń, zgorzał, to i za darmo; pani poratuje gdy kto chory; proboszcz, poczciwy starowina pomaga co może, a uboższemu ostatniej posługi nie żałuje, choćby mu nie zapłacono. Ale też i ludzie uczynni i wdzięczni. Robotnika nigdy niebrak, a jak pan zawoła, to rojem garną się żniwiarze i żniwiarki i nie zdarzyło się, aby który poszedł za ogranicę dla kilku krajcarów więcej, albo żeby panu dla nieżyczliwości ludzkiej zboże na pniu zrosło. Sam widziałem jak przy niepewnej pogodzie, chłopi Gajowscy z własnej ochoty przyszli na tłokę po miesiączku, co wdział lisią czapkę, i bardzo jakoś deszczem groził — a pan nazajutrz zobaczył stojące kopy na łanie. Ucieszyło się też uczciwe panisko i wyprawiło sute okrężne, a panicze młodzi wychulali pracowite żniwiarki Gajowskie i pan sam zaczął taniec z starą Tomaszową, a pani ze starym Tomaszem Szeligą.

Z tego com wam dotąd opowiedział, zdawałoby się, że ten Gajów to raj prawdziwy. Gdzie tam! *nie ma takiego kącika, gdzieby nie było krzyżyka.* Otóż i w Gajowie był krzyżyk. Cały tydzień było spokojnie, jak makiem nasiał — ale za to w każdą niedzielę, w każde święto, tartas i rwetes! Ledwie się skończą nieszpory, aliści wszyscy do karczmy, a jeszcze byś pacierza nie zmówił, już krzyk i bitki. Często musiał sam pan lub proboszcz wdawać się w sprawę i rozganiać. Myślałby kto, że Gajowianie byli wielcy pijacy — ale i to nie. Pan, chcąc przeszkodzić pijatykom, wypędził z karczmy żyda arendarza, co to zwykle ludzi do kieliszka nawodzi i osadził w niej własnego sługę, statecznego i poczciwego człowieka, aby szynkował.

Ten miał wyraźny rozkaz, aby ludzi ile możności wstrzymywał a na bórg nie dawał. Nie byli więc Gajowianie pijakami — jeno ich co innego do karczmy i bitki ciągnęło.

Najzamożniejszymi kmieciami w Gajowie byli, jakeśmy rzekli, Szeligowie i Berdysze. Każdy miał po kilkadziesiąt morgów dobrego gruntu, trzymał cztery dziarskie koniki i po parze wołów, a krowy i jałownik nie ustępowały pańskiemu. Mieszkali w sąsiedztwie najbliższem, tak że płoty zagród stykały się z sobą a chałupy patrzały na siebie. Nikt lepiej nie gospodarzył w całej wsi, nikt tak nie pracował jak Berdysze i Szeligi. Na Tomaszu Szelidze i Macieju Berdyszu zawsze najlepszy kożuch i sukmana jak z igły — na Maciejowej i Tomaszowej najlepsza spodnica i chustka — a korale jak orzechy włoskie. Ale cóż z tego: Szeliga nie cierpiał Berdysza a Berdysz Szeligi. Jeżeli się spotkają, nie powiedzą sobie: Niech będzie pochwalony — ale jeden i drugi klną pod nosem i patrzą na siebie jak zbóje. Jeżeli Maciejowa spotka Tomaszową, to nuż jedna na drugą wołać: a ty taka, a ty owaka! aż Tomasz i Maciej wylecą z chałup z kijami i bitka gotowa. Jeżeli parobek Tomasza jedzie na wozie a spotka się z Jankiem, synem Berdysza, jeden drugiemu nie wyminie na włos, jeno lecą na siebie jak opętani i nuż batami się smagać aż się pokrwawią, a kiedy się przecie jakoś wyminą, to jeden na drugiego woła z daleka: Poczekaj bestyjo! odekpi się to odekpi! A co najgorsza, cała wieś podzieliła się: jedni trzymają z Berdyszem, drudzy z Szeligą. Jeśli się żenią, to tylko między swemi, jeśli stawiają chałupę, to po stronie tego albo owego, *na Berdyszowskim lub Szeligowskim końcu.* Jeśli się kto Gajowiana pyta: zkąd jest? to musi potem spytać: z którego końca? a Gajowian odpowiada: z Berdyszowego albo Szeligowego. Toż kiedy się zejdą w karczmie, nie ma rady: muszą się kłócić i swarzyć, od słowa do słowa, a jużci bitka gotowa — a lgną do karczmy jak na lep, nie żeby się zabawić, jeno żeby się wybić. Jednej niedzieli wybije Berdyszowski koniec Szeligów, w drugą gotują się Szeligi, aby oddać Berdyszom wet za wet i to z procentem.

Co też to pan i proboszcz się nie natrapili! Jeden i drugi o zgodzie kazania prawi, pan we dworze, proboszcz w kościele.

Proboszcz grozi, że nie da rozgrzeszenia przy spowiedzi — a Berdysz i Szeliga niby się to godzą — tydzień albo dwa cicho — aliści diabeł nie spi i zaczyna się dawna termedya. Proboszcz woła obu do siebie i grozi znowu:

— To ten, z przeproszeniem Dobrodzieja, psiawiara Berdysz winien, mówi Tomasz —

— To ta bestyja Szeliga, krzyczy Maciej i ani rusz ich pogodzić.

A ta niezgoda niby to chwast, co się w ziemię Gajowską wkorzenił, trwa już pono sześćdziesiąt lat. Dziad Berdysza, jak Szeligowie gadają, zaczął — Berdysz utrzymuje że dziad Szeligi. To pewno, bo i proboszcz tak powiada i pan z papierów dominikalnych doszedł, że się kłótnia zaczęła o kopce graniczne między rolami obu kmieci. Dziad jednego rozburzył kopiec i posunął go dalej, podczas gdy drugi był na wojaczce; a ten wróciwszy, zamiast się domagać sprawiedliwości u sądu, sam sobie ją zrobił, posunąwszy w innem miejscu kopiec o dwa zagony. Odtąd zaczęła się wieczna bitka; rokrocznie jeden drugiemu nie dał ani orać ani zbierać; aż nareszcie, gdy raz byli oba pijani, wszczęła się między nimi kłótnia, od kłótni przyszło do cepów, które mieli w ręku, od cepów do nożów i oba pokaleczyli się śmiertelnie i pomarli oba. Powiadają, że nad kopcami granicznemi słychać często jęki bolesne i ludzie utrzymują, że to dusze obu nieboszczyków. Pastuch widział białe ich duchy, płaczące gorzkiemi łzami na miejscu, gdzie ciężki grzech naruszenia cudzej własności popełnili. Synowie ich a ojcowie dziś żyjących w Gajowie kmieci, zamiast się upamiętać, szli dalej drogą ojców. Dawalić oni wprawdzie grubo na msze i na wywoływanie duszyczek pokutujących — ale nie pamiętali, że lepsza poprawa życia niż fałszywe nabożeństwo — że się modlili pod figurą, a tegoż samego diabła mieli za skórą.

To też i oni smutny mieli koniec. Wdali się w prawo, ale zamiast czekać wyroku, robili sobie sami sprawiedliwość, jak przódy. Zamiast zaufać słuszności swojej sprawy, jęli przekupywać mandatarjusza, a że to był człowiek nieuczciwy, więc nie skończył procesu, ale zostawił rzecz jak była, aby większe z nich mógł zyski ciągnąć.

Tymczasem wieś cała powoli dzieliła się na dwie połowy. Obaj kmiecie mieli dużo dzieci, więc krewniaków dużo urosło. Ów stryk, ów wujek, ów znowu zięć — a gdzie już krewniactwa być nie mogło, to kumoterstwo pomagało — a tak Gajów podzielił się na Berdyszowski i Szeligowski koniec. Nawet dzieci małe uczyły się swarzyć między sobą, i nieraz można było widzieć całą czeredę z obu końców, potykającą się walecznie kijami i pięściami, a gospodarze zamiast karcić, przypatrywali się i podjudzali jeszcze. Nawet w szkole, którą pan wyfundował, a w której proboszcz i organista uczył, musiano rozgrodzić oba końce deszczkami, jak na ten przykład w stajni, gdzie się niespokojne zwierzęta, co nie mają rozumu rozgradza. — Tak z ojca na syna przechodziła nienawiść i niezgoda. Proboszcz groził karą Boską, pan obiecywał skarzyć do powiatu o każdą bitkę — ale nic nie pomagało; Tomasz i Maciej prowadzili dalej wojnę między sobą.

W czasie, kiedy się historja nasza zaczyna, przybliżała się ważna chwila dla całego Gajowa. Tomasz miał tylko jedną córkę, Baśkę — a Berdysz syna jedynaka, Janka. Wszyscy byli ciekawi, za kogo Baśka za mąż wyjdzie i z kim się Janek ożeni. Baśka była najpiękniejszą dziewczyną we wsi — oczki jak tareczki, warkocz do ziemi, jagody krew z mlekiem, a usta jak malina. Nikt lepiej nie tańczył, ale też i nie żął lepiej; fertyczna jak sarneczka, wszędzie jej było pełno, wszędzie ją słychać, bo śpiewała jak słowik a i krakowiaki sama składała. I Jankowi było niczego — chłopak jak dąb, spojrzenie wesołe i śmiałe, wąsik się pod nosem puszcza a jak się uśmiechnie i białe zęby pokaże, jak się rozochoci w tańcu i przytupując podkówkami zanuci jaką piosenkę: to dziewuchom ledwie serce z gorsetów nie wyskoczy, i nie jednej liczko posmuci się jakoś a kumoszki śmieją się i powiadają:

— Oj dziewucho, dziewucho! nie bałamuć sobie próżno głowy.

O chłopcach ani gadać, ci za Baśką latają jak opętani. Furman dworski Jantek, tak się w niej zadurzył, że aż służbę stracił we dworze latając za Baśką, a kiedy mu odprawę dała, to sobie tak wziął do serca, że z desperacyi przystał sam do

wojska, i poszedł na wojnę. Tylko Janek na Baśkę ani spojrzy, w karczmie z nią nie tańcuje, przy żniwie poczciwego słowa nie powie a jak tylko może, to jej psikusa wypłata. Ona też płazem niczego nie puści, ani języka w gębie nie zapomni, a tak i między niemi trwa nienawiść Szeligów i Berdyszów. A choć ludzie powiadają że Janek i Baśka bardzo pasują do siebie, chociaż pan nieraz w żarcie mówi do Tomasza:

— Oj Tamaszu, Tomaszu, Bóg sam podaje wam sposób zgody — wydajcie córkę za Berdysza, ja sam ich poswatam a dwie najbogatsze zagrody połączą się razem — to Szeliga jeno splunie i brzydko popatrzy a powie:

— Wielmożny Panie! to niedoczekanie ludzkie, aby się moja krew połączyła z tą.... z tą Berdyszowską, że już ją nie nazwę jak, bobym ucho pańskie obraził.

A pani gdy raz Jankowi o Baśce gadała i raiła mu ją jako najpiękniejszą dziewuchę we wsi, to Janek aż poczerwieniał od gniewu i zawołał:

— Tobym już wolał, proszę Wielmożnej pani, kulawą i garbatą Grabczankę, albo starą Piotrowę co pod kościołem siedzi.

Tak to, moi mili, gniew i nienawiść ludzi oślepić może.

W tym czasie pojawił się nowy przybysz, niewiedzieć zkąd i wybudowawszy za pozwoleniem gromady i powiatu chałupinkę a kupiwszy kawałek gruntu, osiadł tam na gospodarstwie.

Ten nowy przybysz zwał się Walenty Bizun, a że był kulawy, więc go przezwano Walkiem Kuternogą.

Walek Kuternoga był człek w średnim wieku, niski a krępy, miał łeb czerwony jak węgiel na kominie i jakoś mu niedobrze z oczu patrzało. Służył podobnoś w wojsku i cuda o niem i o swoich walecznych czynach opowiadał — umiał też czytać i pisać i nosił się niby z Waszecia, w surducie dreliszkowym, a na głowie miał czapkę malutką, czarną z orzełkiem, jak to noszą urzędnicy. Idąc upadał na lewą nogę, którą mu, jak mówił postrzelono, gdy jakąś armatę zdobywał. Na pierwszy rzut oka nie spodobał się ani gromadzie, ani księdzu, ani panu i niejeden pomyślał sobie:

że łys, zyz i kuternoga
jeśli co dobrego wielka łaska Boga —

Ale wnet zmieniło się zdanie ludzi i przypomniał sobie niejeden, że nie trzeba sądzić z tego, jak kto wygląda ale jaki kto jest. Walek osiadłszy w swojej chałupinie żył spokojnie, pracował i nie mieszał się do żadnych kłótni. Chodziło mu widać, aby pozyskać przyjaźń ludzi, bo z każdym był grzeczny i potulny, każdemu dobre dał słowo i każdemu przyświadczył. Że był piśmienny użyto go na pisarza gromadzkiego, a ten urząd wnet mu nie mało chudoby przymnożył. Ten przyniósł kurę, tamten prosiaka — toć w pół roku Walek dorobił się nie mało, a był w czci i poważaniu u ludzi.

— Ho! ho! to mądra głowa, słyszy jak trawa rośnie, mówili jedni.

— Gada jakby z książki czytał, a pisze, żeby się i ksiądz proboszcz nie powstydził — mówili drudzy. —

— A taki przecie nieharny, z człowiekim po ludzku gada i starszych uszanuje — mówili inni.

Pan jeno, proboszcz i kilku starszych gospodarzy nie mogli się przekonać do Walka. Uważali, że Walek przyświadcza wszystkim, zamiast prawdę powiedzieć; że przed Berdyszem gada na Szeligę a przed Szeligą na Berdysza, kłania się nisko panu, proboszczowi, panu naczelnikowi powiatowemu — a w powiecie gada na pana, we dworze na powiat, w probostwie znowu plebanowi baki świeci. Uważali, że choć Walek udaje, że Bogu duszę winien i same piękne słówka ma na ustach, a w kościele modli się i bije w piersi aż dudni, to przecie od czasu jego przybycia nienawiść między Berdyszami i Szeligami wzrosła, kmiecie zaczęli gadać o procesach i pisaniach sądowych, a nawet z dobrym paniskiem zaczęli spory o pastwiska i grunta, do których nie mieli prawa. Uważali że Walek jak to mówią myszkuje, patrzy z podełba na wszystko i nie miesza się do niczego, ale mąci wodę, aby sam w niej ryby łowić.

Nie cała niestety gromada była tego zdania. Szeliga obrany wójtem, wziął go na przysiężnego, a Walek czując swoją ważność, pokazał rogi i zaczął rej we wsi wodzić. Ale że to był

człowiek sprytny, więc ani się Gajowianie spostrzegli, jak ich swoim rozumem opanował.

Walek mieszkał za rzeczką, naprzeciw zagrody Szeligi. Chociaż bywał u Berdyszów i stary go lubił jako uczonego i wszędobyłę, co cuda opowiadać umiał, to przecież częściej jeszcze zaglądał do Szeligi; a że wtenczas wdziewał glansowane palone buty i surdut najlepszy jak organista jaki, gadały więc kumoszki że się do Baśki bierze. Ale skromny Walek spuszczał oczy i mówił:

— Ho! ho! nie dla psa kiełbasa — nie dla kota sadło. Gdzieby mnie tam Baśka chciała?! Chodzę do Szeligi, bo on wójt a ja przysiężny, więc mamy interesa względem gromady.

Tymczasem kumoszki pono i prawdę powiedziały. Ledwie Baśka na ogród wyszła, jużci Walek kulawą nogą kuśtyka przez rzeczkę, przyśmiechuje się a piękne słówka gada. Ale gdzieć tam pięknej dziewusze o takim rudym łbie gadać! Zakręciła się na pięcie za każdą razą, a gdy ją raz chciał w pół wziąść i zatrzymać, dała mu tak potężnie w pysk na odlew, że się Walek kilka kroków potoczył.

— Poczekaj dziewucho! mruknął Walek, zacisnąwszy zęby — nie wymigasz mi się ty! Mam ja głowę na karku.

— Nie dla psa kiełbasa, sami gadacie, panie pisarzu — odezwał się głos od zagrody Berdysza.

Walek spojrzał i ujrzał Janka, śmiejącego się do puku. Ale nic nie odpowiedział, tylko poszedł milczkiem do chałupy. Janek zaś chociaż mu się podobało, co Basia zrobiła, pomyślał sobie, że jej musi dokuczyć i całemu światu pokazać, jaki się do niej przystojny chłop zaleca.

W Niedzielę nadarzyła się sposobność. Pan sprowadzić kazał muzykę, myśląc, że przecież choć taniec przeszkodzi kłótniom i bitkom, a jak skrzypki zaczną ciąć od ucha, to się może jaka Berdyszanka z Szelizanem wyhula. Idzie Janek do karczmy w nowej sukmanie, białej jak śnieg koszuli z czerwoną wstążeczką u szyi, że w kąt przy nim wszystkie parobki. Wchodzi, patrzy po ludziach żeby zobaczyć, czy Berdyszowskiego końca dosyć, aby się Szelizanom nie dać. Odezwało się kilka głosów:

— Hej! panicz idzie, — bo paniczem nazywali Szeliżanie Janka Berdysza.

— Stulcie pyski, gałgany! wrzasnęło kilkanaście głosów.

Janek poznał, że Berdyszowszki koniec liczniej się w karczmie zgromadził.

Skrzypek uciął od ucha skocznego krakowiaka i rzędem posypały się pary. Janek tupnął podkówkami i poszedł w tany z ładną Kasią od Wicka Zająca. Ale nie szło mu jakoś raźno; widać było, że na coś czeka.

Po chwili otworzyły się drzwi i ozwał się głos Berdyszanów.

— A chodź-że, chodź-że, sikoro z Szeligoskiego końca.

Baśka zachwiała się we drzwiach — i chciała uciec. Zlękła się biedaczka, bo widziała że się bez kłopotu nie obejdzie. Ale zuchwałość w niej przemogła; wlazła więc do izby szynkownej i zawołała śmiało:

— Sikora jak sikora — ale tu wróbli siła.

W tej chwili przykuśtykał Walek Kuternoga i wszystkim grzecznie się skłonił. Jasiek zobaczywszy go, sypnął garścią pieniędzy do basów i zawołał śmiejąc się:

— Grajcie mi krakowiaka — jeno ciętego —

Muzyka urznęła krakowiaka. Jasiek porwał Basię i postawiwszy przy Walku, zaśpiewał:

Oj nie szukać pary, jest ci piękna para —
Walek Kuternoga i wójtówna Barbara!

Wszyscy w śmiech. Baśka poczerwieniała jak jagoda i łzy jej się zakręciły w oczach. Walek uśmiechnął się i mlasnął językiem.

Opowiadałbym dalej, jeno że mi już zgoła, jak sami widzicie, miejsca zabrakło. Aleć co się odwlekło, jeszcze nie uciekło — tylko trochę cierpliwości! —

Dawne przysłowia.

1. Kiedy niedźwiedzia raz przemożesz, już go gdzie chcesz za nos powiedziesz.
2. Kto ojcu nie wycierpi, ten drugim oczy wyłupi.
3. Komu Bóg nie obiecał śmierci, ten się i z grobu wywierci.
4. Gdzie dwaj rzekną, żeś pijany, możesz iść spać bez nagany.

Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: E. Winiarz.

Tom II. Nr. 8.

11. Marca 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

WŁADYSŁAW HERMAN
i
Sieciech wojewoda.

Nie powiem ja, żebyć się nam w Polsce wszyscy królowie co do jednego udali — oj nie! Trafialić się i między nimi słabsi, i tacy, o których niewiele dobrego powiedzieć można.

Władysław Herman siadł na tronie polskim po starszym bracie Bolesławie, co się nazywał *Śmiały*. Aleć Władysław ani się umył do brata: bo ani był taki odważny, coby go się bali nieprzyjaciele Polski, ani do rządów sprawny. Przytem jeszcze chorzał na nogi, i rzadko kiedy wydalał się z zamku. Wiadomo że pańskie oko konia tuczy — jak dobry gospodarz, tak samo i dobry król powinien też często gęsto sam doglądnąć, a nie spuszczać się we wszystkiem na służbę swoją. Władysław zanadto był leniwy, aby sobie taką pracę zadawał.

Miał on faworyta, niejakiego Sieciecha, który był wojewodą krakowskim. Ten w krótkim czasie tak opanował króla, że mu się oddał ze wszystkiem. Odtąd Sieciech był panem w Polsce

i robił co mu się podobało. — Niby to jeszcze w tem złego nie było, gdybyć taka łaska spotkała uczciwego człeka, coby miał bardziej na sercu dobro kraju, niż swój własny interes. Na nieszczęście nie miał tej uczciwości wojewoda Sieciech. Pan dumny z rodu, jeszczeć się dumniejszym stał z łaski królewskiej — chciwiec nad miarę, krzywdził i obdzierał ludzi — zabierał majątki które sobie upodobał, a jeślić mu się kto hardo postawił, zaraz go śmiercią karał, albo słał precz z kraju, na wygnanie. Naprożno przed królem zanoszono skargi na wojewodę, co sobie tak niesprawiedliwie z ludźmi poczynał — nic to nie pomogło! Król na skargi nie baczył, siedział sobie spokojnie na zamku, a Sieciech jak broił tak broił, bo miał wszystką władzę potemu.

Ale jak to powiadają: *do czasu dzban wodę nosi* — doczekał się nareszcie król i wojewoda, że się cały kraj przeciwko nim zbuntował. Co więcej, sami nawet królewicze pogniewali się na ojca, że sobie dał grać ną nosie Sieciechowi, i że mu pozwolił tyle dokazywać.

A tych królewiczów czyli synów królewskich było dwóch: jeden z nich nazywał się Zbigniew, drugi Bolesław. Zbigniew starszy, był nieprawym synem Władysława, i wychowywał się w klasztorze niby na mnicha. Bolesław zaś młodszy miał za matkę Judytę, córkę króla czeskiego. Długo król z tą żoną nie miał żadnego potomstwa — aż naraili królowej, aby wyprawiła posły z darami do grobu św. Egidziego, na uproszenie pożądanego dziecka. Sama też gorąco się modliła i surowe posty czyniła — i stało się nareszcie, że po długich latach Judyta powiła syna, któremu dano na imię Bolesław. W dzieciństwie doznał on tak strasznej choroby, że mu aż usta wykrzywiło; od tego czasu nazwano go też *Krzywoustym.*

Obaj tedy królewicze stanęli na czele zagniewanego narodu i poczęli Sieciechowi nie na żarty grozić, a zaś króla ostro napominać, żeby się raz pozbył tego zdrajcy, którego już nikt ścierpieć nie mógł. Ale Sieciech jako był całą gębą nieuczciwiec i srogi tyran, tak znowu co prawda, na odwadze mu cale nie brakło i nie zwykł się był strachać przed lada groźbą; a że do tego chytry i podstępny był niby lis, wiec łacno mu było po-

robić sobie stronnników, coby jego sprawy bronili. Król także za nim trzymał. Niebawem oba wojska stanęły przeciwko sobie. Polacy mieli się bić z Polakami. Ale Bogu dzięki nie przyszło do tego! Właśnie przed samą bitwą wojsko wojewody rzuciło broń i powiedziało, że się bić nie myśli. Sieciech wściekał się od złości, groził pałaszem, że pierwszemu lepszemu łeb rozwali jako podłemu zdrajcy, to znowu prosił, zaklinał, złote im obiecywał góry. — Na to wszystko odpowiadało mu wojsko:

— Nie chcemy przelewać krew braterską!

— O zdrajcy! wrzeszczał rozbestwiony wojewoda, targając sobie włosy na głowie.

— Sieciech zdrajca, nie my! zakrzyczało wojsko całą kupą. Uchodź pókiś cały, i nie wodź nas na pokuszenie do grzechu bratobójstwa.

Wtedy król miarkując co się dzieje, odstąpił wojewodę i przeszedł na stronę królewiczów i narodu. Oba wojska pogodziły się. Sieciech jak niepyszny drapnął w nogi, a nie widząc już w kraju bezpieczeństwa dla siebie, uszedł za granicę, i tam gdziesik na wygnaniu marnie zginął.

Wkrótce potem i Władysław umarł, nie zostawiając najmniejszego żalu po sobie, bo też na niego nie zasłużył.

Teraz nad Polską objął panowanie po ojcu Bolesław Krzywousty. Dzielny to był król i wielki rycerz — w niczem nie podobny do ojca. Pod jego rządem pokrzepiła się nasza Polska, stała się znowu możną, sławną i dla nieprzyjaciół groźną. Ale o tem potem. —

O solarskiej figurze.

Podanie.

Była zadymka. Śniegiem sypie w oczy,
Niby król jaki wiatr polami kroczy,
Dmie sobie jarem i dmie sobie drogą,
W bieliznę świat się ubiera chędogą,
I ziemia biała i na niebie biało —
Jakby się pierze kędy z góry siało.

Drogą zawianą wloką się solarze —
Świata niewidno, wszędzie im jednaki;
Ślady po drodze śnieg im suchy maże,
I ni to światła ni to wioski jakiej —
Koniska reszty dobywają mocy,
A tu noc ciemna, i zamieć wśród nocy.

— Hou, hou! stanęli; każdy skoczył z wozu:
Józef rękami bije się od mrozu,
Maciej umiata, koło koni depcze,
Wojciech pacierze po cichutku szepcze.
— Macieju, gdzie wy? —
A dyć przecie żyję! —
— Tabo nie widać, śnieg po ślepiach bije,
Idźcie no spojrzeć czy jest ano droga? —
Maciej się ruszył, wziął do pół batoga,
Biczyskiem grzebie, odwali, przywali:
— Oj nie ma drogi ani trocha dalej!
Hej, hej, Józefie, nocować nam padnie!
Aleć to sypie a sypie szkaradnie.

— Ho, ho, nocować! czy was opętało?
W taką śnieżnicę? by mię tu zawiało,
Albo ja głupi — pfu! powarjowali!...
Zostańcie zdrowi — ja pojadę dalej.

— Hej, hej, Józefie! rzecze Wojciech stary —
Znam ja tę drogę: paryje i jary;
Karczma nieblisko a jazda niechyża,
Patrzcie, krzyż stoi — zostańmy u krzyża,
Czekajmy ranka, wytchnijmy dla koni,
Bóg nas łaskawy od zguby ochroni! —

— Ej bo pleciecie! a co mi tam z tego
Czekać pod krzyżem do ranka białego.
Żeby choć zrąbać a ogień rozpalić! —
Rzekł, aż się tamci obaj przeżegnali,
On skoczył na wóz i powlókł się dalej.

A śnieg się zaczął jeszcze mocniej walić,
I wiatr się zrywa i szumi i śwista,
Drzewa i krzaki zamiata do czysta —
Taki się zerwał i silny i srogi
Aż krzyż zatrzeszczał stary wedle drogi.

— Hej, hej Józefie, bo was pan Bóg skarze! —
Wołali jeszcze za onym solarze;
Lecz on nie słuchał. Wiatr jak opętany
Chmury ze śniegu niesie po nad łany,
Wyje, ugania jak wilków gromada:
Aż krzyż się z trzaskiem łamie i upada —
Aż oni krzykną co pod krzyżem stali:
— Niechaj duch wszelki pana Boga chwali!
A Wojciech stary dodał przeciw złemu:
„*Kto się w opiekę podda panu swemu.*“

I ustał wicher na pieśń oną świętą;
Śnieg przestał sypać jakby go zaklęto —
Cicho się stało, niebo wyjaśniało,
Jeno na ziemi niby chusta biało.

Gdy tak w pacierzach czekają solarze,
Słonko się ano nad ziemią pokaże —
Toż w imię Boże, wio! w drogę ruszyli,
A coś im smutno było w onej chwili.
Jadą i jadą, ledwo kęs ujadą,
Patrzą — aż owo w jarze co przy drodze,
I wóz i konie pogrzebione srodze,
I Józef leży zmarzły, z twarzą bladą.
Toż wezmą cucić — lecz nic tam nie zmoże
Człowiek, gdzie padło *pokaranie Boże.*

Dziś wedle drogi, tam gdzie onej nocy
Solarze Boskiej doznali pomocy,
Stoi figura z pięknego marmuru —
Ludzie ją zowią *solarską figurą*
Na tę pamiątkę, żeć ją fundowali
Solarze oba, co pod krzyżem stali
W czas onej burzy —
Ztąd dla nas nauka:
Zbawion kto w krzyżu opieki swej szuka!

Grześ z Mogiły.

HISTORJA

o kłótniach Szeligów i Berdyszów, dwóch kmiecych rodzin w Gajowie — i jak się pogodzili z sobą.

Dalsze opowiadanie

Józefa z pod Krakowa.

Na czem to ja stanął? aha, jeślić się nie mylę, to ponoć w karczmie było: Jasiek Berdysz dociął Baśce Szeliżance krakowiakiem, aż poczerwieniała biedaczka gdyby jagoda i łzy jej się zakręciły w oczach. A Walek uśmiechnął się i mlasnął językiem.

Owóż powiadam wam dalej — nie dosyć na tem; Janek znać dzisiaj zawziął się srodze na dziewuchę, aby jej do żywego dokuczyć, i zakrzyknął na całą izbę:

— Hej! słuchajcie jeno — chcę żebyście mieli uciechę. Jeżeli który z Szeligowskiego końca Baśkę do tańca weźmie, to mu łeb na cztery części rozwalę. — Jeżeli się jej chce hasać, niech cały wieczór hasa z Walkiem Kuternogą!

Szeligowscy popatrzeli po sobie, ale zobaczywszy, że ich mało, ścisnęli tylko pięście i mruczeli pod nosem: „Damy ci w drugą niedzielę!“ i już naprzód cieszyli się na bijatykę. Wicek Żelazny wymknął się cichaczem, podobno aby na pomoc Szeligowskich zwołać. —

Janek tymczasem hulał, muzyka grała a Baśka siedziała w kącie. Walek częstował ją esencją i palił koperczaki; a prosił aby z nim poszła do tańca.

— Kulejęć trocha, ale w tańcu znać nie będzie.

Baśka opierała się z razu, ale gdy Janek powtórnie stanął przed nią i na pośmiechowisko zaśpiewał:

Oj czemu siedzisz w kącie, oj czemu nie tańcujesz?
Gdy Walek zakuleje, to go ty poratujesz —

zerwała się jak oparzona, i stanąwszy w parze z Kuternogą, oddała Jankowi za swoje, śpiewając:

Oj Jonku, głupi Jonku, oj głupie Berdyszowie!
Oj u was rozum w bótach, oj a u Walka w głowie.

Najzaciętszi nie mogli wstrzymać się od pochwalnego wykrzyku: „Zuch Baśka! tęga Baśka!“ a Janek tańcując dalej przymyśliwał tylko, jakby dziewusze odpowiedzieć. Obtańczył raz, drugi i trzeci — aż mu koncept przyszedł do głowy — stanął i zaśpiewał:

Hej gorący to rozum, co go Baśka tak chwali —
Nie zmieścił się już we łbie, to mu na łbie się pali.

Wszyscy spojrzeli na czerwoną głowę Walka i nowy śmiech. Baśka spiekła raka, bo jużcić i ona nie cierpiała Kuternogi, jeno z wielkiej honorności ujmowała się za tancerzem kulawym. Kiedy przyszła kolej na nią, zaśpiewała znowu:

Czy się na łbie pali, czy się w głowie chowa,
Jonek głupi panicz — Walek mądra głowa.

Wtedy Janek postanowił się inaczej zemścić. Puścił Baśkę z Walkiem naprzód, a sam resztę taneczników zatrzymał. Tu dopiero powstał śmiech wielki. Kuternoga przy wysokiej Baśce kuśtykał z nogi na nogę, wdzięczył się jak suczka w dzieży i przyśmiechiwał. Rósł on jak na drożdżach że go Baśka chwaliła; więc się też przypiął do niej jak bodiak, i przyskakiwał i okręcał się na pięcie i wywijał hołubce z dziewczyną — a Janek zaśpiewał z wszystkimi:

Oj nie szukać pary, jest ci piękna para,
Walek kuternoga i wojtówna Barbara —

i wszyscy nuż się przyzierać, nuż wytrzeszczać oczy, nuż krzyczeć i śmiać się na całe gardło. Baśka stanęła jak głupia, popatrzyła na paskudnego Walka i zamiast odpowiedzieć piosnką, rozbeczała się na głos.

Zamiast jej pożałować, śmiech jeszcze większy. Rzuciła się więc do drzwi i chciała uciec. Berdyszanie zastąpili jej drogę. —

— Puśćcie mnie, puśćcie zbóje! zawołała płacząc. Jakie mi zuchy, pastwić się nad biedną dziewuchą.

Jankowi dziwnie się zrobiło na sercu. Poczuł on, że sobie brzydko z Baśką postąpił i żal mu było.

— Ej! o co byś tam beczała — powiedział, dyć to żarty!

— Żarty — jużcić? żarty! Puśćcie mnie! wołała Baśka.

— No! no! Baśko, nie płacz jeno, — rzekł Janek łagodnie; pójdź, pohulamy sobie. —

— Hola! hola! zawołała Baśka wydzierając się — jeszcze bym z tobą tańczyła! Niedoczekanie twoje... Oddam ja ci, oddam za swoje! dodała składając pięść, a Szeligowski koniec odda wam wszystkim.

— Ho! ho! toć i my mamy pięście, zawołali Berdysze. Ale Janek nie dał jej zatrzymywać, otworzył drzwi i puścił Baśkę, mówiąc:

— No! nie gniewaj się, widziałem jakeś przedwczoraj Walka przywitała na ogrodzie i wiem, że go nie cierpisz. Chciałem ci figla spłatać.

Za chwilę przybył stary Szeliga i kilku krewniaków. Spotkał on Baśkę na drodze i dowiedział się o wszystkiem.

— To ty paskudniku jakiś będziesz nad mojem dzieckiem przewodzić! krzyknął na Janka.

— Ho! panie wójcie, wasza dziewka nie żadna wielmożna pani, żeby z nią nie żartować, odrzekł jeden z Berdyszów.

Nie obeszło się więc i dziś bez bitki. Ale Janek nie dowodził jak przódy i widać było, że Szeligę starego wymija. Szynkarz zagodził sprawę. Kuternoga, chociaż taki wielki wojak, nie ujął się ani za Baśką, ani za wójtem — a szynkarz mnie opowiadał, że się podczas bitki za szynkwas schował, niby to szukając zgubionego grajcara.

Od tego czasu wojna między Jaśkiem i Basią rozpoczęła się na dobre. Ledwie się nazajutrz obudził i wyszedł w pole, aliści widzi, że mu ktoś konie z paszy rozpętał, a dzielne szkapy poleciały na wszystkie wiatry. Gonił ich pół dnia, a gdy zziajany wracał, ujrzał Baśkę śmiejącą się w oknie. Pogroził jej palcem i postanowił zemstę.

Na drugi dzień Baśka, wychodząc rano do swoich gęsi, które bardzo lubiła, ujrzała, że wszystkie zczerniały jak węgiel. Ktoś je posmarował mazią. Kiedy je myła nad rzeczką, Jasiek okopujący w ogrodzie ziemniaki, śmiał się na całe gardło.

Trzeciego dnia rano zobaczył Janek, że ziemniaki wczoraj okopane, znowu zrównaną mają ziemię i udeptaną nogami. Nogi były malutkie: Jasiek poznał, że to Baśka zrobiła.

Zato przez zemstę kokoszkom ulubionym Baśki poucinał prześliczne czuby.

Przyszło żniwo: Baśka na zarobku u pana tak się zwijała, że przodkującego zawsze Janka zostawiała w tyle za sobą.

— Tęga dziewucha i robotna, szkoda że Szeliżanka! pomyślał sobie Janek. A że mu i teraz konie rozpętywała i puszczała na cztery wiatry, więc wracając raz z końmi, zawołał do śmiejącej się Baski:

— Słuchaj, psotnico diabelska, jak mi raz jeszcze konie puścisz, to ruski miesiąc popamiętasz.

— Albo cię się to boję, odrzekła Baśka.

Ale Janek chciał dotrzymać słowa. Poszedł spać do krzaków przy pastwisku, a schowawszy się dobrze, czekał rana. Ledwie się zmierzchało, aż tu Baśba leci chyłkiem od chałupy, prosto ku spętanym koniom, a ogląda się, czy jej kto nie widzi. Jankowi aż serce zabiło z radości — czeka jeszcze — aż tu gdy się Baska schyliła do koni — on hyc! z krzaków i Baśkę za ręce.

— No cóż? dotrzymałem ci słowa. Poczekaj!

— Mój Janku! już mnie puść, już nigdy nie będę.

— Aha! nigdy nie będę! Teraz to „nigdy nie będę“. A małom się nalatał za memi końmi—? A mało szkody narobiły? Sprawię ja ci łaźnię!

Ale dziewucha tak pięknie prosiła, tak była przestraszona, że Janek jakoś nie mógł ją wybić. Baśka była piękna dziewucha jakich mało, a u młodego krew nie woda. To i Jankowi się gorąco zrobiło i pomyślał sobie, żeby ją wolał pocałować, gdyby to nie była Szeliżanka.

— A tyś mi to mało dokuczył, mówiła Baśka. Przypomnij sobie, jakeś mnie w karczmie na pośmiewisko ludzkie wystawił.

— A tyś mi powiedziała, żem głupi. —

— A tyś mi gęsi mazią obsmarował, że ich dotąd wymyć nie mogę.

— A tyś mi okopane ziemniaki zadeptała.

— A tyś mi uciął czuby moim kokoszkom.

— No słuchaj Baśko! już cię nie wybiję — ale cię pocałuję i będzie kwita.

— Oho! pocałuję, zawołała Baśka czerwieniąc się — jeszcze Berdysz nie dorósł do mojej gęby.

— Aha! bo Walek dorósł!

— Ani Walek, Walka nie cierpię.

— A kogoż byś wolała, Walka czy mnie? zapytał Janek, któremu się dziewczyna coraz bardziej podobała, im bardziej się jej przyglądał.

Baśka nic nie odpowiedziała, jeno zczerwieniła się znowu. I ona uważała, że Janek szwarny i nieszpetny chłopiec — i dziwnie jej się na sercu zrobiło.

— Puśćże mnie już, puść! zawołała. Spieszy mi się do chałupy, trzeba śniadanie gotować.

Ale Janka coraz bardziej diabeł kusił, aby dziewuchę pocałować. Porwał ją, przycisnął już do siebie, kiedy Baśka jak szarpnie sobą, jak pchnie Janka, tak to się ten dopiero opamiętał, kiedy była już na drugim końcu pastwiska. Odwróciła się więc jeszcze i krzyknęła do niego:

— Nie dla psa kiełbasa, nie dla kota sadło!

Janek został na miejscu i długo myślał o Baśce. Wjechała mu do łba piękna dziewucha jak fura siana — a chociaż jej nie cierpiał jako Szeliżanki, to musiał przyznać, że jako dziewucha była pierwszą we wsi. Westchnął więc i powiedział sobie po cichu:

— Co za szkoda, tęga i robotna dziewka, ale Szeliżanka! Co Baśka myślała nie wiem. To pewna, już nie poszła odpętywać konie Jankowi. Janek czekał na to, bo myślał że drugi raz lepiej mu się kara uda; ale nie mógł się doczekać. Kiedy się spotkali gdzie razem, nie patrzeli już jak zbóje na siebie, ale też jakoś nie patrzeli wcale. — Baśka tylko raki piekła, a Jasiek się za nią oglądał. Kilka razy zdobył się nawet na grzeczne słowo. Kiedy nikt nie słyszał, Baśka także grzecznie odpowiadała.

Tymczasem Walek kuternoga nie zasypiał gruszek w popiele. Od czasu ostatnej bitki w karczmie, nie wiedzieć dla czego, uchwycił się Szeligów wyraźnie i u Berdyszów już nie bywał. Pewnie mu się zdawało, że się dziewucha w nim zakochała. Jak się też przypiął do starego i córki — ani daj Boże odsadzić natręta. Całemi dniami siadywał w chałupie Szeligi, a że

był mądry człek, więc od rodziców zaczynał. Stary Szeliga czasem całemi godzinami radził z Walkiem i widać było, że radzą o skórze Berdyszów. Walek obiecywał Szelidze złote góry: obiecywał, że wygra proces o role odydwie, a do dworu wynalazł liczne protensje, które miały zachodzić między kmiecą rolą starego i gruntami pańskiemi. Sam Szeliga śmiał się z początku z konceptów Walka i nie wierzył, aby to, co od wieków było pańskiem, miało stać się jego własnością; ale jak mu kuternoga jął dowodzić z patentów, których nie rozumiał i strzępić niemieckiemi słowami, których się gdzieś tam na pamięć nauczył, tak aż podskoczył z radości, bo był człek łakomy i pieniacz. Żebyście wiedzieli, jak to tacy niby mądrzy ludzie, przekręcają prawo i obracają niem jak szewc kopytem, to wam tu jedną przywiodę rozmowę. Walek siedział nad mapą gromadzką i szukał parceli w książce. Szeliga, który nie wiele rozumiał, co znaczy mapa i jak wieś może być wymalowana na kawałku dyktury, pykał sobie fajeczkę i dolewał Walkowi piwa do szklanicy.

— Mój wielmożny panie wójcie! mówił Walek, bo tak Szeligę nazywał — ja tutaj tak uważam, że wy macie prawo do pastwiska pańskiego, co to poniżej waszego pola, gdzieście łońskiego roku mieli pszenicę.

— E! gdzieby ta, odrzekł wójt, ale widać było, że się rozciekawił. To tylko pan pozwolił mi paść na tym kawałku, że mi było blisko.

— I wyście paśli?

— A jużciż!

— A odrabialiście?

— Ej nie! To niewielkie kawałątko, to pan pozwolił paść na niem bez odrobku, za to żem zawsze pierwszy wysyłał ludzi do żniwa.

— Aha! otóż mamy *recht.* A dawno już?

— Będzie z dziesięć lat.

— Ho! ho! *preskrypcya!* To pastwisko wasze! tak stoi w patencie *Oberstergerychtkommissionsgerychtu.* A na wielkiem pastwisku czyście także paśli?

— No jużciż, mój parobek nieraz pasał, choć nie było wolno.

— I widzieli go?

— A dyć go nieraz spędzali Berdyszanie.

— No to znowu *recht!* kiedyście pasali, toście używali, to wasze.

— A karczma pańska stoi pono na waszym gruncie? —

— Ej, to jeszcze dziadkowi pan nieboszczyk dał za to dobry kawał pola za górą.

— Że dał, to dał — ale karczma i grunt wasz.

— No! kiedy preskrypcya? jak gadacie. —

— Tu nie ma preskrypcyi, mówi *Oberstergerychtkommissionsgerycht.* — Ludzie mają mało, a pan dużo, to go nieszkoda.

Szelidze się to niby podobało, chociaż spojrzawszy na Pana Jezusa na ścianie, przypomniał sobie: że cudzą własność szanować potrzeba. Że zaś Walek tylko prawnika udawał, każdy wam powie, co umie po niemiecku, że *Oberstergerychtskommissionsgerychtu* nie ma na świecie, ze tylko Walek sobie kilka słów do kupy zlepił, aby ludziom oczy mydlić. A także nie ma takiego prawa, coby komu złodziejstwo i szkodnictwo pochwalało, bo prawa z wiarą świętą i przykazaniami boskiemi zgadzać się muszą, a dziesięcioro Bożego przykazania starsze i świętsze od każdego prawa. Z tego nauka, że choćby was tacy mędrale jak Walek namawiali do prawowania się o własność czyją, to nie dajcie się namówić, bo człowiek z niczyjego nie będzie tłusty, jeno ze swego. Lepsze własne swoje a prawowierne, niż bogactwa a cudze. Jeśli wam zaś mówią, że pana nieszkoda, bo pan ma dużo, to pamiętajcie, że tak samo może jutro powiedzieć pierwszy biedak w obdartej sukmanie bez bótów, coby wołał siedzieć w waszej zagrodzie. Miła ci twoja kapota i grunt po ojcach — miły też i panu jego surdut, dwór i grunta pańskie. Tacy ludzie jak Walek, nie rozumieją ani boskich ani ludzkich praw, dla tego trzeba ich omijać, jak owce parszywe.

Ale chociaż Walek ze Szeligą dnie całe siadywał, to i o Baśce nie zapomniał. Wodził on za nią łakomem ślepiem, jak kot za myszą, albo lis za kokoszką, a jak ją gdzie spotkał, nuż smalić cholewki, nuż się przysuwać, nuż komplimenta gadać. Chociaż był skąpy, przywoził jej z każdego jarmarku i kiermaszu gościniec: to paciorki na szyję, to chustkę jedwabną, to pier-

ścionek albo kulczyki tombakowe. Baśka za każdą razą rzuciła darami Walka o ziemię.

— Nie potrzebuję nic od ciebie, noś sobie innej a nie mnie.

— Oj! moja Basiu prześliczna, gadał Walek, czemużeś ty taka harda? Chociażem już niemłody i nie wykręcam się na pięcie, tom stateczny i uczciwy człowiek, a chłopu trzeba patrzeć na stateczność. Cóż tam przyjdzie z tych zawalidrogów i bijaków, co to cały dzień w karczmie przesiedzi, a w nocy żonę bije i garnki tłucze? Jabym tam o biciu nie myślał — dodał uśmiechając się bezwstydnie.

— A ja o tobie myśleć nie chcę i nie będę. Znam ja cię lepiej jak cała wieś, mój mądry pisarzu, żeś ty trusia niby i stateczny, ale fałszywy i zły jak kot! Połykasz ty ślinkę, bo widzisz żem jedynaczka, a kmiecia rola niczego! Ale poczekaj sobie mędralu, nie taka ja głupia, żebym sobie dla takiego obieżyświata świat zawiązała. Chyba bym też oczy podziała, żebym takiego rudego łba miała dostać. —

— Ho! ho! moja panienko, odrzekł Walek wściekając się od złości — widać ci jakiś chłopak do głowy wjechał.

— Czy wjechał czy nie wjechał, tobie nic do tego.

— Właśnie że mi do tego, bo ja ojcu powiem. A wiem, wiem, kto to taki?

— A któż? — zapytała Baśka ciekawie. —

— Jasiek Berdysz — szepnął Walek Baśce do ucha. Nie w ciemię mnie bito, moja panno: widzę wszystko. Kłócicie się to niby i robicie sobie na despekt — ale jedno za drugim jak zapalił.

— Oj mędralu, mędralu, przecież ty głupi — zawołała Baśka czerwieniąc się. Widać było, że się jakoś nieszczerze zapierała.

— No! że Berdysz się z tobą nie ożeni, to jak to słonko na niebie świeci.

— A że ty się ze mną nie ożenisz, to jak to prawda, że masz rudy łeb i kulawą nogę.

— Zobaczymy! rzekł Walek.

— Zobaczymy! odpowiedziała Baśka.

Na dzisiaj dość tego będzie.

PODRÓŻ NA ŚW. KALWARJĘ*).

Opowiadanie Wojciecha z pod Opatowca.

— Którędyście Józefie szli tego roku na ś. Kalwarję? zapytał Wojciech obok siebie idącego sąsiada Józefa do kościoła na sumę.

— Jużci przecie wiecie, mój Wojciechu, odpowiedział Józef, że nam od Wisły zawsze jedna i ta sama droga: na Bochnię, Gdów i Myślenice.

— A widzicie mój Józefie, odrzekł Wojciech, tamtędy też i ja zdawna prowadzał moją kompanię, a tego roku obróciłem się na Szczurowę, Mikluszowice, na Niepołomice, ztamtąd wstąpiłem do Staniątek, bo niedaleko z drogi, potem na Wieliczkę, na Świątniki do Izdebnika, i do św. Kalwaryi.

— I czego was też tamtędy Pan Jezus poprowadził, czyście krótszej drogi szukali? zapytał Józef.

— Ej, gdzieby tam człek krótszej szukał drogi; kiedy już raz puści się na to święte miejsce, to mu już jedno, czy bliższą, czy dalszą drogą. Ale to widzicie, mój Józefie, wszystko moja ciekawość. Widziałem idąc na Bochnię, wszystkie kościoły po drodze; zapragnąłem tego roku inne nawiedzić. I jużcić tego nie żałuję, bo to com widział na tej drodze i com słyszał, warto choćby i raz jeszcze tak daleko było do świętej Kalwaryi. Wiem też, że i wy, da Bóg doczekać, tą drogą pójdziecie, gdy wam opowiem o tem, com widział i słyszał.

Niech tam ludzie mówią co chcą, ale trzeba szczerze wyznać, że gdyby nasi panowie nie byli zdawna fundowali kościołów, toby się człek teraz nie miał ani gdzie poczciwie pomodlić.

Otóż odwiedziwszy kościół w Szczurowej, co go tam pobożni parafianie tak pięknie aż miło odnowili, szliśmy do Mikluszowic. Ale tu pożal się Boże ludu! przeszło 30 lat jak nie ma kościoła; a parafia liczy koło siedm tysięcy dusz. Dalej idąc w tych samych dobrach Niepołomickich, należących z dawna do królów Polskich, a teraz pono do jakichsić bogatych panów, co w Wiedniu siedzą — we wsi Zabierzowie, aż zgroza bierze wymówić, żyd zalicytował i wystawił drewnianny kościół. Żal ścisnął serce,

*) Ma się tu rozumieć Kalwarja Zebrzydowska a nie Pacławska — tamta leży nieopodal Krakowa — a ta pod miastem Dobromilem.

gdy to ludzie opowiadali, i dopiero się człek trochę pocieszył, kiedy wszedł do kościoła w Niepołomicach. przecie to nie ma jak ładny kościół! jak człek wlezie do niego, to się mu wydaje, jakby mu się niebo do ziemi przybliżyło, tak i serce rośnie, i duszy aż się łacniej robi.

Takci mi było, mój Józefie, jak mię Pan Jezus zaprowadził do tego Niepołomickiego kościoła. Sam nie wiedziałem na co mam wprzód patrzyć. Aliści widzę człeka, sprzątającego po kościele, trochę z miejska ubranego; nuż ja do niego: Niech będzie pochwalony jezus Chrystus! Z przeproszeniem, że śmiem się spytać, czyliście też nie kościelny tutejszy? — Tak jest, odrzekł. — O to też pewno wiecie, kto ten kościół fundował? — A któżby inny, odrzekł, tylko Król Polski Kazimierz Wielki, co go to Królem chłopków zowią. Nie żałował nakładu, to też kościół przeszło pięćset lat stoi, a nie wali się. Ot widzicie, na tym obrazie historja odmalowana, jak ten kościół poświęcali: król fundator stoi w płaszczu czerwonym i z koroną na głowie. I tu pokazał mi wielki obraz wedle wielkiego ołtarza. A ten drugi, ot heń obraz, co też znaczy, jeśli śmiem was zapytać? — To znowu, odrzekł kościelny, jest obraz dziesięciu tysięcy śś. Męczenników. W dzień tych Świętych Pańskich nasz Kazimierz pobił Litwinów, i dla tego na cześć tych śś. męczenników ten kościół fundował.

A tę kaplicę świętego Karola, mówił dalej, wybudował Karol Lanckoroński, wielki Pan polski. — A ten nowy ołtarz świętego Antoniego, któż sprawił, śmiem zapytać? Ale tu kościelny nic nie rzekł, jeno pilno przeszedł na drugą stronę kościoła i prawi: — Tę znowu kaplicę fundował inny Pan polski, co się zowie Branicki. Na chwałę Matki Boskiej ją poświęcił. Mamy też od tego Pana dużo różnego naczynia śrebrnego, co się niem lada kościół nie pochwali.

Tak widzicie, prawił dalej kościelny, że to nasi polscy Panowie nie zawiązywali worka, kiedy szło o to, aby Bogu na chwałę wystawić kościół, a ludowi na pożytek; bo jużcić dla siebie samych tych kościołów nie potrzebowali — tylko więcej mieli na oku lud, aby się miał gdzie modlić. No, Bóg was prowadź w dalszą drogę, a ja pójdę do swej roboty—rzekł kościelny

i znowu dalej sprzątał. Ja nie wymawiając, uklęknąłem i odmówiłem z kompanią pacierz za króla Kazimierza i tych Panów, co się przyczynili do wybudowania onego kościoła.

Ledwom wyszedł mój Józefie z onego kościoła, aliści ku południu znowu widzę jakiś wspaniały kościół. Pytam idącego dziadka: Jak się zowie ten kościół, hań? a on mi na to:

— Jużcić klasztor Staniątecki, kędy Panny zakonne siedzą.

— A przejdzie tą drogą ku niemu? — Sama droga was zaprowadzi, odrzekł dziadek. — Bóg zapłać za dobre słowo, mówię dziadowi, i walę co tchu, aby jak najprędzej przyjść do tych Staniątek, bo i kościół zdala ciągnął do siebie, a po drugie i ciekawość, bom jak żyw jeszcze zakonnej Panny nie widział.

Ale com widział i słyszał w Staniątkach, to drugim razem wam Józefie opowiem, bo już sygnują, trzeba pospieszać prędzej do kościoła. —

RÓŻNOŚCI.

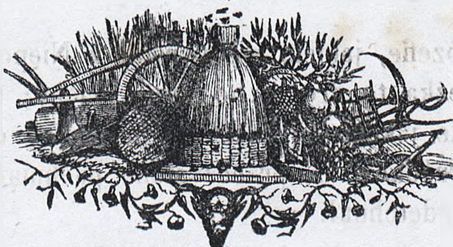
Nieszczęsne przypadki. Już pono dawno nie pisaliśmy wam o nieszczęsnych przypadkach, jakie się tu i ówdzie po naszym kraju wydarzają. A wiedzieć o tem nie zawadzi; bo naprzód jak to mówią: *doświadczenie uczy rozumu* — więc czy to ze siebie, czy z drugiego wzięte doświadczenie, zawsze ono nas może i nawet powinno nauczyć *ostrożności* w rozmaitych wypadkach. Powtóre, chrześcijańska to rzecz ulitować się nad nieszczęściem bliźniego i za poszkodowanym westchnąć do pana Boga. Owóż posłuchajcie: — Jeszcze tamtego roku, coś na tydzień przed Bożem Narodzeniem, zapalił się dworski magazyn w *Dźwiniaczce* w obwodzie Czortkowskim. Każdy zrozumie co to był za ogień z tej gorzałki — niech Pan Bóg broni! O ugaszeniu ani myśleć, wszystko się tam spaliło a byłoć jak mówią z 10.000 garncy tej gorzałki. Przytem i stajnia dworska i siła innych sprzętów gospodarskich poszły w niwecz. Całą szkodę obrachowali na 8.000 reńskich — to nie bagatela! Jak słychać, to parobcy zawinili, co brali z magazynu wódkę, a przytem fajki palili. Oj ta fajczysko obrzydła! już ona niejednego przyprawiła o nieszczęście a taki ją ludzie nie porzucają. Mniejszać jeszcze o to że palą; żeby choć nie włóczyli się z nią wszędy, zwłaszcza po takich miejscach, gdzie o nieszczęście nietrudno. — W Złoczowskiem znowu, we wsi *Ściance* po Bożem Narodzeniu spaliła się cerkiew tamtejsza. Powiadają ludzie, że przez nieuwagę djaka, co zostawił ogień potrzebny przy służbie Bożej do kadzenia a nie przygasił go. Z tego to ognia miała się cerkiew zająć. — Już tego roku, bo prawie przed miesiącem paliło się w *Kosowie* na Kołomyi. Naprzód miało się zająć u żyda, a także przez nieostrożność jak się domyślają. Od żyda przeniósł się ogień na inne domy. Jaki tam był ratunek niewiadomo — dość że cosik z pięć domów na nic pogorzało. — Ostatni zaś wypadek to już nie ogień, ale śmierć straszna jednego włościanina z *Horbkowiec* ze Złoczowskiego. Jechał on sobie z lasu i wiózł drzewo na budynek. W drodze nieszczęście chciało że spadł z woza, a na niego zwaliło się drzewsko i nieboraczyska na miejscu zabiło.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II. Nr. 9.

21. Marca 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dalsze opowiadanie Wojciecha

O PODRÓZY NA ŚW. KALWARJĘ.

Józef zdjęty okrutną ciekawością z tego, co mu Wojciech o Niepołomickim kościele naopowiadał, nie mógł już i obiadu spokojnie zjeść, ale co tchu, jedną ręką otarł gębę, a drugą łap za czapkę — i dalej leci do sąsiada Wojciecha, który także ledwo co poobiadował, i szedł do ogrodu zajrzeć na pszczoły.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków Amen — odrzekł Wojciech. Cóż was tu prowadzi do mnie, mój Józefie?

— A i cóżby jeno te pogwarki wasze o tych kościołach. Radbym co tchu wiedzieć i o tym klasztorze, co to w nim Panny Zakonne siedzą.

— Dobry rok na pszczoły; prawi Wojciech — idą cięto; patrzcie co to obnoża! To co innego te nowotne ule. Niech tam Pan Bóg da jak najdłuższe lata temu księdzu Dzierżonowi, że te ule nowe wymyślił. Przecie to nie ma jak Polak! co rozumem swym zfunduje, to już nikt lepiej nie wypraktykuje. Nasze

pasieki, dziękować Bogu, będą inaczej teraz dopisywać. Ale o tem potem, bo ja prawię o pszczołach, a wam co innego na myśli.

Otóż mój Józefie, jakiem się wyrwał z Niepołomic, tak dalej przez las. Ciężka to droga, bo same piachy; więc się trochę człek zasapał. Ale jakem ci wlazł za bramę na dziedziniec, co w nim pełno ogródków z przeczystemi pachniącemi kwiatami, zaraz człek lżej odetchnął.

Walę więc prosto ku kościołowi. Prawie poczęli sygnować — kościół otwarty. Włażę, ani człeka; ale słyszę czyste śpiewanie jakieś, aż ono ci z góry, jak to i w naszym kościele z chóru wychodziło — głos słyszałeś — a więcej ani iskry.

Zmówiłem pacierz i myślę, żeby kogo napaść, coby człekowi chciał coś powiedzieć. Wychodzę z kościoła, aliści idzie ku mnie jakiś bardzo stareńki ksiądz i zdało mi się, że już ma obeszło sto lat — tak się bardzo ku ziemi pochylił. Trzymał ci koronkę w obu rękach i głośno mówił pacierze.

Pochwaliłem Pana Jezusa, uchwyciłem go za nogi i rzekę: Jestem z przeproszeniem Jegomości Dobrodzieja podróżny na Kalwarję św. a chciałbym się też co o tym tu kościele dowiedzieć. —

— O najchętniej! rzecze poczciwy staruszek i wyjąwszy tęgą tabakierę: — Zażyjcie, rzecze, bo to widzicie, stary jak zażyje, to i pamięć się odświeży. Staremu, to już i pamięć nie służy, zwłaszcza jak kto za młodu nie pochylał ku ziemi głowy, kiedy szło o wspólną sprawę. Człowiek nie za piecem lata styrał, jak widzicie — i tu pokazał tęgą kresę przez głowę. Ale żebyście nie myśleli, że ja ksiądz, bo ja tylko braciszek od Ojców Jezuitów, a rodem aż z Litwy. Żebym miał dawne nogi, tobym do mej wsi ledwo za miesiąc zaszedł; a teraz to już ani dudu. Odchodziłem ja już swoje za tym naszym Kościuszką, jeżeliście o nim słyszeli, co to chłopami wojował naprzeciw Moskali. I on już dawno w ziemi, a ja jego stary wiarus— służę teraz innemu wodzowi, ot temu na krzyżu—i ucałował wizerunek Pana Jezusa, co go z zanadrza wyciągnął, i dał i mnie do ucałowania.

— Ale, powiada dalej, rozgadałem się o tych dawnych, czasach, a wam się spieszy. Tak to stary gaduła kontent, kiedy wspomni na dawne lata. —

Ot widzicie, kościół ten i klasztor ma przeszło 600 lat, bo roku 1216 stawiony. Fundował go Klemens Jaxa Branicki, bardzo możny Pan Polski, który więcej kościołów i klasztorów nabudował, jak ich inni widzieli, a ten tutaj podobno ostatni zbudował. Miał jednę tylko córkę, co jej na imię było Wizenna. Otóż jak klasztor ten wystawił, Panny Zakonne z Francyi sprowadził, tak też oddał im wszystkie swoje dobra i tę jedynaczkę córkę Wizennę, która była pierwszą ksienią nad innemi pannami. Oto cała historja na onym obrazie. — I pokazał mi obraz, na którym ten Pan Branicki, i jego żona, i Panny Zakonne i córka były namalowane — a przy ich nogach leży małe w pieluchach dzieciątko. Pytam co to znaczy, staruszka, a on mi na to:

— Oto widzicie, gdy już pan Branicki zapisał wszystkie dobra klasztorowi, narodził mu się syn. A gdy o tem dowiedziała się Wizenna, rzekła: — Tylko do jutra będzie żył. I tak się też stało. Na drugi dzień dzieciątko umarło, i dla tego to nazwano go: *Dojutrek*. Dojutrek leży z rodzicami i z Wizenną w cynowej na kłótkę zamkniętej trumnie.

Potem zaprowadził ci mnie on staruszek do kaplicy Matki Boskiej Bolesnej, odsłonił obraz i rzekł: — Ten obraz tak dawny jak kościół.

Jakem ci podniósł oczy na niego, zakroiło mi w sercu i ani rusz, musiałem płakać. Bo i któżby nie zapłakał, patrząc na te siedem mieczów i na te łzy, co spadają po najświętszej twarzy za grzechy nasze!

— Otóż, mówił mój staruszek, nie długo po zbudowaniu tego klasztoru, lud dziki pogański, Tatarami zwany, co najechał polskie kraje i wszystko mieczem i ogniem niszczył, wpadł do klasztoru i onym kurytarzem aż pod tę kaplicę przyszedł. Ale tu nagle Tatarzy pociemnieli, a nie widząc nic dalej przed sobą, z okrutnym strachem z klasztoru uciekli. I tak ta cudowna Matka bolesna ocaliła swą opieką Panny Zakonne od śmierci.

— A cóż znaczy ten obraz, co to na nim jakiś pono chory na łóżku leży? zapytałem staruszka.

— To widzicie taka znowu historja: Blisko przed 50 laty stał tu w Niepołomicach oficer od wojska, a nazywał się Zeramb. Jako pan z panów, bywał w tej kapliczce i modlił się często. Potem trzeba było, że po kilkunastu latach zachorował bardzo w Wiedniu, a gdy mu lekarze nic pomódz nie mogli, ofiarował się Matce Boskiej w tym obrazie. Miał też widzenie tej Matki Bolesnej i wnet został zdrów. Na pamiątkę tej łaski doznanej, dał ten obraz namalować i prosił, aby obok ołtarza był w kaplicy zawieszony. Sam zaś Zeramb wstąpił potem do bardzo ostrego klasztoru Trapistów, chodził prawie tylko o pieczonych ziemniakach do Ziemi świętej i bardzo świątobliwą potem umarł śmiercią. Tu się też modlił, prawił dalej staruszek, nasz ks. Antoniewicz siedm dni przed swoją śmiercią. Nie mógł się oderwać od tego św. miejsca, jakby przeczuwał, że się tu poleca opiece Matce Bolesnej po raz ostatni.

Tak widzicie, cicho ale cudownie mieszka tu ta Najświętsza Matka Boska, a kto tu idzie z ufnością — ten pewnie nie odejdzie bez pociechy. Jej siedm mieczów boleści mają większą moc, jak tysiące pałaszy w rękach walecznych żołnierzy.

Pokazywał ci mi on staruszek i inne obrazy w ołtarzach, za com też jego ucałował rękę a on błogosławiąc mnie do dalszej drogi, rzekł: — Idźże zdrów, a na górze ukrzyżowania módl się za mną, ażebym to, czegom dawniej nie mógł wysłużyć pałaszem, mógł teraz tą oto koronką wyprosić u Boga. —

Józef podziękował za pogwarkę Wojciechowi i odszedł z tą myślą, żeby jak najprędzej mógł to wszystko oczami swemi oglądać. Jakoż puścił się na Niepołomice i Staniątki na następujący odpust do św. Kalwaryi. W Niepołomicach tyle się jeszcze więcej dowiedział, że ów kościelny, co mu Karol na imię, ten nowy ołtarz św. Antoniego za 600 reńskich wyfundował, a uskładał je z tych grajcarków, co mu ludzie jako kościelnemu ofiarowali.

Najcięższa łza.

Z rana do zmroku jak zajrzeć okiem,
Wóz się przetacza polem szerokiem,
A za nim ludzie z wzgórza do wzgórza —
Zwiezionych trupów góra już duża,
A jeszcze nie ma ani połowy
Z porozrzucanej po bitwie dniowej.

Jaskrawe słońce spokojnie schodzi...
Po jedynaku matka zawodzi;
Daremnie dźwiga trupa pod ramię;
Głowa wciąż spada, ciało się łamie,
Oko w kół stoi, wiatr włosy rusza...
Hej! poszła sobie duszyczka dusza.

— Synu! mój synu! jedyne dziecię,
To ja już sama będę na świecie?
Nikt mi ubogiej pomocy nie da?
O! moje dziecko, biedaż mnie bieda!

— Synu! mój synu! nieboga twoja
Leci od wioski, hoża dziewoja,
Zbożem na przełaj, ścieżką deptaną —
O! mój kwiateczku, zwiądłżeś mi rano!

Synu! mój synu! gdy przyjdą wrogi,
Już się nie porwiesz na równe nogi,
Kosa się twoja w chacie zardzewi,
Pérz się z łopuchą w polu rozkrzewi,
Trawą do stajni zarośnie ścieżka,
W twojej świetlicy obcy zamieszka,
I twoją żonę i drobne dzieci
Przez próg przerzucać będzie jak śmieci.

Dałabyś pokój matko rodzona —
Widzisz jak broczy rana czerwona,
Jak się krew stacza z zmarłego boku,
Widzisz jak woda zbiera się w oku —

Przyjrzej się matko, mateńko luba,
Jak mu łza spada, by perła gruba.

— Boleść *synowska* do samej śmierci,
Boleść *mężowska* trumnę przewierci,
A *poojczysta* w niebie zasmuca....

T. Lenartowicz.

HISTORJA

o kłótniach Szeligów i Berdyszów, dwóch kmiecych rodzin w Gajowie — i jak się pogodzili z sobą.

Dalsze opowiadanie

Józefa z pod Krakowa.

Skończyły się żniwa, adwent był za pasem, w stodołach aż miło, cała wieś od młocków dudni, we dworze młocarnia tyrczy — a ludzie żenią się i żenią. Szeliga wytoczył proces Berdyszowi i panu, a o Walku słychać że się z Baską żeni. Baśka w komorze płacze, stary się gniewa i klnie, stara Szeligowa córce perswaduje, a Walek z nogi na nogę kuśtyka, czapkę na bakier wsadził, cygaro pali, że to bez kija ani przystępuj do niego. Pierwej był pokornym, dziś się nikomu nie ukłoni, nawet proboszczowi i panu. Berdysz stary i koniec Berdyszowski gotują mu w karczmie łaźnię; jeno że Walek mądry do karczmy nie idzie, a Berdyszów omija. Ale i na Szeligowskim końcu ludzie mówią:

— Oj daliśmy sobie, dali, żeśmy takiego włóczykija do wsi puścili.

Janek Berdysz jak mu o Walku wspomnieć — czerwienieje jak rozpalone żelazo i ściska pięści. Powiadają, że Walek dostał od niego kijem, kiedy się spotkał z nim wracającym z karczmy; a i oko ma podbite, ale się tem nie pochwali, powiada tylko, że go drzazga wycięła, kiedy drwa rąbał. Co także dziwo, to że Janek jakoś posmutniał bardzo, robota mu w skład nie idzie,

ani je, ani gada, tylko w karczmie wódkę popija. Baby powiadały że to uroki, i leczyły Jaśka, ale nic nie pomogło. Walek śmiał się z pode łba, i mówił: — Będzie on chorszy jeszcze.

Było to w Niedzielę. Ludzie hurmem sypnęli się do kościoła: byli Szeligowie i Baśka, był i Berdysz ze synem. Baśka uklękła w kącie pod filarem, sparła głowę o mur, i rzewnie płakać zaczęła. Łzy jej jak groch po gębie płynęły. Wszyscy dziwili się, co się dziewusze dzieje. Szeliga ze złości tyrpał ją za chustkę, Szeligowa cieszyła, ale trudno poradzić, jak się dziewczęce serce rozżali. Kiedy się Baśka trochę uspokoiła, zaczęła się modlić bardzo, oczy podniosła ku panu Jezusowi w ołtarzu, i choć się msza skończyła, ona klęczała jeszcze i nie dała się wyprowadzić. Szeliga zgniewany odszedł z żoną, poszli i inni ludzie — a Baśka klęczy i modli się jeszcze. Kiedy nareszcie wstała i wyszła na cmentarz, aż tu z za muru wychodzi Jasiek bardzo smutny i także z czerwonemi oczyma.

— Basiu! Basiu! kochanie, a cóż ci to?

— Ej daj mi pokój Jasiek! daj mi pokój! Nie żartuj ze mnie i nie zdziwiaj, bo ja bardzo biedna dziewczyna! — i zapłakała znowu.

— Ale moja Basiu kochana, ja nie żartuję. Mnie ledwie serce nie pęknie, kiedy widzę jak ty płaczesz.

— Ej brzydko! brzydko! tak sobie przekpiwać z nieszczęśliwego. Przecież mnie ty nie cierpisz, bo ja Szeliżanka. —

— Jużcić ty Szeliżanka a ja Berdysz — ale ja nie wiem co mi się dzieje! Kiedy ty płaczesz, to bym temu bestyi Walkowi przetrącił drugą nogę i łeb na ćwierci rozpłatał. Jakem się dowiedział że ty masz iść za niego, to sobie już miejsca znaleźć nie mogę: ani jem, ani robię, jeno bym wódkę w siebie chlał na desperacją. O dla Boga, ja nie wiem co ja zrobię, jak ty pójdziesz za niego! — I Jasiek zaczął płakać jak bóbr.

— Mój Janku, rzekła Baśka, zrobiwszy wielkie oczy — to tobie doprawdy o to chodzi? Ja zawsze myślała, żebyś mnie ty w łyżce wody utopił.

— Ale ja cię kocham, ja cię kocham, moja Basieńko! Ja nie wiem co mi się dzieje! Chciałem ci to niby dokuczać, chciałem cię wybić, żeś mi konie puszczała, i kląłem na ciebie,

ale w sercu mi jakoś inaczej było. Kiedym cię zobaczył, to mi się dziwnie robiło, i chciałem gadać do ciebie, alem nie mógł. Oj Boże, mój Boże! nieszczęśliwa dola moja.

— No to i ja ci powiem, mój Jaśku, żem sobie nieraz o tobie myślała, żem lamentowała czemu ty Berdysz a nie z Szeligowskiego końca! Mój Boże, tybyś temu bestyi kuternodze wnet pokazał co umiesz. —

— Ja mu i tak pokażę, rzekł Jasiek ściskając pięści.

— Mój Janku, i cóż z tego przyjdzie. Zamkną cię do kozy, a ja tymczasem pójdę za Walka.

— Cóż robić tedy? mój Boże jedyny! Wiesz co Basiu, przyjdź jeno wieczór na ogród — wszyscy będą w karczmie, a ja będę czekał. Tam przecie co uradzimy za pomocą Bożą, abyś się temu kuternodze nie dostała.

— Ale Walek nas wypatrzy — rzekła Baśka.

— Walek dziś pójdzie do miasta po papiery — bo gadał Wickowi.

— A jużcić przyjdę, to pogadamy.

— Jeno mi się też znowu bardzo nie turbuj, moja Basiu. Za wolą Boską wszystko dobrze będzie.

Rozeszli się oboje. — Baśka do domu, Jasiek inną drogą także do chałupy. Ledwie poszli, aliści z za muru wyłazi kulawy Walek, śmieje się okrutnie i ściska pięści. Taki to był mądry kuternoga; do kościoła iść nie miał czasu, ale ludzi wypatrywać i śmiać się z czyjej niedoli, zawsze był gotów.

Dziwicie się pewnie, jak stary Szeliga tak mógł ogłupieć, żeby córkę jedynaczkę za takiego przywlokę jak Walek chcieć wydawać. Ale to już Walek tak go oczarował. Jak mu jął gadać o procesach, o gruntach, które wygra, o tem jak Berdysza upokorze i zniszczy, tak łakomy i mściwy Szeliga aż skakał z radości, i nie miał serca odmówić czego kuternodze. A że mu się córka sprzeciwiała, a był człowiek kordyaczny, więc jeszcze bardziej na to nastawał i córkę przymuszał. Biedna Baśka miała krzyż pański w domu, matka jeno pocieszała ją jak mogła, choć i ona miała co cierpieć od takiego złośnika jak mąż. Walek pierwej układny, coraz bardziej jął rej w domu wodzić, i nieraz wsiadł na matkę z Szeligą, jak na burą sukę.

Wtedy to wzdychała i płakała stara po cichu, myśląc sobie:

— Mój Boże, co to potem będzie?

Skoro przyszedł wieczór, Baśka wyśliznęła się z domu na ogród, a Janek już czekał za płotem. Chociaż byli bardzo smutni oboje, lżej im było na sercu, że się już nie niecierpieli, i że zapomnieli o swarach Berdyszów z Szeligami. Jasiek nie mógł się dosyć wydziwować, jak Szelizanka może być nie takiem srogiem zwierzęciem, jak przódy myślał, ale dobrą, poczciwą i biedną dziewczyną. Baśka z radością spostrzegła, że żaden z Szeligowskiego końca, ani nawet sam Jantek furman, tak bardzo jej nie kochał, jak Jasiek Berdysz. Zaczęli sobie roić, jakby to dobrze było, żeby się pobrali, bo i w karczmie nie byłoby już bitek i w domu swarów i obrazy Boskiej by już nie było. Ale wnet przypomniała sobie Baśka o Walku, o nieprzyjaźni Berdyszów i Szeligów i rzekła:

— Mój Boże! co my też tu bajdurzymy. Bieda za pasem: czekać jeno jak Walek da na zapowiedzi, bo i tak jeno na *mentrykę* czeka. Lepiej by było pono, mój Janku, żebyśmy się byli nie poznali albo swarzyli do końca.

— Ej moja Baśko, ja przecie mam u Boga nadzieję. Medytował ja długo, co robić, ażem wymedytował.

— No i cóż takiego?

— Oto pójdę do dworu — do pana i pani — skłonię się — powiem wszystko. Powiem jaki ten Walek huncwot, jak go ty nie chcesz, jak płaczesz i frasujesz się, jak on już wszystkimi pomiata — jak my się mamy ku sobie. —

— Cóż z tego, mój Jaśku, kiedy tatuś pogniewali się z dworem, procesują się i już nawet na robotę nie posyłają.

— No, to znowu Walka huncwota sprawka. Powiem i to.

— Albo to pan co na to poradzi?

— E! dyć mnie sama pani nieraz ciebie raiła i gadała święte słowa: Ożeń się z Baśką. Ja głupi na to: Wolę garbatą Grabczankę. Otóż mnie pan Bóg ukarał tą niecnotą Walkiem. No! jak przecie pan konceptem ruszy, to może go i wykurzymy.

— Mój Boże! pan nic nie poradzi, choćby chciał. Teraz inne czasy. Pierwszy lepszy drągal buntuje ludzi, aby nie szli

do roboty, choćby panu wszystko na garściach zrosło, a pan musi patrzeć na to.

— Prawdać że inne czasy. No! i cóż my zrobimy, moja Basiu? Chyba tę bestyją zabiję?

— Rety Marja! co też ty gadasz! Żebyś ty miał duszę tracić dla takiego łajdaka. To ja już wolę iść za niego.

— Ale ja nie pozwolę. Pójdę do mego tatusia, plackiem mu do nóg upadnę, potem do twego — przeciem kmiecy syn, to tego gałgana wyżeną.

— Gadaj sobie! Tatuś cię zwalą kijem, że za mną latasz, a mój za drzwi wyrzucą...

— To chyba w świat pójdziemy oboje, rzekł Jasiek, załamując ręce i płacząc — w świat gdzie nas oczy poniosą!

— Żebyśmy razem siedzieli na wiarę, na obrazę Boską? O Jaśko! co też ty gadasz!

— Więc cóż robić, cóż robić, moja Basiu kochana! zawołał Jasiek, przyciskając dziewczynę do siebie. Ja bez ciebie nie wyżyję, ja się utopię!

Kiedy tak desperują oboje, sadem od chałupy Walkowej przesunął się jakiś człowiek ku Szeligowej chacie. Rozgarnął gałęzie, słuchał chwilę i znikł. Ani pacierza byś nie zmówił, a jużci hałas się robi — i od Szeligowej chałupy leci stary, matka i kilku z Szeligowskiego końca a Walek za nimi kuśtyka. Baśka krzyknęła i chciała uciekać. Jasiek widząc co się dzieje, przeskoczył płot i wyrwawszy kół, stanął przed Baśką aby ją obronić.

— Patrzcie jeno, panie wójcie — mówił kuternoga — jak tam gołębie u płota gruchają.

Szeliga pienił się od złości i rzucił się jak pies wściekły na Janka:

— Zabij! zabij! wołał. Zabić bestyją! i klął co mu ślina do ust naniosła. Podniósł też lagę ogromną na Janka.

Janek zastawił się kołem od płotu.

— Ani kroku, bo ja wam łeb rozwalę, a nie chciałbym, boście ojciec Baśki. Baśki bić nie dam, bo i tak się z nią obchodzicie jak nie z córką. Kocham Baśkę i kwita!

W tej chwili nadlatuje Berdysz z chłopami z Berdyszowskiego końca.

— Co ty gadasz, taki owaki! zawołał. Ty z taką paskudą Szeliżanką się włóczysz! Puszczaj to ścierwo, bo ja ci łeb rozwalę.

I bitka wszczęła się na dobre.

Janek trzymał Baśkę i zasłaniał pomimo razów ojca, które jako od rodzica cierpliwie znosił.

— Ojcze, ojcze kochany! co ja winien, że ja kocham Baśkę i nie chcę aby ją wydali za tego łotra kuternogę. —

— Co ci do tego! wołał Berdysz. Powinieneś się cieszyć, że pan Bóg Szeligę oślepił. Niech sobie wyda jedynaczkę za tego szubienicznika. —

— Wyście szubieniczniki! huczał Szeliga, porywając Baśkę za warkocz.

— Zmiłujcie się nad Baśką, zmiłujcie! wołał Jasiek składając ręce. —

— Stul pysk, wyrodna duszo! krzyczał Berdysz, wyciągając Jaśka z za płota.

Ale Jaśkowi przybyło zkądś siły. Rzucił się na Szeligę, porwał Baśkę skrwawioną i zbitą, trzasnął w łeb zachodzącego mu drogę Walka, że się aż przewrócił — i prosto w sień chałupy Szeligi. Chłopi za nim — chcieli zamknąć drzwi drugie — on je wywalił pchnięciem kolana — i jak koń czwałujący, leci wprost ku dworowi — a Baśkę ciągle trzyma na rękach. Chłopi zostali za nim daleko — aż ci stanął przed gankiem dworskim, gdzie pan, pani i jakiś urzędnik powiatowy pili herbatę. Wszyscy aż skoczyli z podziwienia, kiedy Jaśka ujrzeli. Baśka ledwie dychała — złożył ją więc na ziemi, a ukląkłszy przed państwem, jął mówić:

— Wielmożni państwo! ratujcie mnie i Baśkę.

Jeszcze wam dziś nie skończę tego opowiadania. Ale nie gniewajcie się bardzo! za drugim razem dopowiem wam już do reszty.

CIEKAWY WOJTUŚ.

Sól.

Nasz majster rymarski, Walenty z Przemyśla, co to go już znacie od przeszłego roku, siedzi sobie ot za stołem, a wedle niego Wojtuś, ów chłopczyk ciekawy. Obaj trzymają łyżki w pogotowiu i pilnie poglądają na panią matkę, rychło też im jeść poda.

Majster był niecierpliwej natury, toć go wnet pokorciło przyciąć żonie, dlaczego się tak guzdra z obiadem.

— A dopukisz tam będzie tego czekania! zawołał niby gniewny — tfu! niech cię nie znam matko, co taka z Waćpani guzdralska.

— Proszę ciebie, stary, nie klekocz mi nad uchem — odpowiedziała żona, trzymając zapaskę w obu rękach i dmuchając nią ustawicznie na ogień, żeby się lepiej palił. — Dosyć ja mam za swoje, co się tyle namęczę przy tem niepoczciwem drzewsku, a tu, widzicie go, jeszcze mi on będzie docinać językiem.

Walenty począł sobie gwizdać pod nosem, bo wiadomo, że Polak kiedy głodny, to gwizda. Wojtek znowu bębnił po stole trzonkiem od łyżki.

Uwinęłać się nareszcie gospoś i postawiła przed nimi misę zacierki. Zaraz też ustało i gwizdanie i bębnienie — ojciec i syn zabrali się gracko do jedzenia. Po pierwszej łyżce majster jakoś się skrzywił i popatrzył na żonę.

— Co, może nie dobre? zapytała pani majstrowa, która to skrzywienie zauważała.

— Podajno soli, bo nic a nic niesłone.

— Oj nie to, odpowie żona — ale powiedz, żeć mucha usiadła na nosie, to i dlategoś taki dziś wymyślny.

— Gdzie tam mucha! dalibóg matko, że nie wymyślam, ale kiedy bo niesłone. Wojtuś mów czy nieprawda?

— Może i niesłone; powie Wojtuś z figlarnym uśmiechem do matki.

— No to i dobrze! zawoła pani majstrowa — albo ja wam czego żałuję? i postawiła przed nimi miseczkę ze solą. — Pozwólcie sobie skoro wam niesłono.

Walenty zagarnął całą łyżką, wsypał do zacierki, zamięszał, potem posmakował, zerknął z pod oka na żonę i uśmiechnął się. Majstrowa jakoś się skrzywiła nie miło, potrząsła mieseczką z której do połowy soli ubyło, pogładziła ją niby ręką i nieznacznie odstawiła na bok.

— Ależ to babsko skąpe, na rany Chrystusa! zawoła Walenty wesoło — i czegożeś ztąd sól zabrała? albo jej tu nie było dobrze?

— O także coś! odpowie żona, a twarz jej niby od wstydu poczerwieniała, że ją złapano na gorącym uczynku. Miałabym na co być skąpa, o, o! że też to takie gadanie niedorzeczy. Choć prawdę mówiąc, stary, to mię wcale nie cieszy taki twój zbytek, bo to pieniędzy kosztuje a sam wiesz najlepiej, żeś nie bogacz i że nie masz grajcara na wyrzucenie.

— Traj, traj, traj, pani trajkotko! albo to wyrzucony pieniądz, jeślić sobie człek za swoją ciężką pracę szczypty soli więcej pozwoli?

— Piękna mi szczypta! wczoraj zaledwo jak kupiłam topkę soli a dzisiaj już gonię ostatkiem — to nie bagatela! za dobę topka soli, co kosztuje dwanaście nowych grajcarów.

— Ha co robić, matko! rzeknie na to Walenty — trudnoć sobie jeszcze tego żałować. — Ale już potem nie rzekł ani słówka, jeno się przechylił nad misą zacierki i zajadał aż mu się uszy trzęsły.

Temu wszystkiemu przysłuchiwał się Wojtek nic niemówiący. Po jedzeniu gdy już Pana Boga pochwalili i matka posprzątała ze stołu, Wojtusiowi jakby czegoś brakowało, bo się niespokojnie kręcił po izbie a zawsze na ojca poglądał. Spostrzegł to Walenty i zawoła:

— Chodź no tu, chłopcze! a głaskając go po twarzy, zapyta: Czego to Wojtek taki niecierpliwy? może czegoś ciekawy, he?

Chłopiec jeno się uśmiechnie do ojca i kiwnie głową, że tak.

— No i cóż takiego? gadaj chłopcze ale pilno; bo nie ma czasu do stracenia.

— Ot, tatulku! prawi malec — na św. Wojciecha, jak sami powiadacie, będzie mi już dziewięć lat, a jeszcze nie wiem, zkąd się ta sól bierze, co to ją ojciec tak lubi, a matula taka o nią skąpa.

Majstrowa zdaleka pogroziła synowi, majster znowu kontent, roześmiał się na całe gardło i rzeknie:

— Mój ty synu, trzeba ci wiedzieć, że pan Bóg szczególnie był łaskaw na naszą Polskę. Nie dał ci on nam wprawdzie dużo złota i śrebra, ale za to użyczył nam chlebusia i soli podostatkiem — a to jest największe bogactwo, bo bez tego żaden człowiek obstać się nie może. — Naszać ta sól nieczyja, co ją z Bożej łaski używamy. Dostaje się ją w dwojaki sposób: jedną warzą ze słonej wody i ta się zowie *warzonka;* drugą dobywają ze ziemi już gotową, a ta się nazywa *kamionka.* — W tej stronie Polski gdzie my mieszkamy, to jest od Przemyśla aże het na wschód w Kołomyjskie i do Bukowiny, bardzo dużo znajduje się takiej słonej wody. Aby z niej sól dostać, na to niewielkiego potrzeba rozumu. Dość abyś ją na ogień wystawił; a jużci sól opadnie na dół i tylko masz ją zgarnąć do beczki a skończona robota. Sól taka wywarzona z wody jest biała i miałka. — Sam tylko rząd zostawił sobie prawo warzyć lub też kopać sól, zresztą nikomu nie wolno. Dla tego wszędzie gdzie jeno jest źródło słone, stoją strażniki od rządu, i pilnują żeby ludzie tej wody nie brali. — Takie fabryki rządowe gdzie sól warzą, nazywają się *warki.* Tam od czasu do czasu zajeżdżają *solarze*, zakupują na kilka i kilkanaście fur soli i dopiero rozwożą ją w topkach lub też w beczułkach po kraju. Do Przemyśla zazwyczaj przywożą z *Lacki* od Dobromila, bo jest najbliżej. Do Sambora znowu dowożą ze *Stebnik* i *Drohobyczy* — do Stryja z *Kałuszy*, z *Doliny* i z *Bolechowa* i tak dalej, bo jużcić wszystkich tam *warek* nie pamiętam, a jest ich dużo.

Druga sól, tak nazwana *kamionka*, wydobywa się z ziemi gotowiusieńka tak, że już nic a nic wedle niej robić nie potrzeba, jeno po prostu ładować na fury, i na sprzedarz wywozić. Nie

jest ona ani taka biała, ani taka miałka jak warzonka — nie utrzesz jej na tarku jak naszą topkę, jeno musisz ją tłuc w moździerzu bo taka twarda; z barwy zaś więcej sina, niektóra też zielonawa i ta jest niby najpodlejsza. Ale trafia się, że będzie taka czysta, jak najpiękniejszy krzyształ, i ta jest znowu najlepsza. Górnicy wyrabiają z niej różne prześliczne rzeczy i takowe sprzedają nie drogo gościom, co zwiedzają kopalnie dla ciekawości. Oj, bo też to wielce ciekawa rzecz, mój Wojtusiu, te nasze kopalnie soli, jakie mamy w *Bochni* albo w *Wieliczce.* Zwłaszcza w Wieliczce to już na cały świat najsławniejsze kopalnie. Królowie, książęta i wielcy panowie ze wszystkich stron świata zjeżdżają tam na zwiedziny. Owoż i ja tam byłem, ale temu już dużo lat. Bawiłem wtedy w Krakowie jako czeladnik u jednego majstra. Z Krakowa do Wieliczki nie będzie więcej jak dobra mila. Raz tedy przy święcie zebrała się nas cała kompanija i wraz ruszyliśmy do Wieliczki. Co ja tam wtedy widział, tego ja ci chłopcze opowiedzieć nie potrafię, tak jakby należało, abyś wiedział.

— O mój tatulko! zawołał chłopiec — cóż ja teraz pocznę? takeście mię rozciekawili!...

— No, no, nie bój się! pocieszył go ojciec. Wiem ja, że to jest w jednej książce opisane doskonale przez jakąś panię... co się nazywała... ej bodaj cię, tak mi się po języku plącze... aha, już go mam: przez panią *Tańskę.* Otóż w niedzielę po nieszporach skoczę do księdza kanonika, co na nas taki łaskaw i poproszę go o tę książkę, bo wiem że ją ma — nieraz mi o niej spominał. Wtedy przeczytamy sobie we dwójkę o tej Wieliczce i nasza matka też posłucha, bo dalipan że warto. Teraz zasię do roboty, żeby było za co na jutro soli kupić.

RÓŻNOŚCI.

Tegoroczna zima. Nie ma się czem pochwalić tegoroczna zima, chybać tem, że srodze broiła pod koniec, zwłaszcza w obcych krajach. U nas jeszcze uszłaby od biedy, bo jeno co nas trocha więcej śniegami zasypała; zresztą nie wiele nam uczyniła krzywdy. Ale po innych krajach, to niech ręka Boska broni, co za breweryе wyprawiało to zimsko. I tak w jednym kraju co się nazywa *Belgia*, w końcu tamtego miesiąca biły pioruny, jakby

w największe upały. Piętnaście kościołów najpyszniejszych spaliło się od piorunu — szkoda niesłychana, bo jużcić zrozumiecie, ile to tam czasu a ile pieniędzy kosztowało na wybudowanie takich pysznych kościołów.— W tym samym prawie czasie i kraj francuski doznał siła złego od tej burzy. — W Czechach znowu takie spadły śnieżyska, że w wielu miejscach na piękne pozasypywały domostwa, a biedni ludzie musieli się dopiero na wierzch wykopywać, bo inaczej wypadłoby im z głodu umrzeć pod śniegiem.

W Węgrzech po kilka razy panowały straszne zamiecie. W taką zamieć zginęło dwóch postylonów, co jechali pocztą w nocy. Zmarzło też w różnych stronach z dwadzieścioro ludzi, których śniegi zasypały na drodze. — W innym znowu kraju ziemia się trzęsła, przyczem taki był huk jak gdyby grzmiało, choć na niebie gwiazdy świeciły i ani jednej chmurki nie było.

Otóż widzicie, że u nas jeszcze się tak źle nie działo, jak gdzieindziej tej zimy. Za co Bogu dziękować. —

Parobek. Przyszedł parobek do gospodarza, szukając służby, a był bardzo małego wzrostu.

— Wszystko to dobrze, rzekł gospodarz, drapiąc się w głowę — ale mi się widzi, że będziesz za mały do koszenia trawy.

Na to mu odpowiedział chłopak: Proszę was gospodarzu, czy każecie z góry kosić trawę?.. bo jeśli z dołu, tom do tego lepszy i zwinniejszy jak wszyscy inni wysocy.

Gospodarz się roześmiał i przyjął parobka do służby, a podobno nie pożałował tego. —

Wróżka. Jeden chłopek, filut nad filuty, kazał sobie raz babie wróżyć. Cygan baba, co na to jak na lato, zaraz do ręki i plecie jak kołowrotek; że żniwo będzie dobre; że zostanie setnym bogaczem; że mu pan Bóg da syna i ten syn będzie księdzem i Bóg nie wie co.

Skoro wróżyć skończyła, żąda zapłaty. Wtedy chłop w śmiech: — Toś mi doskonała wróżka, patrzaj! rzecze do baby — to wiesz wszystko co będzie kiedyś, a co tylko panu Bogu wiadomo; znasz przytem wszystko co jest i co było dawniej, a tego nie wiesz, żem goły jak turecki święty i nie mam złamanego szeląga? Oszust z ciebie! precz mi ztąd włóczęgo! wykpigroszu! — Babsko jak zmyte, spuściwszy uszy po sobie, wyniosło się za drzwi. —

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Według stawu syp groble.
2. Tłustego połcia nigdy nie smaruj.
3. Zawsze się oglądaj na tylne koła.
4. Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II. **Nr. 10.**

1. Kwietnia **1860.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BOLESŁAW KRZYWOUSTY.

I.

Już to na Bolesławach pan Bóg prawdziwie pobłogosławił Polskę. Każdy z nich był sobie król jak się patrzy: tak do szabli tęgi, jak i do rządów sprawny. Nieladać który kraj może się pochwalić takimi królami jak nasi trzej Bolesławy: więc jeden co się zwał *Chrobry*, a drugi *Śmiały*, trzeci nareszcie ten oto *Krzywousty*, co nastał po swoim ojcu Władysławie na tron polski. Miał ci on wprawdzie krzywe usta, bo go tak choroba oszpeciła jeszcze w dzieciństwie będąc — ale mniejsza o to! lichyć to król, coby rządził ustami. Gładkie lica i piękna mowa nie zbogacą kraju, ani go też od nieprzyjaciół nie zbawią; a na tych jak się już nieraz rzekło, nigdyć nam nie zbywało. To też król polski aby się na co zdał, musiał mieć przedewszystkiem odwagę jako prawdziwy rycerz i głowę nie od parady, coby krajem dobrze rządziła. A takim był właśnie nasz Krzywousty.

Bywało jeszcze za życia króla ojca, kiedy w trąby zagrali na wojnę, maleńki Bolesławek bo ledwo dziewięcioletni, rwie się na gwałt do konia i do szabli, a ojca na klęczkach prosi, żeby mu koniecznie na wojenkę pozwolił.

— At, prawi król — dziecko jesteś.

— Mój ojcze, mój królu! zaklinał chłopczyna i całował ojca po nogach — pozwól jeno, a zobaczysz że potrafię bić naszych wrogów, co nam Bóg wie za co nie dają spokoju. — Ho, ho, dam ja im!... I cały poczerwieniał jak kiedyby stary wojak jaki od gniewu, i począł się odgrażać srodze, wymachując pięstuczkami — aże król się roześmiał i musiał w końcu rad nie rad pozwolić synalkowi na wojnę. Jeno starszym nakazał, żeby na niego baczność mieli.

I tak to Bolesław nasz już zawczasu kierował się na prawdziwego rycerza. Dziś w takim wieku nasi chłopcy prawie jeszcze w piasku się bawią i uganiają na patyku niby na koniku — a on syn królewski już robił służbę w obozie, sypiał na gołej ziemi i bijał się z nieprzyjacielem jak każdy inny żołnierz. A Polska cieszyła się, że kiedyś będzie miała takiego zucha króla.

To też po śmierci ojca wszyscy byli za Bolesławem, chociaż był jeszcze i drugi królewicz, imieniem Zbigniew, i nawet starszy od Bolesława. Aleć że raz, Zbigniew nie był ślubnym synem króla, a potem, że Bolesława wszyscy bardziej kochali — więc on został królem. Tamten zaś dostał z łaski brata małą cząstkę kraju, gdzie mu wolno było panować. Inny coby więcej kochał ojczyznę jak siebie, siedziałby cicho, kiedyć się tak Bogu spodobało, aby nie on królował ale brat jego. Że zaś Zbigniew niedobry był, więc począł wichrzyć w kraju, powstawać na brata, a nawet przeciwko własnej ojczyźnie, niecnota jakiś, nie wachał się zmawiać z nieprzyjacioły i na wojnę z Polską ich prowadzić.

Zrazu Bolesław nasz jakoś nie pomiarkował, co mu się święci od brata. Zdawało mu się, że w kraju piękny spokój, więc że czas było aby się ożenić. Zachwalali dużo królowi córkę księcia Ruskiego na Kijowie, że była bardzo urodziwa i

co więcej bardzo dobra pani. Król chętnie temu uwierzył. Powiadał on nieraz, że najmilszą mu byłaby żona ruska.

— Dziad mój, prawi, Kazimierz ożenił się z Ruską — mój stryj Bolesław Śmiały pojął także Ruskę za żonę — toć i ja nie łakomy innej małżonki, jeno z tego poczciwego gniazda ruskiego. Podobają mi się Rusini, bo to lud szczery, gościnny i z tej samej krwi co Polacy. Chciałbym ja, żeby kiedyś te oba narody podali sobie ręce w obec Boga, tak jak to czynią królowie polscy z księżniczkami ruskiemi przed świętym ołtarzem, i poprzysięgli sobie nawzajem wieczystą miłość.

Tak powiadał król Bolesław razu jednego do panów polskich, zgromadzonych na zamku w Krakowie, i kazał im się duchem gotować do podróży w kraj ruski.

— Bierzcie, kazał on — ze skarbca mego dary co najdroższe i niebawem ruszajcie mi w swaty do przesławnego księcia na Kijowie, prosząc o jego szlachetną córkę na małżonkę dla króla polskiego.

Rychło sprawili się swatowie. Kijowski książę rad był z duszy takiemu zięciowi — na łeb na szyję ładowano wozy z bogatą wyprawą dla księżniczki; i błogosławili ją rodzice na drogę i dużo tam było płaczu, gdy się rozstawali ze sobą.

Skoroż się Bolesław dowiedział, że jego narzeczona już blisko, wyruszył z zamku na powitanie. Kraków przystroił się w tym dniu jakby w jakie wielkie święto. Na zamku powiewały barwiste chorągwie, rycerze w złocistej zbroi i na pysznych koniach czekali u bramy, rozstawieni po obu stronach. Za zbliżeniem się królowej uderzono w kotły i w trąby zagrano, a lud wszystek cieszył się i życzył dobrze swojej przyszłej pani.

Dopieroż wesele było huczne — król szczęśliwy sypał na wszystkie strony bogate podarunki; królowa już nie płakała za domem, bo jej się u nas bardzo spodobało.

Aliści nie długo było tego szczęścia i tej wesołej zabawy! Polskę najechał nieprzyjaciel srogi. A prowadził go Zbigniew niedobry, któremu szczęście brata stało się solą w oku. Król prawie co nie zapłakał, skoro się dowiedział że Zbigniew zdrajca. —

W Krakowie na rynku w szereg szykują się nasi rycerze, co ich król powołał na wojnę. Piękne to były chłopy, ci nasi dawni rycerze — mój Boże! to jeden w drugiego rosły jak dąb i takiej siły, coby mu niedźwiedź nie sprostał. Ubierali się oni w żelazo od stóp do głowy, kiedy szli na wojnę. Dziś człeku gdyby cię w taką sukienkę ustroili, powaliłbyś się jak klocek na ziemię i anibyś ręką kiwnął. A szablę co nią każdy z nich wtedy wywijał jak piórkiem, dziś nie wiem czyby dwóch chłopów ruszyło z miejsca. — Tacy to byli siłacze za dawnych czasów!

W Krakowie na rynku stoją nasi rycerze i czekają rychło z zamku król nadjedzie. Z domów powychodziły stare kaleki i niewiasty z dziećmi na rękach, by się też przypatrzyć polskim wojakom i na wojnę im pobłogosławić. I nabawiły się matki nielada kłopotu, bo im się chłopięta z rąk wyrywały na gwałt do rycerzy i do tych szabel błyszczących od słońca, że ani daj Boże było ich uspokoić. — Takać to dusza niebojąca a rycerska była już w dzieciach naszych za dawnych czasów!

W Krakowie na rynku stoją nasi rycerze a pod nimi dziarskie konie prychają, taj niecierpliwią się na wojnę. Aż tu od królewskiego zamku słychać trąbienie na znak, że król jedzie. Niebawem też zadudniła ziemia od kopyt końskich, a zamkową drogą pędzi w cwał kilkunastu jeźdźców. Naprzód wysunął się jeden rycerz w złocistej zbroi i na pysznym koniu. Był to sam król. Radośnym okrzykiem powitało go wojsko — król podziękował jak należy, nie dużo mówił jeno pokazał szablą w stronę, zkąd się spodziewali nieprzyjaciół i zawołał: — Boże nam dopomóż! Poczem na miejscu zwrócił konia i rozkazał: — Za mną, panowie rycerze! W pochód ruszyło wojsko, spiewając sławną pieśń św. Wojciecha: „*Boga Rodzica*“ — a lud wszystek błogosławił mu: Szczęść Boże!

I jakże miarkujecie, po czyjej stronie była wygrana? A jużcić po tej stronie, gdzie przewodził Bolesław. Bo i któżby jemu sprostał, kiedy to, mówię wam moi ludzie, w tym królu była taka dusza odważna, że choć i samego diabła, toby się pono nie uląkł.

Raz zdarzyło się podczas tej wojny, że go jeden z panów polskich zaprosił na swoje wesele. Król okrutnie lubiał polować. Więc po weselisku wybrał się do pobliskiego lasu na grubą źwierzynę. A nie miałci wtedy przy sobie więcej nad stu luda. Jeno co weszli do lasu, aż tu z zasadzki wysypała się straszna moc nieprzyjaciół i hurra! uderzyli na króla i na jego ludzi, wrzeszcząc: Poddaj się! Radzili dworzanie królowi, ażeby co tchu umykał, bo przemoc wielka. Ale Bolesław ani dał sobie mówić o tem.

— Nie chcę, powiada, bom nie żaden zając abym uciekał, a tę chołotę nauczę, co to znaczy wołać na króla polskiego: „Poddaj się". Dalej za mną!

I pierwszy uderzył w sam środek nieprzyjaciół; za nim naturalnie że i dworzanie poszli na przebój. Matko Przenajświętsza! co tam król wtedy łbów nie napłatał — ludzie też jego niezgorzej mu pomagali. Dość na tem, że nietylko nie uciekł, ale jeszcze napastnikom tak srogiego napędził boja, że zmykali aż się za nimi kurzyło. A było ich przecie do trzechtysięcy chłopa, podczas kiedy Bolesław miał tylko stu.

Jużcić domyślicie się, czyja to była sprawka, że w onym lesie króla opadli — że to Zbigniew niedobry nastawał na życie brata. Dowiedział się o tem Bolesław i zawołał w żałości: — Zbigniewie! Zbigniewie! w czem ja tobie zawinił, że godzisz na moje życie?

Odezwie się jeden ze starszych panów: — Miłościwy królu! to już nic z tego — co się łyso urodziło, łyso zginie. Książę Zbigniew niegodzien Waszej królewskiej miłości.

— Nie! jeszcze mu ten raz jeden podaruję — odrzecze król. A do Zbigniewa taki napisał list: Bracie, jesteś na złej drodze — uważaj żebyś daleko nie zaszedł. Napominam ciebie po raz ostatni: Upamiętaj się! rzeknij mi też, czego chcesz odemnie? radbym się koniecznie z tobą pogodzić, boć to przecie grzech, żeby się dwaj bracia nie kochali, jeno bij zabij na siebie. Bój się też Boga Zbigniewie i nie zdradzaj Polski, która jest przecie twoją Ojczyzną!

Może myślicie, że to pisanie królewskie wziął sobie niecnota Zbigniew do serca? gdzie tam! Jemu się gwałtem zachciało królować; a że innym sposobem nie wiedział, jakby się dorwać do tej korony, jeno przez zdradę — więc dalej wichrzył i z wrogami zmawiał się na Polskę jako też na króla. Bolesław postanowił raz temu jakiś koniec uczynić, bo jużcić takie niegodziwości trudno było choć i bratu swemu płazem puszczać. Zanim się Zbigniew spostrzegł, już mu wojsko królewskie siedzi na karku — ledwo co umknąć zdołał. Wygnaniec z ojczyzny temci bardziej zawziął się na Polskę i na brata. Ale na szczęście z Bolesławem to była sprawa, co się to niczyich gróźb nie lękał. Pod takim królem bezpieczna była nasza Polska, choćby się nie jeden ale i dziesięciu takich Zbigniewów na jej zgubę zprzysięgło. — Zobaczycie to sami w dalszem opowiadaniu o *Bolesławie Krzywoustym.* —

Śpiewka matuli nad kołyską.

Na badylu ptaszki mi się kołysały:
Lulu! lulu! mój synalu! — tak sobie śpiewały.

Wezmę na sukienkę płócienka z prążkami,
Ustroję chłopczyka w czepeczek z wstążkami.

W białej poduszeczce pójdzie do kościółka;
Tam ksiądz Proboszcz ochrzci mojego aniołka.

On ci będzie *chrzestnym*, da ci ojca miano;
Raniutko cię ochrzci, abyś wstawał rano.

Da ci ojca imię, imię Kazimierza;
A gdy chodzić będziesz, nauczę pacierza.

A teraz umaję kolebkę chłopczyny,
Będzie spał, jak w gaju zielonym ptaszyny.

A jak mi wyrośniesz i dobry i zdrowy,
Pójdziemy na odpust wraz do Częstochowy.

Weźmiem słoik masła i bochenek chleba,
A słonko nam jasno świecić będzie z nieba.

Pośród złotych łanów idąc z chorągwiami,
Będziem sławić Marję głośnemi pieśniami.

A gdy Jasną-Górę zdaleka ujrzemy,
Z całą *kompanią* na twarz upadniemy.

I błagać będziemy Niebieską Królowę,
By pod Jej obroną wyrosłoś nam zdrowe.

Kupimy ci krzyżyk, szkaplerz poświęcany:
Lulajże mi, lulaj, syneczku kochany!

Zrazu będziesz nosił jagódki w dzbaneczku:
Nie płaczże mi, nie płacz, drogi kochaneczku!

Potem gnać na łączkę będziesz białe gąski,
Potem nam pomożesz zbierać w polu wiązki.

I do szkółki chodzić będziesz raniuteńko,
Nauczysz się czytać, pisać, me złoteńko.

Potem nam i panu kosząc niwę złotą,
Będziesz przed wszystkiemi przodkować z ochotą.

Do karczmy ci rzadko pozwolę na tany,
Bobym zapłakała, gdybyś był pijany. —

Kołysz się, kolebko od ściany do ściany:
Lulajże mi, lulaj! kwiatuszku różany!

Kołyszże się, kołysz, kolebko lipowa!
Niechże cię Pan Jezus, syneczku! uchowa.

(*Cz. N.*)

HISTORJA

o kłótniach Szeligów i Berdyszów, dwóch kmiecych rodzin w Gajowie i jak się pogodzili z sobą.

Koniec opowiadania

Józefa z pod Krakowa.

Ostatnią razą powiedziałem wam, jak to Janek Berdysz przypadł z Baśką Szeliżanką na ręku przed ganek dworski — i że na ganku właśnie siedzieli pan, pani i jakiś urzędnik powiatowy i popijali herbatę. Skończyłem zaś na tem, jak Janek ukląkłszy przed państwem, jął mówić:

— Wielmożni państwo! ratujcie mię i Baśkę.

Teraz posłuchajcie dalej. Pierwszy odezwał się sam dziedzic:

— Cóż ty masz do Baśki? zapytał — wszakże ona Szeliżanka, a ty Berdysz?

Wtedy Jasiek w krótkości wszystko opowiedział. Pan i pani dziwili się zrządzeniu Boskiemu.

— A pamiętasz ty Jaśku, mówiła pani — jakeś wołał Grabczankę albo Piotrowę z pod kościoła?

— To mnie też Pan Bóg ukarał — mówił Jasiek. Baśka tymczasem za staraniem pani przyszła do siebie i zaczęła państwa całować po rękach i prosić.

Urzędnik powiatowy odezwał się:

— Więc to o Walku Bizunie mowa, co się ma z tą dziewuchą ożenić? No! on się pierwej z kryminałem pozna. Przyjechałem tutaj, aby go aresztować jako złodzieja i dezertera.

Zaledwie to powiedział, jużci Szeliga stary wpada ze swojemi na dziedziniec. Pierwej i on znał uszanowanie dla państwa, ale zbuntowany, wpadł teraz w czapce i z kijem, wiodąc Walka i parobków. Berdysz wpadł za nim, ale przecie zdjął czapkę z głowy.

— Proszę wielmożnego pana! rzeknie Szeliga — żeby mi oddał moją Baśkę. Ta psiawiara Jasiek uciekł z nią do dworu.

A stary Berdysz: — Niech wielmożny pan odda, bo ja nie chcę, aby sobie mój syn tą bestyją głowę zawracał.

— Baśka mnie zrękowana! wołał zuchwały Walek trzymając czapkę na łbie — nikt jej zatrzymać nie może.

— To ty bratku! odezwał się urzędnik powiatowy oburzony całą tą historją. Po ciebie przyjechałem. Pójdźno tu do mnie.

Walek chciał dać drapaka i zbladł jak ściana. Berdysz zatrzymał go za kołnierz.

— Idź łotrze, kiedy cię wielmożny adjunkt woła.

Walek stanął przed adjunktem, drżący jak osika.

— Nazywasz się Maciej Niezdara? mówił urzędnik.

Walek kłapnął zębami ze strachu. Szeliga odpowiedział za niego:

— Wielmożny adjunkcie, to Walenty Bizun, przysiężny, a nie żaden Niezdara.

— Nie ciebie się pytam, rzekł groźno adjunkt. Nazywasz się Niezdara i byłeś foryszycem u porucznika Schwertstreich w 40tym pułku. Okradłeś go i uciekłeś. Kto ci tę nogę przetrącił, tego nie wiem — dość że przyszedłszy tutaj podrobiłeś sobie fałszywy paszport i przezwałeś się Walkiem Bizunem. Hej! zakuć go w dyby i podwodę dostawić do dworu — pojedzie tam, gdzie go nauczą kraść i podrabiać paszporta.

— Szeliga otworzył gębę jak wrota. Walek buchnął na ziemię jak długi i jął lamentować i rwać rude włosy z głowy. Nikt go nie żałował, bo każdy wiedział że nicpoń. Najbardziej się jeno wstydził stary Szeliga, który go aż do córki wysforował.

Kiedy już Walek zakuty siedział w spichlerzu pańskim pod strażą dwóch chłopów, pan zawołał do siebie Szeligę, Berdysza, Janka, Baśkę i wszystkich gospodarzy i gospodynie ze wsi. Prosił także starowinę proboszcza, aby mu pomógł do dzieła zgody. Stanąwszy więc z księdzem przed całą gromadą, zaczął mówić:

— Moi kochani ludzie, to co się dzisiaj stało, pokazuje jakie są skutki niezgody i kłótni; jak Pan Bóg często dziwne ludziom podaje sposoby, aby się nawrócili do niego i przestali Go obrażać. Od lat 60ciu kłócą się Berdysze z Szeligami, albo też mówiąc po waszemu: kłóci się Berdyszowski koniec z Szeligowskim. Wszystko złe we wsi tylko z tej kłótni pochodzi. Dziadowie wasi pozabijali się oba; ojcowie poumierali w procesie;

nie było od sześćdziesięciu lat niedzieli, żeby nie było przekleństw, bitek, guzów, kaleczenia! Nie było dnia, żeby się albo wy, albo dzieci wasze nie przezywali i nie bili. Ksiądz was upominał, pan was prosił, powiat was karał, nic nie pomagało. Szeliga chwycił się prostego łotra dla tego, że mu ten obiecywał wykurzyć Berdyszów z gruntu, a pono i mnie coś odebrać. Chciał mu nawet dać córkę jedynaczkę, i powierzyć mu cały dom i gospodarstwo po ojcach odziedziczone. Pan Bóg widać sam tych dwoje młodych ludzi zbliżył do siebie, aby was pogodzić a ja i moja żona nieraz radziliśmy, żeby w ten sposób długą zwadę zakończyć. Zleć było, że Jasiek i Baśka rodzicom o tem nie powiedzieli, że się schodzili razem bez wiedzy ojców i matek; ale wyście sami temu winni, że się wam bali powiedzieć słowa. A kiedy się wszystko wykryło, to dla szubienicznika Walka ojciec córkę zbił jak nieboskie stworzenie, a i Jasiek pono na głowie ma guzy. Berdysz cieszył się, że Szeliga wydaje córkę za byle kogo. Szeliga oblizywał się już, że mu zięć Berdysza wyprawuje i może z chałupy wypędzi. Wielkie, wielkie grzechy wasze, moi ludzie! Ale kiedy teraz Pan Bóg wam otworzył oczy, kiedyście poznali, że tylko tym wierzyć można, co mają Pana Boga w sercu, posłuchajcie mnie i proboszcza, którym najwięcej na tem zależy, abyście byli w zgodzie ze sobą. Niech Baśka idzie za Janka, a najbogatsi kmiecie się połączą ze sobą. Póki wy żyjecie, na tych kawałkach pola, które dziadowie wasi sobie wydarli, będziecie siać dla biednych ludzi i oddacie zbiórkę do szpitalu — ja państwu młodym dam kawał gruntu i drzewa na chałupę, aby się i sami czego dorobili — a jutro wszyscy pójdziemy do kościoła, wyspowiadamy się i złożymy się na wybudowanie kaplicy w środku wsi dla Matki Boskiej, aby was strzegła od dalszych kłótni i niezgody.

Berdysz i Szeliga, chłopi z jednego i drugiego końca, tylko popatrzeli na siebie, bo żaden nie chciał pierwszy podać ręki do zgody. Ale pan wziął rękę Szeligi i Berdysza, i powiedział:

— Pogódźcie się, żeby Boskiej kary uniknąć. —

Łaska Boża zmiękczyła serca obu kmieci. Uściskali się, popłakali — a wtenczas już jak się Szeligowscy na Berdyszowskich

rzucili, jak się zaczęli całować i ściskać, to taki był płacz i ryk, że aż pełno było we dworze. I pan z proboszczem i panią płakali. Jasiek i Baśka całowali ręce dobrych państwa, i beczeli także. Pani wyniosła dwa złote pierścionki i w obec całej gromady odbyły się zaraz zaręczyny. Wtedy, skoro się na sucho już pogodzono, pan kazał przynieść z piwnicy antałek wina, i przy tym antałku bawili się wszyscy aż do białego rana.

Szeliga płacząc ściskał kolana pańskie i przepraszał za proces. Ale pan poklepał go jeno po ramieniu i rzekł: — Jużem o tem zapomniał.

Na trzeci dzień wszyscy byli u spowiedzi i złożyli się na figurę. Wkrótce odprawiło się wesele Jaśka i Baśki, na którem pan i pani i panicze a i ja byłem, miód i wino piłem, a potem spisałem wszystko, na naukę dla was ludkowie mili, abyście w świętej zgodzie żyli, jak to pan Jezus kazał. Wnet się pokazało, że niejeden chłopiec z Berdyszowskiego końca pięknem oczkiem na dziewuchy Szeligowskie spoglądał i że niejedna Berdyszanka wpadła w serce Szeliżanowi. Ksiądz proboszcz dawał ślub po ślubie, a skrzypek Ptak i basista Bąk chodzili jak zmory, bo nie mogli nastarczyć grać na weselach. I tak: Wicek Żelazny ożenił się z Kasią Borucianką z Berdyszowskiego końca, której dotąd płatał podobne figle jak Janek Basi; Staszek Sorota z Małgosią Dulską z Szeligowskiego końca; toż samo Błażek Wiewiórka z Zośką Niedźwiedzianką, a nawet stary wdowiec Mateusz Zawierucha posunął w zaloty do wdowy po Bartku Cichawie i powiadają ludzie, że się może w zapusty pobiorą.

Jasiek i Baśka pobudowali się nad rzeczką, naprzeciwko chałup ojców, tuż przy chałupie Walka, którą sprzedano na licytacyi i pieniądze oddano na szpital. Jasiek Baśkę okrutnie kocha a i ona jego niemało, a że przytem pobożnie i pracowicie żyją, to im pewnie Pan Bóg wszelkiego błogosławieństwa nie odmówi.

Figura Matki Boskiej stoi między trzema chałupami nad drogą, bardzo piękna, a co sobota schodzą się ludzie i śpiewają przed oświeconą kaplicą pieśni na chwałę Najświętszej Panienki.

W całym Gajowie cicho, jak mak siał, bitki i przekleństw nie słychać i powiadają, że już na kopcach granicznych więcej nie straszy.

CIEKAWY WOJTUŚ.

Wieliczka.

Nastałać niedziela. Wojtek przez całe rano chodził jak na szpilkach — tak niecierpliwie wyczekiwał południa i onej książki, co to ją ojciec obiecywał po nieszporach wziąść od księdza kanonika, a w której miało być pisanie o tej cudnej Wieliczce. Doczekał się przecie że zadzwonili na nieszpory. Wszystko troje: majster, pani majstrowa i Wojtuś ruszyli do katedry.

Po nieszporach Walenty skręcił do księdza kanonika po drodze, a matka ze synem poszli prosto do domu.

— Tylko tatusiu, nie bawcie się długo — mój złoty tatuleńko! wołał chłopiec za ojcem.

— No, no nie bój się, wrócę ja zaraz — odpowiedział Walenty.

I prawda że niedługo bawił. Jeszcze majstrowa nie uścigła zrzucić chustkę i zewledz z siebie kaftan podbity barankami, a jużci chłopak przez okno dopatrzył ojca, jak sporym krokiem i z książką w ręce pospieszał ku domu. Więc duchem skoczy ku drzwiom, a jeno mu się oczka śmiały, kiedy ojca z książką powitał na progu.

— Widzisz tedy, synu — powiada Walenty, żem się rychło zwinął. I podał chłopcu książkę: Masz a czytaj na głos, żeby wszyscy słyszeli.

Wojtuś nie dał sobie dwa razy powtarzać — umieścił się przy samem oknie dla lepszego światła, otworzył książkę i tak począł czytać:

— Różne kraje mają różne bogactwa i skarby: złoto, śrebro, różne drogie kamienie; polska ziemia nie ma im czego zazdrościć, bo ma zboże i sól. Nie tylko w Polsce, ale szeroko po świecie słynie sól z Wieliczki i jej kopalnie. Nie wielu z was podobno było tam i widziało z bliska. A warto widzieć, boć

to są cuda, jakich rzadko w całym świecie, i skarby niezmierzone, które już 700 lat mija jak kopią, a Bóg wie jak długo jeszcze trwać będą, bo ani znać tego, co z nich wzięto. Blisko milę idziesz w szersz i w zdłuż, blisko ćmierć mili w głąb, a wszystko sól. Ściany świecą się iskrami z soli; a im głębiej, tem piękniejsza i czyściejsza. Otóż abyście mogli sobie choć trochę wystawić jak to tam jest, opiszemy wam tyle, o ile można; boć to poznajecie łatwo, że co innego widzieć, a co innego słyszeć albo czytać; i nigdy tak opisać nie można, aby już za to obstało, jakby sam człek to widział.

Do tych kopalni jest kilka otworów, czyli takich studni, przez które po drabinkach jak zwykle w kopalniach wchodzą i wychodzą górnicy co dzień. Niektóre z tych studzien są tak szerokie, że konie w klatkach do nich spuszczają, które tam w kieratach pracują, i tym sposobem sól i wodę na wierzch wyprowadzają. Te konie zwykle kilka lat tam już zostają, ponieważ ślepną prędko; ale to im do roboty w kieratach nic nie przeszkadza, i za to są bardzo tłuste. — Głównych wchodów, któremi się można dostać aż na sam spód, jest tylko dwa. Jeden za pomocą schodów, których jest 470 — albo też można się spuścić, siedząc na szerokich taśmach konopianych, przytwierdzonych do grubej liny, która za pomocą kieratu z tymi ludźmi siedzącymi (a nieraz ich będzie z 20), aż na spód szybu się spuszcza. Obydwoma temi sposobami dostaje się dopiero na pierwsze piętro, rachując od ziemi, bo pod niem jeszcze są dwa. Na każdem piętrze dopiero rozchodzą się w różnym kierunku ulice kute w soli. Gdzieniegdzie jeszcze znajdują się warstwy ziemi podpierane drzewem. Niektóre z tych ulic są długie na ćwierć mili; niektóre mają znowu schody, po których zstępuje się na dolne piętro. Na pierwszem piętrze, niedaleko od miejsca, gdzie się można spuścić, jest kaplica świętego Antoniego wykuta w soli. Ołtarz, ambona, kropielnica, lichtarze, lustra, Chrystus na krzyżu, figury Świętych i Królów polskich — i wszystko co w tej kaplicy obaczysz, jest robione ze soli. Tam często odbywa się msza święta dla górników. Ztamtąd niżej trochę, jest znowu ogromna izba czyli sala z podłogą drewnianą, na której może się z jakie 1000 osób pomieści. Często, kiedy są jacy

znakomici goście, odbywają się tam zabawy i tańce. Niżej znowu, na drugiem piętrze, jest także jeszcze większa sala; około ścian kręcą się schody na dół; a jest tak wysoka, że patrząc z dołu na tych, co jeszcze w górze są, wydają się tak mali jak dzieci. Jest w niej u sklepienia powieszonych 6 czy 8 luster, czyli pająków na ścianie, takich jak to w kościołach widzicie. Wiszą one na sznurach, mających może ze 40 łokci długości; obręcze tylko są z drzewa, mające na około z jakie 15 łokci, a reszta wszystko, to jest bentlotki, co zwyczajnie ze szkła bywają, są z soli, wielkości gruszki lub bułki. Jest to więc przecudny widok, kiedy te lustra są oświecone, bo światło w tych bentlotkach i po ścianach odbija się i miga, a kiedy jeszcze zagra muzyka, i widzi się na około, pod sobą i nad sobą tysiące ludzi, to się zdaje, że człowiek znajduje się w jakimś zaczarowanym pałacu. Nie daleko także ztamtąd można widzieć strumień wody słodkiej, spadający przez rozpadliny skał i soli, co jest wielkiem dobrodziejstwem Pana Boga w tej kopalni, bo inaczej musieliby ją sobie z góry do picia i gotowania sprowadzać. Jest takich strumyków wody kilka, które, aby kopalnie nie psuły i nie zalewały, sprowadzone są w wielkie jezioro, już na samym spodzie, to jest na trzeciem piętrze leżące, a na niem są czółna do pływania. Sklepienie zaś nad tem jeziorem jest tak wysokie, że prawie trudno okiem dojrzeć.

Często napotyka się robotników pracujących koło soli: jedni ją kilofami i drągami odrębują od ścian; drudzy znowu prochem wysadzają, tak jak skały; inni w beczki drobniejszą sól pakują i staczają na miejsca, gdzie ją kieratami w górę ciągną. Na dzień robi tam blisko 2000 ludzi, rachując z dozorcami, a każdego obszukują, jak wychodzi z szybu, aby co nie wziął. Wodę zaś słoną, którą na wierzch wiadrami wyciągają, wylewają w nieczyste miejsca i kanały gnojowe, aby je nikt nie brał. Rocznie wydobywają dwa miliony centnarów soli; to też za nią piękny pieniądz wpływa corocznie do skarbu.

Powietrze w tych kopalniach jest wcale łagodne i zdrowe. Pomylili się niektórzy co opisywali te żupy, powiadając: że żaden robotnik nie może w nich długo pracować; gdy przeciwnie

górnicy wchodzą tam rano, biorąc z sobą jedzenie, a nie wychodzą aż na wieczór, i zwyczaj ten tak jest dawny, jak odkrycie kopalni, a zwykle późnego dochodzą wieku.

Powiedzieliśmy wam, że w wielu miejscach, szczególnie od góry, gdzie jeszcze sól z ziemią jest pomieszana, podpory czyli stęplowania są z drzewa. Otóż z tego powodu mogą się zdarzać wypadki ognia w tychże kopalniach. Dwa takie wypadki wspominają stare książki:

Pierwszy stał się w roku 1510 za panowania króla Zygmunta I. Złośliwy jeden robotnik, wychodząc z szybu, ogień w lochach podziemnych podrzucił. Od dymu dużo się robotników podusiło — inni uciekając, szyje na śmierć połamali. Andrzej Kościelecki, naówczas żupnik, wydał samego siebie na niebezpieczeństwo; gdy się żaden z czeladzi leźć nie poważył, sam skoczył do szybu dla ratunku, wespół z Sewerynem Betmanem, rajcą krakowskim, choć ten już był starzec 70-letni. Kościelecki zrażony dymem, niedolazłszy do gruntu, spadł na dół. Betman go ocucił i oba ogień ugasiwszy, niebezpieczeństwo oddalili.

Drugi przypadek zdarzył się dnia 16. Grudnia w r. 1644. W Bonarowskim szybie (teraz już zasypanym), zapaliło się z nieostrożności siano. Od tego ognia i dymu, cokolwiek znajdowało się ludzi i koni, wszystko się podusiło. Trwał ten dym i pożar przez cały rok następujący, nie dopuszczając roboty, zkąd był wielki niedostatek soli, a skarb królewski niezmierne poniósł szkody.

Podług tychże książek starych miały być te kopalnie soli w Wieliczce odkryte tym sposobem: „Bolesław Wstydliwy, Król Polski, zaręczył sobie przez posłów córkę Króla Węgierskiego, niejakiego Beli. Owóż ta oblubienica nie chcąc u ojca brać żadnego posagu w złocie i śrebrze, prosiła go tylko na wyjeździe, aby jej darował, coby równie bogaczom i ubogim służyć mogło. Zezwolił ojciec, a Kunegunda pojechawszy do żup węgierskich, ślubny pierścień wrzuciła do szybu. Stanąwszy potem w Krakowie, kazała się wieźć po niejakim czasie do Wieliczki; a gdy za jej wolą ziemię tam kopać zaczęto, znaleziono sól i zaraz w pierwszej sztuce pokazał się królewski pierścień.

Później ta nasza Królowa Kunegunda została za Świętą uznana, że żyła bardzo bogobojnie.

Ktoby z gości chciał wszystko zobaczyć w tej Wieliczce, niechaj czeka, aż jacy wieloy panowie zjadą tam w odwiedziny. Wtenczas to wszystkie ulice i ściany i lustra ze soli są poświecane, a zatem wszystko daleko jest piękniejszem. Wpuszczają każdego kto jeno zechce; wszędzie pełno jest ludzi, muzyka przygrywa jak na jakiem weselu, często gęsto i tańce tam wyprawiają i palą ognie cudne rozmaitego koloru, tak, że człowiek prawie głupieje i nie wie gdzie jest.

Odezwał się Walenty: — Szczerać to prawda co napisano w tej książce. — Mogę ja powiedzieć, bom tam był i wszystko na moje własne oczy widział. Podobnoć już koniec tej historyi o Wieliczce, nieprawda Wojtek?

Chłopiec kiwnął głową i odłożył książkę na bok.

— A proszę ja taty, zapytał pod koniec, — nie zawaliż się to miasto kiedy, skoroć się ludzie tak bardzo pod niem rozkopali?

— Gdzietam, synu! stoić ono już od tak dawna, a nic mu nie jest, to przy pomocy Boskiej postoi sobie i dłużej, i nic mu nie będzie.

— Chwała Najwyższemu! rzeknie na to pani majstrowa, złożywszy ręce nabożnie — bo coby to była za szkoda, moi ludzie... o dla Boga! —

RÓŻNOŚCI.

Poprawka. Wiecie, że pamięć człeka często zawodzi. Otóż i Wojciech z pod Opatowca, co to wam opowiadał o podróży na św. Kalwarję, omylił się w jednem miejscu. Powiada on że kaplicę św. Karola Boromeusza w Niepołomickim kościele fundował *Karol Lanckoroński* — a tak nie jest. Że zaś człek powinien być rzetelny w każdem słowie, dla tego i Wojciech się poprawia i donosi wam, że oną kaplicę nie Karol Lanckoroński ale *Stanisław Lubomirski* fundował.

Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II. Nr. 11.

11. Kwietnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BOLESŁAW KRZYWOUSTY.

II.

Na krakowskim zamku stawili się posłowie od cesarza Henryka z Niemiec i taką groźną mowę przynieśli królowi:

— Zapytujemy ciebie, królu polski Bolesławie, w imieniu cesarza naszego, dla czego wypędziłeś z kraju brata Zbigniewa i pozbawiłeś go majątku, co mu się prawnie należy?

Odpowiedział Bolesław: — Nie wiem ja, zkąd wasz cesarz ma prawo zapytywać mię o to, jakby właśnie był moim panem a ja jego poddanym. Z tego com uczynił, nie myślę zdawać sprawę nikomu. Jestem sobie tak dobrze królem w polskim kraju, jak wasz cesarz w niemieckim, i niczyich nie znoszę rozkazów.

Na to posłowie: — Wybacz królu, ale taki mamy rozkaz od cesarza, powiedzieć tobie, że jak nie posłuchasz, a nie przyjmiesz brata Zbigniewa do kraju, i nie oddasz mu połowy państwa twego pod zarząd, to będziesz miał wojnę z cesarzem.

— Co robić! powie król — Bóg widzi żem wojnie niechętny, bo mi żal ludzi co na niej giną niewinnie. Ale jużcić na nosie grać sobie nie dam nikomu — niechże będzie i wojna, kiedy się wam tak gwałtem jej zachciewa. Zobaczymy kto zwycięży.

Temi słowy odprawił Bolesław posłów niemieckich — i duchem jął się gotować do wojny. Na wszystkie strony porozsyłał konnych posłów z listami: to do polskich rycerzy, żeby się mieli w pogotowiu — to na Ruś i na Węgry, żeby mu ile tyle żołnierza przysłano na pomoc.

— Radził ja wam w potrzebie — pisał on w tych listach do przyjaźnych sobie Rusinów i Węgrów — radzili i moi przodkowie każdą razą gdyście jeno ich zapotrzebowali, toć się godzi i mnie teraz poratować, kiedy mam mieć wojnę z takim mocarzem jak jest cesarz.

Aliści jeszcze nie ze wszystkiem się przygotował, gdy razu jednego przypadł posłaniec ze *Szlązka*, kraju polskiego, donosząc królowi, jako już wojska cesarskie wkroczyły do Szlązka i miasto *Głogów* obległy. Wprawdzie Głogowianie zuchy bronią się jak mogą za murami, ale przemoc wielka; wzywają więc króla, żeby im co najrychlej przybywał z ratunkiem, bo inaczej to może i upadną.

Odpowiedział im król przez tego samego posłańca, iżby się do ostatniego bronili, i że on tam wkrótce sam z wojskiem nadejdzie.

Owoż Głogowianie posłuszni tej woli królewskiej, dniem i nocą stoją na murach i serdecznie się bronią. Cesarza złość brała, że takiej mieścinie nie mógł poradzić, chociaż miał wielką moc wojska — mieszczanie zaś prosili pana Boga, żeby jeno wytrzymali, zanim się król polski pokaże. — Toż czekają dzień, czekają dwa dni, a wciąż wyglądają na drogę od Krakowa, czy się nie pokażą nasi... gdzie tam! ani słychu dychu — a tu bieda, że niech pan Bóg broni! Cesarscy srodze na nich naciskają, już prawie do miasta się wdzierają.

— Matko Najświętsza, ratuj! wołają Głogowianie i bronią się ostatkiem sił.

Trzeciego dnia koło południa coś niby zagrzmiało i zadudniła ziemia. Myślano że się burza zrywa; patrzą po niebie: żeby choć jedna chmurka to nie — co to jest?... Aż tu na drodze od Krakowa wzbiła się wielka chmura kurzu, i zaraz potem rozległo się straszne trąbienie w powietrzu i tętent cwałujących koni.

W nieprzyjacielskim wojsku powstało srogie zamięszanie. Dopiero widząc to, zmiarkowali Głogowianie co jest: że to nasi przybyli im w pomoc. Nie namyślając się długo, wypadli z miasta, i hurra! na wroga. — Ten z dwóch stron napadnięty, musiał rad nie rad zmykać z pod Głogowa, a nie oparł się aż pod miastem Wrocławiem, co jest także na Szlązku. Tam na szerokiem błoniu rozłożył się dumnie obozem i oczekiwał Polaków. Bolesław nie dał długo na siebie czekać. Już nazajutrz pokazali się nasi pod Wrocławiem — chcieli oni zaraz uderzyć na nieprzyjaciela, ale Bolesław kazał im jeszcze poczekać. Popatrzył on na swoje i na to drugie wojsko! i zrobiło mu się żal tego wszystkiego luda, co się miał pan Bóg wie za co rzucać na siebie i srodze mordować. Przywołał tedy jednego ze starszych panów, niejakiego *Skarbka*, i taki mu wydał rozkaz:

— Pójdziesz mi do tamtego obozu i zapytasz cesarza: czy chce z Polski ustąpić w dobry sposób albo nie?

Dosiadł więc Skarbek konia i z jednym trębaczem wyruszył ku nieprzyjacielskiemu obozowi. Gdy się już dobrze zbliżył, kazał trębaczowi zatrąbić, aby tamci poznali, że to poseł jedzie od króla i żeby mu wolną zrobili drogę.

Pyta cesarz: — Za czem przybywasz do mnie od króla twego?

Skarbek powiedział jak mu było nakazano.

Odrzeknie cesarz: — Nie na tom przyszedł do Polski, abym nic nie skurawszy, do domu wrócił. Niech się stanie sprawiedliwość Zbigniewowi, który się oddał w moją opiekę, a będzie zgoda między nami — inaczej gotujcie się do bitwy. Oto moja odpowiedź i na tem koniec.

Już się Skarbek zabierał do odejścia, kiedy go jeszcze zatrzymał cesarz i poprowadził do jednej wielkiej skrzyni, co

stała na boku. W tej skrzyni było pełno złota i innych drogich rzeczy.

— Patrzaj, powiada wskazując na te skarby — mam ja czem pobić twego pana.

Poseł nie wiele myśląc, zdjął pierścień złoty co miał na palcu i cisnął go do skrzyni, mówiąc: — Idź złoto do złota; my Polacy więcej się w ostrem żelezie kochamy niż w złocie.

— *Habdank!* odpowiedział cesarz po niemiecku, co znaczyło na polskie *dziękuję.*

Od tego czasu skarbek i jego cała rodzina dostała na przydomek: *Habdank* — a król i cały naród bardzo go pokochali, że się przy tej okazyi tak walnie spisał. —

Przyszło tedy do wielkiej bitwy na tem szerokiem polu pod Wrocławiem — nasi wygrali i cesarskich pobili na łeb na głowę. Aż strach powiedzieć co ich tam poginęło: trup leżał przy trupie, jeden wedle drugiego jak snopki na polu. A że nie było komu pogrzebać onych zabitych, to się nazlatywało dużo ptactwa drapieżnego i wielkie gromady psów głodnych, i rozwłóczyly ich kości wszędy po szerokiem polu. Dla tego po dziś dzień jeszcze to pole nazywają ludzie: *Psiem polem.*

Tak się skończyła ta wojna niemiecka. — Przekonał się Zbigniew ladaco, jako z Bolesławem niebezpieczno iść na upartego. Udał się więc w pokorę i prosił króla o przebaczenie.

— Dobrze! powiedział Bolesław —ja mu i tą razą wybaczę i pozwolę wrócić do kraju; ale niech go Bóg broni, żeby miał jeszcze kiedy kopać dołki podemną i w kraju robić zamięszanie.

Taka była odpowiedź królewska. Ponieśli ją bratu oni, co się za nim u króla wstawiali. Niebawem książe Zbigniew nadjechał z *zagranicy.* Wszyscy myśleli, że jako pokutnik stawi się na ziemi polskiej, której przecie tyle złego wyrządził — a on tymczasem niby sam król tak dumnie wjeżdżał do miasta Krakowa; kazał grać w trąby, bić w kotły i nieść miecz książęcy przed sobą. Na to cały Kraków się oburzył:

— Jakto! wołano ze wszystkich stron — taki zdrajca śmie jeszcze głowę zadzierać do góry i każe sobie robić królewskie honory?

Król się także rozgniewał. Zrozumiał on, że Zbigniew nie myśli szczerze o poprawie i że się jeno tak zadał, prosząc o przebaczenie, aby wrócić do kraju i módz po dawnemu broić. Kazał go więc pojmać i wtrącić do więzienia, gdzie też wkrótce marnie zginął.

Po śmierci tak niegodnego brata, długo jeszcze panował nasz *Krzywousty*, a szabla jego co ją sam przezwał: ***żurawem***, cudów dokazywała. Aż mając lat pięćdziesiąt i coś, podupadł na zdrowiu. Jął tedy myśleć o ostatniem rozporządzeniu. Miał on pięciu synów, z tych najmłodszy był *Kazimierz*. Owóż między czterech starszych podzielił kraj cały, a o najmłodszym powiedział: że kiedy cztery koła są u wozu, musi tam ktoś piąty siedzieć na wozie i niemi kierować. Tak się też i stało, bo Kazimierz przyszedł potem do całej władzy i nad wszystkimi panował.

Na ostatek muszę wam jeszcze powiedzieć, jakto za czasów tego Bolesława karano tchórzów, co woleli z pola umykać a niżeli bić się do upadłego. Wprawdzie rzadkie to bywały wypadki, zwłaszcza u nas, coś my się zawsze mężnie bijali. Ale i między najlepszymi może się taki znaleść wyrodek, co się potem za niego jeno wstydzić wypada. Owoż i za Bolesława zdarzyło się raz, że taki tchórz zmykał z pola, skoro zobaczył że wielka przemoc była po stronie nieprzyjaciela. Król się o tem dowiedział i posłał mu na podarunek: ***wrzeciono***, ***skórkę zajęczą*** i ***garść konopi***. Wrzeciono znaczyło, że jest babą; skórka zajęcza, że uciekał jak zając, a garść konopi, że niegodzien jak stryczka. Dostawszy taki ohydny podarunek od króla, on rycerz tchórzem podszyty tak sobie wziął do serca, że zaraz z konopi powróz sobie ukręcił i obwiesił się na dzwonicy.

Umarł Bolesław Krzywousty roku pańskiego 1139 — więc lat już temu 721. Po wielkim królu wielka bywa żałoba — mijały lata, a Polska długo nie mogła odżałować swego Bolesława.

Śpiewka na wiosnę.

Oj świergocze skowronek w górze,
Panu Bogu wyśpiewuje rado, —
Oj Anieli, ci niebiescy stróże
Płaszcz zielony het po ziemi kładą —

Na obłoczkach jadą,
Płaszcz zielony kładą,
Śnieg się słonka wstyda,
Z nieba już nie kida.

Hej woły, moje woły, orzcie że mi rolę;
Hej ptaszę, proś ta w niebie o lepszą nam dolę —

Hej ziarno, moje ziarno, niech cię Bóg ocali,
Oj żeby dobrzy ludzie głodu nie zaznali.

Stary bociek po żabieńcu chodzi,
Oj nawdział wielkie buty czerwone;
Pisklęta stara kokosz wywodzi,
Odgania i krogulca i wronę. —

Wodźże pani matko
Dzieci twoje gładko,
Słońce się już śmieje,
Piórka jem ogrzeje.

Hej boćku, mój ty boćku, zwołajże czeladzi,
Oj wybierz do jednego tych co nam nie radzi —

Hej gospoś, moja gospoś, dbajże o dzieciska,
Niech Pan Bóg je uchowa, kochają ludziska.

Grześ z Mogiły.

SEN.

Opowiadanie Józefa z pod Opatowca.

„Sen mara, Bóg wiara“ — mówią ludzie; jednak zdarza się często, moi kochani, że Pan Bóg i przez sen ludziom się objawia, aby ich zbawił. — Tak prawił Józef do otaczającej go gromady. Wiecie dobrze, jaki to człek był przed nie wielu laty z nieboszczyka Jana Opałka — Panie świeć nad jego duszą! A jak umarł! bogdaj każdy z nas taką śmiercią mógł iść z tego świata. Wszyscy się nadziwić nie mogli, co się stało, że z Jana Opałka, największego pijaka we wsi, ba nawet w całej okolicy, naraz taki rzetelny stał się człowiek.

Opowiadał on dla nauki niejednemu, jak go Pan Bóg nawrócił. Słyszał ci i ja nieraz od niego, i teraz to opowiedzieć nie zawadzi dla waszej przestrogi i nauki.

Kiedy Jan Opałek wszystko ze skretesem przepił, a nakoniec ostatnią krowinę odwiązał od żłobu, zawiózł na jarmark do Szczurowej i tam sprzedał, wracał pijany z jarmarku, przewalił się do fosy i usnął. Gdy się już dobrą chwilę przespał, śnią się mu okrutne rzeczy! Oj! gdyby niejeden pijak, przechodzący na ten czas koło Jana, był ten sen jego widział, każdy tak jak i on byłby się na wieki wieków gorzały wyparł. — Ten sen zaś tak mi sam nieboszczyk opowiadał: — Gdym tak jak nieprzymierzając bydlę leżał pijany w błocisku w onej fosie, naraz widzę się w wielkiej izbie: ściany czarne jak smoła, a po nich nieprzymierzając jak u nas obrazy, porozwieszane były jedna koło drugiej, jakbyście nalepili, same trupie głowy, i różne kości ludzkie. Na razie nikogo nie było w onej izbie, jeno rzędem stały stołki, jak to u panów bywają. Naraz zrobił się jakby szum jaki — patrzę, aliści przeokrutna *Śmierć z kosą* włazi do izby i siada na stołku co stał pośrodku. Ja na ten widok z wielkiego strachu wlazłem wam, mój kumie, w taką małą dziurkę co była pod progiem, żeby tam ledwo mysz się

zmieściła. Po chwili z ciekawości wyściubiam głowę z onej dziury, aż tu sypią się rozmaite osoby i zasiadają po jednej i po drugiej stronie onej Śmierci. A to były rozmaite choroby, które zwykle śmierci służą, bo ją sprowadzają.

Jak już wszystkie te osoby zasiadły, tak ci dopiero wstaje Śmierć i tak się odzywa: Dziś obieram pierwszego ministra — kto najwięcej zasług wyliczy, ten zostanie moim ministrem. Na te słowa wstaje osoba ona, co jej *Febra* na imię i wylicza swoje zasługi, ile to ona ludzi do śmierci przyprowadziła. Potem: *Suchoty*, *Kolki*, *Gościec*, *Kołtun*, *Puchlina*, *Ospa*, *Tyfus*, *Biegunka*, *Starość*, *Paraliž*, po kolei swoje wyliczały usługi. Gdy się tak wszystkie te choroby sprzeczają, wlatuje z krzykiem, hałasem i muzyką osoba przebrzydła, co jej stało na czole napisane: *Pijaństwo*. Jak ono Pijaństwo stanęło przed Śmiercią i niziutko się jej pokłoniło, potem machło ręką na bok i zawołało, obracając się do onych rozmaitych chorób: — Precz ztąd wszystkie i ani się waż która, starać się o urząd, co się mnie słusznie należy. Zkad wy wszystkie choroby początek macie, jeżeli nie ze mnie? Jam jest wszystkich was matką. Pijaństwo będzie pierwszym ministrem, bo ze mnie febra, ze mnie suchoty, ze mnie wrzody, ospy, puchliny, paraliże, dychawice, kolki się rodzą.

Na to podniosła się straszna Śmierć i rzekła: — Tak jest, Pijaństwo będzie od dziś pierwszym moim ministrem. —

Jakci potem Śmierć naprzód, a one wszystkie choroby za nią wylatywały z izby, takem ci się, siedząc w onej dziurze pod progiem, od razu przebudził.

Straszny pot wystąpił na mnie — mówił dalej Opałek. Zmiarkowawszy gdzie ja jestem, wylazłem z fosy, ogarnąłem z siebie błoto, i począłem w cwał uciekać do domu. Ale darmo! już nie można było oddalić więcej tego widma, co mi się przyśniło w onej fosie i mówię wam, mój kumie, choćbym i sto jeszcze lat żył, to ono nie zlezie mi więcej z ócz. —

Otóż widzicie, prawił dalej Józef — tym snem nawrócił Bóg miłosierny Jana Opałka do siebie. Tak sobie obrzydził gorzałkę, że wolałby był tysiąc razy umrzeć, jak raz gorzałki powąchać,

A jaki się z niego potem stał człowiek, jaki gospodarz, jaki sąsiad — wszyscy o tem wiecie. Za dawne zbytki, płaczem, postami, nieustanną modlitwą i częstemi spowiedziami przepraszał Boga, a ciężką pracą starał się to wynagrodzić, co dawniej pijaństwem przemarnował.

Nie ma grzechu, któryby więcej złego ściągał na ludzi jak pijaństwo: niedostatek, ubóstwo, choroby rozmaite, kaleczne dzieci, a w końcu i same piekło.

Prośmy zatem Boga, aby wszystkich pijaków do siebie nawrócił i aby nie pozwolił, żeby kto z nas kiedy popadł w to straszne nieszczęście. Nie oddajmy naszego zdrowia, które nam Pan Bóg do pracy udzielił, za gorzałkę — ale sobie często powtarzajmy:

Kochane zdrowie, nikt się nie dowie, — ile kosztujesz aż się zepsujesz.

PTASZKOWIE

jako nam z Bożej łaski służą w gospodarstwie.

Znali ludzie w całej wsi Macieja, że byłoć to chłopisko rządne i gospodarne, jeno co sobie małe rzeczy siła ważył, a o wielkich nie pamiętał. Jak bywało ziębę albo wróbla na trześni w sadzie zobaczy, to ci już hałasuje i kijem za niemi rzuca, choć mu kij gałęzie połamał i więcej trześni napsuł, niż coby sto ptaków zjadło. A jakci przydybał wróble w stodole, Chryste Panie! to już bywało rady sobie dać nie może. Ale zato nie wiedział oględny Maciej, kiedy mu psotniki do sadu się zakradły, albo zły parobek zboże ze stodoły wynosił.

Raz, jeno co na wiosnę, przychodzi do stodoły, a tu wróbli aż czarno. Złapał się Maciej za głowę i już się zaklął, że wszystkie bestyje co do jednego wytłucze. Skoczył więc chyżo do chałupy, przyniósł ze sobą więcierz co miał na ryby, i uwiązał go z jednej strony u stropu, kędy wróble wlatywały. Z drugiej strony zatkał dziurę słomą, zamknął wrota, i nuż cepem gonić

wróble po całej stodole. Juźci wróble musiały lecieć do więcierza, bo nie było innej rady.

A że to była pogoda jak się patrzy, więc sobie ksiądz proboszcz wyszedł trochę w pole. Przechodził właśnie wedle obejścia Maciejowego — patrzy na stodołę, aż ci się tam u strzechy więcierz niby żywy rusza. Zdziwiło go to nie pomału, bo juźci ryb w stodole nie ma, więc stanął sobie i patrzy co to z tego będzie. Ażci się tu w środku ręce pokazały i więcierz wciągnęły do stodoły, a po chwili uchyliły się wrota i wyszedł uradowany Maciej z pełną siecią na plecach.

— Niech będzie pochwalony! Macieju! a co tam niesiecie? zawołał ksiądz proboszcz zdziwiony.

Maciej zdjął kapelusz i pokłonił się do kolan księdzu proboszczowi:

— Ej proszę Jegomości! dyć to te szkodniki, wróble.

— A nacóżeś ich ty łapał, na pieczenię? — zawołał ksiądz proboszcz — wypuść że ich zaraz!

Maciej poskrobał się w głowę i znowu skłonił się do kolan:

— Oj mój Jegomościuniu! dyć to psotniki, najadły mi one żyta, a pszenicy!

— No i cóż, zjadły ci ze dwa korce? — zapytał ksiądz proboszcz.

Uśmiechnął się tedy Maciej, bo gdzież ta dwa korce na tę gromadkę wróbli.

— Dwa korce jak dwa korce, ale jak na złe czasy to i kwarty szkoda! —

— A no, kiedy już ich tak nie chcesz puszczać — mówił ksiądz proboszcz — więc ci powiem na rozum, mój Macieju, żeś źle zrobił. Mówiąc na to, musisz wiedzieć, że wróbel i jaskółka więcej nam pomagają niźli szkodzą.

— Ej, ta Jegomość chyba żartują — wtrącił Maciej, bo mu się to coś głowy nie czepiało.

— Poczekajże, a masz ty parobków? — zapytał ksiądz proboszcz.

— O, dyć mam, proszę Jegomości! Janka, Walka i dziewkę jedną....

— To więc ty jeno masz tyle parobków co im płacisz

i jeść dajesz, a nie wiesz, że wróbel i jaskółka to także twoje *parobki*. Musisz wiedzieć mój Macieju, że wróble nie próżnują jak tylko ciepło się zrobi. A jak się gnieżdżą, to juźci karmić muszą we dwoje swój drobiazg. Tobyś ty, mój Macieju, ani zrachował co te ptaszęta przez jeden dzień robaków, glist i chrząszczów nanoszą! Oj byłaby tego pewnie spora miska! Więc kiedy ci bronią, żeby chrząszcze drzew w sadzie nie objadały i żeby ci glisty i kruczki nie psuły żyta — to cóż ta dziwnego, że sobie potem choćby po parę trześni zjedzą, albo kiedy zima nadejdzie, twojem ziarnem się pożywią? — Wszakże ty im nie płacisz?

— Ej a zkądby znowu, mój Jegomościuniu! — zaśmiał się Maciej.

— Jaskółka zaś — mówił dalej ksiądz proboszcz — wyjada muchy i komary. Bez niej byłoby ich tyle, żeby ci wszystko zjadły, niczembyś do gęby włożył, a na ostatku toby i ciebie samego zakąsały. Kiedy jaskółka zje tysiąc sztuk tego plugastwa na dzień, to sobie jeszcze krzywduje że mało. Musiałeś przecie widzieć, mój Macieju, jakto się jaskółki nad ziemią uwijają, kiedy ma być burza. Przed burzą spuszczają się zwykle całe czerniawy komarów niżej nad ziemię — toż jaskółka wtedy ugania sobie między komarami. A ma ci ona taką lipką ślinę w garle, że jak tylko komarzego skrzydła się dotknie, to ci on zaraz cap — i lepnie. To też jak sobie raz między czerniawą posunie, to ich się tam setnie naprzylepia!

— O rety! — zawołał Maciej i wybałuszył oczy że mu mało na wierzch nie wyskoczyły.

— Powiem ci dalej, mój Macieju, że sikora, szczygieł, królik, żołna, to są twoje *sadowniki*. Sikora poluje za gąsienicami i mszycami co się na listkach gnieżdżą. Musisz ano wiedzieć, że sikora ze 20 maleństwa do roku wychowuje. Jeżeli więc porachujesz że ci jedna sikora 300 tego plugalstwa na dzień wyje, to pomyśl sobie, co jedna parka razem z dziatwą zjedzą. Oj! nie zliczyłbyś ty ani za tydzień tego, co one przez dzień robactwa wygubią. Albo i szczygieł, wie on czego się czepiać. Najlepiej smakuje mu nasienie z bodiaków i ostów; to też sobie gryzie aż uciecha bierze. Cały sad porósłby ci człeku ostami,

żeby nie szczygieł. O króliku ci zaś powiem, że on majster malutki to sobie tylko sprytnie same jajka tych różnych much i i owadów wynajduje i zje nim się jeszcze wylęgną. A żołna, choć ta rzadko do twego sadu przylatuje, przecież dba o to, żebyś miał jaką gruszczynę wziąć do gęby. Ona to straszliwie się zawzięła na osy i gdzie jeno tylko jaką zobaczy, to ją piorunem uśmierci.

— Oj proszę Jegomości! a dyć ja nie wiedział że mam takich niebieskich robotników — zagadał znowu Maciej.

— Masz, mój gospodarzu, setnych robotników, co się Pan Bóg jeno o nich stara. Powinieneś więc ich szanować, nie pozwalać chłopcom żeby gniazda wybierali i broili z ptaszkami. Ano widzisz, widzisz! zawołał głośno ksiądz proboszcz — o wilku mowa a wilk tu! Popatrz jeno po za siebie!

Oglądnał się Maciej, patrzy, aż tu jego chłopak drągiem sięga pod strzechę, gdzie sobie jaskółka gniazdo ulepiła. Porzucił więcierz z wróblami na ziemię, a jak stał tak skoczył do chłopaka i nakręcił mu uszy uczciwie — że się aż srodze rozbeczało chłopczysko.

Ksiądz proboszcz tymczasem przyszedł także przed chałupę, usiadł sobie na ławce i kiedy Maciej wrócił, jął mu jeszcze dalej opowiadać.

A co mu dalej opowiadał dowiecie się później.

PRAWDY GOSPODARCZE.

Pytanie. Czem się gospodarz najwięcej bogaci?

Odpowiedś. Dobytkiem — bo gdzie wiele bydła, tam wiele gnoju, a gdzie wiele gnoju tam i dobry plon. Powiadają też starzy:

Gdzie pełno w oborze,
Tam pełno w komorze.

Pyt. Jak gospodarz powinien paść swój dobytek?

Odp. Iżby z niego miał i gnój dobry, i robotę sporą, i pożytek wszelaki i przychowku dosyć. Więc nie samą słomę i plewę bydełku dawać, ale też i siano albo koniczynę, wykę, ziemniaki i inne warzywo:

Gdzie karma w samych plewach,
Tam bywa chudzizna w chlewach.

Pyt. Co jeszcze gospodarz winien mieć na baczeniu w obrządzaniu się swem około dobytku?

Odp. Żeby koń, bydlę, owca i trzoda miały pod sobą sucho, na sobie czysto, przed sobą w żłobach i korytach porządnie i schludnie:

Dozór, czystość, suche stanie,
Bydłu za pół karmy stanie.

Pyt. A czy może być dobry gnój bez dobrej paszy?

Odp. W żaden sposób nie może być:

Jak z samej wody nie nawarzysz piwa,
Tak z lichej paszy tłusty gnój nie bywa.

Pyt. Jaki nawóz trzeba w pole wywozić?

Odp. Słomiasty w piaszczystym gruncie suszy rolę, a przegniły nie rozkrusza gliny — więc powiadają starzy;

Na ścisły, gliniasty,
Dobry gnój słomiasty —
A na piaszczysty,
Przegniły, maścisty.

Pyt. Jak należy gnojowisko urządzać?

Odp. Obrać na to miejsce suche, osłonięte od południa budynkiem albo drzewiną — dla wody deszczowej porobić odcieki, żeby do gnojowiska nie zachodziła — gnój z obory za każdem wyrzuceniem równo układać.

Pyt. Co się jeszcze gospodarzowi na gnój przydać może?

Odp. Wszystko, coby inaczej zmarniało: błoto, śmiecie z podwórza, popiół z ogniska, kępiny i rumowiska:

Spłuczyny i domowe śmiecie,
Na nawóz zdadzą się przecie.

Pyt. Jak się gospodarz powinien obchodzić z gnojem wywiezionym w pole?

Odp. Zaraz rozrzucić, niebawem brać pod skibę, osobliwie przegniły, bo marnieje bez przyorywki, dla tego powiadają:

Jak pokryjesz gnojem rolę,
Ładuj potem pługi w pole.

Pyt. Czy dobrze jest w polu trzymać gnój długo na kupach?

Odp. Bardzo źle, bo go słońce i wiatry wysuszają:

Gnoju w polu nie przybywa,
Lecz co pacierz to ubywa.

Pyt. Czy gospodarz powinien się starać o osuszenie gruntu mokrego?

Odp. Powinien, bo mokra rola chleba nie da:

I pracy człeka tam szkoda,
Gdzie na roli stoi woda.

Ale i to też wielkie marnowanie, kiedy kawał ziemi dla mokrości nic człowiekowi nie przynosi — a dałby dobry urodzaj, byle go jak należy osuszyć.

Pyt. Czy gospodarz powinien, choćby mu z tego nic nie przyszło, pomódz sąsiadowi do odprowadzenia wody?

Odp. Powinien, bo zasłania ludzi, bliźnich swoich od straty — z takim też będzie błogosławieństwo Boże:

Kto od szkody chroni braci,
Temu stokroć Pan Bóg płaci.

Pyt. Jakie ziarno powinno się brać do siewu?

Odp. Czelne, zdrowe i czyste, czyli sucho zebrane, zdrowo przechowane, dobrze oczyszczone.

Pyt. Jak gospodarz powinien uprawę ugoru prowadzić?

Odp. Podorywki nie opóźniać, dalszej orki nie przynaglać, ale z pługiem i radłem iść w pole, kiedy chwasty zaczną puszczać.

Jak już zobaczysz rolę zieloną,
Dopiero ruszaj z pługiem i broną.

Pyt. W jakim gruncie siać należy pszenicę?

Odp. W żyznym i dobrze uprawnym od dawien dawna, a nigdy w chudym i zaniedbanym.

Pszenny kołacz lepiej smakuje i więcej ma sytości od żytnego chleba — ale też mówi stare przysłowie:

Bez pracy,
Nie będzie kołaczy.

(z *Cz. N.*)

RÓŻNOŚCI.

Książę Panie-kochanku. Przed jakie stu laty żył sobie na Litwie książę *Radziwiłł.* Nazywali go „*Panie-kochanku*“ bo już miał taki zwyczaj, że co trocha powtarzał te słowa: „*Panie kochanku*“ gdy mówił do kogo albo coś opowiadał. Setny to był bogacz, mój Boże! niejeden z nas nie dorachowałby się tyle włosów na głowie, ile on miał wsi i różnych miast w swoim majątku. Ale i poczciwe było panisko — siła ludziom czynił dobrego i nieraz bywało tak, że kiedy wpadł w humor, to gotów ci był i koszulę zdjąć i dać drugiemu. Bardzo był też wesoły i do żartów jedyny; zwłaszcza kiedy jakiego *Niemca z Zamorza* podejmował u siebie (bo każdego zagranicznego nazywaliśmy zawsze niemcem) to tak długo medytował, póki mu dobrego figla nie spłatał. Trzymał on wiele niedźwiedzi na swoim dworze, ułożonych do posługi. Otóż gdy gość taki nadjeżdżał, zaraz służba dworska i czeladź chowała się, a zamiast niej stały wszędzie w około pałacu niedźwiedzie z wielkiemi pałkami, i przy bramie wjezdnej, i na ganku, i w sieniach niby warta jaka. Zdarzyło się raz, że zaprosił do siebie jakiegoś Włocha sławnego doktora; boć to oddawna jak w przypowieści: *Co Włoch to doktor, co niemiec to kupiec.* Włoszysko, co nigdy nie widziało naszych niedźwiedzi, mało nie umarł, kiedy wjeżdżając w bramę spostrzegł niedźwiedziska podnoszące się na dwóch łapach z pałkami, a żadnego człowieka nie widział. Jedzie dalej w dziedziniec, wszędzie niedźwiedzie, jak żołnierze w paradzie — wchodzi na ganek, a tu znowu niedźwiedzie — do sieni, a tu tego aże dwanaście rzędem stoi, a z ludzi ani żywej duszy. To już było za wiele dla Włocha — zbladł jak Piotrowin z grobu, co go wskrzesił święty Stanisław i struchlał tak, iż go dworzanie do pokoju wnieść musieli. Książę Radziwiłł zaś rzekł: — *Panie-kochanku,* ja inszej służby nie mam; u mnie wszelką służbę pełnią niedźwiedzie: służą za czeladź i ja jeżdżę niemi. — Niedosyć na tem. Zaledwie Włoch strachu się pozbył i dobrem winem się otrzeźwił, kiedy dano do stołu — książę posadził doktora przy sobie. Podczas obiadu radzi mu odmienić talerz — Włoch obraca się z talerzem i widzi wielkiego niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach za krzesłem z talerzem czystym pod pachą. To go już do reszty dobiło, zbladł i zemdlał. Długo mu nos kręcono, nim przyszedł do siebie. Ale już więcej tam nie zajrzał, choć książę Radziwiłł dobrze płacił doktorom.

Nie wolno kląć. W kraju Serbskim co to leży od nas het aż za Węgrami, wyszło niedawno temu takie prawo od rządu, że *kląć nie wolno.* Jeśliby kto nie posłuchał, a nieprzyzwoicie wyzywał na drugiego, zaraz ma być karany i to surowo. — Zdałoćby się i u nas takie prawo, oj dalibóg żeby się zdało! Ileż to razy na dzień nawyzywa się to gębsko nasze! Często gęsto nim jeszcze pacierz zmówią, wyzywa ojciec na matkę a matka na ojca aże brzydko. Dopiero od rodziców uczą się dzieci wyklinać na rozmaity sposób i prawie sobie z tego zabawkę czynią. A posłuchaj-no w karczmie kiedy sobie chłopy w łby naleją, mój Boże! to uczciwe ucho od razu by spuchło od tych brzydkich wyrazów, co oni na siebie wymyślają. A niechno sąsiada poswarzy się z sąsiadą, o co nie trudno, bo dość żeby kurka przeleciała przez płot do ogrodu — jużci klnie jedna na drugą co się wlezie. Albo i przy robocie, byle was bydle nie usłuchało choć trochę — oho, jużcie go przyklinacie na czem świat stoi. I to takie wyzywanie za nic sobie macie, jakby to wcale grzechem nie było; chociaż ksiądz pleban uczy was że to grzech, i napomina nieraz i nie dwa i każe wam się z tego spowiadać. Moi ludzie! nie czekajcie aże prawo takie wyjdzie jak oto w kraju serbskim; bo *prawo Boskie* więcej znaczy jak *prawo ludzkie*, a według przykazania Boskiego: *nie wolno nam kląć.* —

Antek Szuba posłyszał, że u żydów lekka służba, bo nie znają się na robocie — przedewszystkiem, że jedzenia po uszy i mięsiwo tłuste. Mosiek Zylber potrzebował parobka — i Antek zaraz zgodził się do niego. Dnia pierwszego — a był to piątek — musiał drzewa narąbać huk i wody nanosić tyle, że dziw mu krzyże nie pękły.

— Dziś piątek i u was post — ozwał się Mosiek — a ja sumienny jestem człek i nie chcę, abyś ty religią swoją przełamał.

— Uchowaj Boże! — odrzekł Antek — ja też ani bym spojrzał dzisiaj na mięso.

— Ny, Siore, dajże mu na obiad dwa ogórki kwaszone — zwrócił się Mosiek do żony — i kawałek chleba, aby się najadł.

Antek spojrzał się, aż niby przerażony takim objadem.

— Ny, daj mu trzy ogórki — zawoła znowu Mosiek — niechże się obucha. Bierz go kaci!

„Oj! Oj!“ — pomyślał Antek i westchnął z głębi duszy. Taki, jak ten był obiad, którym miał się *obuchać*, były i następne, — to więc i tygodnia w służbie nie wytrzymał żydowskiej, a jeszcze miał i nie mało ambarasu zanim się uwolnił.

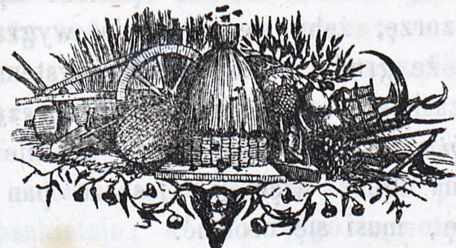
Redaktor: B. Bielawski. **Odpowiedzialny wydawca: E. Winiarz.**

Tom II. Nr. 12.

21. Kwietnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jak Marcin Zrzęda rozpowiadał o ludzkiej biedzie.

Spisał organista z Budyłowa.

„*Pracującemu Bóg pomaga — a próżniaka bieda smaga*“ powiada przysłowie. Od moich ojców, świeć tam Panie ich duszy, zawsze to słyszałem od małego chłopięcia, a że za tą ich radą poszedłem, toć i nie źle mi na tym Bożym świecie. Chałupina moja jak się patrzy, czysto pobielona i dobrze poszyta, bo zawsze pamiętam że „*wielka to tarapata — dziurawa w deszcz chata.*“ Chudoba też u mnie ma się dobrze, okrągła gdyby gałki, bo nie spuszczę się na żadnego tam najmytę, jeno sam sobie doglądnę — więc „*pańskie oko konia tuczy.*“

Wedle chaty mam sadek co niezgorsza rodzi, że i człek się z rodziną pożywi — i nie jeden koszyk na sprzedaż zostanie. — Mam parę sznurów roli, a że „*W tem się polu dobrze rodzi — po którem gospodarz chodzi,*“ toż u mnie rzadki przednówek i nie chwalący się, jeszcze biednego sąsiada poratować się czasem zmogę.

A wiecież wy, moi chłopy, dla czego to mi tak idzie jak z płatka? bom zawsze pamiętny że: *„jak sobie pościelesz, tak się wyspisz,“* a *„jak zasiejesz, tak będziesz żął“* więc wcześnie mój grunt zorzę, żeby się na słonku wygrzał i po gospodarsku zawłóczę że grudki nie ujrzysz, i czystem ziarnem, a nie jak inni plewą zasieję w swój czas, bo: *„wszystko robi, kto wedle czasu robi.“* A przyjdzie zima, to nie jedne saneczki gnoju wywiozę na ugór, więc jak jeszcze pan Bóg pobłogosławi moją pracę, musi się urodzić.

Ale na tem jeszcze nie koniec! wszakci nie jednemu z moich sąsiadów takoż się urodzi w polu, a przecie nie na długo ma chleba — wiecież czemu? bo: *„jeszcze skóra na baranie, a już kuśnierz pije na nie“* tak właśnie i u niego: *jeszcze na pniu żyto, kiedy go przepito“* — a przytem choć się i coś zbierze, to zaraz szastu prastu, taj już nie ma, a przecie to stara jak ten Boży świat przypowiastka: *dałci Bóg dary, używaj miary!“* Ale to nie dla niego; więc zaraz po żniwach: to zwija po kiermaszach i jarmarkach, a z komina u niego to cały Boży dzionek dymi się jak w gorzelni, a żona waży kluski, i pirogi, i ziemniaki, i kaszę i licho tam wie wszystko co nagotuje dla swego mężulka, a onci żre jakby miał cztery brzuchy i ani mu dudu że: *„zgadzaj się gębo z mieszkiem“* bo *„dziś gody, jutro głody“* będą. Jeszcze miesiąc nie minie po żniwach, już po toku wiatry się gonią, a gospoś co nie dawno sprawiała bankiety, ledwie parę ziemniaków warzy w garnuszku a resztę dopycha nieżrałemi kwaśniakami. Cóż dopiero mówić jak przyjdzie zima? dopiero płacz i nędza, ale już po niewczasie.

Powiem ja teraz jak to sobie nasi od początku taką nędzę gotują: Oto młodemu parobkowi oddali rolę, dali dostatni sprzężaj i narzędzia dość i dobrego. Chodzić mu jeno koło tego gospodarnie; ale gdzie mu to tam w głowie — gdzie tam! . . . Wiosna już za pasem, ziemia podeschła już dobrze aż się prawie sama prosi, by rzucić w nią nasienie. A młody gazda wciąż, to napija w karczmie, to drze bóty i wydziera podkówki na upominkach i godach, a wciąż jak mu robota w polu przyjdzie na myśl, powtarza: *„co się odwlecze, to nie uciecze“* Oj uciecze, bratku, uciecze! — a przy roli to co dziś opuścisz, jutro

już tego nie dogonisz. — Nareszcie ostateczna już pora; więc jako tako w zarośnięty ugór rzuci nieczyste ziarno, co połowa w niem plewy — a i z tą pracą pora się jaki tydzień, nim zawłóczy. *„Jaka ochota, taka i robota“* — ziarna z połowę ptaki wydzióbią, a co zostanie, to już strupieszałe i dobrego plonu nie wyda.

No, dzięki Bogu, już przecie skończył siejbę. Do nowego chleba jeszcze daleko a nasz gazda zamiast pójść na zarobek, wciąż hula i bankietuje; a baba jego to potrzebuje kraciastej chustki by się przecie uczciwie pokazać w kościele, kiedy kościelny świeczki gasi; to inne stroje by było w czem potańczyć w niedzielę na gospodzie. Więc żyd za lichy pieniądz zabiera sznur po sznurze zielonego jeszcze zboża — a przyjdzie żniwo, bardzo a bardzo mało jest do zbioru. Mój Boże! żebyć choć to co jest, jakoś po ludzku zebrać — gdzie tam! gospodarz to *„przy pracy oziębnie, a przy misce się spoci“* — kobietę zaś to krzyże bolą, to coś niedomaga, i robota ciągnie się przez ruski miesiąc. Wreszcie co się jeszcze nie wykruszyło, zestawią w kopy, taj znów moknie na słocie i niepogodzie, nim zamizerowaną chudobą zaciągnie je nasz ladaco do stodoły, oklepie byle jako i ot — co *„Maciek zrobił, Maciek zjadł,“* za parę niedziel ani znaku, czy było żniwo.

A tu żona powiła — trza sprawić chrzciny i poić kumów choćby tydzień. Więc żyd za podłe wódczysko bierze rolę pod zimowe zasiewy.

Nadeszła zima, chleba ani w ząb, ani też ma czem wyżywić chudobę. Sprawdziłoć się zaraz na nim przysłowie: *„kto w lecie nie zbiera, w zimie głodem przymiera“* — wypada się jakoś ratować, więc halo do żyda: zastaw kożuch, sprzedaj byka od pługa, sprzedaj i kobyłkę coby ci lada dzień przyniosła łoszę, — aby tylko było o czem przemizerować do wiosny. Nadeszła i ta — rola czeka, a tu ani czem ją sprawić, bo sprzężaj rozerwany, ni czem zasiać, bo stodoła pusta. Nuż więc z prośbą w sąsiady, by z nim siali na spółkę. Więc gdy znów przyjdą żniwa, to już zamiast pełnej stodoły i kilka brogów zapasu, ledwie przygarść słomy na obejściu się znajdzie i parę garncy nasienia w komorze.

„Im dalej w las, tem więcej drzew“ — coraz większa nędza; za podatki grabią, żyd za lichwę ostatnie grosiwo zabiera.... taj już i po gospodarstwie. Gazda i jego kobieta, co im tylko było pracować na gruncie a Boga chwalić — dziś idą precz z chaty wycierać gdzieś cudze kąty.

Wprawdzie powiadają ludzie: *„co bardziej dokuczy, to rychlej nauczy“* — ale i to u nas nie prawda. Gospodarz jak na swojem był leń, tak i na cudzem jeszcze gorszy. Krzycz na niego: *„Grzegórz! — Czegóż? Pójdź robić! — Oj nie mogę chodzić! — Pójdźże jeść! — toć muszę poleść.“* Taki to bywa sługa z niego; nigdzie miejsca nie zagrzeje, toć i na starość niczego się nie dorobi i koniec jego taki, że zejdzie na dziady i od jednej wsi do drugiej włóczyć się będzie po żebranym chlebie, aż póki go śmierć nie zaskoczy gdzeiś na żydowskiem śmiecisku pod karczmą....

A teraz powiedźcie mi szczerze: czy nie prawdę gadałem?

Nieszczęśliwa ręka.

Było jej na imię jagódka Zosienka,
W czerwonym gorsecie to przecie tak cienka —
A oczy się skrzyły dwa węgle żarzące,
W oczach się kręciły dwie lalki śmiejące —
Gdy spojrzy na człeka, to tak cię z nóg złoży,
Że nie wiesz co począć, co lepiej co gorzej,
Czy lepiej iść za nią? nie możesz nic wiedzieć,
To jeduo co pewno, że trudno dosiedzieć.
Człek wzdycha a wzdycha, a patrzy czy nie ma
Zosieńki jedynej z czarnemi oczyma.
— Hej! napój mi konia dziewczyno u zdroja —
— Nie będę ja poić, jeszcze ja nie twoja.
— Hej napój mi konia, ja ci za tę łaskę
Na targu zakupię jedwabną opaskę. —
Lecz dziewczę nie słucha, u matki jej lepiej,
A kto się przyczepił, to niech się odczepi!
Jeszcze ja za młoda, jeszcze ja nie na to,
Jeszcze mi rok braknie, dobre mi i lato...

Aleć jedną razą przyszło na niebogę:
— Matusiu! matusiu! oj! cała nie mogę.
Krakowiaczek młody jedyny chłopczyna,
Tak mi coś zaczynił, nieszczęsna godzina!
Jechał na koniku a czapkę miał z piórem,
Przyjechał gościńcem nie wiadomo którym:
Czy tym od miasteczka, gdzie przepływa rzeczka,
Czy tym od ugoru, co wiedzie do boru.
Konik był zhasany, aż biały od piany,
A chłopczyna młody, dopraszał się wody...
Jakem go ujrzała, cości mnie nagabło,
Serce moje serce, zaraz mi zasłabło;
I myślałem sobie: jak ten Bóg na niebie,
Żebyś mnie chciał ino, poszłabym za ciebie.
Jak wąsik pokręcił, czapeczki poprawił,
Takci mnie nieszczęścia na wieki nabawił.
— A jakże cię zowią, żebym wiedział przecie
Jak się zowie dziewczę najśliczniejsze w świecie?
— Zowią mię Zofiją, różą i liliją,
I zowią mnie swoją... ale ja niczyją!
Jeszcze ja dziewczyna, jeszcze matulina,
A nie parobczańska, ani żadna pańska.
— A cóże ty umiesz? niechże ja się dowiem,
To po całym świecie o tobie rozpowiem.
— Matuś powiadają: że mi się chléb darzy,
Że mam szczęsną rękę, powiadają starzy —
I zawdy mnie biorą, kiedy co sprzedają,
Sami się targują, pieniądze oddają,
A ja jeno stoję i śmieję się smieję,
I śmieję się śmieję, aż mi się coś dzieje!
Bo cóż ja też mogę, ja głupia dziewczyna,
U matki chowana, taka matulina?
Bo cóż ja też mogę? powiedźcież mi sami!
Jakem powiedziała... zalałam się łzami,
Zalałam się łzami nie z żalu, nie z bólu,
Jeno tak ze serca matulu, matulu. —
— Czekajże mnie dziewczę... gdy wiem o twej cnocie,
Zosienko jedyna wrócę ja tu do cię.
— A z którejże strony, czy z tej czy z onej?
— Czekaj że mnie proszę jak ten gaj zielony...

Będzież-że czekała?...
— Pewno że już będę,
Co rano wybiegnę, na górze usiędę;
Od białego ranka póki się nie zmroczy,
Będę ja patrzała choć wypatrzeć oczy.
— To dajże mi żywo tę rękę szczęśliwą!
I uchwycił żwawo moją rękę prawą;
Uścisnął mi rękę, podskoczył na siodło:
— O! dajże też Boże, żeby mu się wiodło.

Szumi wietrzyk szumi, drobne krzaki zgina,
Wyszła na góreczkę dziewczyna jedyna;
Wyszła na góreczkę, stanęła pod słońcem,
Obtarła oczęta fartuszczanym końcem:
Świat tobie sierocy, sercu braknie mocy,
Słońce świeci w oczy, a w duszy jak w nocy.

Wyszła na góreczkę, aż Ułani jadą;
Oczy tego patrzą czemu serce rado.
Jadą nasi jadą, z wojny powracają,
Żałobnego marsza Jasieńkowi grają.
— „Prowadzą konika żałobą pokryty,
— „Jušci mój Jasieńko na wojnie zabity."
Patrzała Zosieńka jak gdyby nieżywa,
Serce nieszczęśliwe, ręka nieszczęśliwa.

T. Lenartowicz.

SKRADZIONA KOSZULA.

Przy wielkim gościńcu z Warszawy do Lublina leży miasteczko Kurow, od tego ostatniego miasta o mil sześć podobno. W tem Kurowie był niegdyś proboszczem mąż zacny i uczony, ksiądz Piramowicz, poczciwego bardzo serca, dobroczynny i litościwy, że byłby i wszystko rozdał pomiędzy biednych. A przytem sam nie miał wiele, jak to litościwym dzieje się często, i gdyby nie stara jego gospodyni, pani Gałkiewiczowa, skrzętna i zabieżna, która o dobro jego dbała i ani dospała ni dojadła, biegając w gospodarce od świtu do ciemnej nocy — to byłby szanowny proboszcz nieraz pewnie niedostatku zaznał.

Razu jednego w maju, w dniu pięknym, pogodnym, wyszedł sobie ksiądz proboszcz z brewiarzem w pole. Modlił się do Pana Boga, spoglądając ku niebu — i aż serce rozradowało się jego, gdy spojrzał na rozległe łany ślicznej pszenicy i żytka, na zieloniutkie łąki — i jak ptastwo po powietrzu bujając, świergotało sobie wesoło, niby na podziękę Ojcu niebieskiemu. W tem nadszedł drogą żebrak zmizerowany, wychudły, żółty — istny trup chodzący, a pokrywały go tylko łachmany. Gdy zobaczył księdza, wyciągnął ku niemu rękę i drżąc cały, słów kilka wymówił, o wsparcie prosząc.

— A zkądeście i dokąd idziecie? — zapytał proboszcz, podawszy mu ostatnie trzy grosze, które miał w kieszeni.

— Idę z Płocka, dobrodzieju. Byłem tam cieślą i ot, spadła na mnie belka, zgruchotała mi rękę i całego ze skretesem potłukła. — Odkrył łachman i pokazał ramię.

Ksiądz Piramowicz dostrzegł, że biedak w miejscu koszuli miał tylko kawał brudnego płatka.

— Wzięto mnie do szpitalu — mówił dalej żebrak — leżałem tam długo, chorowałem ciężko..... Tymczasem i żona mi zmarła, zmarnowało się wszystko, a teraz, chory jeszcze i kaleka, wlokę się o żebranym chlebie do brata, który jest kołodziejem w Krasnymstawie.

Zacny kapłan miał łzy w oczach: spojrzał ku niebu i westchnął — spojrzał się na ziemię, tak była śliczną i plony zapowiadała obfite — a przed nim stał nędzarz wygłodniały, bez odzienia, kaleka!... Maca się po kieszeniach — szuka — ha! drogi Kraków i za grosz: nic tam już w żadnej nie było kieszeni. — Wtem myśl jakaś, znać pocieszająca przyszła mu nagle — bo aż się uśmiechnął i pokraśniał.

— Poczekajcie tu chwilkę — wymówił do żebraka i pobiegł za krzaki blisko drogi: położył brewiarz na trzmielinie, zdjął rewerendę, ściągnął koszulę i zwinął ją w kłębek; potem znowu wdział rewerendę i zapiął ją starannie, aby nikt nie dojrzał że pod nią koszuli nie było. Podjął brewiarz, koszulę wziął pod pachę, a wróciwszy do biedaka, podał mu ją szybko — zawinął się nagle i *dyrdem* ku miasteczku pospieszył. Znać

nie chciał, by mu żebrak dziękował — i o mało, że się nad nim nie rozpłakał.

Ale idąc tak sobie ku domowi, przypomniała mu się Gałkiewiczowa — i ogarnął go aż niby strach przed nią. Zdawało mu się także, jakoby wszyscy ludzie patrzyli na niego, że to on bez koszuli zostaje. Pomknął poza płotem, cicho wszedł do pokoju — i ani już śmiał zawołać o szklankę mleka, które o tej porze zwykle pijał. W tem patrzy: o szczęście niespodziewane! — tuż przy piecu stał kosz z bielizną co tylko wymaglowaną. Ksiądz Piramowicz rzuca się ku niemu, wyciąga koszulę i ucieka do alkierza gdzie sypiał. Potem, ubrawszy się, powrócił znowu jakby nigdy nic nie było zaszło, i zawołał o swoje mleczko i kawałek chleba. Całą radował się duszą, że tak dobrze odbyło się wszystko. Ale, nie mówić to *hoc!* dopóki nie przeskoczy się rowu.

Nazajutrz, rychło bardzo, zbudził go krzyk, płacz i jakiś wielki *harmider* kobiecy. Porywa się i słucha.

— Wzięłaś, hultajko, wzięłaś! — wrzeszczała gospodyni, tupając nogami — nikt inny tu nie postał, jeno ty złodziejko! ladaco! niegodnico! wszyscy wciurnascy niechaj ciebie porwą! Nie daruję, nie daruję!

Na te wykrzykniki odpowiadała dziewka potulnym głosem, zanosząc się od płaczu:

— Widzi Bóg... Matka Najświętsza... Wszyscy Święci... anim widziała... anim się dotknęła... O święty Antoni zmiłujże się!

— Właśnie wraz! Swięty Antoni będzie się, oj, nad złodziejką litował! Jeszcze nie co? — krzyknęła znowu pani Gałkiewiczowa. — Widziciesz ją, onę złodziejkę, hultajkę, ladaco! Pójdziesz, oj, pójdziesz ty zemną do pana burmistrza: do komórki, w dyby, rózgami, rózgami tobie! To ciężka praca moja a własność dobrodzieja! Jużes i sumienia nie miała, niegodliwa, tak dobrego pana okradać. Nie daruję! nie daruję!

— Jak Boga kocham!... Przysięgam... anim płatuszka jednego nie wzięła...

Pot zimny oblał czoło zacnego k ana: koszula to, nie-

szczęsna koszula! bo już i wiedział o co tam chodziło. Przyodział się szybko i nagle pomiędzy kobietami stanął.

— Cóż się stało? — zapytał niemal bez tchu.

— Ta niegodziwa, hultajka, ladaco, dobrodziejowi, oj, koszulę z tego tutaj ukradła kosza! — zawołała gospodyni i rozkrzyżowała się przed nim, a dziewka głośno ryknęła i jednego słowa wyrzec nie zdołała.

— To nie ona, nie ona! Nie obwiniaj niesłusznie, kobieto! To przecież ja... ja sam wziąłem, — wymówił proboszcz, uderzając się w piersi.

— Jakto! Dobrodziej? — przeżegnała się kobieta.

— Powiadam, że ja!

— A gdzież wczorajsza koszula?

— Dałem ją ubogiemu... nędzarzowi — odrzekł kapłan cichym głosem, zapłoniony całkiem.

Pani Gałkiewiczowa przeżegnała się znowu, upadła na kolana, zmówiła modlitwę — a potem rzuciła się dziewce na szyję i z płaczem przepraszała ją za posądzenie niesprawiedliwe.

— Święty Antoni rychło mnie wysłuchał! — wyrzekła dziewczyna pokornie.

— Ale ktoby też był pomyślał, że to sam dobrodziej... — wymówiła gospodyni, pokręcając głową — chociaż ja wiem jaki to dobrodziej: ostatnią przecie oddałby koszulę.

— No, no, cicho już o tem! A proszę nie gadać nikomu o tych sprawach domowych! — zawołał proboszcz odkrząknąwszy sobie. — Trzymać język za zębami, aby świat nie wiedział o waszych babskich swarach.

Właśnie też i na mszę św. zadwzoniono.

Paulina z L. Wilkońska.

PTASZKOWIE

jako nam z Bożej łaski służą w gospodarstwie.

Dokończenie.

Kiedy sobie już ksiądz proboszcz usiadł na ławce, zaczął dalej prawić Maciejowi o ptaszkach bardzo ciekawe rzeczy.

— Takto, tak — narzekał ksiądz proboszcz — psujecie gniazda ptaszkom, wybieracie młode, albo często ni z tego ni z owego zabijacie to Boże stworzenie, co dla was pracuje. Nieraz ja to widział, mój Macieju, rozpiętą sowę na twoich wrotach. A nacóż to się zdała taka psota? —

— Oj proszę Jegomości — bronił się Maciej — dyć to sówsko to już na nic nie może być człowiekowi przydatne.

— Źle mówisz Macieju — zawołał ksiądz proboszcz — a tożto grzech mordować zwierzęta byle dla jakiejś igraszki! A potem, sowa i myszołówka to są twoi *polowi*. Dlatego musisz strzedz żeby ta byle kto nie tłukł te biedne ptaki. A któżby ci to pole od myszów oczyszczał żeby nie myszołówka? A w stodole przez zimę, oj! niewiele by ci się ziarna zostało żeby nie sowa, co ci umie nocą lepiej jak kot myszki wynajdywać! Widzisz więc, żeś nawet nie wiedział, jakto się starają o ciebie te ptaki. Boisz się jeno jak ci sowa pod wieczór na dachu zachuczy, i wołasz: *zabić złowroga!* A za co? Złym ludziom się tylko wydaje, że ich już śmierć za kołnierz łapie, i dlatego lada sowy się lękają. A zkądżeby ona wiedziała o twej śmierci? W Boskim jest to ręku, i nikt o tem nie wie.

— Oj prawda, prawda! — rzekł Maciej i smutnie pokiwał głową.

— Masz też także dwóch *gajowych* — mówił dalej ksiądz proboszcz — a ci gajowi to są: dzięcioł i kukułka. Mówią ludzie co się nic na tem nie znają, że dzięcioł psuje drzewa. A zkądżeby? Toż się ów ptak przecie drzewem nie żywi, tylko robaczkami co po drzewach wiercą. Kiedy póka dzióbem, to straszy robaki; a jak się jeno który pokaże, to łap! już go ma. A nie podaruje żadnemu, ażeby się niewiedzieć jak spraszał, ani się ta przekupić nieda jak inny gajowy. Pomaga ci ano, żeby czerwie do czysta drzewiny nie zjadły. A już dlatego dzięcioł najlepszym ci jest gajowym, bo on wie najpewniej, które drzewo całkiem zdrowe, a które nadpsute. Możesz ano na śmiało takie drzewo wycinać, gdzie dzięcioł często puka i czerwie straszy; bo jakby długo jeszcze postało, to już nic z niego. Razem z dzięciołem pilnuje ci lasu kukułka. A nie ma już od niej gorszego nieprzyjaciela na wszystkie gąsienice. Żeby tam nawet niewiedzieć jakie

kudłate i paskudne, to wszystko wyzbiera. A jestci jedna gąsienica po lasach sosnowych, co setne szkody robi. Czasem nawet tak ci las do czysta obeżre, że musi usychać na bezrok. Więc najlepszem lekarstwem na te gady jest kukułka, bo to ptak bardzo żarłoczny i co się jeno obróci, to już parę gąsienic nie ma. Będzie lat temu parę, w jednem miejscu nad morzem zaczął las sosnowy bardzo schnąć; patrzą ludzie — aż to owe gąsienice mu tak dogadzają. Zaczęli więc Niemcy przemyśliwać jak tu temu zaradzić? I jak sobie ano tak łamią głowy, zleciało wielkie stado kukułek, co już na zimę ciągnęły. Ale skoro zobaczyły co tu dla nich przysmaku, nuż się uwijać po lesie. I tak się w kilku dniach uprzątnęły, że na bezrok nie było an słychu o gąsienicach i o zarazie na sosny. Tacy to poczciwi gajowi! —

Odpoczął sobie trochę ksiądz proboszcz, a że widział jak to Macieja mocno rozciekawiło, jął mu jeszcze dalej opowiadać:

— Widziałeś pewnie nieraz, mój Macieju, jak sobie wrona na paciuku siedzi, kiedy trzodę wygonisz w pole. Cóż ona tam robi, czyto jeno tak dla zabawki? Otóż to nie siada ona dla igraszki, tylko szuka na nim gadów co go męczą — a jak potrzeba to robaka z poza skóry wyciągnie. A widziałeś także jak się pliszki, te ptaszki co je pasterkami nazywasz, koło bydła uwijają. Czasem także i szpaki. Ci ptaszkowie ano uwijają się za tem wszystkiem robactwem co bydłu dokucza i krew z nich wysysa. Więc są to także niebiescy robotnicy a twoi ***pastuszkowie.***

— Aj, aj, co też to za setne pastuchy, — zawołał Maciej uradowany.

— Na sam koniec, mówił dalej ksiądz proboszcz — ptaszki, to są *grajkowie* nibiescy, którzy nas w dzień przy pracy w polu, a wieczór po robocie śpiewem swoim cieszą. Jużto co najśliczniej śpiewają: skowronek i słowik. Skowronek furga sobie wysoko po nad rolą i świergocze a świergocze że aż się serce rozpływa. A jak się wyśpiewa co mu jeno tchu stanie, a zleci potem w bruzdę, to już zgłodniały nie podaruje żadnemu robakowi, którego tylko nadybie. Wieczór zaś wyśpiewuje słowik po trzcinach i gajach, wyśpiewuje samiczce, coby jej się nie przykrzyło w gniazdeczku młode wysiadywać. A już głos jego prześliczny całą wsią roz-

chodzi się po rosie, że aż miło usiąść sobie po robocie na ławie i słuchać śpiewania owego grajka bożego. Skowronek na *dzień-dobry* wita cię w polu i prosi pana Boga, aby ta orka i zasiew na darmo nie poszły i żeby piękne zboże porodziło się w polu. Słowik wywodzi ci na *dobranoc*, ażebyś spał z Bogiem. Może nieraz w jakim złym człowieku, co ci szkodę chciał zrobić, poruszyło się sumienie na to rzewne śpiewanie, i wspomniał sobie na pana Boga, Najwyższego Sędziego. — We winnicy pańskiej pracuje wszystko, każde stworzenie ma sobie robotę wyznaczoną, a Bóg najmiłościwszy opiekuje się wszystkiem. —

Skończył ksiądz proboszcz i podniósł się z ławki, bo już i tak dość długo przeciągła się pogadanka. Ale przypomniał sobie, że tam w polu jeszcze wróble we więcierzu siedzą; ruszył tedy z Maciejem ażeby onych wypuścić na wolne powietrze. Jak przyszli na to miejsce gdzie więcierz leżał, patrzą, aż tu wróble same sobie sieć rozplątały i jeden za drugim zmyka, że się jeno kurzy za niemi.

Podniósł więc ksiądz proboszcz więcierz ze ziemi, rozłożył, aż ci reszta z wesołem świergotaniem po czystem powietrzu się rozleciała.

— Lećcie, lećcie ptaszkowie, wy robotnicy niebiescy! — zawołał ksiądz proboszcz — lećcie pracować dla naszego dobra! Stworzył was pan Bóg do pracy jak i wszelkie inne stworzenie.

Maciej podziękował ślicznie księdzu proboszczowi za ładne opowiadanie. Przyrzekł że już krzywdy ptaszkom wyrządzać nie będzie, i da pozór żeby ich kto inny nie prześladował.

— Z panem Bogiem-że zostajcie, a pamiętajcie com wam powiedział — rzekł ksiądz proboszcz i ruszył na plebanię.

Śmiały się potem chłopy z Macieja co on wróble do więcierza łowił, ale on się oto nie srożył, jeno im powtarzał to wszystko, co zasłyszał od księdza proboszcza. —

Grześ z Mogiły.

RADA

jak się macie zachować w czasie grzmotu.

„Strzeżonego Pan Bóg strzeże."

Co roku właśnie zdarzają się po świecie nieszczęsne wypadki od piornnu. Zwłaszcza z wiosną to już częste nachodzą nas burze z grzmotami, więc o nieszczęście nie trudno: może wam się zająć chałupa od piorunu, może i człek który zginąć jak go piorun porazi. Prawda żeć się to wszystko dzieje za wolą Boską, bo stoi napisano: ***że bez wiedzy Ojca niebieskiego i włos ci z głowy nie spadnie.*** Ale powiedziano jest także: ***strzeżonego Pan Bóg strzeże!*** przeto i w tym razie powinieneś się mieć człeku na ostrożności.

A jak się macie zachować w czasie grzmotu, oto pokrótce wam opowiemy:

Skoroć burza nadciąga, trzeba zaraz okna i drzwi w chatach pozamykać, żeby nie było przeciągu; na kuchni zagasić ogień i komin zatkać, kto go ma w swojej chałupie, często bowiem piorun uderza w dymiące się kominy.

Jeżeli cię niespodzianie złapie burza gdzieś opodal ode wsi czy w polu, czy na łące, tak że już nie uścigniesz skryć się przed nią do chałupy, wtedy odrzucaj precz od siebie wszelakie żelaziwo, więc: kosy, sierpy, siekiery i sam pozostań zdala od tego, a niech cię Bóg broni, abyś się miał kryć pod drzewa, pod stogi siana, lub mędle zboża.

Także jest niebezpieczno w czasie burzy przebywać w lasach, zwłaszcza gdzie są dęby, stare sosny, lipy i wierzby — w takie drzewa najczęściej piorun uderza.

Również nie dobrze jest wtedy stać na wysokich górach, gdzie dmie silny wiater. Nie radzę też podczas burzy zbliżać się do stawów, jezior, rzek, potoków i do bagien, bo woda przyciąga pioruny, toć by się łatwo i tobie tam stojącemu mogło coś dostać od piorunu.

Zdarzyć się znowu, że cię w drodze spotka burza, nie umykajże przed nią nieboże, bo to źle, ale sobie idź zwolna

krok za krokiem, choćby na to mówiąc jak z cebra lało; bo lepiej przemoknąć choć do nitki, jak się narażać na niebezpieczeństwo. Kiedy jedziesz na koniu, zleź z niego i idź sobie piechoto, bo to bezpieczniej — także na wozie jadąc, lepiej się zatrzymać i stanąć opodal wozu, aż póki burza nie przejdzie.

Jest też u nas zwyczaj dzwonienia na odpędzenie chmury. Zły to zwyczaj, bo raz że nic nie pomaga, a potem że onych co w taką burzę odważą się wyleźć na dzwonicę i dzwonić, bardzo łatwo może spotkać śmierć od piorunu. W dzwonicy i w kościoły często trafiają pioruny, zwłaszcza, gdy stoją na górze i wysokie mają wieżyce.

Padnie zaś na którego z was nieszczęście, żeć go piorun poraził, nie lamentujcie zaraz, bo nie koniecznie on już musi być zabity. A toć nie trzeba tracić głowy, ale duchem należy ratować nieboraka: więc rozebrać go do koszuli, na twarz i na piersi bryznąć kilka razy chłodną wodą, całe ciało zaraz obłożyć płachtami moczonemi w zimnej wodzie, a do głowy przykładać wodę z octem. Dobrze jest ciało obłożyć ziemią wilgotną i to het aż do plec; można go także zakopać w ziemię po szyję. W takim razie wybiera się w mokrej ziemi jamę ukośną, do niej kładzie się rażonego piorunem w postawie na pół siedzącej i dopiero przysypać go z lekka ziemią pulchną na dwie a najwięcej na trzy ćwierci łokcia grubości. — Najlepiej zaś byłoby, upuścić mu krwi z szyi lub ręki; dla tego jeśliby gdzieś nie daleko było do cyrulika, to zaraz posyłać po niego.

Na tem kończy się nasza rada, jak się macie zachować w czasie grzmotu. Przedewszystkiem zaś trzeba mieć *czyste sumienie,* aby się nie lękać śmierci. Dobrze to powiadają: *„Na złodzieju czapka gore"* — toż i na grzeszniku za lada grzmotem drzy skóra od strachu. Lękać się on gniewu Bożego i radby się przed nim skryć choć w myszą dziurę; ale to wszystko nie pomaga! przed okiem sprawiedliwości Boskiej nie ukryje go żadne miejsce, choćby najwarowniejsze. Więc zapamiętałemu grzesznikowi i największa ostrożność przed piorunem na nic się nie przyda. Jeno sprawiedliwi i czystego sumienia ludzie mogą korzystać z naszej rady.

RÓŻNOŚCI.

Gwiazda zagasła. U Moskali jest jedno wielkie miasto co się nazywa *Moskwa.* Otóż w tej Moskwie na początku tego miesiąca stałać się na niebie niesłychana nowina. Było to coś na trzy godziny przed północą. Gwiazdy się wyiskrzyły na piękną pogodę, księżyc świecił jasno i po mieście kręciło się jeszcze moc luda. Ażci tu naraz powstał krzyk: patrzaj! patrzaj! — Wszystko co żyło, pozadzierało głowy do góry i poglądają ku niebu. Byłożto i na co patrzeć! jedna gwiazda, nad samiuteńkiem właśnie miastem, jak była sobie zwyczajnie malutka, tak na jeden raz poczęła się zwiększać. Po niejakim czasie, kiedy się już stała tak wielką jak księżyc w pełni, od razu zgasła i zostałać po niej jeno plama czarna na niebie. Ludziska patrzący na to dziwne zjawisko, srodze się polękli — powiadają oni że to dla nich zła wróżba, skoro nad ich starodawnem miastem, gdzie się Cary koronują, gwiazda niebieska zagasła. —

Dwa miecze ogniste. Także nie dawno temu w Wrocławiu, co się tak nazywa jedno miasto na pruskim Szlązku, widziano w nocy *dwa miecze ogniste* na niebie. Mieczyska ogromne aż strach było patrzeć; a były złożone na krzyż i takie czerwone jak sam ogień. —

Czarne bociany. Ot i u nas także się stała dziwna nowina. Na którejś tam łące pod Przemyślem widzieli ludzie dwa czarne bociany, jeno pod brzuchem miały trochę białego pierza. Rzadki to u nas ptak ten czarny bocian — po innych krajach można go częściej napotkać. Gnieździ się on po lasach, nie tak jak nasze po ludzkich chałupach; widać że nie ma takiej śmiałości do ludzi jak nasz biały. — Na nogach ma on bardzo piękną skórę czerwoną — powiadają że kozacy na Ukrainie używają tej skóry na pochwy do nożów i do pałaszów. —

Zgoda za znaleźne. Dwóch gospodarzy, Mikołaj i Walenty prawowali się o jakieś tam dziedzictwo. Jeden powiadał że on ma prawo do tego, a drugi znowu że nie prawda, bo to się jemu po słuszności należy. Już od kilku lat wodzili się po sądach i ani daj Boże było ich pogodzić ze sobą, tak się bardzo zaciekli.

Jednego razu wybrał się Mikołaj do miasta, aby się w sądzie dowiedzieć jak sprawa jego stoi. W mieście już był, gdy mu się naraz zachciało wstąpić do szynku. Gorzałki nie pijał bo ślubował od niej: więc kazał sobie dać szklankę piwa. Przyszło płacić: gospodarz za pazuchę gdzie miał schowane pieniądze i papiery — aż go mrowie przejęło! pieniędzy i papierów nie było. Co się nie naszukał wedle siebie, rozebrał się prawie do koszuli, obmacał wszędy... ani słychu dychu! nuż tedy w lament, że taką stratę poniósł. Wtem drzwi się rozwarły i wchodzi do szynku Walenty. Bywało przedtem nic do siebie nie gadali, a chociaż kiedy zetknęli się oko w oko, nigdy się nie pozdrowili, jeno zwyczajnie jak wilki poglądali po sobie. Ale

dziś cosik się stało dziwnego, że Walenty przemówił do Mikołaja:

— Co to wam sąsiedzie, coście tacy zafrasowani?

— Nieszczęście mię spotkało — odpowie smutno Mikołaj — straciłem gdzieś na drodze papiery i pieniądze moje.

— At, rzeknie znowu Walenty — nie trzeba się zaraz poddawać smutkowi! może się wynajdzie i zguba, jeno westchnijcie szczerze do św. Antoniego. A może i nie wzgardzicie szklaneczką piwa odemnie?

Mikołaj sam nie wiedział co to ma znaczyć, że go naraz taka przyjaźń spotyka od sąsiada, którego miał za swego największego wroga. Toć się w głowę poskrobał i począł się niby spraszać do poczęstunku.

— Ej także, sąsiedzie! powiada Walenty — nie dajcie się tak długo prosić; sprawa sprawą, a swoją drogą możemy się dziś zabawić przy szklance i powiedzieć sobie jakie słówko.

Tak zasiedli do piwa, jeden wedle drugiego; po raz to pierwszy po tylu latach kłótni i niezgody. Uderzyli w szklanki i dopiero Walenty:

— Słuchajcie no, sąsiedzie — prawi; a siła było tych waszych pieniędzy?

— A tyle i tyle! odpowie Mikołaj i ciężko z piersi odetchnie.

— A jakież były papiery, coście je zatracili? pytał znowu pierwszy.

— A takie i takie.

— No, to widzicie że was św. Antoni wysłuchał; zguba się wasza znalazła.

— Na Boga! Walenty, co wy mówicie.

— Macie tu swoje papiery i pieniądze, przeliczcie czy są wszystkie — rzekł Walenty i położył sporą paczkę na stół przed sąsiadem.

— A mójże ty drogi! zawołał uradowany Mikołaj, spoznawszy swoją zgubę — a niechże ci Pan Jezus zapłaci! i jakże to sie stało, powiedzcie mi, proszę ja was sąsiedzie, żeć przychodzę do moich pieniędzy.

— A tak po prostu, opowiadał tamten — że ja szedł tuż za wami drogą do miasta i znalazłem to coście wy zgubili. W szkołach też nauczyłem się tyle, że sobie dziś mogę przeczytać tak na książce jak i na piśmie. Otóż po tych papierach poznałem zaraz że one do was należą. Gdybym nie miał Boga w sercu, mógłem się był na was pomścić i papiery wam zniszczyć i pieniądze zabrać; ale żem nie taki, to ich wam oddałem w całości. Bywajcież zdrowi, Mikołaju!

Już chciał odejść, ale go drugi przytrzymał za rękę.

— Stój człeku! — zawołał, i podajmy sobie ręce na zgodę. Już ja się dłużej z tobą nie myślę prawować, bo widzę żeś dusza uczciwa. Wracajmy do swoich i niechaj gromada nas rozsądzi — ja na wszystko przystaję.

— Zgoda! na to Walenty. — Uderzyli się w ręce po przyjacielsku i powrócili do wsi. Tam ich wnet pogodzono, i odtąd Mikołaj i Walenty byli sobie najszczerszymi przyjaciółmi.

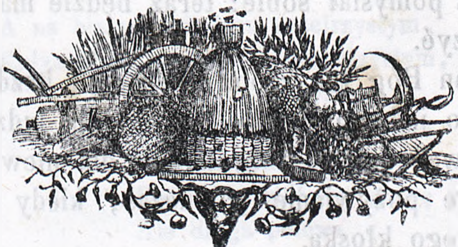
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II. Nr. 13.

1. Maja 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KŁOSY.

Kiedy dawnemi czasy, ale tak dawnemi, że ludzka pamięć nie może zasięgnąć, wszystkie źdźbła, tak pszeniczne jak żytne i jęczmienne, miały dużo kłosów, napełnionych ziarnem od dołu do góry; nie tak jak dzisiaj, co słoma długa, a kłosek na samym końcu i często pusty. Za owych błogosławionych czasów ludzie nie znali głodu, i wtedy to był prawdziwie wiek złoty. Jaki taki, choć i nie pracował wiele, mógł się był łatwo wyżywić, a nawet i ptaszkowie łakomi na zbożowe ziarnka, najadali się do syta, toż i kury, gęsi i wszelaki drób tuczył się na hojnym chlebie.

Lecz znaleźli się między ludźmi tacy, którzy nie umieli szanować darów Boskich, bo zboże, wiedzieć wam potrzeba, jest z Bożej łaski, a przeto nie należy go marnotrawić ani psować. Otóż, jak powiadam, ludzie nie szanowali zboża, bo go mieli dostatkiem: dziewki robiły z kłosów miotły i zamiatały niemi izby; chłopcy i dziewczęta uganiały się po łanach i deptały kłosy, albo też z pustej swawoli wyrywały takowe, ciskając na

drogę. To się nie podobało Panu Bogu, który zboże dał był na pożywienie ludowi, a na paszę bydłu, nie zaś na swawolną psotę; więc też pomyślał sobie: teraz będzie inaczej, złoty wiek musi się skończyć.

I zaraz Pan Bóg tak zrobił, że odtąd każde źdźbło słomy rodziło tylko po jednym kłosku, już to dla ludzi, aby nauczyli się lepiej szanować darów Bożych, już dla niewinnych źwierząt, aby miały swoje pożywienie natenczas, kiedy ludzie nie warci byli nawet jednego kłoska.

Od tego dopustu Bożego głód, drożyzna i ubóstwo przyszły na ziemię. Jeno kiedy niekiedy pozwala pan Bóg, aby tu i owdzie wyrosło cudowne źdźbło z kilkoma kłosami, pokazując przez to człowiekowi, jakie dawniej było zboże i jaka jest Boska potęga. Chodzi też stara przepowiednia między ludźmi, że po upływie wielu lat, kiedy się spełnią te słowa Anioła: *Cześć Panu na wysokości, pokój na ziemi, a między ludźmi miłość, błogosławieństwo i zgoda!* — wtedy Pan Bóg znowu ma ziemię wzbudzić, aby zboże wydawała pokryte kłosem od góry do dołu. Szczęśliwy, stokroć szczęśliwy! kto tego złotego wieku doczeka!

Majowa pieśń do Matki Boskiej.

Panienko przenajświętsza, jedyna!
Piastujesz-ci Niebieskiego Syna,
Piastujesz;
A przeczyści Aniołowie stoją,
I w zielony-ć wieniec główkę stroją,
Hej stroją.
Spuść-że radość na ludzi,
Kiedy wszystko się budzi
Do prześlicznej urody —
Niech serdeczną nadzieją
Oczy się nam rozśmieją —
Oschną mokre jagody
Zasmuconym,
Utrapionym,
Zmęczonym.

Panienko, przenajświętsza Królowo!
Wiszą-ć jasne gwiazdy ponad głową,
Hej wiszą;
A na białym miesiącu przejrzystym,
Kołyszą się stopki w blasku czystym,
Kołyszą.
Zgniotłaś czysta panienko,
Węża stopką maleńką,
Do pół starłaś mu głowę —
Ale druga połowa
Jeszcze w świecie się chowa...
Zetrzyj drugą połowę
Nieczystego,
Piekelnego
Złego.

Grześ z Mogiły.

ŁASKAWY CHLÉB.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

I tak i owak wykręca się człowiek przed własnem sumieniem, kiedy coś zrobi nie tak jakby należało. Ale niechnoby tylko lepiej i głębiej rozpatrzył się w sobie i w Bożym świecie, a snadnieby się przekonał, że byle moc nad sobą, a wola silna i poczciwa, toć nigdy nie przyjdzie człekowi trudniej zrobić dobre niż złe.

Nieszczęście tylko, że do złego ciągnie zawsze to jakaś pokusa ponętna, to jakiś interes samolubny, a za dobrem przemawia najczęściej tylko głos sumienia ta i pamięć przykazania Bożego.

Doświadczył ci tego najlepiej stary Wasyl Tandara z Ubyłowic, co dwa razy był wójtem w gromadzie i kilka lat gumiennym u dziedzica, a gruntem i mieniem sprostał największym bogaczom na całą wieś.

Uczciwie i pracowicie przeżył długie lata i Bóg szczodrą ręką błogosławił mu we wszystkiem. Najstarszy syn pracował przy nim na gruncie i sprowadził do domu synowę; dwie córki poślubiły zamożnych synów gospodarskich i opływały w dostatki.

Pewnego też razu stary Wasyl Tandara po ciężkiej pracy zadumał się srodze i rzekł sam do siebie.

— Mocny Boże! po co ja się też tak trudzę i mozolę; siódmy krzyżyk dochodzi, siły opadają, człek się chyli do ziemi, a tu jest dzięki Bogu i wypocząć przyczem i pracować komu na gruncie. Czasby już pozwolić sobie spoczynku, ta oddać się całkowicie służbie i chwale Bożej.

Więc jak zaczął sobie tak przemyśliwać i dogadywać, to nie mówiąc nic nikomu, zaraz nazajutrz posłał po pisarza i urząd gromadzki, sprowadził swych zięciów, syna i synowę, wreszcie też przywołał krewnych, sąsiadów i znajomych, i tak do nich przemówił:

— Starość nie radość, moi mili! Człek choćby chciał sam siebie oszukać, to widzi już, że nie domaga i już tam rękom nie do ciężkiej pracy, a siłom nie do wielkich niewczasów. Darmo się opierać, trzeba ustąpić miejsce młodszym a rzeźwiejszym. Przy Boskiej pomocy uzbierało się uczciwie i godziwie trochę darów Bożych; chcę też to rozdać między dzieci, niech zabiera wszystko, a mnie tylko do śmierci dadzą chleb łaskawy.

I jak powiedział tak też i zrobił zaraz.

Nie zważał na żadne rady i przedstawienia: grunt, chałupę i całe gospodarstwo zapisał synowi, córkom porozdawał resztę wiana i dobrowolnie ogołociwszy się ze wszystkiego, zamyślał sobie resztę życia przesiedzieć spokojnie na łaskawym chlebie wyposażonych hojnie dzieci.

I pierwszych kilka tygodni a nawet parę miesięcy przeszło staremu tak jakoś szczęśliwie, że ani się opamiętał, że już nie jest sam sobie gospodarzem, ale osiadłym u dzieci na łaskawym chlebie. Przemieszkiwał kolejno to u jednej to u drugiej córki, to wreszcie u syna i tak miało iść aż do śmierci.

Aliści niestety! nie tak to najczęściej idzie na świecie jakby należało i jak Bóg przykazuje. Nagle ni ztąd ni z owąd staremu Wasylowi zaczęło się powodzić inaczej.

Dzieci przywykły powoli do gospodarstwa na własną niezależną rękę i coraz wydawało im się to mniej osobliwem, że stary ojciec nie kazał im czekać na śmierć swoją, ale za życia jeszcze wszystko oddał w ręce.

I jakoś od chwili do chwili przychodziło to uczuć staremu, że już nie jest gospodarzem i panem w domu, jeno komornikiem.

I byłoby to jeszcze pół biedy, aleć dowiedziona na świecie prawda: że złe nigdy nie przychodzi samo, zawsze jakoś drugie i trzecie wlecze za sobą.

Obie córki miały stare świekry, a dobrze mówią, że przed złą świekrą, to sam djabeł kopyta pogubi a da drapaka, że się aż zakurzy.

Powoli zaczęły sobie świekrochy rozpuszczać języki i nuż coraz gęściej ćwirkać staremu w oczy to tem to owem, nuż przycinać i tak i owak. I codzień jakoś markotniej było staremu i ciężki smutek zaczął mu jak czerw toczyć serce.

Nie chodziło starowinie że coraz większe musiał znosić niewygody, daleko ciężej trapiła i frasowała go niewdzięczność ludzka i stokroć jeszcze okrutniejsza od tej, niewdzięczność własnych dzieci. Bo chociaż mimo to wszystko syn i córka okazywali mu zawsze jeszcze cześć i przywiązanie, poznać było snadnie, że kapka po kapce zaczęli sobie także folgować coraz więcej.

Wszystko to grozkim smutkiem przepełniało serce starowiny, a jak na toż i z innej strony cierpkie spadały na niego utrapienia.

Zaczął się przekonywać powoli, że odkąd gospodarstwo wypuścił z rąk, niema też już takieko jak dawniej zachowania w gromadzie. Chociaż niegdyś dwa razy wójtował we wsi, toć już nie wołano go ani do sądzenia spraw, ani też pytano go o radę w interesach gromadzkich.

Ba nawet kiedy w ostatnią niedzielę przyszedł do karczmy na wybór przysiężnego, to stary Paweł Ciurak, co z dawna miały jakąś złość na niego, zawołał mu w żywe oczy:

— A ciebie tu po co, tu tylko miejsce dla samych gospodarzy, a ty komornik u twego syna.

Strasznie markotno zrobiło się staremu Wasylowi i aż łzy mu się zakręciły w oczach.

Nie rzekłszy ani słowa wyniósł się z karczmy i chwilkę

podumał na drodze, a potem westchnął ciężko, taj skręcił jakoś no ścieżkę co prowadziła do dworu.

Starowina radby się przed kimś poskarzyć, kogoś się poradzić, a któż lepszy do tego jak nie dobry pan, co mieszkał we dworze.

Jużto w prawdzie nie było wtedy od kilku miesięcy pańszczyzny, ale Wasyl wiedział, że mimo to pan zawsze ojcem i opiekunem gromady, i że nikt lepiej i szczerzej nie poradzi od niego.

Dziedzic Ubyłowic byłto zresztą jeden z tych prawdziwych polskich panów, co w chłopach swych nie widział poddanych, ale dzieci przywiązanych.

Do niego więc udał się Wasyl Tandara w swem ciężkiem utrapieniu. Aż rozbeczał się stary kiedy pokłonił się do nóg dobrego pana i jął mu opowiadać swoją niedolę, jak chciał sobie wypocząć po trudach na starość, a tymczasem ściągnął na siebie tylko smutki i zgryzoty.

— I nie tyleć tu chodzi o mnie, jaśnie wielmożny panie — dodał — obawiam się jeno, aby dzieci moje nie posunęły się dalej w niewdzięczności, a wtedy musiałaby na nich spaść kara sprawiedliwego Boga, a toćby mi było okrutnie ciężko na sercu, gdyby z mojej przyczyny zrodził się gniew Boży.

Pan wysłuchał do końca starego Wasyla i głęboko się jakoś zamyślił.

Naraz podniósł głowę, uśmiechnął się wesoło i poklepawszy po ramieniu starego, rzekł pocieszającym głosem:

— At nie frasuj się stary! taka to już nieszczęśliwa natura ludzka, że często potrzeba koniecznie jakiegoś sposobu, aby ją nawieść na dobrą drogę. Pójdź-no do mojej kancelaryi, napijesz się kieliszeczek dobrej wódki, pogadamy z sobą mądre słowo o starych czasach, i jakoś ja już tam zaradzę twojej biedzie.

Wasyl Tandara znowu pokłonił się do stóp łaskawego pana i poszedł za nim gdzie mu kazał.

I długo snać bajał i gwarzył z dobrym dziedzicem, bo po dobrej dopiero godzinie wracał do domu, a wracał jakby o dziesięć lat odmłodniał, taki wesół, rzeźwy i pocieszony. Uśmiechnął się sam do siebie, a kiedy zbliżał się do wsi, zawołał półgłosem:

— Bodaj to dobry pan! to prawdziwy ojciec gromady, któżby tak mądrze poradził i tak łaskawie pocieszył w niedoli!

A jak tylko przyszedł do domu, zwołał zaraz pod wieczór syna i obudwu zięciów z córkami i świekrami, wreszcie zwołał sąsiadów ta i wójta, przysięźnych i dwóch z gromady.

Jak się wszyscy zeszli w chacie, stary na kwitek pański posłał po dwie kwarty wódki do karczmy, a potem siadł między nimi i ozwał się w ten sposób:

— Wiecie żem całe życie nie lenił się nigdy do pracy i Bóg mi błogosławił łaskawie. Dorobił się też człek i gospodarstwa uczciwego, i wreszcie nie wiele mówiąc, uciułało się trochę gotowego grosiwa.

— Gotowego grosiwa — powtórzyli wszyscy zdziwieni.

I jedna świekra na całą piędź rozdziawiła gębę, a druga aż musiała odkaszlnąć taka ślinka nabiegła jej na język.

Wasyl Tandara uśmiechnął się z lekka i tak prawił dalej:

— Nie wyjeżdżał ci tam człek z tem nigdy, aby nie myśleli że się przechwalam. Ale co się uzbierało powoli, to mieniałem na same karbowańce.

— Na same karbowańce — wykrzyknęli znowu wszyscy naraz.

Starowina znowu się uśmiechnął i ręką sięgnął w zanadrze.

— Człek niema w domu dobrego schowku, a do tego i bał się trocha, aby go nie skorciło naruszyć uciułanej sumki. Więc wszystko nosiłem do pana i u niego składałem do schowku.

— Gwałtu, a my o tem nic nie wiedzieli — zawołała jedna świekra i oboma rękami chwyciła się za głowę.

Nie zważając na to stary Wasyl, prawił dalej.

— Do tego czasu leżały pieniądze u pana, ale coś mówią, że pan wybiera się na cały rok za granicę, a daleka droga to rzecz niebezpieczna. Od przypadku nikt nie wolny! Więc też dzisiaj poszedłem do pana i odebrałem wszystko.

To mówiąc dobył Wasyl z zanadrza spory worek obwiązany sznurkiem i zapieczętowany u góry.

Każdy wyciągnął rękę aby choć pomacać skarb pożądany, a jedna świekra aż nosem wryła się w worek i węchem radaby wciągnąć w siebie złoto.

W worku brzęczały ślicznie i ponętnie pieniądze, a kto sięgnął palcami, to na prawdę namacał same karbowańce.

Rzeknie też po chwili Wasyl:

— Podzieliłem grunt, dobytek i całe gospodarstwo pomiędzy dzieci, ale pieniądze schowam aż do śmierci i dopiero umierając rozdzielę ich według tego, jak kto sobie najlepiej zasłuży.

— Tymczasem — prosił zwracając się do wójta — niech ten cały worek leży w schowku u gromady, a jak Pan Bóg zeszle śmierć na człowieka, to już rozporządzę jak obdzielić dzieci.

I jak chciał, tak się stało w samej rzeczy. Wójt i przysiężny wzięli pieniądze pod schowek gromady, a dopiero w ostatniej chwili miał oznaczyć stary, co z niemi zrobić po śmierci.

Aliści trzeba było teraz widzieć, jak się odtąd zmieniło wszystko w życiu starego. Wróciło dawne zachowanie w gromadzie, powiększyła się cześć u krewnych i znajomych, odżywiła miłość u dzieci.

Same świekry nie mogły sobie dać rady, aby we wszystkiem dogodzić staremu i przypodobać mu się wedle możności. Ptasiego mleka brakowało mu tylko od tej chwili, tak mu wszyscy nadskakiwali, pochlebiali, dogadzali i każdy spodziewał się w duchu, że stary nie zapomni o nim, kiedy będzie rozporządzać swym skarbem.

Sześć lat przeminęło w tym stanie, aż też nagle rozniemógł się śmiertelnie Wasyl Tandara. Toż dopiero uwijali się wszyscy koło niego, nie odstępowali go ani we dnie ani w nocy i pielęgnowali jak można tylko najtroskliwiej.

Ale niestety choroba to już była śmiertelna. Stary posłał po księdza, a zaledwie otrzymał rozgrzeszenie i przyjął ciało i krew pańską, zamknął powieki. Przy spowiedzi miał jednak powiedzieć księdzu, co począć ze skarbem pozostałym. Nie wiedzieć dla czego ksiądz na razie trzymał wszystko w tajemnicy i przyrzekał wyjawić całą rzecz dopiero po pogrzebie.

Zaraz też na drugi dzień po pogrzebie zeszli się wszyscy co byli wtedy, kiedy stary wydobył swój skarb z ukrycia —

wójt przyniósł ze sobą worek opieczętowany, aby go oddać temu, komu umierający przykazał.

W tem też pojawił się ksiądz proboszcz.

— Moi mili — rzekł poważnie i uroczyście — stary Wasyl umierając, kazał wam podziękować za wszystko dobre, coście mu wyrządzili na schyłku żywota. Odsłodziliście i ulżyli mu ostatnie ciężkie zazwyczaj chwile i Bóg wam to pewnie nagrodzi stokrotnie. Temci pewniej, żeście to wszystko robili nie z żadnej rachuby nieczystej, ale tylko ze szczerego serca.

— O jużci, jużci księże proboszczu — wołali wszyscy razem — któżby tam myślał o rachubach, uchowaj Boże!

— Dobrze moi mili — rzekł ksiądz dalej — wiecie bowiem, że żaden dobry uczynek nie ma u Boga znaczenia, jeżeli nie wypłynął z szczerości i uczciwości serca a pobożności ducha, ale z rachuby, chciwości i innych pobudek nieczystych.

— Albożeśmy to nie chrześcijanie, abyśmy tego nie wiedzieli — odpowiedzieli razem z niskim ukłonem.

A ksiądz na to znowu.

— Podziękujcież Bogu, że Wasyl Tandara nie pozostawił po sobie żadnego majątku, bo inaczej ciężyłoby na was podejrzenie, któreby wam odjęło wszelką zasługę.

— Jakto — Wasyl nie zostawił żadnego majątku? — odezwała się jedna świekra nie mogąc się powstrzymać dłużej.

Zamiast odpowiedzi, ksiądz wziął od wójta worek, rozwiązał sznurek, zerwał pieczęć i ze środka posypało się mnóstwo jakichś okrągłych blaszek. Były to dawne znaczki od pańszczyzny, które niegdyś rozdzielał ekonom za każdy dzień odrobiony.

— Podziękujcie Bogu — zawołał ksiądz uroczyście — że to prosta blacha bez wartości a nie złoto, bo pozostają wam wasze dobre uczynki, które więcej znaczą dla duszy i wyżej stoją u Pana Boga, niż wszystkie złoto świata.

I długo jeszcze przemawiał ksiądz tak mądrze a łaskawie, że się aż wszyscy rozrzewnili, a szczególniej dzieci zmarłego zalane łzami biły się w piersi i z głębi serca dziękowały Bogu, że za cześć i miłość dla starego ojca nie spadła na nich ziemska zapłata, ale pozostała im nadzieja lepszej i trwalszej nagrody.

Wójt i przysiężni dorozumieli się jednak zaraz, że to pan z umysłu dał Wasylowi ten worek ze znaczkami, aby tym sposobem zaradzić niedoli i utrapieniu starego.

Czy pożyteczną jest rzeczą siać gęsto?

Rozmowa pana ze starym Łukaszem gospodarzem.

„Gdzie nie chrośnie, tam nie rośnie;“ mawiał stary Łuka, i dla tego zawsze siewał gęsto. Razu pewnego, gdy siał groch, a raczej rozrzucał, jak zaganiacze wieprzom, nadszedł dziedzic wioski, a pochwaliwszy Pana Boga, zaczął łajać starego gospodarza, że tak ziarno marnuje.

Łuk. A przepraszam wielmożnego pana, im więcej się zasieje, tem się więcej sprzątnie.

Pan. Prawda, prawda, Łukaszu! im się więcej obsieje pola, to się więcej sprząta; ale to nie prawda, że im się gęściej sieje, tem się więcej sprząta.

Łuk. Przecie każde ziarnko wyda plon, a im więcej ziarnek, to więcej plonu, mawiał mój nieboszczyk wuj, który mnie wychował; bo gdzie nie chrośnie, to i nie rośnie.

Pan. Ale mój miły gospodarzu, to wtedy tylko prawda, kiedy się zasieje, jak się należy: a siać gęsto, to się nie należy. Inni gospodarze, co tyle wysiewają ile wy, więcej zawsze od was sprzątają, i czemu to?

Łuk. Bo mają lepsze grunta.

Pan. Nie lepsze! z naszej wsi wszyscy mamy jednakowe grunta; ta tylko różnica, że nie wszyscy jednakowo je uprawiamy i obsiewamy. Inni gospodarze nie sieją za gęsto, tylko wraz, dla tego lepsze miewają urodzaje.

Łuk. Ha! jużci darmo; jak Bóg da, tak trzeba przyjąć. Niech będzie Imie Boskie błogosławione!

Pan. Tak, niech będzie Imie Boskie błogosławione teraz i na wieki wieków; aleć, gdy źle zasiejemy, nie mamy prawa żądać od Pana Boga, aby nam złą robotę błogosławił. Jak sobie kto pościele, tak się wyspi!

Łuk. (poskrobał się w głowę). Hm, hm, to na mój głupi rozum za wiele. Mnie się to w głowie pomieścić nie może, czemu, gdy ja gęsto sieję, nie ma mi się udać zboże?

Pan. Bardzo rzecz prosta; gdy się za gęsto zasieje, chociaż ziarno zejdzie, nie może się utrzymać, bo nie ma i miejsca i dostatkiem pokarmu w ziemi; jedno niszczy drugie. Na przykład: was codziennie do miski zasiada sześcioro, i wasza kobieta na sześcioro gotuje i najecie się wszyscy.

Łuk. Co to, to prawda, wielmożny panie!

Pan. A gdyby niespodzianie gdy siadacie do jadła, nadeszło jeszcze drugie sześcioro i zasiadło i wzięło się do łyżek — czyby się wszyscy najedli?

Łuk. A gdzie tam.

Pan. Otóż widzicie, miły gospodarzu, tak się samo ma i ze zbożem. Ziemia wyżywi tyle ile może; lecz gdy za wiele roślin na jednem miejscu, żadnej nie wyżywi jak się należy, wszystkie słabe, a gdy susza nastanie, nie rozwinąwszy kwiecia, całkiem marnieją.

Łuk. Nibyć to pan mówi nie źle. Zestarzałem się, alem się nad tem, Bóg świadkiem, nigdy nie zastanowił. Com widział i słyszał u wuja, takem robił i mówił. Niech to nie będzie z urazą wielmożnego pana; jak widzę, to teraz jaje mędrsze od kury. Ja już szósty krzyżyk kończę, a pan ledwo w połowie trzeciego, a jednakowo młody pouczył starego.

Pan. Mój kochany Łukaszu, powinniśmy się wszyscy nawzajem pouczać; wszakżeśmy bracia jednej ziemi polskiej, jednej wiary katolickiej synowie, a Pan Jezus napomina: „*Kochaj bliźniego twego, jako siebie samego,*“ a kochanie trzeba w uczynku okazać. Nie siejcie więc tak gęsto, a spomniecie moje słowo przy sprzęcie, żem wam dobrze radził. — Usłuchał Łukasz pana, i resztę grochu siał daleko rzedziej. We żniwa z gęsto zasianego nie miał i furki, a z rzadziej, dwie i doskonale nałożone.

z Sz. N.

RADA

jako matki powinne baczyć na swoje dzieci.

Żalą ci się nasze matki po wsiach, że im się dzieci nie darzą. Mój ty mocny Boże! i jakże im się mają darzyć, kiedy są takie nieuważne, takie mało dbające o swoje maleństwo: porzuci to byle gdzie, nie nakarmi w swój czas, nie obmyje, nie uczesze — słowem, niby to kocha, a w rzeczy mało co dba o nie. Toż przecie kwoczka, choć to jeno ptak bez duszy, a patrzaj jaka ona dbała o swoje kurczątka, że ich na krok nie odstąpi i prędzej każdemu oczy by wydrapała, a nie dałaby dziecku swemu choćby najmniejszej krzywdy uczynić. Tak i wszystkie inne stworzenia, od najdrobniejszego ptaszka do najsroższego zwierza, wielką miłość a zatem i dbałość ukazują względem swoich dzieci. I nie wstyd-że to naszym matkom, żebyć się dopiero od kwoczki miały uczyć, jak miłować dzieci i wedle nich chodzić?... A przecie tak jest, bo i patrzcie i bierzcie sobie to za naukę:

Nie potrzeba wam gadać, jak to się kwoczka sroży i uderza na każdego w obronie swoich kurcząt. — Tymczasem zdarzyło się już nieraz, że gdzieć świnia pożarła dziecko w kolebce, albo kotka wydrapała oczka niebożątku. Niedobra matka, gdzież ona była wtedy? ano w ogrodzie plewła, albo gdzieś za trawą chodziła w pole, lub przy jakiej robocie krzątała się, a dziecko bez dozoru porzuciła w chałupie. Bywają też i inne przypadki z tego niedozoru: niedorosłe dzieci same zostawione w chałupie, często bawiąc się ogniem poparzą się, albo też i na śmierć się spalą i całe obejście puszczą z dymem. A całemu nieszczęściu matka była winna, co ich odstąpiła. — Wiemci ja że człek biedny musi pracować na kawałek chleba, a nie tylko siedzieć przy dzieciach jak ta kwoczka — toż przeciw twojej robocie nie mam nic; idź matko kędy cię praca woła, ale i o dzieciach też nie zapominaj!... Przecie między sąsiadami znalazłaby się jedna i druga kobieta sędziwa, coby jej można zawsze wszystkie dzieci oddać pod dozór, wtedy kiedy ich matki i ojcowie przy

innej są robocie. Jest zwyczaj po wielu wsiach i miasteczkach, utrzymywać pastucha gromadzkiego, dla czegożby się nie miała gromada zdobyć i na taką niańkę, coby jej wszystkie dzieci dozorowała? Nie wiele by to kosztowało, a pożytku byłoby wiele.

Pilna kwoczka przyucza dzieci swoje do czystości — od niej to uczą się one skubać i prostować swoje piórka do słonka, wytrzepywać z nich kurz i brud wszelaki, aby były zdrowe i wesołe. — Tymczasem po naszych wioskach dzieciaki biegają jak te straszydła, co je wystawiają na wróble, takie to czarne, murdzate, powalane, jakoby właśnie z komina wylazły. A czyja w tem wina? jużcić że matek, co takie niedbałe o swoje dzieci, że je ani obmyją, ani uczeszą, ani też jak przynależy nie ogarną co dnia. Im się zdaje że to nic zdrowiu nie szkodzi — oj matki, matki! a przecie to drzewo zgnije i zbutwieje w błocie się walające — samo nawet żelazo choć jakie twarde, a rdza go pożre, jeśli go się nie będzie czysto utrzymywać. I dziwże się teraz, że ci dziecko chyrla i do zdrowia przyjść nie może, skoro nie chcesz dbać o jego porządek.

Pilna kwoczka, gdy widzi w pobliżu jaką wodę albo kałużę, gdzieby się jej kurczęta mogły potopić, nie pozwala im się tam zbliżać; a jeśli się które w tamtą stronę zapędzi, to zaraz to uważa i odwołuje go do siebie. — Tymczasem po wsiach dzieciaki włóczą się samopas wszędy, gdzie się im żywnie spodoba, a matki na to nic, owszem jeszcze kontente są, że im nie zawadzają w chałupie i nie wrzeszczą nad uszyma. Owóż we wsi nie trudno o kałużę, jest też i studnia jedna i druga i stawek jaki taki i rzeka lub przynajmniej potok płynie. To też zaraz i gotowe nieszczęście! nie dużej potrzeba wody aby się dziecko utopiło. Pilnuj-że matko jak ona kwoczka i nie wypuszczaj z oka małych dzieci, iżbyś potem nie potrzebowała narzekać, żeć się dzieci nie darzą. A masz kałużę gdzieś nieopodal twego obejścia, to ją obgródź do koła — gromady zaś budujące studnie, niechaj baczą na to, aby zrąb był przynajmniej na łokieć wysoki od ziemi. Wydatek nie zbyt wielki, a będzie dla wszystkich bezpieczniej.

Nakoniec nie myślcie sobie, iżby kwoczka kazała kurczątkom jeść wszystko co znajdą, bo nie prawda! dobrze ona ich uczy co dla nich zdrowe, a coby im mogło zaszkodzić. — Tymczasem matki nasze mało na to zważają; a znowu dziecko, że to nierozumne i bardzo łakome na jedzenie, więc byle czego się dorwie i bucha w siebie bez upamiętania, gdy mu nie zabronią. A tu, jak na to po ogrodach i sadach, pełno owocu niedźrałego: więc agrest, porzyczki, wiśnie, jabłka, gruszki — co ono tam zna że to trucizna zielony owoc, patrzy jeno jakby się dostać do niego i zerwać. Z tego potem różne a różne powstają choroby, jako to: biegunka krwawa, zapalenie żołądka lub kiszek, albo odurzenie z zapaleniem mózgu połączone; a wszystkie te choroby śmiertelne są i rzadko które dziecko z nich wyzdrowieje. A toż matki nasze, dawajcie i na to pozór, aby się dzieci nie wałęsały po ogrodach i sadach gdy ich nikt nie widzi, bo raz, że robią wam niepotrzebnie szkodę, a potem, że i sobie bardzo tem szkodzą.

Skoroż pójdziecie za tą naszą radą, to zobaczycie, że wam się będą i dzieci darzyć przy błogosławieństwie Boskiem i będzie pociecha na waszą starość.

RÓŻNOŚCI.

Roztropny chłopek. Jednego razu skradziono gospodarzowi najlepszego konia — co się nieboraczysko naszukał, nalabiedził... przepadło jak kamień w wodę rzucił. Tedy rad nie rad musiał iść do miasteczka, gdzie miał być targ na konie, aby sobie drugiego dokupić. Przyszedłszy na targowisko, zaczął przepatrywać między końmi, któryby mu się najlepiej nadał. Jakiś czas łaził tędy i owędy, nie jednej już szkapie zaglądnął w zęby, popróbował ogona, ale do targu nie przyszło, bo mu się żadna nie spodobała. Aż ci tu naraz patrzy: — Chryste Panie! ta dalibóg że moja szkapa! zawołał uradowany i pochwycił konia za uzdeczkę. Żyd co go wyprowadził na sprzedarz, jął wrzeszczeć w niebogłosy i zwoływać ludzi na świadków: że to rozbój. — Puszczaj ty chłopie, ty złodziej! krzyczał i szarpał gospodarza za rękę — czyś ty owarjował! to mój koń a nie żaden kradziony; ja mam świadków na to, że go jeszcze na łońskim jarmarku kupiłem.

— Łżesz żydzie! woła chłop — jużci ja swoją szkapę znam; to moja!

— Ny, jaki z was głupi gospodarz! prawi żyd — powiadacie że to wasza szkapa, a to nie prawda. Może ona i podobna do waszego konia, widzisz go! albo to jeden koń nie może być podobny do drugiego?...

Gdy to mówił żyd, chłopek naraz zakrył oba oczy koniowi i rzeknie:

— No, kiedy ty tak dawno masz tego konia u siebie, to powiedz że mi, na które on oko jest ślepy?

Żyd co był prawdziwym złodziejem i nie miał czasu dobrze konia obejrzeć, zmieszał się na to zagadnięcie, lecz miną nadrabiając, rzekł na los szczęścia: że koń na lewe oko nie widzi.

— Aha, zawołał kmieć, pokazując lewe oko konia — widzisz że kłamiesz, bo koń dobrze patrzy na to oko.

— Nu! podchwycił żyd, co to znaczy? ja się omyliłem, chciałem powiedzieć że on na prawe oko jest ślepy — przecie dobrze znam mego konia.

Wtedy dopiero chłopek odkrył i drugie oko konia i biorąc ludzi na świadków, rzeknie:

— Patrzajcie gospodarze, oto jest dowód że żyd jest kłamca i złodziej, bo koń na oba oczy dobrze widzi. Naumyślnie zadałem mu pytanie, aby łatwiej sam się wydał że konia ukradł.

Wszyscy przytomni śmiać się zaczęli z tego figla i chwalić roztropnego chłopka; poczem zaprowadzili żyda do władzy, która go uwięzić kazała. Konia zwrócono właścicielowi — złodziej pomaszerował do kryminału.

Tak to, prawda jak oliwa zawsze wyjdzie na wierzch; a fałsz i kłamstwo, tak jak szydło w worku, nigdy się długo nie utai. —

Gradowa burza. W *Lutowiskach* w Sanockiem przed trzema tygodniami, jak powiadają, spadł taki grad nawalny, że jeszcze nazajutrz leżał wielkiemi kupami. Najstarsi ludzie nie pamiętają tak ogromnego gradu. Ulewa trwała przez całą godzinę, do tego biły pioruny i strasznie się łyskało. — A toć skaranie Boże czy co takiego na te Lutowiska, że takie tam częste powstają burze! Przypomnijcie sobie, że jeszcze tamtego roku jakoś w jesieni donosiliśmy wam o srogiej burzy, co siła nabroiła w Lutowiskach. Trzebaż nieszczęścia, żeby z wiosną druga ich taka burza nawiedziła. Boże zmiłuj się!...

Cudowna władza modlitwy. Ot i nie dawno temu w jednem mieście zakradł się był złodziej — niecnota z wieczora do kamienicy. Zaraz na dole była kuchnia, drzwi stały otworem, a kucharka gdzieś była na chwilkę wybiegła. Hultaiszcze nie widząc nikogo, począł sobie tam na piękne gospodarować. Więc do skrzynki gdzie były rzeczy kucharki, powybierał do czysta, związał pięknie w tłumoczek, i jużci miał dać drapaka — aż tu naraz słyszy że ktoś idzie. Tedy duchem włazi pod łóżko i tłumoczek też wsunął za sobą. Tymczasem kucharka nadchodzi, zaświeciła świeczkę, usiadła sobie na łóżku

i poczęła się z książki pilnie modlić, jak to zwykła robić co wieczór przed spaniem. Jeszcze w końcu odśpiewała na głos: „*Kto się w opiekę podda Panu swemu*“ i już potem zagasiła świecę i spokojnie układła się na spoczynek. — A złodziej pod łóżkiem siedzący samci już nie wiedział, co się z nim stało dziwnego. Jakiś żal go na wskróś przejął że prawie co nie zapłakał i po raz pierwszy wstydno mu się zrobiło przed złodziejstwem. Kucharka spała sobie w najlepsze, i nie wiedziała, że tą wieczorną modlitwą siebie obroniła i duszę jednego grzesznika nawróciła do Boga. A iście tak było; złodziej cichaczem wysunął się z pod łóżka, ale już bez zawiniątka i nie zrobiwszy jej najmniejszej szkody, poszedł precz. Dopieróż nazajutrz kucharka wstaje i zrazu jeszcze nic nie zmiarkowała. Aż tu wypadło jej pójść do miasta za sprawunkami; trza się było w jakąś chuścinę ogarnąć, więc do skrzyni a skrzynka do czysta wybrana. Już miała hałasu narobić, gdy wtem przypadkowo zajrzała pod łóżko i widzi tam zawiniątko leżące. Wyciąga, patrzy: są wszystkie rzeczy co do jednego. Zazaz uklękła i podziękowała Panu Bogu — aliści potem w głowę zachodzi, coby to miało znaczyć i ktoby jej mógł takiego figla wypłatać?... I nie wiedziała długo, jak ma sobie to wytlómaczyć. Dopiero książka do nabożeństwa, leżąca wedle łóżka na stoliku powiedziała jej prawdę. Była ona otwartą właśnie w tem miejscu, gdzie stała modlitwa: „*Kto się w opiekę podda Panu swemu.*“ — To onej modlitwy cudowna władza obroniła mię od szkody — pomyślała wtedy kucharka i szczerej prawdy dociekła. —

Rady dla gospodarzy.

Przysłowie niesie: jaki pan i słudzy tacy;
Gospodarz ma dać przykład do cnoty i pracy.

Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożna;
Nie odkładaj na jutro, co dziś zrobić można.

Przewiduj, zapobiegaj, byś straty nie miewał;
Głupi mówi po szkodzie: jam się nie spodziewał.

Nie polegaj ze wszystkiem na innych posłudze;
Ile można sam dojrzyj, ślepe oczy cudze.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

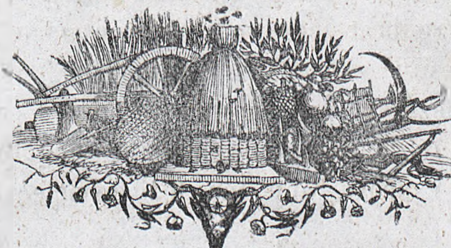
Tom II. Nr. 14.

11. Maja. 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BÓJ SIE BOGA.

Powieść o złym handlarzu.

Niespełna dwie mile od Myślenic, w jednej wsi żył sobie zamożny gospodarz. Zaczął on był handel zbożem i tak mu Pan Jezus poszczęścił, że niezadługo do wielkiego przyszedł majątku. O tym majątku prawili ludzie, że to nie zawsze chciało mu się stare cwancygiery ręką rachować, ale je miareczką mierzył — no, czy to mierzył czy nie mierzył, co nam do tego, boć też i ludzie ot jak ludzie, lubią zaraz z kota zrobić wilka — dosyć wam powiedzieć, że sobie był bogaty i gospodarz całą gębą.

Ale nie wiedzieć moi ludzie, czemu się to tak dzieje, iż często gęsto majątek jakoś człeka znarowi, że miasto być lepszym za to, co mu Bóg szczęści, to on staje się gorszym i zapomina na miłość Boga i miłość bliźniego, bez czego choćbyś i po same uszy w złocie opływał, to ci z niego nic nie przyjdzie. — Otóż mówię ten nasz gospodarz jak został panem handlarzem, to jakoś zhardział dla swoich sąsiadów, ba nawet dla krewniaków, bo ich i znać nie chciał we wsi.

I zdarzyło się jednego dnia, a był to piątek, właśnie dzień targowy w Myślenicach — nasz pan handlarz wybiera się ze zbożem do miasta. Jużci ma ruszyć z przed domu, aż tu zachodzi mu drogę brat jego rodzony, co pono tylko chałupnikiem był we wsi i w wielkiej żył biedzie. Więc że to było właśnie na najcięższym przednowku bo przed samemi żniwami, ubogi ten brat zbliża się z nieśmiała do bogatego, schyla mu się aż do nóg i prosi, aby mu też ćwiarteczkę żyta przyborgował:

— Jak sami zażądacie, mówi — albo wam ją odpłacę lub też odrobię we żniwa; jeno się też bracie dzisiaj zmiłujcie nademną!

— Idź sobie z Bogiem! rzeknie mu z fukiem brat bogaty — pracuj lepiej na kawałek chleba, to go będziesz miał tyle co ja, boć i mnie z nieba nie spadło, a nie zachodź do mnie napróżno, bo ja nie mam zboża na żadne borgi.

Biedny brat jeszcze raz popróbował prośby, bo myślał: może też zmiękczę serce tego człeka, co mi przecie jest taki bliski!

— Bójcie się Boga! powiada a miał łzy w oczach — pracuję bo, pracuję, ale mi jakoś żona niedomaga i dzieci drobne — ciężkie lato na mnie, bracie! toć was ta ćwiartka żyta nie zuboży a mnie siła dopomoże.

Ale bogacz już nawet nie słuchał, skoczył czemprędzej na wóz obładowany zbożem, kazał parobkowi zaciąć konie i pojechał na targ, nie ulitowawszy się nad bratem. — Odszedł biedaczysko a żal straszliwy obległ mu na sercu, więc może i mimowoli co złego pomyślił przeciw bratu, może mu i złorzeczył, któż to wie! dosyć że miał łzy w oku, a łzy wyciśnione ubogiemu, jeszcze bratu, to widzicie, wołają o pomstę do nieba.

Tymczasem bogacz jedzie sobie spokojnie na targ do Myślenic; wsadził czapkę na bakier i rachuje, ile będzie miał zysku na zbożu, a w duszy się cieszy, że mu znów kupka cwancygierów na wieczór przybędzie. W takich myślach zajechał-ci szczęśliwie do miasta i stanął sobie w najlepszem miejscu w rynku koło św. Florjana.

Jak się już rzekło, to był przednowek — w takim czasie najłatwiejsza sprzedaż, bo po byle jakie ziarnko, jak to mówią:

gęsta bywa ręka. I koło naszego handlarza wnet kupka ludzi stanęła; ten chce ćwiarteczki, ten dwóch — i piekarz zajrzał na próg i spytał o cenę — ale nasz handlarz dzisiaj trzyma się strasznie ze zbożem, bo powiada: że zboże dochędożone i czyste jak szkło. Już się nawet zgodził był jaki taki i nadstawiają worki, a on im mierzy — aż tu pare głosów ozwało się:

— Hej panie gospodarzu, gospodarczyku! wyście ręczyli, że zboże czyste i my wam dajem co chciecie, a oto widać żeście nas oszukali, bo zboże nieczyste. Musicie nam coś z targu opuścić.

Jużcić ludzie nie gadaliby, gdyby tak nie było w rzeczy samej; ale handlarz taki przy swoim obstawał że zboże czyste.

— At, bójcie się Boga i nie gadajcie nam tego handlarzu! odpowiedzą ludzie — przecie Bogu dziękować nie ślepi jesteśmy jaki towar — nieczyste bo, dalipan że nieczyste.

Dopieroż handlarz wpadnie w złość i wrzasnął na całe gardło:

— Ja wam mówię, że jeśli to zboże nieczyste, to niech mnie jasny piorun trzaśnie!

Ludziska aże odskoczyli od niego, tak się im jakoś straszno zrobiło i jak mówią, to w tej samej chwili wrona zadarła się przeraźliwie.

Tymczasem zboża i tak ubywa z wora. Do południa wymierzył wszystko, siadł sobie potem na workach, porachował pieniądze i mruknął pod nosem: Dobry targ! I jeszcze poszedł sobie do sklepu po jakiś tam sprawunek, palnął kilka kieliszków *esencyi*, wrócił do woza i zabrał się ku domowi.

Aliści ledwo co wyjechał za miasto, spojrzy ku zachodowi, a tu chmura straszna, czarna niby gradowa nadciąga od Krakowa.

— Kuba, zatnij skarogniadę — rzeknie do parobka — trza pospieszyć, aby nas bieda nie schwyciła w drodze.

Kuba też batem po koniach, a konie dobre, wóz próżny, więc lecą jakby wiatrem. A tymczasem chmura coraz się zbliża, okrutnie się łyska i grzmt coraz mocniej słychać.

— Źle! krzyknie handlarz — widać nie zdążymy przed deszczem; zacinaj co żywo, bo jeszcze do domu opętane pół mili.

Pędzą co koń wyskoczy. Już są w pół góry Głogonowskiej, konie zwolniały, boć spory pagórek — aż tu jedną razą, gdy się już wdrapali na wierzchołek góry, jak sypnie ogniem między oczy parobkowi, i nie rzekł jeszcze: *„a słowo stało się ciałem“* — a tu jak huknie piorun, to aż się cała góra zatrzęsła i konie od strachu stanęły. Parobek ledwo żyw obejrzy się, a gospodarz nie żyje — grom Boży uderzył w niego.

Nie bał ci się on Boga, kiedy patrzył na łzy biednego brata a nie podał mu ręki; i *nie bał się też Boga*, skoro na swoją grzeszną duszę wzywał piorunu z nieba — a to też za to zginął od piorunu.

A możeście ciekawi, co się stało z temi pieniądzmi jego? O jak prawią, to więcej niż ćwierć samych cwancygierów po nim zostało — ale pan Jezus tam wie, gdzie się podziały. Dzieci też jego biedne, bo tylko błogosławieństwo Boskie sprowadza dobytek dobry w rodzinach, a złoto i śrebro kiedy źle nabyte, prędko stopnieje jak ten śnieg na wiosnę.

Ludka z Myślenic.

GNIAZDKO BOCIANIE.

Matka i dziecię.

Dziecię. Oj oj! matulu, cóż to się stało,
Z gniazdka bociana coś wyleciało?
Patrz-no matulu, wszakże to młode,
I któż to zrobił mu taką szkodę?

Matka. Oj źle kochanie, oj złe to znaki!
To straszne wróżby robią te ptaki.
Widzisz tam w górze na jednej nodze
Bocian klekoce swojej niebodze.
A jaki smutny, patrz jak osowiał —
A jaki smutny, jakby owdowiał!
Serce matuchny od żalu pęka,
Ojciec nad smutną matką przyklęka —
Bo widzisz dziecię, w gniazdku dość dziatek,
A żywić wszystkie im niedostatek,

Więc aby wszystkie nie zmarły z głodu,
Trzeba zawczasu, trzeba za młodu,
Choć przyjdzie strasznie matce się smucić,
Jedno dla innych z gniazdka wyrzucić.
O jak tam serce matuchny boli —
Pożal się Boże takiej niedoli!

Dziecię. I cóż to znaczy na naszą mowę,
Czy może jakie nieszczęście nowe?

Matka. Ot między ludźmi taka wieść chodzi,
Że skoro matka na to się zgodzi,
By ród ocalić jednego stratą —
To przyjdzie na lud głodowe lato.
Bo jużci trzeba wielkiej przyczyny,
By matka swoje niszczyła syny!

Dziecię. Matulu! patrzcie — dziecię nie żyje!
O jak wyciągło chudziuchną szyję...

Matka. Cyt... to się w ziemi teraz zagrzebie —
Lecz trzeba prosić Boga na niebie:
By głodne lato od naś odwrócił,
I nas ze swojej łaski nie zrzucił.

J. K. T.

O SYNACH MACIEJA.

Opowiedział Grześ z Mogiły.

I.

Najzasobniejszym i najuczciwszym gospodarzem w Nalesiu, był sobie stary Maciej. Wszyscy go znali i szanowali, bo też łaska boska przysparzała mu dobytku i szczęścia domowego, a a to w nadgrodę za życie spędzone uczciwie. A słusznie należało mu się poszanowanie od wszystkich, bo za młodu darmo chleba nie jadł, a włos jego siwy pamiętał nie jedną dolę i niedolę. Za młodu bywało służył na wojnie pod Kościuszką, co to był wielkim jenerałem polskim, a oblekał się w krakowską sukmanę i w czapeczce z pawiem piórkiem chodził. Bywał więc stary Maciej i na wozie i pod wozem, a jak się wojny skończyły, wrócił na ojcowiznę, ożenił się i gospodarzył że to aż uciecha!

Więc i zagrodę miał najporządniejszą, i komin murowany, i chudobę nielada jaką, a że był człowiekiem oszczędnym, to i gotowizny w skrzyni jak na złe czasy i podatki, dość wiele leżało.

Było to jakoś na początku jesieni; żniwa się już pokończyły, jeno co kapusta i ziemniaki były jeszcze w polu. A że to było już wieczorem a każdemu po pracy wypocząć się należy, toż stary Maciej usiadł sobie ze żoną na ławie przed zagrodą i gawędzili i czekali na syna Staszka, co z miasta miał wrocić. Drugi syn Adam, siedział sobie na kłodzie i łupał szczypy na podpał. Spory już to był wyrostek, a uciecha ojców, bo to i smukły niby sosna i tęgi jako dąbczak, i pierwszy zawsze w szkole, co ją gmina razem z dworem dla dzieci swoich ufundowała. Mieli Maciejowie i trzeciego syna Jonka, ale ten był przy wojsku gdzieś daleko aż w niemieckim kraju.

Toż i teraz zaturbowani siedzieli, choć ładnie było na ziemi i prześlicznie na niebie. Gwiazdek jakby nasiał niby maku w górze — migotały sobie niby oczęta anielskie. Jednej tylko we środku, z długim ogonem, coś źle z oczu patrzyło. Kilka dni świeciła ona już na niebie — a ludzie jak zwykle przepowiadali, czego uchowaj Boże! wojnę lub pomorek.

— Widział ja już takie gwiazdy, a nigdy to na dobre nie wyszło — ozwał się przecie Maciej do żony.

— Hej, hej — ta i psy strasznie wczoraj wyły — zadumała się Małgorzata — byle tylko nie wojna, boby Jonka gdzie na kraj świata zapędzili. A dyć i teraz coś nic a nic nie pisze.

— Nie frasuj się Małgoś, nie frasuj; nie każdego-to tam kułka trafia na wojnie — pocieszał Maciej — mnie co innego markoci.

— A no cóż?

— Bo jakby broń Boże, na wojnę padło, toby nam i Stacha zabrali — bo chłopak jak świeca.

— O mój Boże dyćby tego nie zrobili!

— Coby nie zrobili; *strzeżonego Pan Bóg strzeże* — odpowiedział Maciej a głową pokiwał do tego. Aleby może temu i zaradzić jako.

— A jakże? gadajcie.

— Jak? Owóż miarkuję ja, że Stachowi Bartoszowa Baśka coś do oka wpadła; trza go z nią ożenić to go może i nie wezmą.

— A toście mi z gęby wyjęli — dyć sama myślałam już o tem.

— Chyba tak zrobić — jutro niedziela to i w swaty poszlemy; czem prędzej tem lepiej.

W tem ozwało się trzaskanie bata i Staszek raźno zajechał przed zagrodę.

— Nowiny, nowiny! — wołał jeszcze z woza, potem skoczył i uścisnął ojcom kolana i wydobył pisanie z zanadrza.

— Od Jonka, od Jonka! wołała ucieszona Małgorzata i wszyscy się zabrali co tchu do izby. Zaświecili chyżo kaganek, a że to Stach nauczny był w pisaniu i w czytaniu — zaczął czytać co tam Jonek z wojska pisze. Ale mu jakoś gładko nie szło, bo były tam słowa jakoś z niemiecka przekręcone, co nikt nie mógł ich wyrozumieć.

Koniec końcem przeczytali jakoś do ostatka. A pisał Jonek że się coś na wojnę zabiera, że wnet wymaszerują, na końcu pisał że bardzo drogo, że nie można się wiele z tego pożywić co im płacą i prosił, żeby mu ojciec pieniędzy trochę przysłali.

— Zapomniał już mówić po swojsku — westchnął Maciej i pokiwał głową.

— Ta co tam szkodzi że się trochę po niemiecku nauczy — mówiła Małgorzata.

— Długie włosy krótki rozum, moja Małgoś! dyć on i tamtego się nie nauczy i swoje zapomni. A to wielki grzech, bo będzie jako bydle co po nijakiemu nie umie gadać.

Mówili jeszcze o Jonku, aże Maciej ozwał się do Staszka:

— Słuchajno Stachu! Zabiera się na wojnę a ty chłopak tęgi, toby i ciebie na wojaka zabrać mogli. Nie dał by ja sam rady moją siwą głową całej gospodarce. Uradzilismy więc właśnie, żeby cię ożenić — a żem pomiarkował że ci Basia w oko wpadła, więc z Basią.

Stach aż podskoczył z radości i ucałował ojcom kolana.

— Jutro więc poszlemy w swaty. Bartosz pewnie nie będzie od tego — dokończył Maciej.

A Stachowi jakby miodem koło serca posmarował.

I tak ta jeszcze gadali i radzili aże się i późno zrobiło — toć opatrzywszy gospodarstwo broń Boże od szkody albo złego człowieka, odmówili pacierze, stary Maciej jako miał we zwyczaju odśpiewał sobie oną pieśń sławną „kto się w opiekę podda panu swemu“ i wszyscy spać się ułożyli. Toż i wnet cicho było w gospodzie Maciejowej, jeno co koguty słychać było po wsi.

Długoby to mówić jako się na drugi dzień w Bartoszowej zagrodzie radowali. Po sumie w kościele, jak to zawsze przy niedzieli bywa, posłał Maciej swatów do Bartosza, gdzie ich i ojciec i córka otwartem sercem przyjęli. Więc i zrękowiny i radość wielka — i grajki się znalazły — a z grajkami i Adam Maciejów co miał spryt do tego, na skrzypkach wygrywał. Bo teżto aż serce skakało, było się na Stacha i na Baśkę popatrzeć. On rosły i tęgi — ona najrządniejsza dziewucha we wsi, liczko u niej krew z mlekiem. Urosła i wdzięczna i zdarna, bo też ojcowie Basię jedynaczkę jak źrenicy w oku pilnowali. A tak jakoś oboje przypadli do siebie, tak przylepli sercami, że aż zazdrość brała. Więc tam i pohulali trochę i radowali się serdecznie i starzy i młodzi, że o wojnie nawet zapomnieli.

Aleć to wielka prawda w tem co ludzie mówią: Człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi. Nie raz, nie sto razy inaczej Pan Bóg dopuści jak ludzie uradzą. Owóż i Stachowi tak samo się stało.

Żeby się długo ze ślubem nie zwlekało, dali zaraz w tygodniu na zapowiedzi. Basia szyła sobie wyprawę i Staszka oporządzali czem prędzej, bo już ludzie o rekrucie coś zaczęli nie na żarty przebąkiwać. Aliści ledwie dwie zapowiedzi wyszło, dostał wójt srogi nakaz rekruta do miasta odstawić czemprędzej. Toż się dopiero lament wielki zrobił, bo i Stachowi stawiać się patrzyło. Myślał atoli Maciej że mu Stacha nie wezmą, bo to on stareńki, a Adam dopiero wyrostkiem; miarkował więc w ten sposób żeby się do miasta z rekrutami wybrać, a w urzędzie za synem poprosić, kiedy już odstawić padło.

Daremno Małgorzata szlochała, daremno Basia zawodziła że się aż serce krajało, pożegnał się Stach ze wszystkimi i ruszył w dobrej myśli z Maciejem i innymi do miasta.

Co się zaś w mieście stało, to mi i mówić żal bierze. Daremnie się Maciej wstawiał i prosił za synem. Potrzeba była wielka, toż i Stacha na wojaka wzięli i na drugi dzień zaraz gdzieś w świat popędzili.

— Bądźcie mi zdrowi ojcze, pozdrówcie tam wszystkich, a Basię mi chowajcie. Pan Bóg da że się wrócę, to się pobierzemy — mówił Stach jak już iść wypadło.

A Maciej tylko go przeżegnał, bo mu żal mowę odbierał, a łzy choć staremu wojakowi niby groch z oczów kapały.

II.

Smutno Maciejom i Basi przechodziła zima. Czy to jaka muzyka, czy zabawa, czy wesele, to Basia ani słyszeć nie chciała. A Maciejowie jak trzy listy dostali, to potem ani słychu co się dzieje z synami. Tyle mieli uciechy, co poszli do kościoła pomodlić się gorąco do Pana Boga. Czasem jeszcze gawędzili sobie i pocieszali się dobrą nadzieją, czasem słuchali jak Adam na skrzypkach wygrywał bo spryt miał wielki do tego. To też Adam nielada pociechą był dla ojców w tak ciężkiem strapieniu.

Już tam i zima miała się do końca, a tu jak nic tak nic nie słychać z wojny. Aż raz wieczorem gdy Maciejowie w izbie zafrasowani siedzieli, wszedł ksiądz proboszcz i opowiedział strapionym, że się wojna skończyła.

To też uciechy było choć trochę. Zdawało się Maciejom że kiedy wojna skończona, to i synowie wrócą i lada dzień ich wyglądali. Czasem sobie myśleli a może ta i który nie żyje? Ale ufali w Bogu, że może przecie obydwóch przy życiu utrzymał.

A tymczasem i wiosna zaczęła zaglądać na ziemię. I słoneczko wyżej się posunęło i śnieg zaczął tajeć i drzewa już w pączki rozpąkały, tak jak bywa na wiosnę.

Wszystko się zabierało do wesołości i do radowania, tylko Maciejowie nie bardzo byli weseli, bo ni to pisma ni wiadomości

jakiej — jeno Basia smutna chodziła, nic ją nie radowało, ani wiosna, ani pączki, ani słonko jaśniejsze.

Już też i ptaszkowie zlatywać się poczęli. Bociany ciągnęły sobie na stare gniazda i jaskółki zaczęły świergotać i skowronki śpiewały już chwałę Niebieskiemu Panu — a tu o synach nic a nic nie słychać.

Basia smutna a smutna była ciągle — aż żal brał patrzeć na nią. Coś jej bardzo, bardzo było przykro. Dnia jednego coś weselej się zrobiło w zagrodzie Macieja. To sroki na płocie siadały — to kot się mył na przypiecku i Małgorzacie coś się wesołego śniło — a nie darmo to wszystko, bo jakoś pod wieczór zaszedł ktoś do chaty. Toż wnet krzyk się zrobił radośny i uciechy było dużo, bo to Jonek wrócił z wojska.

Ale dziwnie wyglądał to ten Jonek, iście niby strach w prosie. Fajczysko porcelanowe z jakiemś ta malowaniem po wierzchu w zębach jeno trzymał, a czapczysko wytarte na lewem uchu z fantazyą zawiesił i głowę darł do góry niby osieł w trawie. I dziwo się stało bo Jonek coś tak mówił paskudnie, że aż uszy bolały — co dwa słowa po swojemu, to dwa znowu po jakiemuś gorzej żyda szwargotał.

— A cóżeś ty już mówić zapomniał? — zawołał Maciej.

— Ej bo oni nie rozumią, ja śprechuje *dajć!* odpowiedział Jonek.

A Małgorzata aż go poznać nie mogła, a Adamowi aż włosy na głowie stanęły.

— Miły Boże! tobym wolał nie widzieć syna na oczy, niż żeby się wstydził mówić jak uczciwi ludzie — turbował się Maciej.

— Ej bo głupstwo oni mówią — odfuknął Jonek.

— Ruszaj sobie kiedy nie umiesz mówić z nami! — zawołał Maciej bo go już złość zebrała.

— To mi recht, pójdę szukać kamratów do austeryi — odrzekł Jonek i brał się do wyjścia, aż wtem wbiegła do izby Baśka zadyszana.

— Jak się masz Jonku, a gdzie Staszek? — zapytała co tchu. —

— O wa! gdzie tam Staszek! — zawołał Jonek.

— A gdzież? — pytała Małgorzata.

— A gdzież? — pytała Basia przestraszona.

— Dostał halt kulką w łeb i fertyk — odpowiedział Jonek i wyszedł.

Basia chwyciła się za głowę, krzyknęła straszliwie i upadła jak nieżywa na ziemię. Małgorzata zaczęła zawodzić okropnie, a Macieja, choć starego wojaka, mało ta nowina z nóg nie powaliła. Jął się jednak ocucać Basię, ale co tam z tego choć ją ocucił. Basi znać się coś w głowie pomieszało, bo zaczęła gadać i śpiewać od rzeczy i wyleciała z izby.

A że to w złej doli zawsze ludzie do pocieszania się znajdą, więc też wnet i ksiądz proboszcz przyszedł i mówił, żeby się zdali na wolę Boską a nie rozpaczali. Cóż kiedy więcej było nieszczęścia niż onej pociechy. Niedość że jednego na wojnie zabili — drugi co przyszedł z wojska ladaco był, jeno pić a dokazywać że aż zgroza bierze; a Basi niebodze coś się w głowie pomieszało. Wzięlici ją to prawda do dworu żeby uleczyć — ale to ponoś na taką słabość i lekarstwa niema.

Toż i tego niedość było Maciejom! chciał ich znać Pan Bóg srodze doświadczyć, jak często ludzi cnotliwych doświadcza.

III.

Co się Małgorzata napłakała nad łajdactwem Jonka, co się Maciej nasmucił — to tylko jednemu Panu Bogu wiadomo. Cała wieś znała tylko Jonka jako leniwca, urwisza i opoja jakich mało. On tam i ojcom z komory różne rzeczy wynosić umiał i ze żydem potrafił szachrować, bo cały Boży dzień jeno w karczmie siedział.

Maciej jak był miękkiego serca, tak go chciał nieraz na cztery wiatry od siebie odegnać, zaprzeć się go przed całym światem, ale się to zawsze jakoś na niczem skończyło — bo by mu od ojca chyba droga była prosto na szubienicę.

Nieraz bywało spoił się jak bydlę, że drzwi przed nim w zagrodzie zamykali; nad ranem z karczmy wychodził — a często i tam gdzie zanocował. A jak go i z karczmy wygonią, to bywało bodaj w rowie się przespi.

Była za zagrodą Macieja szopa nie wielka po nieboszczce babce. Tam to przed laty babka trzymała sobie krowinę. Toż po jej śmierci, chociaż ledwo że już stała, zostawili ją na pamiątkę, bo zresztą i na siano przydatna jeszcze była. Do tej to szopy łaził Jonek często na noc, jak jeszcze na nogach mógł się dobrze trzymać.

Owoż jednego razu szedł Jonek polami i spotyka Basię. A Basia chodziła sobie często polami i łąkami, nikomu nic nie mówiła, jeno śpiewała a śpiewała najróżniejsze rzeczy. Owóż i teraz szła sobie miedzą, w ręce miała dużo bławatów i wiła wianki i to na głowę to na ręce kładła, a śpiewała do wianków i mówiła do nich i śmiała się — ot jak zwykle *nawiedzona.*

Siedzieli tam pastuchy i przypatrywali się jej tylko, ale Jonek, co to chciał zawsze mądrzejszym być od innych, zaczął się z niej naśmiewać i wygadywać różne rzeczy. Cosi mu tam w sumieniu mówiło: Janku nie naśmiewaj się, to wielki grzech śmiać się z nieszczęścia bliźniego, ale on ta nie dbał wiele na to.

Basia jakby nie słyszała wiła sobie wianki i śpiewała dalej.

— Basiu, kiedy pójdziesz za Staszka? — naśmiewał się z niebogi.

— Moja mądra, dajże mi gęby! — Ale Basia nic na to nie odpowiedziała. On też ośmielony przyskoczył i pocałował ją w gębę.

Basia stanęła, popatrzyła się łagodnie na niego, podniosła rękę do góry i rzekła:

— Janku, Janku! gotujesz sobie i ojcom nieszczęście.

Odleciał Jonek na kilka kroków jakby go raziło — spuścił oczy na dół bo nie mógł się na nią patrzeć dłużej — obrócił i poszedł, ale w ustach brzęczały mu ciągle te słowa: Janku, Janku, gotujesz sobie i ojcom nieszczęście! I sumienie cosi mu wciąż gadało, a gadało. Ale co tam za jego sumienie! on chciał być mądrzejszym jak sumienie, zaczął się śmiać sam ze siebie i poszedł prosto do karczmy na ten swój frasunek.

Jak Jonek pił w karczmie, to ta nic ciekawego. Bo to człowiekowi aż na płacz się zbiera, kiedy widzi, jak drugi bydlę z siebie robi i leje jak w dziurawy worek. A Jonek lał w siebie półkwaterek za półkwaterkiem na zapicie sumienia.

I było ci tam kilku parobkow w karczmie, co wypili po kieliszku i radzili o swojej doli i niedoli. Ale tam Jonek osobno a owi osobno, bo nikt się z takim ladaco wdawać nie chciał. Jeno Jonek co to po kilku półkwaterkach nabierał odwagi, szukał czasem zaczepki. Owa i teraz ozwał się do arendarza:

— *Jud*, daj-no mi *śnapsu*, jeno lepszego jak tym chamom.

— A cóżeś ty to godniejszego od nas, hultaju! łajdacka duszo! ozwał się jeden z parobków.

— Nie stulisz pyska! wrzasnął Jonek i skoczył na nogi, choć go już nosić nie chciały i choć mu się dusza aż w piętę gdzieś schowała.

— Wyrzućmy tego łajdaka! ozwali się parobcy i jak się wezmą do niego duchem, jak go nie wysadzą za drzwi i za wrota od sieni, tak się miłemu Jonkowi i pięstuków sporo oberwało i nie zadługo leżał na brzuchu jak żaba rozkraczony, w pośrodku gnojówki, co przed karczmą stała. Ale cóż ta, taki człowiek to równie jak bydlę, nawet nie wie że jest człowiekiem; napluj takiemu w oczy, to powie że deszcz pada — uderz go w gębę, to się jeno obliźnie.

Toż i Jonek wygramolił się z gnojówki, mruknął jeno, poprawił ognia we fajce i ruszył się gdzieś przespać; szedł a kiwał się na wszystkie strony niby żyd na szabas. Zaszedł przecież jakoś do szopy po nieboszczce babce, zwalił się na siano, jeno chrapnął dwa razy i zasnął jak zabity.

Aż strach bierze opowiadać co się dalej stało.

Od fajki co Jonek wyjął z gęby, zaczęło się palić siano i nie wyszło ani dwa pacierze, jak cała szopa i zagroda w ogniu już stała. Gwałt się wielki zrobił po wsi, ale nim ta z wodą przylecieli, to już nie było wiele co ratować. Dobrze jeno co Maciej ze żoną i Adamem cało się dostali. Nikt nie wiedział gdzie jest Jonek; patrzą, szukają, aż oto wyleciał z płomieni co szopę roznosiły — osmolony, poparzony straszliwie, skoczył parę kroków i upadł; a niezadługo i grzeszna dusza z Janka wyleciała.

Cała chudoba spaliła się Maciejom, wszystko aż do odrobiny; jeno co trochę gratów z izby wyratowali. Dużo żalu i przestrachu było między ludźmi.

Bartosz przyjął pogorzelców do siebie, ale Maciej na drugi dzień rozniemógł się strasznie, a choć ta i doktora i leki z dworu przysełali, nic to nie pomogło. Nie wyszło i tygodnia, a starego Macieja nie było na tym świecie.

Owóż więc sama Małgorzata się została a przy niej Adam. I jej już było więcej do tamtego jak do tego świata, ale to jedno dziecko ją trzymało. A że ta jeszcze gruntu się dosyć zostało, dawali sobie radę jak mogli.

Basia mieszkała razem z nimi, a spokojna była i zawsze sobie jednako śpiewała i bawiła się jak dziecko. Najlepiej lubiała kiedy jej Adam zaczął na skrzypkach wygrywać jakie smutne nuty.

Lecz owóż Pan Bóg litościwy przecież wszystko przy końcu na dobre wykieruje. Usłyszał raz ksiądz proboszcz jak Adam na skrzypkach wygrywał; bardzo mu się spodobało, toż zawołał Adama do siebie i kazał staremu organiście uczyć go na organach. Adam że sprytny, miarkował sobie grę bardzo prędko i nie długo wyszło, a tak grał jak sam organista.

Tak tam coś ze cztery lata minęło. Organista bo już bardzo stary poszedł na chleb łaskawy do dworu, a ksiądz proboszcz wziął sobie Adama, chłopaka już pod wąsem, na organistę do kościoła. Co to uciechy było dla Małgorzaty, to i mówić nie potrzeba — a i ludzie się cieszyli, bo kochali Adama i życzyli mu dobrze, jako uczciwemu i mądremu chłopcu.

Aliści pierwszy dzień jak Adam organistą został, znalazł kościelny jakiegoś trupa na cmętarzu. Była to ładna Basia nieżywa. Zasnęła sobie z kwiatkami w rękach, a Pan Bóg przyjął jej duszyczkę do swojej chwały niebieskiej. Smutno było bardzo Adamowi, to też kiedy trumnę z Basią do kościoła przywieźli, jak zaczął grać a przygrywać żałośnie, to się wszyscy ludzie, a dużo ich było, aże rozpłakali. I klękli i zmówili Ojcze nasz i Zdrowaś Marya, za Macieja, synów jego i za Basię niebogę.

POGADANKA WIEJSKA.

Mój tatusiu, zapytał się Walek ojca, mój tatusiu, Antek zpod wiatraka wybiera się na targ do miasta, a kobieta jego tak krzyczy, tak labiedzi, że się aż po wsi rozlega, bo powiada, że Antek źle robi, co tak często wymyśla sobie do miasta interesa. Powiedźcie mi tatusiu, czy to prawda?

— Bardzo źle robi, moje dziecko, odrzekł stary ojciec wzdychając, bo i grosz szasta i czas mitręży:

A kiedy w domu
Nie ma siedzieć komu,
Wiatr w izbie tańcuje,
Bo człek nie panuje.

Przytem w miasteczku moje dziecko o bałamuctwo nie trudno; dla tego starzy gospodarze ułożyli na to taką rozgadkę:

A na tarczku,
Lub jarmarczku
Hulaj dusza,
Kto się rusza!
I jak stanie kum przy kumie,
To wnet ostro, jak kto umie:
Mój kumeczku, moje serce,
Ot! wypijmy po kwaterce;
Dobra twoja,
Dobra moja,
I tu kapka, tam kruszynka,
Aż wieczorem nogi młynka.
Więc w powrocie dół, czy góra,
Tylko miga pełna fura!
Batem konie! dalej z drogi!
Niech tam bydlę łamie nogi!
I wśród krzyku, kiwań głów
Sypie wszystkich z wozem w rów.
Na dzień drugi klin na klina:
To nie moja kumo wina...
Więc częstuje,
I na nowo jarmarkuje.

Rozum w świat ucieka ptakiem,
Ład domowy idzie rakiem,
Dziatki skwierczą, żona stęka,
Aż też wreszcie bieda znęka;
Bo kto często jarmarkuje,
To już w domu nie panuje.

Więc tego moje dziecko nie zapomnij, dołożył ojciec i zawsze te słowa miej w pamięci.

— Dobrze mój tatusiu, dobrze, odrzekł Walek, skrobiąc się w głowę; to zeszłego tygodnia widać, że na was matusia o to samo krzyczeli, bo tyla było termedyi, że...

— No dobrze, dobrze, przerwał stary, trochę się rumieniąc, ale równie ty nie wypuść tego z głowy, com ci tu rzekł.

— Dobrze, tatusiu, dobrze, odrzekł Walek i poskakując, ruszył ku oborze powtarzając:

Bo na tarczku,
Lub jarmarczku...

z Cz. N.

RÓŻNOŚCI.

Dwa pożary. Przed trzema tygodniami zgorzała cerkiew w *Dolinie* w obwodzie Stanisławowskim. Ogień był tak gwałtowny, że nic nie można było uratować; więc obrazy święte, sprzęty i księgi kościelne, wszystko to się spaliło. Jedna dzwonica jakimś cudem co się nie zajęła i ocalała. Tam też urządziła gmina tymczasowo kaplicę, zanim nową cerkiew wybudują. — Drugi pożar jeszcze straszniejszy, był w tydzień potem w *Horodłowicach* w Żółkiewskiem. U gospodarza Andrucha O... najsamprzód się zajęło. Wypadli ludzie na ratunek, ale nadaremnie. Ogromny wicher powstał i piorunem porozniecał ogień po innych domach. Trzydzieści chałup ze wszystkiemi budynkami i dwie karczem spłonęło do szczętu. Nieszczęście wielkie! niewiadomo czy przez nieostrożność powstał ogień w chałupie u Andrucha, czy też był podłożony ze złości.

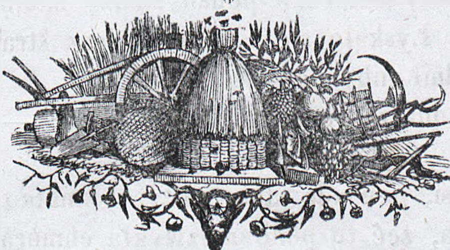
Przypadek na Sanie. W pierwszych dniach Kwietnia wezbrała wielka woda na Sanie. W jednem miejscu nieopodal Przemyśla, chciało się czterech chłopów łódką przewieść na drugą stronę. Już byli na środku rzeki, aż ci naraz czółno się wywróciło i wszyscy powpadali do wody. Trzech od razu poszło na spód i już ci się więcej nie pokazali— czwarty uchwycił się czółna i popłynął het z wodą wzywając o ratunek. Stali ludzie na brzegu, widzieli i słyszeli dobrze głos nieboraka, ale nikt nie odważył się pójść na ratunek, że była bardzo wielka woda. Biedaczysko trzymając się łódki, popłynął jeszcze kawał — aż niedaleko *Hurka* za Przemyślem siły go opadły i takoż zginął. Tak to, moi ludzie, życie nasze niepewne; nikt się nie spodzieje, kiedy go śmierć spotka, Dla tego żyjmy tak, jakbyśmy zaraz umierać mieli, iżby nas śmierć nie zastała przy nieczystem sumieniu w grzechu.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II. **Nr. 15.**

21. Maja **1860.**





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ŚWIĘTY JACEK W KOŚCIELCU.

Dawne to już czasy, kiedy żył nasz święty Jacek, dominikan z Krakowa. Będzie temu dobrze ze 600 lat. Czynił on siła dobrego ludziom i niejeden cud sławny stał się za jego przyczyną. Między innemi rozpowiadają taką rzecz: — Jest nieopodal Krakowa za Wisłą wieś, co się nazywa Kościelec. — Otóż w tej wsi razu jednego cieszyli się ludzie, żeć im Pan Jezus pięknie w polu zarodził. Już dawno nie zapamiętali takich urodzajów. A było to jakoś w sobotę: żytko już dojrzało jeno go brać pod sierpy, pszenica także na dojrzewaniu — więc chłopy składają wozy, wyprzątują miejsca na sterty; baby znowu i dziewki ostrzą sobie sierpy, bo z niedzieli miały się już na prawdę zacząć żniwa. Nazajutrz jeszcze wszystko dobrze: pogoda śliczna i zda się że potrwa długo. Cała wieś w świątecznych sukniach wysypała się do kościółka na niedzielne nabożeństwo. Ażci tu prawie pod koniec sumy zdało się ludziom, jakoby gdzieś zdala zagrzmiało. Wychodzą z kościoła i spozierają po niebie, czy to na prawdę był grzmot, czy tylko tak im się wydało. Oj taki na prawdę — od południa srogie chmurzysko idzie, a wprost

na kościeleckie łany. W powietrzu parno aż ciężko piersiom oddychać, na drzewie ani listek się nie ruszy jakby się czegoś zalękły, a jaskółki niziuchno ponad ziemię latając, zapowiadały niedaleką burzę. Łyskało się też raz po raz straszliwie i grzmot coraz bliżej dudnił niby na postrach.

Więc gospodarze ręce załamali i radzą: — Taki na burzę się zanosi!

— A zanosi, powiada stary sołtys i smutno pokiwał głową — ale co gorsza, żeć to pono niezwykła chmura, jeno gradowa.

— Ej sołtysie! wołali drudzy — co powiadacie, uchowaj Boże! niechby się wasze słowo nie sprawdziło.

— Dałby Bóg, rzeknie sołtys — módlmy się, może Pan Jezus odwróci od nas to nieszczęście.

Kobiety też sobie; stoją one przed chałupami i patrzą kędy chmura idzie, a jak się załyska, to się żegnają: „a słowo stało się ciałem“ — i ciężko z piersi wzdychają. A dzieci znowu przed grzmotem krzycząc, kryją się po za swoje matki.

Tak było przed burzą. Aż i ponad samą wieś nadciągnęła chmura i stało się ciemno jakoby w nocy. Jezus Marja! co się tam wtedy nie działo! — Odgadł sołtys że była gradowa chmura. Zajęła ci ona wszystkie pola kościeleckie i dopiero jak sypnie gradem, tak było już i po żniwach. A gdy minęło i wypogodziło się na dworze, ludziska powychodziły z chałup, żebyć się przypatrzyć swemu nieszczęściu. I oto, gdzie stało zboże na łanie, tam już po niem ani śladu, jeno wszędy leżą kupy białego gradu i tyle wszystkiego. Oj byłoż tam płaczu srogiego co aże strach powiedzieć! Matki z wielkiego żalu rwały sobie włosy na głowie, a drugie znowu tuliły małą dziatwę do siebie, wykrzykując raz po raz: — Oj mojesz ty biedactwo, moje! oj będziesz musiało z głodu umierać!... Ojcowie zaś patrzący na to, stali w milczeniu, jakoby ich ktoś w kamienie zaczarował.

I kiedy tak wszyscy pozwieszali głowy nad onem nieszczęściem, stary sołtys spojrzał jakoś ku Wiśle. Na drodze co wiodła od promu do wsi, szedł sobie sporym krokiem księżyna, widać ze stroju że dominikan. Poznał ci go sołtys bo zawołał:

— Ot i pociecha nasza, gospodarze! ksiądz Jacek zawitał z Krakowa.

Na te słowa wszyscy zwrócili się duchem ku onej stronie i jak zobaczą księdza, takci zaraz jakoś i żalu im się umniejszyło. Znali wszyscy księdza Jacka, a nie tylko w Kościelcu, ale i wszędy po wsiach okolicznych. Wychodził on często z Krakowa pomiędzy lud wiejski i zawsze tam zawitał, gdzie była największa potrzeba, jako prawdziwy Anioł z nieba. Nieraz to się nie mogli ludzie dość nadziwować, od kogo wiedział ksiądz Jacek, że w tej wsi leży biedna wdowa bardzo chora, a dziatwa jej mrzy z głodu i gdyby nie jego rychła pomoc, toby i kobiecisko zmarło i z dziećmi Bóg wie, coby się było stało.— To znowu w jednej wsi był gospodarz straszne ladaco; nie dbał o nic chociaż miał babę dobrą za żonę i z nią kilkoro dzieci. Co dnia dopuszczał się Boskiej obrazy: żonę bił, dzieci do złego nawodził, a gospodarz z niego był najgorszy. I oto kiedy już było tak źle, że tuj tuj co się wszystko nie rozpadło, ksiądz Jacek zawitał naraz z Krakowa, grzesznika nawrócił do Boga i jakoś tak pobłogosławił, że i gospodarstwo się podźwigło i w domu odtąd święty był spokój. — A niechno Wisła wyleje na wiosnę, to ksiądz Jacek już wie najlepiej, w której stronie woda najwięcej poczyniła szkody i niesie tam pomoc. A jak pogorzał który, pewno tam zaraz na drugi dzień, a często jeszcze tego samego dnia miał księdza Jacka z pociechą u siebie. I tak we wszystkiem i wszędzie do koła Krakowa ksiądz Jacek dominikan jawił się jak ten Anioł z pociechą i błogosławieństwem. Toć go też ludzie het po wsiach znali i bardzo kochali.

Otóż i wtedy gromada kościelecka mocno się uradowała, że ksiądz Jacek do nich przybywa. Wybiegli naprzeciw niego jako te dzieci do miłego ojca, a on ich wita: — Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus — ale nie pyta: jak się mają, bo już wiedział o całem nieszczęściu i właśnie dla tego przeprawił się był do nich przez Wisłę. — Idzież przodem ksiądz Jacek, wedle niego stary sołtys a tuż za nimi cała gromada, i tak zaszli aż na miejsce, gdzie tyle szkody ludziom sprawiła burza. Patrzą co ksiądz pocznie — a on zaraz upadł na kolana, wzniósł obie ręce i oczy ku niebu i począł na głos się modlić. A stary sołtys i cała gromada padli też na kolana i powtarzali święte słowa modlitwy. Potem ksiądz Jacek wstał z ziemi, wyjął cudowny krzyżyk co

go zawsze nosił na piersiach i wstąpił na pierwszy zagon z kraju a ludziom nie kazał wstawać, jeno żeby klęczeli a modlili się. Aż tu patrzą: cud! zagonem kędy poszedł Święty, wstaje zboże piękne, piękniejsze jeszcze niż było przed burzą. Więc co się tam działo natenczas kościeleckim ludziom — któżby nie odgadł?... a tu ksiądz Jacek wciąż chodzi z krzyżem po zagonach, a za nim wciąż cudne zboże wstaje — aż przeszedł od końca do końca: i całe pole porosło zbożem i był znowu piękny urodzaj, a jeszcze piękniejszy niż przed burzą...

Dopieroż to dziękowała gromada za ten cud księdzu Jackowi. Ale on rzekł: — Nie mnie, ale Panu Bogu wszechmocnemu dziękujcie, boć to On sprawił ten cud, jeno przezemnie sługę swego. —

I pożegnał ich i już samym wieczorem przeprawił się Wisłą do Krakowa.

KONIK ZWIERZYNIECKI.*)

Skończyła się procesja u Panny Marji,
— Dokąd ten lud tłumnie spieszy po tej procesji?...

Jedzie włoczek zwierzyniecki w tatarskim turbanie:
— Hola z drogi mospanowie, hola piękne panie!

Hola z drogi, bo buławą w wszystkie strony miota,
Tego palnie a tamtego napędzi do błota.

Już ten tryumf pięć stuleci Kraków dochowuje,
Jak w oktawę od Zwierzyńca konik wyskakuje.

Bo też temu pięć stuleci z okładem minęło,
Jak tatarstwo dzikie, sprośne, na Kraków ściągnęło.

A ściągnęło z pozawiśla, od węgierskiej strony,
Właśnie kiedy procesyją lud był zabawiony.

Hoła włoczki tęgie chłopy, długo nie czekali,
Jak do wioseł się rzucili, hordę odżegnali.

---

*) Zwierzyniec, tak się nazywa jedno przedmieście w naszym Krakowie.

Jeden ubił psa ich wodza, a zwlókłszy ubranie,
Na sam rynek wjechał konno w tatarskim turbanie.

Wszyscy Bogu dziękowali, włoczków uwielbiali, —
Dziś każdemu wspomnieć miło, co przed laty było.

Anna Krakowianka.

BARTEK POŁATAJKO,

czyli:

Jak Srul Piffyłpyf robił po śmierci testament — a dla Mendla Kluga był ztąd za życia wielki lament.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

Z czapką na bakier, z sękatą laską w ręku i sporem zawiniątkiem na plecach, szumno, buńczuczno i zamaszysto sunie gościńcem Bartek Połatajko a tak ogniście gwiżdże i przyśpiewuje, że jak to mówią aż kamienie pryskają z drogi.

I na bok z nosem, kiedy idzie Bartek Połatajko! boć aż strach zbiera, tak wygląda jurno i zawadyacko.

Alić jak i djabeł nie taki straszny jak go malują, tak i nasz Bartek nie taki zawalidroga, jakby się zdawało z miny i czupryny; owszem, jak mówią ludzie: poczciwe to człeczysko, a choć niejednemu łatkę przyczepi, toć nie można mu tego brać za złe, bo już takie jego rzemiosło.

Bartek jest sobie szewcem wędrownym, łata biedę jak może, a dziury jak umie, i wesoło, swobodno, z całym warsztatem na plecach, włóczy się ze wsi do wsi, a gdzie się pokaże, to już ratunku nie ma, tak się walą i tłoczą do niego ludziska.

Boć nie ma co mówić: Bartek Połatajko majster nad majstrami. Furda że duchem złata but, choćby był dziurawy jak stare rzeszoto, ale Bartek także od ucha rzępoli na skrzypcach, że choćbyś się przykuł do ziemi, to nogi same podrygują jakbyć kto szpilkami kłuł w pięty.

A do tego jak wam zacznie bajdurzyć, przypowiadać, przyśpiewywać, to tylko gębę rozdziawiaj a pilnuj się, abyś uszy nie pogubił. Choćbyś z frasunku nos zwiesił na kwintę, to ci

go pocieszny Bartek wyprostuje prędzej jeszcze, niż wykrzywiony zapiętek, a choćby ci troski gęstemi zmarszczkami osiadły na czoło, to je rozpędzi i wygładzi czoło, jakby skórę nabił na kopyto.

Śród śmiechu i gwaru obłatał całą wieś sąsiednią, a teraz wali wprost do Niklewic, niosąc spory pęk nowych podeszew i przyszczypek.

Było to jeszcze bardzo do dnia, słońce ledwo zeszło na niebie, Bartek przyspiesza kroku, boć to już pod nosem niklewicka karczma, a jej arendarz Mendel Klug ma zawsze dobrą wódkę i pszenne kugle przewyborne. Bartek bez śniadania wyszedł w drogę przed wschodem słońca i radby się już pokrzepić uczciwie.

Za kilka chwil dopadł nareszcie karczmy i z trzaskiem wszedł do szynkowni.

Stanął w progu i patrzy, a w karczmie krzyk i lament — istna Sodoma i Gomora.

Mendel jak opętany biega po szynkowni, rwie brodę i pejse, zawraca oczy, zgrzyta zębami, jęczy w niebogłosy: *ach waj! i oches mir!* Ani uważał nawet, że Bartek wszedł do szynkowni, tylko ciągle płacze i lamentuje, a za nim jeszcze głośniej zawodzi Mendlowa.

— Cóż to się stało? — myśli sobie Bartek — Hej Mendlu — zawołał głośno — co to wam takiego?

Ale Mendel tylko głową kiwnął, zęby zacisnął i znowu jęknął: *ach waj! oches mir!*

— No Mendlu, gadajcie co macie za frasunek — może ja wam co poradzę.

Żyd znowu jęknął ciężko i ręką machnął, ale nagle wypatrzył się na Bartka, rozdziawił gębę i wyłupił oczy, jakby mu jakaś myśl szczęśliwa zwolna przychodziła do głowy.

Aż też nagle uderzył się po czole, na łokieć podskoczył w górę i kłapnął jak w tańcu patynkami.

— *Aj waj* Bartku! — zawołał prędko — to pan Bóg ciebie tu nadniósł, ty mię musisz poratować w tem *grojse, grojse* nieszczęściu.

— I cóż to wam się przytrafiło? — pyta Bartek.

Ale żyd co tchu poskoczył do szynkwasu, nalał największy kieliszek z najlepszej flaszki i obces niesie do Bartka.

— *Ny* Bartku *lubuniu*, ja was *duże* kocham — prawi — wy mnie *musieć* poratować panie majster.

— Owa — myśli sobie Bartek — coś źle koło żyda.

— Bartku, *lubuniu*, *majsterku*, *aj waj*, ja mam wielkie nieszczęście — woła żyd dalej i nowy Bartoszowi nalewa kieliszek — napijcie się majstruniu, ja wam coś *będę powiedzieć.*

I chwyta Bartka wpół i sadza go na ławę i pcha mu w rękę najbielszego kugla szabasowego.

— *Przikąszcie* sobie majstruniu — ja *tege* nie będę rachować, bo ja was zawsze *buł duże*, *duże* kochał, ja do was mam zaufanie jak do *rodzonego* brata.

Bartek Połatajko wypił drugi kieliszek wódki i pchając w gębę spory kawał kugla, pyta ciekawy:

— No gadajcież, co wam takiego?

Żyd pokiwał głową i potargał się za brodę:

— *Aj waj* majstruniu — powiada — wielkie mam nieszczęście. Ja wam *będę powiedzieć* wszystko, bo wy mnie wyratujecie z *tege kalamancyi.* Widzieliście sami: przy mnie mieszkał mój teść Srul, ja jemu *dogadzował* we wszystkiem, bo wiecie *wón* ma jeszcze drugiego *zęcia*, a tylko *jednego murowanego kamienica* na Podgórzu, *wodże wón obiecował* mnie zapisować *całego kamienica*, a drugiemu *zęciowi* Szmulowi, co jest wielki *lajdak*, *a ganew*, *a szwarze jur*, nie miał już dać ani pół *szelung.* Ja jego *dożyrał,* ja jemu dawał *wszystkiege* i ciągle ja jemu gadał: Srulu! róbcie testament. A *wón* zawsze: *ny*, *ny*, jeszcze czas do *tego*, ja jeszcze nie będę zadzierać nogów. *Ny* ja się tym kontentował, *ny* i proszę ja was majstruniu, powiedzcie sami co *wón* mi zrobił, *wón* tej nocy umarł nagle, *wón* nie zrobił testament, *wón* nie zapisował mi *całego kamienica.*

— Ha, no — rzekł Bartek — to się musicie podzielić kamienicą z szwagrem Szmulem.

Ale Mendel na to poskoczył w górę, jakby go kto świdrem załaskotał w pięty.

— Co, połowy *kamienica?* — wrzasnął jak opętany — ani małego *kawałek* ja jemu nie dam temu *lajdak*, temu *ganew!* Żebyście wy mnie tylko panie majster chcieli *dopomożyć*, *ny* toby wszystko *buło* dobrze!

— A cóż ja wam mogę pomódz — rzekł Bartek.

A żyd go oboma rękami chwycił w pół i zawołał prędko:

— Słuchajcie majstruniu, jak wy *mi będziecie dopomożyć*, *ny* to ja wam powiadam, nie będziecie tego żałować. Ja was będę zalecać do wszystkich żydów w Dembicy, ja was będę *prowadzić* do samego rabina, a wy wszystkim będziecie łatać *trzewików i patynków.*

— O i skóry im wyłatam, jak o to chodzi — przerwał Bartek wesoło.

— Będziecie łatać, będziecie łatać, ja wam powiadam — zapewniał żyd co żywo — ale musicie mi *dopomożyć.*

— Ale jak dopomódz?

— *Ny* już ja wam powiem jak, na to już moja *gluf.*

I przysunąwszy się do niego, szeptał przebiegły żyd dalej:

— Słuchajcie, nikt jeszcze nie wie że Srul umarł; ja będę *powiedzieć*, że *wón* tylko chory, bardzo chory. Wy się będziecie położyć w jego łóżku, wy będziecie stękać tak: *aj waj*, *oches mir*, a ja będę biegnąć do wójta, do przysiężnych, ja będę *przyprowadzić* pisarza, a wy pokrzykrywacie się *piržyną* i wy będziecie niby Srul umierać, i niby *wón* będziecie robić testament. Powiecie, że Szmul to wielki *lajdak*, wielki *ganew*, że *wón* waszą krew jadł, że *wón* wam *polamał* zdrowie i wy jemu nie zapisujecie ani *zlamanego* szelong, a cały kamienic to ma być dla mnie, Mendla Klug... *Ny* napijcie się wódki, wy macie *glimboki* rozum, wy mnie zrozumiecie.

Ale Bartek zerwał się jak oparzony.

— Czyś się znudził żydzie, ja mam udawać umierającego Srula! — zawołał.

— *Ny* Bartku, Bartku, jaki wy raptusowaty — uspakajał go żyd — co wam to szkodzi, że wy będziecie umierać tak niby *wón.* Was to nie będzie ani grajcar kosztować, a ja wam dam jeszcze parę sorokowców i będę was prowadzić do rabina i wy jemu będziecie łatać *trzewików i patynków* szabasowych.

I nuż dalej prosić, błagać, zaklinać Bartka, nuż mu obiecywać złote góry, ba! już mu nawet nie mówił inaczej tylko panie majstrze, a gdyby się był Bartek jeszcze trochę targował, byłby go pewnie zrobił cechmistrzem.

Bartek się dziwnie jakoś uśmiecha i coś niedobrego patrzy mu z oczu, ale koniec końców przystał nareszcie na prośbę żyda.

Mendel mało ze skóry nie wyskoczył, z radości poleciał co tchu do alkierza, wywlókł nieżywego starego Srula z łóżka i schował go do komory, a Bartka Połatajka wpakował na łóżko, poobwijał biedaka całego w poduszki i pierzynę, tak, że mu nie było widać tylko oczy i kawał pejsa i brody, które mu przyprawił, uciąwszy nożycami Srulowi.

Bartek z przywiązanym pejsem i brodą wyciągnął się jak mógł najwygodniej w łóżku i zaczął udawać nieboszczyka, że Mendlowi aż serce skakało z radości.

— *Ny*, *ny*, dobrze panie majster, ja teraz będę *biegnąć* po wójta, świadków i pisarza.

I jak szalony poleciał na wieś i narobił ogromnego hałasu, że jego teść umiera i chce robić testament.

Nie minęło pół godziny, a już przybyli do karczmy: wójt, przysiężni i pisarz w bobrowej czapce i siarczystej po kostki kapocie. Żyd najprzód wszystkich traktuje najlepszą wódką i najbielszemi kuglami, a pisarzowi wściubił nawet banknot do ręki, aby dobrze pisał testament. Bartek tymczasem pod pierzynami w alkierzu stęka i jęczy, że by się kamień poruszył.

— *Aj waj!* — woła Mendel i oboma rękami chwycił się za głowę — mój biedny Srul jak *wón* jęczy strasznie, aż mi się niedobrze robi w kiszkach. Idźcie panie wójcie, niech wam gada tastament, a ja *het wucieknę* z domu, bo ja *duże* miękkiego serca. Tylko proszę was, nie *rozkrzywajcie* tam starego, bo *wón* nie może *sapać wiater*.

I wybiegł w samej rzeczy na dwór, a żonę postawił przy szynkwasie.

Wójt tymczasem z przysiężnymi i pisarzem weszli do alkierza. Poobwijany w żydowskie pierzyny Bartek, jęczał a ję-

czał aż uszy rozdzierało, a nic nie było widać z całej jego osoby, tylko kawał nosa i ten pejs przysztukowany.

— No, jak się tam macie Srulu — ozwał się wójt po ludzku.

— *Aj ww... wwaj... ach... ch... ches mirrr* — skomlił udany pod pierzynami Srul — ja duże, duże chory... ja chcę robić testament... ja *będę umrzeć.*

— Ale co tam gadacie, daleko wam jeszcze do śmierci, — pocieszał go wójt chrześciańskim sposobem. — A jeślić zasie już wam tak pilno robić testament, no to gadajcie wreszcie co chcecie, a pisarz tam wszystko zapisze, a my jako świadkowie potwierdzimy.

Udany Srul znowu okrutnie zajęczał i tak się wił i kręcił po łożu, jakby mu kto gorącej smoły lał za skórę.

— *Aj wwwaj* — lamentuje — tyle ludzi człowiek oszachrował na świecie, a śmierci ani rusz oszachrować!

— Co też gadacie Srulu — upominał go wójt poważnie — zaczynajcie lepiej robić testament.

— Ny, macie *recht* — odpowiedział cienkim głosem Bartek — piszcie ja wam *będzie gadać.*

Pan pisarz furknął piórem po papierze — a udany Srul dyktował:

— Moje obydwa *şeci*, to wielkie szachraje. Szmul wart *osşimnaście,* a Mendel *dwadşieści* bez *dwa*, ja ani jednemu ani drugiemu nic nie będę *şapisować.* Ja mam murowany dom na Podgórzu, ale z *tege* im będzie figa i *gudzik!* Ten szewc Bartek, co go *nazowają* Połatajko, *wón bardzo* dobry człowiek, *wón* mi za durno latał *patynków*, ja jemu przy was świadków *zapisowuje całego* dóm, ze *wszystkiem śmieciów.*

Wójt i przysiężni posłupieli z zadziwienia, a pisarz aż ogromnego żyda zrobił na papierze, tak się zdumiał setnie.

Ale że też wszyscy bardzo lubili wesołego Połatajka, więc radzi byli niezmiernie z tego i bardzo chętnie podpisali testament.

A udany Srul jęcząc i stękając pod pierzynami, odezwał się jeszcze:

— Ale proszę was *moiszcie* wy ludzie, nie *powiadajcie*

niczego Mendlowi, bo *wónby* mi nie dał *wumrzeć* spokojnie. Zanieście testament do *becyrku*, niech się dowie dopiero, kiedy ja *już będzie wumrzeć*.

Przyrzekli mu to wszyscy i prędko wynieśli się z alkierza, bo Srul jęczał tak okrutnie, że aż niemiło było słuchać.

Aliści ledwo weszli do szynkowni, a już przypada Mendel i pyta: a co? a jak?

— Już jest testament — odpowiada wójt.

— A może wón co zapisował Szmulowi? — pyta Mendel dalej.

— Figę mu zapisał — odpowiedział wójt i uśmiechnął się a przysiężny dziwnie jakoś machnął ręką. Mendlowi mało serce nie wyskoczyło z radości.

— A gdzież testament? — zawołał.

— Pójdzie prosto do urzędu — odpowiedział wójt.

— *Ny* dobrze, dobrze — zawołał Mendel spokojny, pewny będąc, że całą kamienicę już ma jak w kieszeni.

Więc też jeszcze na nowo potraktował wszystkich wódką i kuglami, a jak tylko wyszli z karczmy, poskoczył do Bartka i nuż go ściskać na wszystkie strony. Ale Bartek niecnota tylko się uśmiecha i oczyma łypie, a nic nie mówi ani słowa.

Tymczasem Mendlowa pobiegła do komory i na nowo włożyła trupa do łóżka, a potem już oboje zaczęli wołać, że Srul jak tylko zrobił testament, tak zaraz zastygł na wieki.

Bartek zabrał swoje manatki i rzekł do Mendla:

— Żeby się nie wydało, że to ja udawał nieboszczyka, więc ani godzinę nie zabawię dłużej, ale pójdę żeby mię tu nikt ani widział.

Żyd jeszcze go uściskał serdecznie i flaszkę najlepszej wódki i cały tuzin kuglów i kilka paczek tytoniu wepchał mu do torby i pożegnał go najczulszemi słowy. A nie pamiętał niecnota na nasze dawne, uczciwe przysłowie: *„kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada.* On kopał dołek pod swym szwagrem Szmulem, a tymczasem ani się domyślił, jakiego sam sobie nawarzył bigosu.

Bartek czmychnął z karczmy szczęśliwie, a za kilka dni Mendel i Szmul musieli stawić się w *becyrku*, gdzie im prze-

łożony odczytał testament nieboszczyka Srula. W pierwszej chwili jakby piorun uderzył w obydwu, tak się przerazili na razie. Ale pierwszy opamiętał się Mendel, poznając jakiego figla wystrychnął mu Bartek. Poskoczył jak oparzony i zaczął wrzeszczeć w niebogłosy, trzęsąc się jak we febrze:

— Wielmożny panie forsteher! — to fałszywy testament, to *grojse* wielkie szachrajstwo! to ten rozbójnik Bartek Połatajko mi takiego narobił *klopot* i kalamancyi.

I zaraz bez ogródki wyjawił wszystko co do kropli. I dostał się też z deszczu pod rynwę. Przyznawał się sam, że aby sobie przywłaszczyć całą kamienicę, chciał oszukać sąd i swego szwagra Szmula. Więc też zaraz za to przyznanie się powędrował do kozy a potem do kryminału.

Bartkowi nic się nie stało, bo tłumaczył się, że kiedy żyd chciał go nakłonić do oszukaństwa, on umyślnie tak robił testament, aby się wykryło wszystko.

Biedny Mendel nie dostał jak tylko pół kamienicy, miał kosztów i zmartwienia co nie miara. Zatoż w kozie mógł sobie dobrze spamiętać przypowieść chrześcijańską: ***kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada.***

Ciekawy Wojtuś.

Szkło.

„Starość nie radość“ powiadają — siła dobrego co bywało za młodu, na starość się psuje. Takci i nasz rymarz Walenty, że to już człek nie dzisiejszy, na oczy był kiepski i nie dowidział dobrze. A był ci on w Bractwie rożańcowem i śpiewał z książki litanie i antyfony do Matki Boskiej. Dawniej to mu to szło bardzo łatwo, a nieraz bywało i przez plecy sąsiada wyczytał wszystko i wyśpiewał. Ale teraz to już nie mógł inaczej śpiewać z książki, chyba jak włożył okulary na nos.

Owóż Wojtuś strasznie był ciekawy, na co też to są szkła takie. Jak więc raz Walenty wyszli do miasta, a okulary na

stole zostawili, tak mój Wojtuś skoczył chyżo, porwał okulary i wsadził sobie na nos. Nie chciały mu się one trzymać, bo to przecie daleko jeszcze Wojtusiowi do takiego nosa, jaki miał Walenty; przytrzymał więc sobie szkła ręką i patrzy. Aż się przeląkł jakie mu się wszystko ogromne wydało. Jak więc tak sobie chodzi po izbie i przypatruje się wszystkiemu, wrócił niespodzianie ojciec do domu.

— Aha, złapałem cię, już znowu masz coś nowego — zawołał Walenty wchodząc do izby.

— To nic tatuniu, jenom trochę patrzał przez okulary — odpowiedział Wojtuś i z bojaźnią położył owe szkła na miejscu.

Walenty. No i cóżeś widział?

Wojtuś. Oj, toż mi się to takie ogromne wszystko widziało. Mój tatusiu, a to z czego te okulary?

Walenty. Jużeś ciekawy! A z czegóż by były jak nie ze szkła.

Wojtuś. Mój tatusiu, a z czegóż to szkło robią?

Walenty. Oho, jak widzę, to się już dzisiaj ciebie nie pozbędę. Chodźże chłopcze i siądź sobie koło mnie, to ci powiem, z czego się szkło robi.

Jak sobie więc usiedli, tak stary rymarz nałożył sobie fajkę i zaczął opowiadać ciekawemu Wojtusiowi:

Walenty. Owoż trza ci wiedzieć, że szkło robią *z piasku i z popiołu.* Dodają też trochę saletry i arszeniku, co go przecie znasz że jest straszna trucizna, i jeszcze innych rzeczy, a to wedle tego, jakie szkło ma być, lepsze czy gorsze. Jużci piasek musi być czysty jak się patrzy, a i popiół bez węgli. Miesza się to wszystko w ogromnej donicy i pali się pod nią setnie przez dwie doby. Jak się więc wszystko jak wosk stopi, bierze człowiek w tem nauczny długą piszczałkę, zamacza ją jednym końcem w donicy, aż mu się trochę z owego ciasta nabierze. Wtedy dmucha powoli i robi mu się ogromna, długa bania. Dopiero po tej bani zimnem żelazem pojedzie, aż mu ona pęknie z jednej strony. Wtedy kładzie ją do pieca, w którym nieprzymierzając tak jak na chleb napalono. Owóż w tym piecu rozchodzi się to do równa i robią się takie szyby jak tu w oknie widzisz.

Są do tego osobne fabryki, co się nazywają: *huty szklanne*, a ludzie co szkło robią, nazywają się: *hutniki*. A takie tam gorąco po tych hutach jak w piekle.

Wojtuś. A jakże to flaszeczki robią? a czasem są zielone, a czasem białe? albo i okulary?

Walenty. Ho, ho, powoli, powoli! — flaszeczki tak samo robią; jeno wtedy hutnik zwolna sobie dmucha w piszczałkę, a taki już w tem sprytny że jak chce, tak mu się uda, ani mniejsze ani większe. To szkło, co go po prostu z piasku, z popiołu i z trochą saletry robią, jest zawsze zielone. Kiedy zaś hutnik zechce żeby było białe, to miesza jeszcze do donicy kilka przygarści saletry więcej i także arszeniku jak to już rzekłem, a takie mu się potem zrobi jak najczystsza woda. Do okularów to już potrzeba większego majstra. Tam już musi być wyszlifowane równiutko, a tak zdarnie jako ziarnko soczewiczy, bo od tego wszystko zależy.

Mój Wojtusiu, wielkie to jest dobrodziejstwo, że nam Pan Bóg pozwolił nauczyć się szkło robić. Bo to widzisz, nic nie ma ładniejszego, jak czyściutka flaszka z wodą, cobyś przejrzał przez nią wszystko i szklanka do tego z uszkiem. Jakoś widzi człowiek co pije. A jak się da Bóg zestarzejesz i będziesz taki jak ja, to dopiero poznasz co to znaczą okulary!... Jak się to miło robi staremu, kiedy może dobrze czytać z książki i widzi zgoła wszystko przez szkło, gdy już same oczy nie statkują. A znowu nieraz widziałem, jakeś ty zaglądał do lusterka. Owóż widzisz, żeby nie było szkła, toby i nie było lusterka. A to przecież dobrze, kiedy człowiek czasem może spojrzeć jak też po sobie wygląda. To też i nie ma podłej chałupinki, gdzieby na ścianie nie było kawalątka lusterka. Teraz to tam o to nie trudno, a dawnemi czasami jak kto miał kawalątko, to myślał, że już cały świat za to kupi. Ale ludzie uczą się coraz lepiej i taniej wszystko robić.

Wojtuś. Mój tatusiu, a kto też to wymyślił szkło robić?

Walenty. Straszneś ciekawy chłopcze, no, ale jeszcze ci powiem.

Dawnemi, bardzo dawnemi czasy, jeszcze nim nasz Pan Jezus się narodził, mieszkał ci nad morzem koło żydów jeden

naród, co to prawie sami kupcy byli. Jeździli więc ci kupcowie do różnych krajów i wozili na okrętach przeróżne rzeczy. A jak czasem przyjechali na jaką pustynię, co to ani człeka ani chaty żadnej nie było, tak sobie sami w polu jeść gotowali.

Raz przyjechali na jeden brzeg, co był jeno sam piasek a piasek. Co tu robić? Ha, rada w radę, jeść im się chciało setnie, trzeba jeść gotować. Znieśli więc trochę drzewa co było na okręcie, układli i rozpalili. Przynieśli i garnki, a mieli ten zwyczaj spierać garnki na kamieniach, coby się prędzej zagotowało. Szukają choćby okruszyny kamienia, a tu ani w ząb. Nie było inszej rady, tylko przynieśli parę bryłek saletry z okrętu, co ją właśnie wieźli na sprzedarz do innych krajów. I wzięli tej saletry, podstawili pod garnki i gotują. Niedługo było czekać, bo ci też i zawrzało. Toż się ta utraktowali jak tylko mogli na takiej pustyni i zabierali się dalej w drogę. Aż ci jeden z nich, co był kuchtą, bierze garnki, patrzy, a tu saletra tak się błyska do słońca aże w oczy raziło. Nie było to co innego, tylko szkło co się go trochę utopiło, bo był i popiół z drzewa i piasek i saletra. Ale owi kupcy nie wiedzieli nic o szkle, bo go nikt wtedy jeszcze nie znał. Jak się więc zaczęli przypatrywać i brać na rozum, tak i przyszli na to, że się to takie świecące umyślnie da zrobić. Zaczęli więc dudrać wedle tego i zrobili *szkło*.

Wojtuś. A to ładna historja!

Walenty. Ale teraz chłopcze już dosyć. Słyszysz że dzwonią na niespory, to mnie trza iść do kościoła. A ty tu siedź cicho i dobrze się sprawuj, póki z matką nie wrócimy.

Poszedł Walenty ze żoną do kościoła, a Wojtuś przemyśliwał sobie jeszcze długo o szkle i o owych kupcach co go wynaleźli.

Grześ z Mogiły.

RÓŻNOŚCI.

Nieszczęśliwy ojciec. Na samą Wielkanoc we wsi *Powróżniku* w Sądeckim, smutny wydarzył się wypadek. Oto w tym dniu jeden włościanin miał potrzebę do Krynicy. A był on biednym wdowcem od roku, z dwojgiem dzieci, bo trzecie jeszcze łońskiego lata utonęło mu w rzece. Do Krynicy szła droga przez niewielką rzeczkę *Muszynkę*, która właśnie w tym czasie mocno wezbrała. Aby się dostać na drugą stronę, trza było przechodzić przez wązką kładkę, bo mostu nie było. Idzie tedy on nieszczęśliwy ojciec, zostawiwszy dzieci w domu. Aliści onem zrobiło się tęskno samem, więc pobiegły prostą drogą za ojcem. Już był na środku kładki, aż tu widzi dzieci biegnących za sobą. Niewiadomo tego, czy na nich krzyknął aby nie szły, a dzieci nie usłuchały, czy też im pozwolił przez nieroztropność. Dość że kiedy stanął na drugim brzegu i spojrzał po za siebie, zobaczył właśnie jak dzieciom na wązkiej kładce głowy się pozawracały i gdyby kluski jedno za drugiem potoczyły się w wezbraną rzekę. Strach mu na razie mowę odjął, a kiedy zaczął krzyczeć na gwałt i ludzie się pozbiegali — już było za późno. Wprawdzie wyciągnęlić z wody chłopczynę co był w siódmym roku, ale już nieżywego; dziewuchę zaś starszą, bo już miała ze czternaście lat, dopiero później sama woda na brzeg wyrzuciła. — Nieszczęśliwy ojciec! w jednym roku zmarła mu kobieta i troje dzieci w rzece utonęło.

Dobry pies na złodzieja. Podobno tej zimy jakieś ladaczyszcze zakradło się nocą do jednej porządnej zagrody i począł się do chlewu dobierać, bo wiedział dobrze, że w nim gospodarz chowa wieprza karmnego. Na nieszczęście jego był w tej zagrodzie setny pies a czujny stróż w domu. Duchem też zwąchał panicza i husia na niego. Złodzieisko z nienacka opadnięty, czując tuż za sobą psią mordę, przestraszył się wielce. A stało ci nieopodal na podwórzu drzewo, podobno grusza czy też jabłoń. Skoczył więc umykając przed psem i wydrapał się jak ten kot na drzewo. Pies zrazu szczekał, a potem już przycichł i tylko że się położył pod drzewem, wartując złodzieja aby nie uciekł. To też ile razy się tamten w górze ruszył, pies wyrczy i srogie zębiska pokazuje ku niemu. Krucha rada, trzeba cicho siedzieć i spuścić się na Bożą wolę. I siedział złodziej aż do dnia białego. Rano wychodzi z chałupy gospodarz, a nic nie wie co się tu w nocy działo. Na złodzieju skóra drzy, przytulił się bardziej do gałęzi i kłapie zębami trochę z zimna, trochę z przestrachu jak ten bociek kiedy dzióbem klekocze. A pies jak tylko zmiarkował gospodarza, tak zaraz ruszył się z miejsca i dalejże rwać się do drzewa i naszczekiwać. Przyszedł gospodarz popatrzyć, co to jest że tak pies ujada i ma się wiedzieć zaraz odkrył złodzieja. — A ty co tu robisz na mojem drzewie? zapytał. — Ot proszę was, powiada złodziej — szedłem sobie do domu, a tu ta bestja mię opadła i musiałem wyleść na drzewo. — Jakto? to przez moje podwórze droga ci do domu, złodzieju! a którędyś tu wlazł? — Przez płot wasz, dobry człeku; ale nie gniewajcie się bo ja nie złodziej, niech mię Pan Bóg skarze, jeśli prawdy nie gadam — powiada niecnota spuszczając się z drzewa. Gospodarz tego jeno czekał; zaraz go chwycił za kołnierz, narobił krzyku, ludzie wylecieli z chałupy, zbili złodzieja na kwaśne jabłko, a na ostatek związali jak barana i odstawili do sądu, gdzie też swoją karę odebrał.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpodzialny wydawca: **E. Winiarz.**

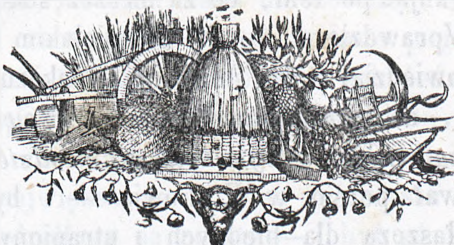
Tom II. **Nr. 16.**

1. Czerwca **1860.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jak się działo w Polsce po śmierci Bolesława Krzywoustego — aż do króla Władysława Łokietka.

Piękną pamięć w narodzie zostawił po sobie nasz rycerski Bolesław Krzywousty. W jednem tylko co chybił i bardzo, że nie przekazał Polskę jednemu, ale ją między czterech synów rozdzielił. Pokazałci on się w tej mierze lepszym ojcem niż królem. I niech mu ta Bóg tego nie pamięta, co przez to Polska wycierpiała. Bo to widzicie, nam trza się było zawsze trzymać kupy, zwłaszcza iżeśmy mieli — jak się już nieraz rzekło — moc wrogów, co jeno dybali na naszą zgubę. Otóż póki byliśmy razem, to i była siła po temu, aby sobie nie dać nikomu w świecie przygrywać na nosie. Ale jak tylko ów Bolesław nieroztropnie podzielił kraj między synów, takci zaraz osłabił nas, żeśmy się potem na długo podźwignąć nie mogli.

Gdybyż jeszcze synowie królewscy kochali się między sobą jak na rodzonych braci przystało, toby jeszcze pół biedy było. Ale to bractwo jak zaczęło się kłócić, a dołki kopać jeden pod drugim, a nareszcie jak się wzięli za łby ze sobą — tak i zmarnowali ojczyznę. I gdybyć wtedy był wstał ich ojciec a

nasz Bolesław Krzywousty, pewnoby zapłakał nad Polską szczeremi łzami, a umierając drugi raz, jużby więcej nie podzielił był kraju, miarkując po tem, co za nieszczęście z tego podziału wypadło. — Wprawdzie stało się po niejakim czasie, jak był Bolesław przepowiedział przed śmiercią, przekazując Polskę naszą *czterom synom*, a najmłodszemu *Kazimierzowi* nic nie dając: *że kiedyś on nad nimi wszystkimi przewodzić będzie.* Kazimierz też panował potem w Krakowie — i był z niego król niezgorszy, zwłaszcza dla biednych i utrapionych ludzi bardzo łaskawy i sprawiedliwy, za co go też *królem sprawiedliwym* nazwali. Aleć już Polska i pod nim nie była taką sławną jak pierwej; a kiedy umarł, to jeszcze gorsze czasy nastały.

Powiada jedno przysłowie: że *na pochyłe drzewo lada koza skoczy* — takci wtedy i na biedną naszę Polskę, kto nie chciał to bił: więc Niemcy, Czechy, Prusaki i siła innych nieprzyjaciół, jako drapieżne wilki nachodziły kraj nasz zdradziecko, a tu nie było sił żeby się im obronić, bo nie było zgody między książętami. Nie dosyć na tem — w sto i kilkadziesiąt lat potem zerwała się Tatarska dzicz od wschodu i niby szarańcza spadła na naszą ojczyznę. A byli ci Tatarowie naród pogański i wielce srogi, co ani domów nie mieli, ani żadnego gospodarstwa w kraju swoim, jeno sobie dużo bydła chodowali, zwłaszcza koni, bo ich najwięcej potrzebowali, żyjąc z rabunku i łupieży. Z twarzy też obrzydłe były one chłopy Tatarskie, bo to ogorzałe jak cygany, z maleńkiemi oczkami i o płaskich nosach. Najlepszym dla nich przysmakiem było końskie mięso surowe, a zamiast wody popijali sobie kobyle mleko i krew.

Pierwsi co ich doświadczyli, to nasi biedni Rusini. Siła im oni miast i pięknych wsi popalili, mnogo luda pognali w Tatarską niewolę, a kniaziowie Ruscy musieli na klęczkach chodzić przed starszyzną Tatarską i wielkie podatki opłacać. Nakoniec zabrali ich raz ze sobą i kazali się na Polskę prowadzić.

Było to roku pańskiego 1259 — więc już temu sześćset i jeden lat. — Przeprawiwszy się przez Wisłę, poszli najsamprzód Tatarowie na miasto Sędomierz; a że byli w wielkiej przemocy, toć ani myśleć było o jakiej obronie. Oj sądnyż był to dzień, skoro wpadli do miasta. A miasto, jak stoi w starych

księgach napisano, było bardzo piękne, domy i kościoły wielkie i cudne, z białego ciosu stawiane, — i to wszystko Tatarzy obrócili w niwecz, żeć ani śladu nie zostało. Cóż dopiero mówić o ludziach! zaraz przy wzięciu miasta poginęło ich strach jak dużo. A nazajutrz księża odprawili nabożeństwo, odśpiewali mszę świętą i jęli brać komunię: naprzód sami, a potem już lud cały, co jeszcze został przy życiu, z żonami i dziećmi — wszyscy od małego do największego. Potem zaś wyszli z krzyżami, ze świecami i z kadzidłami na miasto — i był płacz wielki i szlochanie. Mężowie płakali żon swoich, matki dziatek, brat brata, a nie było nikogo, ktoby się był ulitował. Więc Tatarowie zagnali ich z miasta na szerokie błonie wzdłuż brzegów Wisły. I siedzieli tam dwa dni na błoniu. Potem jęli Chrześcian mordować, mężów wespół z niewiasty — i nie pozostała z nich żywa dusza.

Tak srodze sprawiwszy się w Sędomierzu, poszli dalej polskim krajem, paląc wszystko po drodze, rabując i mordując. Aż stanęli pod Krakowem. I w Krakowie nie działo się lepiej, bo go także zdobyli i ludu wielką moc nazabijali. Dość że przez kilka miesięcy bawiąc w Polsce, tak ją wyniszczyli, że prawie stała się po nich jakoby jaka puszcza.

Oj dużo nadoświadczał nas Pan Bóg w tych latach nieszczęsnych po śmierci Bolesława Krzywoustego. Aż przecie ulitował się nad nami i po tak długim czasie, bo dopiero w sto siedmdziesiąt i coś lat, zesłał nam króla wielkiego, jako wybawiciela. Nazywał się on *Władysław Łokietek*, a to dla tego tak przezwany, że był bardzo małego wzrostu. Więc ten Łokietek dopiero przy Boskiej pomocy, jak się szczerze zawinął około porządku, tak i postawił naszą biedną Polskę znowu na nogi. I odtąd ci już było nam dobrze, bardzo dobrze... jak to zobaczycie w dalszem opowiadaniu. —

ŚPIEW ŁOBZOWIAN. *)

Hola! z drogi mości panie,
Z drogi do szatana;
Idą z miasta Łobzowianie:
— Danaż moja dana!

Kto nam w oczy stawi zucha,
Lub hardo odpowie,
To mu krzyknijmy do ucha:
Byłeś ty w *Łobzowie?*

Wawel, Wisła, trzy mogiły,
Czarny grunt Łobzowa,
Zawsze będą, zawsze były
Zaszczytem Krakowa.

Cóż w tem złego, niech kto powie,
Że Łobzowian śpiewa:
— Lepszy zagon na Łobzowie
Niż gdzie indziej niwa.

Gdy do miasta człek przed wschodem
Poniesie swe plony,
Sprzeda, kontent to i miodem
Wraca podchmielony.

Lecz w niedzielę, kiedy starzy
W długim siedzą rzędzie,
Wnet się i dzionek przegwarzy
Na miłej gawędzie.

Tu spoczywał, mówią, w cieniu
Król co lubił chłopy **) —
Jeszcze widać na kamieniu
Wyrzezane snopy.

---

*) Łobzów, wieś pod samym Krakowem.

**) Król nasz Kazimierz Wielki.

Prędzej Wisła z Sędomierza
Odwiedzi Bielany,
Niźli imię Kazimierza
Zapomną włościany.

Kto nie gardzi chłopka stanem,
Czci dobrego pana,
Niech wykrzyknie z Łobzowianem:
— Danaż moja, dana!

J. N. J.

POGADANKA STAREGO ROLNIKA.

Poczciwy ludowina w Marusicach tak się nałożył do pogadanek Jana Goździaka, że jak tylko przyszła niedziela, tak każdy, czy młody, czy stary, czy to dziewucha, parobczak, gospodarz, lub gospodyni, szli wszyscy do jego chałupy jakby za jaką powinność.

Otóż kiedy się znowu jednej niedzieli zeszli ludzie do Janka i gaworzyli tu z sobą o różnych nowościach, Janek tak zaczął mówić:

— Kiedy moi ludzie! przy pomocy Boskiej i poczciwego naszego dziedzica, z parobka dworskiego przechodziłem na gospodarza, to nie trzeba wam tego mówić, że pieniądze wtedy idą jak woda. To też co jeno miałem uciułanego grosza, wszystko poszło między ludzi, a na szkapinę musiałem się aże zapożyczyć dwóch dukatów. Nie frasowałem się jednak wiele o to, bo w polu Bóg znaczył urodzaj, więc przy zarobku we dworze pomału dług by się zepchnął, a bez szkapiny trudno się ostać gospodarzowi. Szkapina co ją kupiłem, była klacz gniada, źrebna, robotna i niegarna; a że spodziewałem się z niej przychowku, więc obserwowałem ją niby oka w głowie i moje dzieciaki, chłopiec i dziewucha, to prawie nawpół dzieliły się z nią swojem jedzeniem.

Mimo jednak takiego starunku, Bóg nawiedził mię na niej, bo przy ożrebieniu zdechła, zostawiając jakby na większą załość,

malutką żrebiczkę, takuteńką właśnie jak sama. Ha! moi ludzie, choć szkapina nie ojciec ani matka, ale równie zafrasowałem się — a dzieciaki to myślałem że się pozagubiają. Ale najbardziej nam szło o małą żrebiczkę, bo co tu robić z takim robaczkiem? Więc poszedłem po rozum do głowy i umyśliliśmy sobie z kobietą, żeby ją przysadzać do krowy, a samym obchodzić się bez nabiału. Z razu turbacji dosyć było: z krową kłopotu było co niemiara, ale pomału krowa się nałożyła i jak wracała z pola, to nawet ryczała do żrebicy. I tak rosła, chowała się nam ładnie, wybryzgiwała po podwórzu; a że wszyścyśmy wedle niej chodzili jak koło jakiego dziecka, podtykali: to siana, to owsa, to ziemniaków gotowanych, to chleba kawałek — więc tak do nas nawykła, niby psiaczek jaki i het sobie chodziła za nami po izbie, po chlewach, po podwórzu, że trudno się było ognać od niej — a jakeśmy się jej pochowali, to tak rżała, tak szukała, tak zaglądała do wszystkich dziur i kątów, aż musiała albo mnie, albo kobietę, albo które z dzieci nadybać.

Oj! uciesżne też to było robactwo — przezwaliśmy ją *Sierotką*, a panicz dworski nazwał ją *Wachną*, bo miał kuckę, co się tak nazywała — i jak które z nas zawołało głośno: Sierotka! albo Wachna! to żeby nie wiem gdzie była, aby jeno dosłyszała, zaraz biegła do człowieka, owąchiwała i szukała, czy czego się jej nie da do zjedzenia. I tak było cosik do roku. A że w naszej wsi z pastwiskiem było trocha przyskąpo, więc panicz dworski uprosił swego wuja, że Sierotkę naszą wziął do swojej wsi, co ją miał o cztery mile nad Wisłą, na pastwisko letnie.

Oj! sądnyż też dzień był, kiedy ją przyszło wydawać z chałupy w cudze ręce, i na obcą opiekę — bo to żrebicą opierała się, że ją aż dwóch ciągnęło za postronek, ja pchałem z tyłu, dzieciaki wrzeszczały i ciągnęły ją ku sobie, kobieta ocierała oczy z płaczu i karciła dzieciaki, a ja gniewałem się na żonę, że ich nie pozamykała w izbie i że teraz na próżno tyle robią termedyi. Wreszcie moi ludzie! mnie się żal zrobiło, więc odszedłem od naszej Sierotki, zabrałem dzieciaki, żonę, poszedłem do izby i zamknąłem się w niej, żeby już nie patrzeć, co się ta dalej dziać będzie na podwórzu.

Około południa fornale ze żrebiętami dworskiemi i z naszą Sierotką wyruszyli w drogę. Dzieciaki pilnowały w oknach, bo wedle naszej chałupy droga im wypadała, a i ja choć niby krzątałem się po izbie, to za tem, to za owem, a równie nadsłuchiwałem, bo jeszcze raz chciałem choć aby spojrzeć na moją wychowanicę. Wreszcie zadudniło pod oknami, dzieciaki krzyknęły, kobieta poskoczyła ku nim, a ja rzuciłem okiem ukradkiem ale mi się tylko mignęło, bo chmura kurzu zakryła wszystko. Tak więc zostaliśmy bez naszej Sierotki i długi czas tak nam wszystkim było smutno, tak jakoś pusto, tak nam coś brakowało, że i godziny prawie nie było, żeby się które z nas o Sierotce nie odezwało. — Potem wybierałem się ciągle, żeby żrebiczkę naszą odwiedzić; ale jak to przy gospodarstwie, nigdy nie było czasu, przytem na piechotę droga daleka, więc tak na wybieraniu zeszło całe lato. W zimie znowu zaraz po siewach zasłabłem i leżałem do połowy postu, zanim wydobrzałem. Więc także o odwiedzeniu Sierotki nie można było myśleć. Potem przyszły siewy, a zatem moi ludzie prawie przez pięć kwartałów już Sierotka nasza była na obcym chlebie, a my jej ani razu nie widzeli, jeno zawdy słyszeli od pana i od ludzi, że się ślicznie chowa, że pięknie wyrosła i że pewno jej nie poznamy. Ja na to jeno się uśmiechałem, bo jakby to mogło być, żebym jej miał nie poznać, albo ona mnie po głosie? Więc sprzeczałem się z każdym, a kiedy upierałem się i upierałem przy swojem, wuj panicza rzekł:

— No, kiedy nie wierzysz temu, co ci mówię, to załóż się ze mną.

— Ja nie odchodzę od zakładu, odrzekłem, kłaniając się nisko panu i tym sposobem stanął zakład: że albo mi pan jeszcze rok za darmo przetrzyma Sierotkę u siebie, albo ja mu za ten rok zapłacę. Jednej więc niedzieli pan mnie zabrał ze sobą na bryczkę. Przez całą drogę żartował ze mnie, chwalił talarki co zgarnie do kieszeni za moją przegranę, a ja choć minę nie traciłem, ale równie nie pokoiłem się: bo pięć kwartałów, to czas nie lada jaki, a moja Sierotka zwyczajnie jak bydlątko głupie i jużcić; więc nic dziwnego, choćby mnie i zabaczyła. Jak tylko przyjechaliśmy, zaraz poszedłem na pastwisko

do stadniny, co miała kawał pięknej łąki łatami ogrodzonej. Pan był tuż przy mnie, a pokazując ręką na brykającą stadninę, rzekł:

— No Janku, poznaj teraz, która twoja żrebica — patrz choćby do wieczora, pozwalam ci na wszystko. Spojrzałem i ani weź: żadna sztuka ani się umywała do mojej Wachny. Wszystko było takie dorodne, takie ładne, że to powiadam wam sztuka w sztukę, a było tego cosić ze dwadzieścia. Więc przypatruję się po nogach, po uszach, po łbach, gdzie tam! — bo i ta trochę podana i ta także i owa, ale która moja na pewne choć urznij, a nie wiedziałem. Więc zaczynam się trochę frasować — pan sobie ze mnie pokpiwa, ja się skrobię w głowę, wzdycham, aż wreszcie przyszło mi na myśl, żeby ją zawołać po imieniu. Pan nie sprzeciwiał się temu; stanąłem sobie więc przy samem ogrodzeniu i trzymając kawałek chleba w ręku, zawołałem:

— Sierotka! moja kochana Sierotka! Wachna! Na to wołanie dosyć głośne, kilka sztuk zatrzymało się na środku, a jedna z pomiędzy nich łeb podniosła do góry, uszy ostro nastawiła i jakby czego szukała, albo co przypominała sobie, obracała się dokoła i chrapami wciągała powietrze. Wtedy ja ną chybił trafił, jeszcze raz zawołałem:

— Sierotka! chodź do chleba, Sierotka!

Moi ludzie, po tych słowach jak się klaczka ta, co to stała na środku i oglądała się do koła, nie kopnie ku mnie, jak nie zacznie rżeć, wąchać mnie, lizać ręce, łbem wytrząsać, to ludzie myśleli, że co do niej złego przystąpiło, że aż ze strachem posuwali się od przegrody. Ja jeden tylko zostałem, oddałem jej chleb wszystek, co miałem przy sobie, potem objąłem za szyję, całowałem, głaskałem i jak odchodziłem, to mało że nie przeskoczyła przegrody, co duchem chciała iść za mną. Drugiego dnia moi ludzie, to jenom się pokazał i chrząknął, jużcić Sierotka tuż była przy mnie i tak cosić przez dwa dni nie mogłem się z nią nacieszyć. Ludziska to się temu wszystkiemu wydziwić nie mogli i tak moje bydlątko pokochali, że ją wszyscy inaczej od tego czasu nie nazywali jeno Sierotka a Sierotka — i każdy choćby gębie odjąć, a dzielił się z nią ostatnim kawałkiem chleba.

Kiedy już była w piątym roku życia, podziękowałem panu za wychowanie i wziąłem ją do domu, żeby mi pomagała w gospodarstwie, a że miałem drugą dobrą także szkapę, karego konia, więc robiły z sobą w parze i tak chodziły równo, tak pięknie, że ludzie moich szkapin nachwalić się nie mogli. Zarobku też nie brakło, ale robotę niemi prowadziłem z rozumem: wozu nie przeładowałem, jeno ciężar zawsze był w miarę, szkap nie zgoniłem, nie skatowałem, nakarmiłem, napoiłem, a kiedy się mocno zagrzały w drodze, to na przystanku okryłem derkami, oczyściłem szczotką i zgrzebłem jak wypada; posłałem też pod nie, żeby się miały na czem wyleżeć. Jak zaś przyszła niedziela albo jakie święto, to żeby mi nie wiem co kto dawał, tak żadnej szkapy ze stajenki nie wyprowadziłem. I tak zeszedł jeden, drugi i trzeci rok. Przez ten czas od Sierotki dochowałem się ładnego źrebca; potem przybyła mi źrebiczka i tak mi się jakoś przy pracy i modleniu do Boga wszechmogącego wiodło, że w gospodarstwie wszystkiego się przysparzało, a Sierotkę tośmy wszyscy prawie nie za bydle mieli, jeno niby za jaką przyjaciółkę, albo bliską krewniaczkę. Na ten przykład przyszło się do niej: to zaraz człeka witała rżeniem, oglądała się, wąchała, a jsk czasem z jakiego frasunku człek zabaczył wszystkiego i chodził niby struty, to moje bydlątko póty zachodziło i z tej i z owej strony, póty zaczepiało, póty skubało po odzieniu, aż człek rad nie rad musiał rękę do niej wyciągnąć, ugłaskać, ucałować i zabaczał choć na ten krótki czas tego, co go boli. Oj! jedyna to była szkapina, a nienarowna, a robotna, a niegarna, że na całą okolicę drugiej takiej nie znalazł.

To też każdy mi jej zazdrościł, a w dziesiątym roku, kiedy już w parze chodziła ze swoim synem, tośmy się dosyć nacieszyć nie mogli, że to już własnego chowu mamy bydlątka.

Pamiętam jak dziś, było to na wiosnę, kiedy pierwszy raz Sierotkę razem ze źrebcem po niej wyprowadziłem z pługiem w pole. Mały mój Stasiek, co dziś już o pół głowy wyższy odemnie, jechał na źrebcu; mała Wiktusia, co dziś z jej przyczyny zostałem dziadkiem, siedziała na Sierotce; Walek trzymał się pługa, bo duchem chciał własną ręką pierwszy zapróbować, jak będą z sobą szły w parze, a ja z kobietą szedłem dopiero

za niemi i przez całą drogę jeno o naszych bydląkach gaworzyliśmy z sobą.

Z taką procesyją przejechaliśmy przez wieś i myślałem, że już nie dójdziemy do pola, bo każdy z gospodarzy, co stał przed chałupą, dochodził do nas, trocha pogaworzył, przypatrzył się żrebcowi, poczęstował tabaką, życzył szczęścia Boskiem słowem—więc przestanków była co niemiara. A w polu dopiero z dziećmi co to było termedyi! — bo to żrebiec nienauczny roboty, kręcił się jak przyszło do ciągu, dzieciaki więc dalejże go żałować; a jak śmignąłem biczem, albo Sierotka na syna stuliła uszy i chciała go udrzeć zębami, więc dzieciaki w krzyk i w bek, tak że aż musiałem ich z kobietą odesłać do domu. Niedługo jednak było tej uciechy, bo jesienią przyszedł w nocy zły człowiek i ukradł mi moje szkapiny ze stajni.

Oj! moi ludzie, co na drugi dzień działo się u mnie w chałupie, co było płaczu i wyrzekania, to ani głowa moja, żebym wam to opowiedział. Przez cały dzień chodziliśmy jak nie swoi: ja szukałem, chodziłem Bóg wie nie gdzie, dopytywałem się u wszystkich ludzi—ale wszystko na próżno i szkapiny moje przepadły, jakby kamień w wodzie. Trzeciego dnia dałem na Mszą świętą, wysłuchałem nabożeństwa, wypłakaliśmy się z kobietą i z dzieciakami i jakoś zrobiło się nam raźniej i oboje rzekliśmy: ha! kiedy Bóg tak chciał, niech się dzieje Jego święta wola. I patrzcie moi ludzie! że zaufałem Bogu, Bóg mnie pocieszył; bo kiedy tego dnia po nabożeństwie pokładliśmy się spać i ja jakoś dobrze po północku ocknąłem się, usłyszałem jakby tętnienie, kiedy koń leci galopem. Nadstawiłem głowy, słucham—a tu dudni coraz lepiej i coraz bliżej, aż wreszcie ucichło pod płotem i zarżało. Po tem rżeniu poznałem moją Sierotkę, a choć własnym uszom nie wierzyłem, jak się nie zerwę, jak nie wypadnę z izby — patrzę, a tu moja Sierotka w siodle bez uzdy stoi pod płotem i szuka wrotni, żeby mogła wejść na podwórze.

Szkapsko ogromnie było spędzone, cienkie, wygłodzone, a kiedy podsunąłem jej siana i odkulbaczyłem, przy siodle w mantelzaku skórzanym znalazłem spory worek z samemi rublami, których po przeliczeniu we dworze było 1800 złp. i takowe zostawiłem u dziedzica, a po świecie puściło się gadkę o tem

znaleźnem. Jakoś cosik we trzy tygodnie przyjechał do dworu z pod Płocka z jednej wsi gospodarz, co sobie z pracy i oszczędności uzbierawszy tę trochę grosza, miał kupić osadę, ale mu na popasie w karczmie wyjęli złodzieje trzos z pod głowy i on naraz jeden stracił to, co ciułał przez całe prawie swoje życie. Kiedy dziedzic z różnych papierów, z listów i ze świadectw przekonał się, że istotnie te pieniądze do niego należą i odliczył mu takowe co do grosza, to chłopina z wielkiej radości sam nie wiedział, co miał robić: bo to i płakał i śmiał się i całował mnie i dziedzica po nogach, a za znaleźne dał kobiecie rubla, dzieciakom po złotówce, a mnie dobrą szkapę z pod siebie, co na niej przyjechał, niby za tego żrebca, co mi go ukradli, a którego już nie wynalazłem.

Znowu więc dwoje koni miałem do roboty, a co najważniejsza, moją kochaną Sierotkę, którąśmy za jej poczciwość jeszcze prawie bardziej pokochali.

Ale złych ludzi zawsze jest dosyć na świecie. Owóż i moją Sierotkę drugi raz z pastwiska w biały dzień ukradziono i już nie powróciła do domu. Całe prawie pół roku spodziewaliśmy się, że powróci. Każdej nocy budziłem się i nadsłuchiwałem, czy nie usłyszę tętnienia albo rżenia mojej poczciwej wychowanki; każdego wieczora szykowałem dla niej obrok — ale wszystko napróżno i już nam nie szło w niej o stratę konia do roboty, ale poczciwego bydlęcia, co się z niem prawie można było ugadać jak z człowiekiem, co się wiedziało, że nas zna i kocha jak najlepszy przyjaciel.

I tak zeszedł rok cały blisko. Aż w zimie dziedzic wyprawiał furmanki do Krakowa po różne maszyny i mnie przeznaczył do dozoru. W onem mieście dopiero moi ludzie napatrzyłem się, jak to bez litości katują konie: i chłopi co na targi przyjeżdżają i inni ludzie, co wożą wodę, drzewo i tam inne rzeczy. Bo to szkapiny, Boże odpuść, chude, nędzne, głodne, kości ledwo ze skóry nie przebijają, a ślepe to, a kulawe, a z bokami poobdzieranemi, pokaleczonemi, a tu na wóz nakładą bez miary, każą ciągnąć pod górę takiemu biedactwu, biją po nogach, po łbie, po ślepiach, krzyczą, wrzeszczą — szkapska do ostatniego wyciągają, że aż z pod kopyt iskry się sypią; wreszcie padają

na ziemię i ze zmęczenia i z bicia, potem tylko dychają i jak nieżywe leżą na ziemi. Napatrzyłem ja się tego nieraz, a jakem sobie wspomniał moją Sierotkę, jej poczciwość i przywiązanie do domu i pomyślałem, że tu między temi szkapinami może nie jedna taka poczciwa jak moja Sierotka — to mi prawie do płaczu przychodziło i rzekłszy: oj! ludzie, ludzie bez litości — uciekałem potem do stajni, żeby nie patrzeć na takie okrucieństwo.

Jednego jednak dnia musiałem znowu pójść w tamtą stronę miasta i kiedy od mostu wracam ulicą pod górę i myślę sobie o domu, o dzieciakach i o gospodarstwie, tak że prawie nie widzę nic, co się koło mnie dzieje — patrzę, a tu jedzie pod górę jakiś wóz z dwiema beczkami wody, zaprzężony tylko w jednego konia. Wedle wozu szedł jakiś człek trocha z miejska, trocha z wiejska ubrany i ciągle krzyczał, przeklinał, wywijał batem, a jak szkapina, co były na niej skóra i kości, potknęła się, albo przystanęła, to tak bił biczyskiem i biczem, że aż szerść z niej na ziemię leciała. Mnie już, moi ludzie, brakło cierpliwości, bo dobrze wiedziałem, że szkapsko chce ciągnąć, bo sili się do ostatniego, ale nie ma siły — więc poszedłem ku wozowi i rzekłem:

— Mój człowieku, bydlęciu jeść nie dasz, a chcesz, żeby ciągnęło.

Szkapina na moje odezwanie, jakby wiedziało biedactwo, że ma we mnie obrońcę, obróciło się trocha łbem ku mnie i słabo zarżało jak człowiek nieprzymierzając, kiedy z choroby już bardzo głośno mówić nie może. Woziwoda cosić mi hardo odpowiedział, ale ja na to nie zważałem, bo mi w tem zarżeniu przyszła do myśli Sierotka. Więc poskoczyłem do szkapiny, ale zanim mogłem się jej przejrzeć, woziwoda tak wyciął ją biczyskiem twardem dwa razy po łbie, że biedactwo jeno jękło, zatrzęsło łbem i padło jak nieżywe na kamienie.

I cóż wam więcej powiem — mówił dalej Janek, ocierając oczy — kiedy jeszcze dziś, jak to sobie przypomnę, to oczy nie statkują i duchem łzami zachodzą. Tak moi ludzie! to była moja poczciwa Sierotka, ale taka biedna, taka chuda, tak pokaleczona, że ją tylko poznałem po znaku, co miała od pokąsania wilka i po tem, że na każde odezwanie się moje zarżała, i ile razy

wyrzekłem: Sierotka! tyle razy podniosła łba od ziemi, zastrzygła uszami i spojrzała na mnie. Ludzi jak to w mieście, nazbiegało się dosyć: jedni żałowali, drudzy jeszcze wykpiwali, a ja klęczałem wedle niej, trzymałem łeb na ręku, głaskałem, całowałem, a Sierotka lizała mi ręce i czasem mruczała, jakby na oznakę, że mnie poznała. Przyniosłem jej ze sklepiku owsa i chleba, ale jeno po trochu skubnęła i potem grzebała nogami, przewracała oczami i choć nawpół już była zdechła, do ostatniego jednak tchu znała mój głos.

Jakże więc moi ludzie, czy to nie poczciwe było bydlę? Czy więc należy się tak katować, przeciężać robotą, głodzić konie i mało dbać o nie, jak się to po większej części dzieje między gospodarzami? Pamiętajcie, że i konie Pan Bóg stworzył, jak i inne na ziemi stworzenia; — więc jak dla stworzenia Boskiego, człowiek powinien być dla nich ludzki, cierpliwy, dbały o wygody i starunek wedle nich. —

Choć Janek skończył, ale Bąbała tak się zasłuchał, że het! stał w jednem miejscu, i z gębą otwartą niby wrota od stodoły. Bednarek też zaraz to zauważył, a sztruchnąwszy Modrasa i skazując na Bąbałę, rzekł cichaczem:

— Patrz Józek, widzisz Bąbałę?

Józek spojrzał, uśmiech w sobie zadusił ręką i wyszedł z izby za drugimi.

Jan Kanty Gregorowicz. (z Cz. N.)

Rzecz gospodarska.

Co wróży na pogodę, a co na słotę?

Chcecie wiedzieć czy będzie pogoda, czy słota — to posłuchajcie, jak o tem doświadczeni prawią ludzie:

Jeżeli bydło rogate samo ucieka z pastwiska i po krzakach się kryje, albo jeśli pokazuje zwykłą łakomość do trawy — toć wróży na niepogodę. Wół nie lubi mokrej trawy, chciałby więc coprędrej nachapać suchej paszy, zanim zwilgotnieje od deszczu — a znowu ucieka między krzaki, żeby mu się w uszy woda nie nalała. — Burzę zaś z grzmotami przepowiada bydło

rogate, gdy około południa nozdrza podnosi w górę i chciwie zachwytuje powietrze, lub kiedy skacze i boryka się po pastwisku, a przytem poci się i nogami grzebie ziemię lub rogami ją ryje. — Toż samo owce wróżą na słotę, jeśli zamiast coby się miały paść, dziwne wyprawiają skoki a barany trykają się z sobą.

Masz kotkę w domu, coby ci myszy łowiła i psa, żebyć strzegł od złodzieja. Otóż i one zwierzęta, zwłaszcza podczas wielkiego upału, mogą cię przestrzedz, kiedy burza będzie. Wtedy kotka liże się łapkami i często coś z uszu sobie ściera — a zaś pies tarza się raz po raz po ziemi i rano smutnie wyje. A kiedy ujrzysz, że świnia na podwórzu ze słomskiem się bawi, podrzucając ją ryjakiem tu i owdzie, — bądź pewny deszczu albo i grzmotu. Boć to nie dla igraszki ona tak robi, jeno że ma wtedy krew niespokojną, gdy się na burzę zanosi.

Nietrudnoć o kreta szkodnika — wszędzie go u nas pełno: po ogrodach, w polu i na łąkach. Chcesz się tedy dowiedzieć, jaki czas będzie, toć i na niego uważaj a zobaczysz zaraz, że jak ma być słota, wtedy więcej kretowiny pokazuje się na łąkach i w polu. A wiesz dla czego? bo też i kret ma swój rozum i woli noskiem podnosić suchą ziemię bo lżejsza, niż mokrą co mu cięższą pracę zadaje.

To znowu jeża, jeśli go przydybiesz że się w ziemię zakopał, bądź pewny deszczu. Woli on w ziemi siedzieć, by mu na nos nie kapało.

I zając też, nie na próżno nazwany *szczwanym kotem*, boć i on ma swój spryt naturalny. I tak, uważaj jeno kiedyć zmyka z pola, albo z niekoszonej łąki, gdzie się miękko w trawie wylegał — oj, wtenczas deszcz bliski! Woli on podczas słoty wykopać sobie kotlinkę w szczerym piasku i stulić się w kłąbek że ledwie go dojrzysz, niż żeby mu się włoski jego delikatne w przemokłej trawie kleiły i żeby mu ztąd zimno było.

Za to, skoro przyjdą żniwa a zobaczysz, że niedoperze czyli jak ich tam po swojemu nazywacie: *gacki*, wesoło sobie wieczorem latają, a to ciesz się gospodarzu i zmawiaj więcej robotnika ze sierpem na jutro, bo pewna będzie pogoda. I dla czego? bo trzeba ci wiedzieć, że gacek ma takie delikatne

błony, co mu służą niba za skrzydła, iż niemi lada wilgoć w powietrzu zaraz poczuje i już wtedy nie może tak dobrze latać, jak kiedy jest suche powietrze. To też korzysta z dobrej pory, by sobie pobujać i dużo owadów nałapać na wieczerzę. —

Umieją też i ptaki niezgorzej wróżyć na pogodę i słotę — ale o tem potem.

RÓŻNOŚCI.

Śmierć od piorunu. Niedawno radziłci ja wam szczerze, jak się macie zachować w czasie grzmotu. I powiedziałem: jako niebezpiecznie jest umykać przed burzą, i że lepiej iść sobie zwolna, choćby i przemoknąć do nitki, niż się wystawiać na niebezpieczeństwo. — Otóż i dopiero co w *Żędowicach* w Brzeżańskiem, zabił piorun dziewuchę, a tylko dla tego powiedziałbym, iż się bała przemoknąć i uciekała duchem przed burzą. Była ona z ojcem na polu, gdzie wraz okopywali zagony pod kapustę. Naraz zerwała się burza, deszcz lunął jak z cebra i grzmić poczęło straszliwie. Dziewucha z kopaczką w ręce puściła się ku wsi i pędzi a pędzi, a tu coraz bardziej grzmi — ojciec zaś że to był człek stateczny, szedł sobie noga za nogą i nie przyspieszył kroku, choć mu taki i dobrze za kołnierz się lało. Już już dziewucha dobiegała do wsi, aż tu naraz okrutnie się załyskało i piorun uderzył. A uderzył ci nie w statecznego ojca, co sobie szedł zwolna, jeno w dziewuchę raźną, umykającą ku wsi, i od razu na śmierć ją powalił. Biedny ojciec przywlókł już tylko trupa do chałupy. —

A znowu pod koniec zeszłego miesiąsa w *Czerwieńcu* w obwodzie Żółkiewskim, zapalił piorun chałupę gospodarza Dańka M. i zabił mu kobietę, a także przez nieostrożność. Rozpaliła ona podczas burzy na kuchni i stała przy ogniu, a drzwi od chaty zostawiła otworem. Ztąd też i całe nieszczęście — boć wiadomą jest rzeczą, iż ogień i przeciągi najłatwiej sprowadzają piorun. — Niechże wam to będzie za przestrogę! —

Pies wściekły. We wsi *Czortkowcu* w Kołomyjskiem, wydarzył się temi czasy straszny wypadek. Oto jednemu gospodarzowi wściekł się pies i zaraz też jął się do kąsania innych psów we wsi. Ludziska czy pogłupieli, czy już tak Pan Bóg na nich dopuścił, dosyć że nic temu nie radzili. Aż tu od dziewięciu dni wszystkie psy pokąsane powściekały się i dalejże napadać ludzie, konie i inne bydło, i co im w drogę weszło, wszystko kąsały — zwyczajnie jako wściekłe. Duchem doniesło się to do urzędu — jedną dziewczynę srodze pokąsaną

zaraz wzięli do szpitalu na kurację; aleć Bogu wiadomo czy z niej co będzie. Gospodarzom zaś pozamykano konie, woły i krowy na czas, póki się nie przeświadczą że są zdrowe. Powiadają że tak ze 40 gospodarzy zostało bez bydła — a tu pilne roboty w polu, toć i nie potrzeba gadać, jaką szkodę ponoszą. — Bądźcież ostrożni gospodarze i baczcie pilnie na wasze psy, zwłaszcza teraz, kiedy gorące lato nadchodzi. Skoro tylko jeden z drugim zobaczysz, że ci pies jakiś nie swój, że jest niespokojny, że ma oczy czerwone i patrzy ponuro, że często chwyta pyskiem po powietrzu jakby łowił muchy, że oblizuje różne a najczęściej chłodnawe rzeczy, bierze je w pysk i znowu puszcza, że mu nos albo morda puchnie, a szerść się najeża i widocznie chudnieje, że też często szczeka czy jest potrzeba lub nie, a jakoś dziwnie i brzydko, że z domu ucieka i rwie się do kąsania wszystkiego co napotka — to już wtedy nieboże nie czekaj dłużej, ale chociaż ci serdecznie żal psa dobrego, nic nie pomoże, trzeba się go pozbyć koniecznie, bo inaczej i siebie i tyle innych ludzi gotóweś narazić na śmierć najokropniejszą z wścieklizny.

Podły skąpiec. Opowiadają pociesznąhistorję, która się temi czasy miała stać w niemieckim kraju. Żył tam w jednej wsi gospodarz, o którym wszyscy wiedzieli że był podły skąpiec. Wdowiec po żonie co ją głodem zamożył i bezdzietny, siedział sam jeden jak palec w chałupinie obdartej i na pół rozwalonej. Wszystką rolę wypuścił sąsiadowi za dobry pieniądz, a sam jeno siedział przy swoim skarbie, cieszył się nim i żył jak ostatni żebrak. Aliści dalej dalej, im więcej pieniędzy uskładał, temci większy strach go imał przed złodziejami. Myśli sobie: — A nuż mnie w nocy napadną! a tu ani żywej duszy, ani psa nawet nie mam ku obronie. Jużci o psa nie trudno, możebym go i dostał za darmo, ale psu trzeba dać jeść, ba, właśnie! jeszcze mi tego wydatku potrzeba.

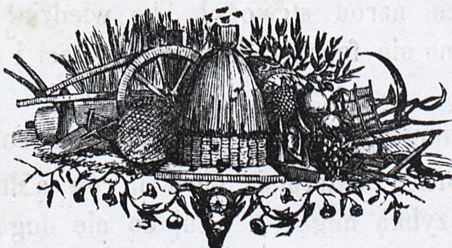
Więc rada w radę co tu robić. I poszedł po rozum do głowy i wreszcie wpadł na taki sposób: zrobił sobie psią budę, postawił ją tuż przy drzwiach do chałupy i każdej nocy tam właził, naszczekując od czasu do czasu niby pies na postrach złodziei. Ale cóż się nie dzieje! oto trzeba wiedzieć że w onym kraju ustanowiony był podatek od psów. Skąpiec na śmierć o tem zapomniał. Aż tu jednego razu przynoszą mu nakaz z urzędu, żeby zapłacił podatek od psa. Gdyby piorun strzelił w skąpca, tak się srodze przestraszył. Napróżno się składał że psa niema, że to on sam do budy właził co nocy i szczekał niby pies, aby złodziejów odstraszyć — nic mu nie pomogło: musiał jak niepyszny zapłacić, bo mu nie chcieli wierzyć. To też zaraz położył się on podły skąpiec do łóżka z tego zmartwienia, i już więcej nie powstał. W parę dni znaleźli go ludzie nieżywego a przy nim spory worek samych srebrnych pieniędzy.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II.  Nr. 17.

11. Czerwca 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Śta KINGA.

Z Węgierskiego kraja do Krakowa przybyłać ona święta królowa — Kunegunda. I zaraz-ci wsławiła się między naszym ludem, wielkim cudem: bo oto kazała kopać w Bochni i Wieliczce i dokopali się ludzie soli ślicznej, co nam ją nasza Pani miła u Boga wyprosiła. — Odtąd wszystek lud cierpiący garnął się do królowej: więc sieroty i ubogie wdowy i stare i różne kaleki, doznawali jej świętej opieki.

Bywało jedzie sobie królowa z Krakowa, a wciąż jeno patrzy w koło siebie, ażali ktoś nie w potrzebie. Aż tu ubogi przy drodze leży, prawie co bez odzieży -- więc nasza Kinga litościwa królewską szatą go okrywa.

To znowu gdy nastała głodna wiosna, królowa litośna póty oka nie zmruży, póki głodnych nie nakarmi, biednym nie posłuży.

Do chorych też często chodziła i nie jednego śmiertelnie słabego cudowną łaską swoją uzdrowiła. — Tak tedy i niedziwota, żeć ta nasza święta królowa, począwszy od Krakowa aż het jak Polska cała, wielką sławę miała i miłość wielką u ludu.

Raz nie było jej w Krakowie — a tu słychać że Tatarowie przez Wisłą się przeprawili i kraj wszystek pustoszyli. Otóż się wielce naród strwożył, bo wiedział jako się Tatar srożył jak nikomu nie folgował: starce, dzieci i niewiasty srodze mordował.

— Hej, komu życie miłe, nie czekaj a co żywo uciekaj! I uciekali przed Tatarami, uciekali równą drogą, a za nimi gonią Tatarzy szybką nogą — i tuj co nie dogonią.

— Hej, już nam pono umierać z zbójeckiej ręki, bo Tatar niedaleki!

Aż tu naraz przed nimi, gdyby wyrosła z ziemi — święta Kinga królowa. I stanęła na przedzie i lud swój przed Tatarami do Węgier powiedzie. A strojna ci była strojna, jako Anieli w bieli, jeno co miała *niebieską przepaskę* i w ręce trzymała *białą laskę*, a na głowie *korona* z drogich kamieni cudnie się Jej od słońca mieni.

— Oj ty nasza królowo, rzeknijże święte słowo, oj bo już Tatar blisko — a toć żeby nam się z przyczyny jego nie stało co złego.

Wtedy królowa święta bierze *przepaskę*, co nią była opięta — i na drogę ją rzuci. A z tej przepaski stała się wielka rzeka, *Dunajec* — i nasi byli za rzeką, a tamci przed rzeką.

Dopieroż się Tatarzy wściekali, żeć im przed nosem głęboka woda, takowa przeszkoda. I zanim się przeprawili, dużo swoich nagubili, a tymczasem nasi już gdzieś daleko za rzeką.

Ale oni na koniu, to ich taki dogonią!

— Oj ty nasza królowo, rzeknijże święte słowo, oj bo już Tatar blisko — a toć żeby nam się z przyczyny jego uie stało co złego.

Tedy Kinga święta *białą laskę* rzuciła, coby Jej w drodze nie wadziła. A z onej laski stałci się gęsty las — i nasi byli za lasem, a tamci przed lasem.

Strach! co się Tatarzy nie naklęli a nie nawyzywali na naszych, i przyrzekli żeć wszystkich na ogniu oswędzą, skoroć ich dopędzą. A nasi tymczasem już gdzieś daleko za lasem.

Ale oni na koniu, toć ich jeszcze dogonią!

— Oj ty nasza królowo, rzeknijże święte słowo, oj bo już Tatar blisko — a toć żeby nam się z przyczyny jego nie stało co złego.

Więc Kinga święta do *korony*, co ją miała na głowie z drogich kamieni, aże się tak cudnie od słońca mieni. I aby lud swój zbawić zdejmie swoją koronę i na ziemię porzuci i ani się za nią nie odwróci. Aż tu z onej korony wyrosły pod same chmury *Tatrzańskie góry* — i nasi byli już za górami, a tamci jeszcze przed górami.

Otóż pierwszego dnia przez one góry drogi szukali, Tatarowie zuchwali. — A drugiego dnia ze złości co się nie wściekli, żeć im nasi uciekli. — A trzeciego dnia po nad Tatry słońce zeszło cudnie: oj, a kędyż to panowie Tatarowie, co ich nie widać?... pomykali na szybkim koniu, ale już naszych nie gonią — pomykali het z polskiej krainy, poganiny!...

Tymczasem wraca z Węgier do Krakowa nasza gromadka zdrowa i on cud zbawienia swego głosi, aże się po całym świecie roznosi.

Oj, a potem jeszcze długo żyła, nasza królowa miła — ale już nie na tronie ani w złotej koronie, jeno w klasztorze na służbie Bożej. I otóż ci ona Pani tak słusznego stanu, z miłości ku Panu, najlichszym sługom posługuje w klasztorze, w wielkiej pokorze. A kiedy śmierć przyszła, wcale Jej straszną nie była iże tak pięknie żyła — a zaś oni, co stali koło niej, wielką natenczas światłość widzieli i jako niebiescy Anieli czynili cudne śpiewanie, umierającej naszej świętej Pani.

O święta Kingo, królowo! Ty coś zbawiła naród polski przed Tatarami — módl się za nami!..

Śpiewka o królu Janie.

Czy to mgła ze stawów taka czarna wstaje,
Czy szarańcza leci w niemieckie zagony,
Czy przepiórcze stado leci z onej strony?
Ani ci to czarna mgła ze stawów wstaje —
Ani to szarańcza leci na zagony —
Ani ci to stadem nie lecą przepiórki, —
Jeno co na koniach czarne pędzą Turki.

Lecą Turki lecą, szable się im świecą,
A co jeno żyje, po norach się kryje,
A gdzie się ostali, to się wszystko pali.

Kuka w czarnym borze żałośna zazula;
Szlą Niemcy pisanie do polskiego króla:
— Hej panie Sobieski! hej ty królu polski!
Przyjdźże w imię Boga, bo nam wielka trwoga,
Turek srodze broi, mało nas nie poje.

Słucha król Jan posły i nasrożył wąsy,
Klasnął tęgo w rękę, woła na wojenkę.

Piszą Niemcy piszą, szlą drugie pisanie:
— Hej ty panie polski! hej ty królu Janie!
Przyjdźże jeno rychło, bo tu wielkie licho,
Toć mam już trzy ćwierci do okrutnej śmierci.

Słucha król Jan posły i nasrożył wąsy,
Zagrał w srebrną trąbkę, na konika siędzie,
Polskich wojowników na wojenkę wiedzie.

Jedzie wojsko jedzie, a król Jan na przedzie;
I wnet przyjechali kędy Turcy stali.
Westchnął król Jan z piersi: — Hej mój Boże miły!
Na ochrzczoną ziemię Turki się zwaliły.
Dodajże mi męztwa z wysokiego nieba,
Bo ich duża siła, to mi go potrzeba. —
Jeno ci to wyrzekł, popatrzy do góry,
Aż tu orzeł biały wyleciał zza chmury.
Skrzydła mu się szkliły i powietrze biły,
Usiadł Sobieskiemu na zbrojnem ramieniu.
— Hejże w imię Boskie, moje hufce polskie!
Uderzmy na wroga, taka wola Boga.
A tu hukły kotły i trąby zagrały,
Aż ci się gdzieś lasy i góry ozwały.

Siedzi wrona siedzi, pokrakuje sobie:
— A co też ja z temi poganami zrobię!
Chyba ja polecę po kruka i kawkę,
A będziemy mieli z Turkami zabawkę.

Jak zielone siano kiej po sianożęci,
Leżą polem Turki, leżą bez pamięci,

Zlatują się kruki i kawki i wrony,
I psi nadciągają od przeróżnej strony.

A we Wiedniu mieście, wielkie kamienice,
Jedzie król Jan, jedzie w szeroką ulicę;
Jedzie król Jan, jedzie na siwku na przedzie,
Czapeczką potrząsa i pokręca wąsa.

Siedzi Niemka w oknie i tak myśli sobie:
— Śliczny ten król polski, a cóż ja też zrobię!
Tak ci mi naczynił swojemi wąsami,
Że mi tylko jechać z tymi Polakami.

Nie frasuj się Niemko bo tak źle nie będzie;
Niech tam każdy siedzi, kędy raz usiędzie.

Jak ci wojownicy Turków zwojowali,
Pięknie się skłonili, do dom pojechali.
Jedzie król Jan jedzie, na siwku na przedzie,
A Bogu na chwałę śpiewa wojsko całe.

Grześ z Mogiły.

NIBY BIEDA, A NIE BIEDA.

Pocieszna przygoda jednego pijaka.

W czas rano wybrałoć się dwóch gospodarzy ze Świdrowic do Mikłuszowa. Przechodząc wedle starego cmętarzyska, gdzie stał od niedawna założony spichlerz gromadzki, zobaczą aż tam coś sporego leży pod samym spichrzem. Ciekawość ich zdjęła, coby to było — zeszli więc z drogi i poczęli się temu z bliska przypatrywać.

— Patrzajcie-no kumie, zawoła jeden, toż to worek leży!

— I widzi mi się nie próżny — dodał drugi.

— Hej — prawi znowu pierwszy — anuż to złodzieje dobrali się nam do spichrza!

— Dobrze powiadacie, może i złodzieje. —

— Mój Boże! taka to pomoc z wartownika. Nie znacie też, na kogo była kolej?

— Zda mi się, na Wawrzka.

— O, to i nie dziwota! u niego pilniejsza warta przy kieliszku. Ale zobaczmy-no, ażali to na prawdę nasze zboże w onym worku — prawi pierwszy chłop i nachylając się, wyciąga ręce aby worek obmacać.

Aliści zaledwo macnął, worek się cały gdyby żywy poruszał i coś w nim zamarkotało takim głosem, jakoby właśnie niedźwiedź. Chłopiska narobiły srogiego gwałtu i dalej w nogi. Nie opodal stało sołtysostwo — tam obaj zestraszeni wpadli i dali znać o wszystkiem sołtysowi. Ten zaraz posłał po przysiężnych; przysiężni znowu skoroć się dowiedzieli o co idzie, roztrąbili duchem po całej wsi i niebawem cała prawie gromada z sołtysem na czele wyruszyła ku spichlerzowi.

Dzień się już był zrobił na piękne i doskonale było widać, jak na prawdę pod spichrzem leżało spore worczysko i że był czemś wypakowany. Skoro się przybliżyli, worek znów się poruszył i znowu coś w nim zamarmotało niedźwiedzim głosem. Gromada przestraszona stanęła opodal. Nikt jakoś nie śmiał przystąpić bliżej. Dopiero kowal, chop okrutny jak dąb i największy zuch w całej gromadzie, pierwszy się na to odważył. Z setną palicą w ręku postąpił naprzód. O parę kroków od worka zatrzymał się i nuże poszturkiwać go kijem. Co szturknie, to worek się poruszy, a każdą razą inaczej: roz przodem, drugi raz tyłem, to na lewo się przegibnie, to na prawo, a zawsze było słychać to samo mruczenie. Już też za nadto było tego kowalowi — więc splunął w garść, zaklął siarczyście i jakci nie wywinie palicą, jakci nie huknie po worku z całej siły, aż ci worek poderwał się na jaki łokieć od ziemi i zakrzyczało w nim ludzkim głosem: gwałtu! — Kowal choć wielki zuch a taki strach go chwycił za pięty i na dobry sążeń odsadził się w tył. Gromada zaś już już co nie czmychnęła do domów. Wtem nadchodzi ksiądz proboszcz, co mu dali znać o tem i zakazał im się rozchodzić.

— Cóż znowu tak strasznego! powiada — wstydźcie się! człowiek przy czystem sumieniu niema się lękać niczego.

Odezwał się kowal: — A proszę Jegomości, jeśli to Bieda co ją nam ktoś niedobry we worku podrzucił? możeby lepiej i nie tykać tego, ale po prostu zataszczyć do stawu i zatopić to licho.

— Gwałtu! zawrzeszcało okrutnie we worku i jeszcze bardziej jęło się ciskać na wszystkie strony.

— Oo, słyszy dobrodziej—rzeknie kowal już nie na żarty przelękły, podczas gdy reszta gromady jako ta trzoda lękliwa, zbiła się w jedną kupę i stała tak nic nie mówiąca od strachu. — Hej, a jak to gwałtuje! a jak się srodze miota! Dobrodzieju, dozwólcie nam zatopić go w stawie.

W worku nie ustawało na chwilę miotanie — zdało się, że tuj tuj co nie puści, a takie było słychać sapanie, jakby naraz przynajmniej z dziesięć kowalskich miechów pracowało. Teraz ksiądz proboszcz się odezwie:

— Oj ludzie, ludzie! dobrze to mówią: *„Ksiądz swoje, a czart swoje.“* Dopókiż to wam będę prawić, że cała *bieda* siedzi w waszem sercu i w waszych niedobrych uczynkach; że każdy człowiek jest sobie sam najstraszniejszą *biedą*, gdy się w grzechu rozpuści; że innej biedy nie masz na świecie, chyba że nazwiemy *biedą naszą* one kary niebieskie, coć je Bóg na ludzi dopuszcza za grzechy, jako to; wodę, ogień, ciężką chorobę i srogiego nieprzyjaciela. Zresztą, dodał żartobliwie, jeśli komu bieda, toć że u niego pusty worek, a ten jak widzę pięknie wypchany — to i chwała Bogu!

Ostatnie powiedzenie proboszcza rozweseliło gromadę — zatem więcej ducha nabrała. Ksiądz zaś już nic nie pyta, jeno śmiało przystępuje do worka i dalej go rozwiązywać. Co widząc kowal, po trzykroć się przeżegnał, splunął w garść i z kijem w ręku postawił się mocno na nogi, jakby się do bójki gotował. Inni dech w sobie zaparli i jeno czekali co to będzie z tego.

Dobrze się umęczył ksiądz proboszcz, zanim rozwiązał. A musiał też i coś śmiesznego pomiarkować w worku, bo się wciąż uśmiechał do siebie. — Skoro jeno rozwiązał, takci mój worek hyc do góry i stanął na równe nogi. Ksiądz proboszcz stał najbliżej i jeszcze się uśmiechał — kowal zawsze jeszcze mocno trzymał palicę bo nie dowierzał, a gromada z drogi rozdziawiwszy gęby, patrzyła choć wypatrzyć oczy.

I poczęło się z worka dobywać i pokazały się naprzód całe bóty, a potem kożuch już nie nowy, aż ci dalej i twarz

ludzka i nareszcie rudy łeb Wawrzka wartownika wysunął się z worka.

Dopieroż to cała gromada w śmiech aże się po całej wsi rozległo. Ksiądz proboszcz już się wtedy nie śmiał, jeno smutnie poglądał na Wawrzka, co teraz stał oniemiały i czerwony jak szczery ogień od wstydu, widząc się w takiem pośmiewisku ludzkiem.

A tu go otoczyli kołem i wołają: — Wawrzek, ta dla Boga, co się z wami stało dziwnego?

Była tam i Wawrzkowa z dzieciakami, co się za nią przywlokły — ale widząc co się stało z jej chłopem i że się tak z niego naśmiewają, rozpłakała się nieboga i duchem nawróciła do chałupy.

Na owe ludzkie śmiechy chciał Wawrzek coś odpowiedzieć i otworzył gębę, ale jakoś mu nie szło. A tu znowu kowal trzyma się za boki, boć go taki śmiech zdjął niezmierny i woła:

— A bodaj cię! a ja was nie chcący obraził, panie Wawrzek! no wybaczcie mi, bo dalipan żem się was nię spodziewał tu znaleść.

Gromada znowu: Cha, cha, cha! — A biedny chłopisko gębą krzywi a krzywi, tak by rad zagadać, a tu ani daj Boże.

Więc jeszcze większa uciecha między ludźmi: — Wawrzek! pokpiwali sobie z nieboraka — co też wam się śniło we worku spiącemu?

— Dosyć już tego! rozkazał ksiądz proboszcz — niegodzi się naśmiewać ze swoich, ale się raczej litować nad nimi. A do Wawrzka: — widzisz człeku! i trza ci było tego wstydu na starość? a sameś sobie winien — wiemci ja, że nie co innego jeno ta wódka bałamutka taką sromotę sprawiła ci przed ludźmi.

Dopiero Wawrzek w płacz, co się aż wszystkim żal zrobiło chłopiska, tak się srodze rozbeczał.

— Bodajżem cię nie zaznał w mojem życiu! zawołał nareszcie, zanosząc się od płaczu — bodaj cię moje oczy nie widziały ta bodaj... że ja dziś na moje lata przez ciebie... tfu! tyla wstydu zaznaję.

— Nie kląłbyś człeku, rzeknie znów proboszcz — boć twojej klątwy co sobie idzie na wiater, gorzałka się nie ulęknie.

Ot lepiej byś zrobił, ślubując raz na zawsze od wódki — a należałoby już tedy przyjść do rozumu.

— Oj Dobrodzieju! na to Wawrzek, schylając się do kolan księdza proboszcza — dziś jeszcze, choćby i zaraz uczynię ślub przed Chrystusem — niech nasze wrogi żłopią wódkę, już ja się jej nie tknę, o dalipan!

— Ale któż u licha, pytał ksiądz proboszcz, zapakował cię do worka?

— Otóż właśnie że nie wiem, mój złoty dobrodzieju! ani krzty nie zapamiętam. Ten psianoga Mendel z murowanki musiał mi koniecznie coś do wódki naczynić, żeć mi się na taki twardy sen zebrało, co nic a nic nie pamiętam. Dopiero ocknąłem się jako tako, kiedyście mnie zaczęli kijem naszturkiwać.

Ksiądz proboszcz pokiwał głową: — A podaj-no mi worek, niechaj mu się przypatrzę.

Aliści zaledwo Wawrzek nachylił się po niego, wykrzyknie:

— Ki tam licho! patrzaj, taże to pański worek!

Poznawali też i drudzy, jako że dworskie worki znaczne były i wszystkim znane, co chodzili na zarobek do dworu. Otóż i zaraz wszystko się wydało. Raz był Wawrzek w nocy, a także na murowance, poswarzył się z dworskimi parobkami, co mu nie chcieli wódki kupić. — To ja was oskarzę do dworu, odgrażał się wtedy Wawrzek — że się po karczmach włóczycie w nocy, choć wam to zakazano. — Parobcy myśleli, że jeno tak sobie żartował, a on taki na prawdę zaraz nazajutrz poszedł i zdał ich przed panem. Owóż ztąd parobcy mieli złość do niego. I dopiero teraz Magda przysiężnego i także kowalówna przypomniały sobie, jako się wczorajszego dnia, kiedy były na pańskiem, parobki zmawiali na kogoś, jeno że nie dosłyszały na kogo. Zawołał Wawrzek:

— Niech im Pan Jezus tego nie pamięta! to już oni napewne dziś mi się odpłacili za moje poskarzenie przed panem. No co prawda, narobili mi wstydu, ale też może i dobrze że się tak stało. Chcieli mi przez złość dokuczyć, a oto Pan Bóg tak zrządził, żeć mi właśnie dopomogli do dobrego, bo mi do reszty obmierzili to nieszczęsne wódczysko. A toć pójdę i za to pięknie się im pokłonię.

Potem już rozeszli się ludzie, każdy w swoją stronę, bo i bez tego czas był do roboty. A Wawrzek poszedł wraz z księdzem proboszczem, jako że mieli jedną drogę do dworu i na probostwo. — Skoroż parobcy dworscy zobaczyli Wawrzka z workiem na plecach, nuże w śmiech:

— O, o Wawrzek z workiem! — powiadają — czyście przyszli zapożyczyć się zboża u dworu?

— Nie, moiściewy — odrzeknie chłop — to nie mój worek, ale pański com go dzisiaj rano na sobie znalazł.

— Aj! podziwują parobki — powiadacie nam dziwne rzeczy, jakto na sobie?

A Wawrzek: — Psotniki! zażartowaliście sobie ze starego — czyż się to godzi?...

— Ależ gospodarzu! wykrzykną oni, niby nie wiedząc o niczem.

— No, no! powiada Wawrzek i pokiwa im palcem — wiemci ja o wszystkiem, wiem a taki nie mam żalu do was ani trochę. Znać tak się Panu Bogu spodobało, abym się przez to opamiętał. Otóż zamiast cobym się miał gniewać na was, jeszcze wam pięknie dziękuję, bo mi ta wasza psota wyszła wcale na dobre. Zarzekłem się już na zawsze gorzałki.

— Albo to prawda! wykrzykną parobki, nie dowierzając własnym uszom.

— Tak mi Panie Boże dopomóż! zaklął się Wawrzek.

I dotrzymał święcie słowa. Zaraz nazajutrz stanął do spowiedzi i uczynił ślub od wódki. I zrobił się z niego na potem taki przykładny gospodarz, że go sobie po dwóch czy po trzech latach gromada Świdrowiecka za sołtysa obrała.

O onej swojej przygodzie z workiem nie zapomniał do samej śmierci. Często kiedy mu się co złego przytrafiło, jak to zwykle przy gospodarstwie i żona lamentowała: Oj biedaż, moja bieda! — tedy ją pocieszał stary Wawrzek:

— *Niby biéda, a nie biéda!* cicho babo! Nie wszystko co się nam tylko nie podoba, jest zaraz naszą biédą. Może to dla naszego dobra tak nas Pan Jezus doświadcza. Ot myślałem ci ja w onym worku siedzący, a potem na pośmiewisko całej naszej gromady stojący, że *biéda;* a pokazało się właśnie że

nie prawda, bo mi to wyszło na szczęście. Toć i teraz sza, cicho babo! a kiedyć ciężko na sercu, to się lepiej pomódl do Pana Jezusa i Jego Matki Przenajświętszej, a zobaczysz że jakoś złe przeminie i nic nam nie zrobi.

Patrzajcież, jakie to godne chłopisko stało się z tego pijaka Wawrzka!

Rzecz gospodarska.

Co wróży na pogodę, a co na słotę?

Ptaszkowie nasi, co to raz wraz żyją na wolnem powietrzu i nie mają ani chałupinek swoich, ani też innego odzienia, prócz tej pierzynki co na sobie — prędzej przeczują każdą najmniejszą zmianę w powietrzu, niżeli człowiek. To też niezawadzi gospodarzowi i ptaszka się popytać, jak ta będzie na dworze: pogoda czy słota?..... Ale że to ptaki gadają po swojemu i nie każdy je zrozumi, przeto wypada pouczyć się od drugich, już doświadczonych w tej mierze. Otóż tak powiadają:

Jeżeli na wiosnę usłyszysz *dudka*, jak swoje up, up, up! wykrzykuje, o! to już na długi czas możesz się spodziewać pogody.

Jesteś w lesie, to słuchaj ażali się często odzywa *turkawka*, boć i to wróży na pogodę.

A jak ci *słowiki* po całych nocach cudnie wyśpiewują, ciesz się, bo już na parę dni przynajmniej nie zaznasz deszczu.

Możesz się także spodziewać stałej pogody, skoro ujrzysz *kruki* w czas rano siedzące na drzewie, jak sobie skrzydła i pióra rozpinają, wywołując raz po raz swoje kru, kru; a zaś w południe, kiedy często dziób rozdziawiają ku słońcu.

Możeście nieraz słyszeli podczas dnia słotnego krzyk *sowy*, to i dziwno wam było, po co ten ptak nocny za dnia się odzywa? Otóż trzeba wiedzieć, że wtedy sowa wróży nam na pogodę. Powiadają ludzie tego świadomi, że sowsko ma taką skórę na sobie, co się jej od wilgoci kurczy. Więc kiedy jest słota, to ona niby chora i dla tego milcząca — a zaś skoro się znaczy

na pogodę, zaraz się zdrowszą uczuje i już nie pyta że to dzień, jeno sobie z wielkiej radości zahuczy kilka razy.

Jaskółki czyli po waszemu *łastówki*, latające wysoko w powietrzu, zapowiadają piękny czas na kilka dni. — Także i *skowronki* śpiewające wysoko po nad ziemią, tak że ich prawie trudno okiem dojrzeć, wróżą o trwałej pogodzie.

Nareszcie i one zbóje na wasze kurki i kaczki, *jastrzębie* pokazują na pogodę, skoro zobaczycie że się wzbijają wysoko w górę.

Przed burzą chowają się ptaki i przestają śpiewać. — Jaskółki wtedy spuszczają się na dół ku ziemi za komarami i muszkami, boć i to maleństwo nie rade zmoknąć od deszczu i dla tego gdzie może to się przytuli: na ścianach, po płotachi po drzewach, a bodaj i na kamyczku jakim siędzie, oczekując piękniejszego czasu. Więc jaskółki głodne za temi muszkami, komarami, co się im przed burzą pochowały, muszą już nisko latać po nad ziemią, aby je upolować.

Nie potrzeba wam gadać, boć to wiadoma rzecz, że jak *koguty* o niezwykłym czasie pieją, pogoda się zmienia.

Kurki na niepogodę zagrzebują się w piasek lub w suchą ziemię, często sobie piórka osmykują dzióbem i chodzą wolno i smutno po podwórku.

Pawie przed deszczem krzyczą aże uszy bolą, a często i w nocy je usłyszysz.

A kiedy *gęsi* karmisz przed chałupą a one ci się pilnie zlatają do jadła, kłócą się o niego i między sobą gryzą, a potem zaś co prędzej lecą do wody — zobaczysz że niebawem pogoda się zmieni i będzie deszcz.

Wieczorem uważaj też na *wrony i kawki:* jeżeli są bardzo niespokojne, gromadzą się w kupy i często pokrakują, to już nazajutrz bądź pewny, że będzie słota a może i burza.

I nasz gajowy: *dzięcioł* głosi na burzę, hałasując bardziej po drzewach, niż zwykle. Jako szczery tatuś dla swojej rodziny, przestrzega ją, aby się miała na ostrożności przed burzą.

Leje deszczysko jak z cebra — smutno ci gospodarzu! robota w polu stoi, albo co gorsza, zboże porznięte gnije na słocie.

I patrzysz rychło temu koniec będzie; tak byś się rad pocieszyć! Aż tu na wierzbie nie opodal chałupy zaświergotał wróblik jeden — niebawem pokazało się ich więcej: nuż tedy w głośną pogadankę ze sobą. I myśli sobie gospodarz patrzący na wróbli: O czem też one psotniki tak głośno szwargoczą między sobą? może hultaje zmawiają się na moje zboże?.... Otóż nieprawda panie gospodarzu, co sobie tak źle myślisz o wróblach — bo nie o tem mowa między niemi. Owszem radować się masz ale nie gniewać na nich, boć wesołą przynoszą wieść że będzie pogoda i dla tego się tak cieszą i tak głośno szwargoczą między sobą. A toć za taką pocieszną wróżbę gospodarzu miły, rzuć im z garstkę pośladu by się też pożywiły — głodne nieboraki.

Prawdy gospodarcze.

(Z elementarza dla chopców wiejskich.)

Pytanie. Kto jest złym gospodarzem?

Odpowiedź. Ten co kościół omija, karczmę ma za dom, dom za łóżko, łóżko za pracę, pracę za dopust Boży, a ręce zawsze w zanadrzu:

Co w święta, w niedziele
Nie bywa w kościele;
Co przy pracy chucha,
Przy jedzeniu dmucha;
Ochotny do szkody,
Jak ryba do wody;
Komu karczma swat,
Każdy hultaj brat.

Pyt. Czy w gospodarce zawsze tylko starego zwyczaju pilnować, czy się też i czego nowego imać godzi?

Odp. Starego się trzymać, kiedy dobre; nowego się imać, kiedy lepsze. Ludzi na świecie przybywa, ale ziemi nie przybywa; więc trzeba do tego bardzo dochodzić i starannie przykła-

dać, żeby ziemia coraz lepiej rodziła i dobytku coraz więcej przybywało.

Pyt. Kiedy oranie jest dobre?

Odp. Kiedy skiby na głębokość, na szerokość i na prostość składają się jak pod miarę:

Wtedy orce rola rada,
Gdy się równe skiby składa.

Pyt. Kiedy radlenie jest dobre?

Odp. Kiedy cała rola raz około razu radłem się poruszy.

Pyt. Kiedy bronowanie jest dobre?

Odp. Kiedy bryły rozbite, a rola spulchniona, czysta, bez chwastu, niby wyplewiona.

Pyt. Czy w każdym czasie można w roli robić?

Odp. W mokrej roli nigdy nie robić ani pługiem, ani radłem, ani broną; dla tego starzy uczą:

Kiedy mokre role,
Nie chodź z pługiem w pole.

RÓŻNOŚCI.

Mazurowie nasi gościną w Krakowie. Właśnie temi dniami do Krakowa przyjechało kilku gospodarzy z jednej wsi aże od Tarnowa. A przyjechali do swojego dziedzica w takiej sprawie: Oto on dziedzic mieszkający w Krakowie nie dla parady, jeno że był słabego zdrowia i potrzebował spokoju, umyślił był sobie sprzedać oną wieś w Tarnowskiem, jako że sam nie mogąc gospodarować, nie wiele miał pożytku — zwłaszcza w tych ciężkich czasach. Skoro się o tem dowiedziała gromada — bo już nawet jakiś kupiec zjechał był tam na oględziny — wzięła radzić między sobą: czyby nie lepiej było, złożyć się i zakupić oną własność pańską na siebie, kiedy już taka wola jego sprzedawać, aniżeli puszczać ją w obce ręce. I uradzili żeby gromada zakupiła na siebie. — I otóż to w tej sprawie przyjechali do pana co najpoważniejsi gospodarze z onej wsi. Niepomału zdziwił się dziedzic, zobaczywszy ich w Krakowie u siebie; a kiedy mu powiedzieli, z jaką prośbą do niego przybyli: że to idzie o kupno własności jego, którą by radzi sami nabyć aby nie przeszła w obce ręce — to sie jeszcze tem bardziej uradował.

— Prosimy wielmożnego pana, powiadają, byście nam nie odmówili. Przecie po starej znajomości nam się pierwszeństwo należy. Targować się z wami nie będziemy — co będą inni kupcy ofiarować, my to samo damy jegomości, byleście tylko łaskawie przystali na wypłatę, bo jużeić na tak wielką sumę od razu niestać naszą gromadę. Zato podejmujemy się dwór i ogród cały zostawić wam na własność abyście też na lato, jak Bóg da zdrowia i będzie pańska wola potemu, mieli gdzie pomieszkać sobie dla swojej wygody.

Otóż i podobno dziedzic przystał. — Gospodarze uradowani poszli zaraz na krakowski zamek, gdzie jezt bardzo piękny kościół i złożyli się na mszę świętą, na podziękowanie panu Bogu. I pięknie im się modliło w onym starodawnym kościele, co go jeszcze nasi polscy królowie fundowali. Po nabożeństwie Mazurowie nasi radzi byli przejść się po onym wielkim kościele i wszystkiemu się doskonale przypatrzyć, aby też mieli co swoim opowiadać jak wrócą z Krakowa. Poprosili tedy kościelnych, aby ich wszędzie oprowadzili i każdą im rzecz świętą wytłómaczyli. I dopiero dowiedzieli się tam, co to za trumna ze szczerego srebra stoi pośrodku kościoła: że to w niej święty Stanisław leży, nasz patron polski. A potem jakci zaczęli chodzić po wszystkich a wszystkich kaplicach do okolusieńka; a kościelni jakci im wzięli prawić: czyja ta kaplica a ta czyja — a jedna piękniejsza od drugiej i że to wszystko zostało po królach polskich — to się naszym Mazurom już nie wiem jak działo. Bo i myślą sobie: — mój ty mocny Boże! co to królów miała nasza Polska! a jacy to byli pobożni panowie i jacy dbali o chwałę Bożą, skoro tyle cudnych pamiątek po sobie zostawili. — A gdy już wszystko zwiedzili co było ciekawego na górze — rzekną kościelni: — Chodźmyż teraz do grobów królewskich, co są pod kościołem. — I zeszli na dół po kamiennych schodach do onych pańskich grobów. I opowiadali im znowu kościelni: gdzie jaki król w trumnie leży, kiedy żył i jak dawno umarł — a gospodarze pilnie słuchali, jeno nie wiem czy sobie wszystko dobrze zapamiętali.

Kiedyś, da Bóg doczekać, w Dzwonku lepiej wam to opowiemy, co się w onym kościele krakowskim na zamku znajduje i jacy Święci i jacy tam królowie leżą. Wiem-ci ja, jako nie każdego z was stać na to, aby się temu na własne oczy przypatrzył — to przynajmniej niechaj się o tem dowie z opowiadania, o czem każdy Polak wiedzieć powinien.

Pożary. Zeszłego miesiąca w *Wojsławicach* w obwodzie Żółkiewskim pogorzał wójt gromadzki Jan J. Z wójtostwa przerzucił się ogień na inne chałupy. Niewiedzieć czy ratunek był zły, albo też wielki wiatr pomagał pożarowi, dość że się dziewięć chałup ze wszystkiem spaliło. Szkodę rachują na 7.186 reńskich. Powiadał wójt, że ogień był podłożony. — W *Zazulu* w obwodzie złoczowskim uderzył piorun w stodołę Iwana Dz.

i zapalił ją. W domu natenczas nie było żywej duszy, wszystko pracowało w polu. To też ogień przerzucił się wnet na oborę a z tamtąd na chałupę. W krótkim czasie spłonęła cała zagroda biednego człeka. — A w *Rabie* w powiecie Jordanowskim spaliła się karczma *Krzyżowa.* Było to późno wieczorem, kiedy się zajęła. W karczmie stały cztery wozy węgierskie: 3 z gipsem, a 1 ze siarką. Wszystko to wraz pogorzało. Szkoda ma być na 3.700 reńskich. Nieszczęścia tego narobił chłopiec jednego z furmanów. Miałci on coś opatrywać około wozu, co był właśnie wyładowany siarką. Otóż zapalił sobie świeczkę, żeby mu widniej było i przylepił ją do onego wozu ze siarką. Od tej świeczki zajęło się płótno a potem i siarka — no to i więcej już nie potrzeba było; piorunem rozszedł się ogień po całej karczmie. O ratunku ani było myśleć. — Ale największy pożar w tym czasie wydarzył się w *Tłumaczu,* gdzie cukier robią. Zaczęło się palić we fabryce; dopiero z tamtąd przerzucił się ogień na przedmieście. Wielką szkodę poniósł ksiądz proboszcz tamtejszy, bo mu się wszystkie budynki gospodarskie popaliły. We fabryce spaliły się dwa budynki — zajął się był i trzeci, aleć go uratowano. W mieście pogorzało szesnaście domów. Zkąd powstał ogień: czy z przypadku czy z podłożenia — jeszcze dotychczas nie wiedzą.

Ciekawe zdarzenie. Jedna niewiasta prała bieliznę nad rzeką, a była wielka woda na rzece. Stojąc na pochyłym brzegu zapewne poślizgnęła jej się noga i biedne kobiecisko wpadło na głowę do wody. A tu na nieszczęście ani żywej duszy na brzegu! Kobieta tonąca pokazała się raz i drugi raz nad wodą, wołając słabym głosem o ratunek. Wtem czuje, żeć ją ktoś porywa za suknie i żwawo płynie z nią do brzegu. Ratunek był prędki, niewiasta jeszcze całkiem nie straciła przytomności. Czując się już w bezpieczeństwie na suchym lądzie ciekawa była, kto ją wyratował od śmierci. Otwiera oczy i patrzy za swoim dobrodziejem — zgadnijcież kto nim był: nie człowiek! a więc któż taki? oto pies wielki stał nieopodal i właśnie otrzepywał się z wody. Jak powiedzieliśmy, żywej duszy nie było na brzegu, jeden tylko pies przechadzał się ponad rzeką. Widząc kobietę tonącą, bez żadnego rozkazu, ale z dobrej woli rzucił się za nią do wody i uratował jej życie.

Ciekawe to zdarzenie opowiedziały pisma niemieckie. — A działo się to niedawno temu kędyś w kraju niemieckim. —

Dawne przysłowia i przypowieści.

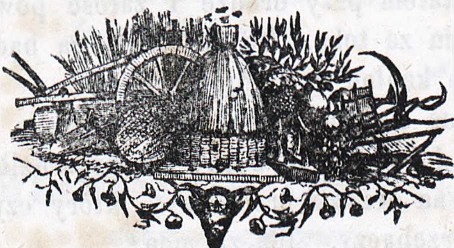
1. Znać dobrze po mowie, co się dzieje w głowie.
2. Za młodu gałązki nachylać potrzeba, bo kiedy się zrośnie, tedy się już złamie
3. Wszędzie dobrze, a doma najlepiej.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom II. Nr. 18.

21. Czerwca 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

NAJŚWIĘTSZY SAKRAMENT OŁTARZA.

Podanie.

W pewnym boru był rozbójnik, człowiek bardzo bezbożny. Kto jeno tamtędy przechodził, każdego obdzierał.

Jednego dnia stoi nade drogą, aby podróżnych rabował. W tem słyszy głos dzwonka i widzi kapłana idącego z Najświętszym Sakramentem do chorego. Przed kapłanem szedł sługa kościelny i dzwonił w dzwonek i wymawiał te słowa święte:

— Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament, teraz i zawsze i na wieki wieków — Amen.

A gdy to rozbójnik zobaczył, upadł na kolana i modlił się i uczuł żal wielki w swojej duszy.

I kapłan przeszedł wedle niego. A zbójca powstał i szedł za nim aż do domu chorego i modlił się głośno:

— Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament, teraz i zawsze i na wieki wieków — Amen.

A gdy kapłan znów z domu wychodził, rzucił się ów rozbójnik do nóg jego i rzewne łzy wylewał i mówił:

— Sługo Boży, wiedz że jestem rozbójnikiem i bezbożnym człowiekiem. Gdyś przechodził borem z Najświętszym Sakramentem, stałem przy drodze i żałość powstała w mojej duszy i poszedłem za tobą. Na miłość Boga bądź mi pomocą!

I zbliżył się kapłan do zbójcy i rzekł:

— Pan Jezus cię nie oddalił od siebie i ja się oddalić nie mogę. Przybył do ciebie do boru, bo wzgardziłeś przybyć do niego. Łotrowi na krzyżu przebaczył, który czynił pokutę — On też i tobie przebaczy. Idź za mną!

I zaprowadził rozbójnika do klasztoru i tam za grzechy swoje czynił pokutę. Oddał potem wszystko co pokradł| i zrabował i stał się dobrym i pobożnym człowiekiem. A Najświętszy Sakrament chwalił i dzięki składał, dopóki nie umarł śmiercią szczęśliwą.

Szkółka Niedzielna.

ROLNIK PODOLSKI.

Cztery woły na ugorze
Ciągną pług przez pole;
Dumkę nucąc rolnik orze,
Niewie jaką rolę!

Gdzie toczyli krew tatary,
Zboże mu wyrasta; —
Wiek z pamięci wypadł stary
Podolskiego Piasta.

Nie wie z kąd ta ziemia święta
Miewała zniszczenie,
Bo on tylko zapamięta,
Dziada pokolenie.

Dziad coś mówił o zaborach
W dalekiej przeszłości;
Pług zaskrzypiał nagle w z-orach,
Wyrył miecz i kości.

Rolnik stanął śród rozłoga,
W sercu żal się budzi;
Westchnął — pacierz wzniósł do Boga
Za pomarłych ludzi.

Jaśko Żuk.

WŁADYSŁAW ŁOKIETEK
zbawca ojczyzny.



Było to w jesieni roku pańskiego 1306 — więc pięćset pięćdziesiąt i cztery lat temu. W dzień św. Egidiusza zjechała się starszyzna z całej Polski do Krakowa. A w Krakowie siedział wtedy na królewskim zamku człowiek mały i cale niepokaźny, ale zato wielkiego rozumu i wielkiej sławy książę — *Władysław Łokietek.*

I stawiła się starszyzna na zamku przed owym księciem i pięknie mu się pokłoni i rzeknie:

— Sławny książę Władysławie! oto my starsi narodu w imieniu całej Polski przychodzimy do ciebie z pokorną prośbą. Stała się nam wielka krzywda jeszcze przed półtora wiekiem. Rozdzielono nas, jakobyśmy nie byli dziećmi jednej ojczyzny i kazano nam żyć z osobna. Aż dotąd znosiliśmy cierpliwie ten podział; ale już dłużej nam nie wytrzymać w takowem nieszczęściu. Sławny książę Władysławie, ratuj nas! Bądź naszym ojcem jedynym, jako bywali ongi przodkowie twoi — owi sławni *Bolesławowie.* Stań się królem całej Polski, a nazwiemy cię: *zbawcą ojczyzny.*

Odrzeknie Władysław Łokietek:

— Niechaj się stanie wedle woli waszej. Żądacie mię na króla swego, toć wam i szczerze będę królować. I da Bóg doczekać jeszcze podźwigniemy naszą Polskę zdrowo, iże stanie wszystko po nad inne narody, jako za moich przodków bywało.

Więc do nóg mu upadli starsi narodu i ucałowali stopy jego książęce i zaraz też chcieli mu koronę polską włożyć na głowę. Ale on im na to:

— Zostawcie to na potem, jeszczem sobie nie zasłużył na nią!

A nie była to taka łatwa rzecz wtedy, jakby się komu zdawało, być królem, byle takim jak Bóg przykazał. Nasz Łokietek twardą miał pracę przed sobą, ale się jej nie uląkł. W kraju był wielki nieład: wszędy po drogach zasiadywali rozbójniki i na przejezdnych wypadali. To znowu po wsiach i miastach włóczyły się od jakiegoś czasu wielkie kupy heretyków cudzoziemców, co sobie jakąś inną wiarę wymyślili i psuli nasz lud poczciwy. Otóż król Łokietek naprzód zabrał się do onych zbójów i heretyków: wyłapał i wygubił wszystkich do nogi, tak że już potem każdy podróżny bezpiecznie mógł sobie jechać drogą i lasem i nie było już żadnego zgorszenia dla ludzi. Dalej wziąłci król jeździć het po całym kraju: porządek stanowił, sądy odprawiał, wdowy i sieroty brał w opiekę, złych karał a dobrych nagradzał. Wypadło też często z tym i owym nieprzyjacielem Polski wojować. A toć kupa było roboty, ale nasz Łokietek przy Boskiej pomocy wszystkiemu podołał. — Dopieroż gdy się jako tako uspokoił i w kraju oporządził, ogłosił w całej Polsce, że teraz chce koronę królewską włożyć na głowę, bo już sobie na nią zasłużył.

Tedy zjechali do Krakowa biskupowie, prałaci, starsi panowie i rycerze z całej Polski. Pierwszego dnia odbyło się nabożeństwo. W kościele było jak nabito. Przed wielkim ołtarzem wystawiony był tron dla króla i dla królowej Jadwigi, żony jego. Oboje modlili się aż ich nie powołano przed ołtarz. Skoro się zbliżyli, zaraz upadli na kolana król i królowa. Wtedy Arcybiskup gnieźnieński, pierwsza osoba duchowna w kraju, przystąpił do nich z mieczem, koroną i płaszczem królewskim. Najsamprzód przypasał królowi miecz do boku. Król zaraz wstał, dobył miecza i machnął nim trzy razy na krzyż, co miało znaczyć: że będzie bronić wiarę świętą, kościół i naród polski od nieprzyjaciół. Potem ustroił go Arcybiskup w płaszcz królewski i koronę złotą włożył mu na głowę. Królowa toż samo dostała płaszcz i koronę. A wszystek naród przytomny w kościele gorąco modlił się za ich zdrowie do Boga. Nazajutrz szedł król na rynek krakowski, gdzie był dla niego przyrządzony wspaniały tron.

Skoro usiadł, starszyzna miejska podchodzi aż do samego tronu i składa królowi przysięgę na wierność. Dopiero potem wszystek lud począł się radować, a że to się działo w same zapusty, temci weselsza była zabawa. I jak stoi w starych księgach zapisano: „Od onych dni cały naród przylgnął czcią, pokorą, miłością do Łokietka.“ —



Na sto lat przed Łokietkiem niejaki Konrad, książę mazowiecki sprowadził był sobie ku pomocy rycerzy niemieckich, bo się sam nie mógł obronić przeciwko Polakom — i dał im w posiadanie kawał pięknej ziemi nad samem morzem. Rycerze owi nosili się w białych płaszczach z czarnym krzyżem i dla tego nazywano ich *Krzyżakami*. Był to zakon ustanowiony ku obronie wiary chrześcijańskiej. Nie śmieli się żenić jako inne mnichy, ale się w tem różnili od drugich zakonów, że nosili miecz u boku i wychodzili na wojnę przeciw poganom. Mój ty Boże! i któż by się był spodział, że te mnichy-Krzyżaki staną się kiedyś zaciekłymi wrogami Polski?... Na prawdę! zbójce to byli nie mnichy, bo nawet gorsi od pogan samych, których mieli nawracać do wiary świętej. Napróżno powstawały przeciwko nim krzyki ze wszystkich stron. Sam Ojciec święty ze Rzymu pisał do Krzyżaków listy, bo już się był o wszystkich onych gwałtach dowiedział i gniewał się na nich: — że jeno kościołowi hańbę czynią; że nie umieli poszanować gościnności, jakiej w Polsce doznali; że zamiast uderzać na twardych pogan, oni jeno patrzą gdzieby komu co wydrzeć; że łupią chrześcijańskie kościoły, zabierają dobra księże, podniecają wojny przeciwko chrześcijanom, wtrącają Arcybiskupów i innych księży w plugawe więzienia — i Bóg wie jeszcze jakie im grzechy wypominał. Ale to wszystko na nic się nie pszydało: *czarni brodacze*, jak później Krzyżaków przezywano, broili po dawnemu, nie słuchając nawet samego Papieża.

Kiedy im się na ten przykład jakie polskie miasto nie chciało poddać, to zaraz wściekali się ze złości, stawiali szubienice i kogo złapali, chłopa czy niewiastę, a choćby

dziada starego, nic nie pytają jeno go zaraz ciągną na szubienicę. A zaś jak im się biedaki w mieście poddali, tedy każą im płacić straszne sumy. Niechże się na tyle nie zdobędą, myślisz że im podarowali? właśnie też! zaraz im domy i cały majątek zabierali, a samych ponapędzali het z kraju, sprowadzając na ich miejsce osadników niemieckich. — Takie to gwałty wyrabiali Krzyżaki!...

I za czasów naszego Łokietka nie lepiej się sprawowali. Od dawna już mieli oni chrapkę na polskie miasto *Gdańsk*. Otóż właśnie dowiaduje się nasz król Władysław, jako w sam dzień świętego Dominika podczas wielkiego jarmarku Krzyżaki niespodzianie napadli Gdańszczanów i bez żadnej racyi wzięli im burzyć mury miejskie i zamek. A gdy mieszczanie uczynili o to wielki krzyk, *czarni brodacze* rzucili się na lud niewinny i sprawili rzeź straszną. Niech Pan Bóg broni, co się tam nie działy za okrucieństwa! Krew ludzka płynęła niby rzeka czerwona środkiem miasta. — Aże strach słuchać o podobnych rzeczach.

Słysząc to król, srogim zawrzał gniewem: — Ha, diabły przebrane, poczekajcie! przytrę ja wam rogów, jak mi Bóg miły, tak przytrę.

Odtąd Łokietek dniem i nocą przemyśliwał nad tem, jakby się pomścić na Krzyżakach. Wiedział on, żeć im sam nie podoła, bo Krzyżaki na tenczas wielką mieli siłę. Potrzeba mu było koniecznie sobie wziąść kogoś do pomocy. I owóż dopatrzył sobie tego pomocnika w sąsiedniej Litwie. Dziś Litwin i Polak, to jak dwaj bracia rodzeni — ale za czasów króla Łokietka inaczej było. Polska już przez trzy wieki wyznawała wiarę Chrystusową, a Litwa jeszcze była w pogaństwie. Przez to oba te narody krzywo na siebie patrzyli. Dopiero Łokietek pierwszy z królów polskich postanowił zaprzyjaźnić się z Litwą sąsiadką. I myśli sobie: — Mam-ci ja syna Kazimierza, chłopiec już spory, bo mu będzie ze szesnaście lat. A jak słyszę, to wielki książę Litewski *Gedymin* ma także dziewkę na wydaniu. Otóż niech się pobiorą ze sobą — a Polska zaprzyjaźni się z Litwą.

I tak też uczynił. Niebawem u księcia Gedymina, w jego mieście stołecznem *Wilnie*, pojawili się swatowie od króla pol-

skiego, żądając dla królewicza Kazimierza książęcej córki *Aldony.* A nie domagali się za nią żadnego posagu w złocie ani w srebrze, jeno aby się Litwa z nami zaprzyjaźniła i także na wolność wydała wszystkich naszych, co ich była podczas wojen z Polską w niewolę zabrała.

Szczęśliwie udała się swadźba. Książę Gedymin nie odmówił córki swej dla królewicza Kazimierza i chętnie też Polsce do przyjaźni podawał rękę. A przeciwko Krzyżakom do wojny nie potrzeba go było aż namawiać. Od dawien dawna już Litwa borykała się z nimi i nie nawidziła ich gorzej psów.

Roku pańskiego 1325 przybyła księżna Gedyminówna, narzeczona królewicza polskiego, do Krakowa. A za nią i przed nią i w około niej był jej posag: a to więźniowie narodu naszego z litewskiej niewoli wypuszczeni. A było tych ludzi coś na *dwadzieścia i cztery tysięcy,* co z Litwy natenczas jako Żydowie z niewoli Babilońskiej do ojczyzny swojej wracali. Zaraz też król porozsadzał ich po różnych pustyniach. Nauczyli się niebożęta w litewskiej niewoli żyjąc, ciężkiej roboty, a toć im teraz we własnej ojczyźnie na wolności miło się pracowało.

Ślub księżnej Gedyminówny z królewicem nie odbył się zaraz. Pierwej jako dziecko pogańskie musieli ją wyuczyć naszej wiary. Sam Biskup krakowski imieniem *Nankier* był jej nauczycielem. W wiliją św. Piotra i Pawła apostołów ochrzczoną była przez tegoż Biskupa w krakowskim kościele i nazwaną imieniem chrześcijańskiem *Anna.* I dopiero poślubiono ją królewicowi polskiemu Kazimierzowi Łokietkiewiczowi.

Tak tedy zaprzyjaźniwszy się z Litwą, Władysław Łokietek począł już nie na żarty obmyśliwać wojnę z Krzyżakami. I nie długo się bawił. Zanim się one mnichy spodziały, już im król polski z Litwą siedział na karku. Hej, toż to sobie pohulali i nasi i Litwini, a bili co się wlazło, a nie mieli litości nad żadnym Krzyżakiem, bo też żaden nie był jej godzien. I owóż kara Boża doścignęła ich! Na polach kujawskich moc legło Krzyżaków. Sam wódz ich naczelny został zabity na placu. Łokietek wrócił zwycięzko do domu.

Ale jeszcze nie koniec na tem. Wnet się król dowiaduje

o nowych gwałtach krzyżackich. A miał-ci już wtedy *siedmdziesiąt* lat okładem i niekoniecznie był zdrów. Ale to mu nie wadziło. Powiada: — Chociaż ja stary, nie zostanę przeto w domu. I taką mam w Bogu nadzieję, że w późne lata popamiętają Krzyżaki Łokietka.

Stały wojska krzyżackie na szerokiej równinie pod wsią *Płowcami.* Zanim się jeszcze dobrze rozwidniło, zerwali się nasi do bitwy. Król sam był na czele polskiego wojska. Nad Krzyżakami przewodził starszy zakonu, niejaki *Dytryk z Altenburga.* Już od pierwszego uderzenia pomieszały się mnichy. A tu ich nasi ze wszystkich stron obskoczyli: i bij a nie podaruj żadnemu. Nie długo trwało, a wybili ich co do nogi. Ani jedna krzyżacka dusza nie uszła zdrowo.

Taki był koniec tej bitwy pod Płowcami. — Wracał stary król do Krakowa — a z Krakowa naprzeciw wyszli księża i wszystek lud z procesją i niby dzieci ojca swego witali.

W dwa lata potem umarł Władysław Łokietek jako starzec sędziwy i z wielkim żalem całej Polski pochowany był w grobach królewskich.

Po nim nastał nieodrodny syn jego *Kazimierz.*

PIĘKNY PRZYKŁAD.

Jako włościanie ze Złotowa wdzięcznie się pokazali względem swego dziedzica.

Kawał drogi za Płockiem, w onym polskim kraju co go Moskale zabrali, leży wieś *Złotowo.* We dworze mieszkał młody i dobry pan dla swoich włościan. A trzeba wiedzieć, że tam jeszcze po dziś dzień odrabiają *pańskie* — ale już się postarali panowie o zniesienie tej *daremszczyzny* i da Bóg doczekać, niebawem włościanie tamtejsi zakosztują takiej samej wolności, jakiej już doznają nasi tu w Galicyi i w Wielkiem księstwie Poznańskiem.

Owóż rzekło się, włody dziedzic Złotowa był sobie człek serdeczny: każdego kmiecia czy zagrodnika witał dobrem słowem, każdą skargę wysłuchał cierpliwie i świętą sprawiedliwość wymierzał. Nie dozwolił też krzywdzić nikogo, a dozorcom surowo przykazał, iżby się broń Boże żaden nie ważył uderzyć kogokolwiek z jego poddanych, bo ich uważał jakoby swoje rodzeństwo i przeto szanował. A nie miał który soli, chleba, nie było czem podatku zapłacić — to do dworu jak w dym, a młody dziedzic dał soli i ziarna i pieniędzy na podatek. — I tak było lat kilka.

Przyszłać potem wojna, jak ją nazywają: *francuzka*. Wszystka młodzież zaraz poszłą do wojska. I dziedzic Złotowa wsiadł na konia i nabrawszy ze sobą co żwawszych parobków, podążył na wojnę. Gromada żegnała go z płaczem i błogosławiła na drogę.

Po wyjeździe dziedzica nie było dobrego rządu: ze spichrza zabrano ziarno dla wojska, z obory woły wyrznięto i całą owczarnię, dwór opustoszał a potłuczonemi szybami wiatr zamiatał po izbach i śnieg i deszcz tam dolatywał. Gromada patrząc na takie spustoszenie, uderzyła w radę, co tu robić? jak pomódz dziedzicowi, co się w wojaczce odbił tak daleko od swego majątku?... I rada była rozumna:

— Już nam nie naprawiać domu, mówili, bo któż tam zamieszka, ale ruszmy się do pańskiej roli, uprawmy, zasiejmy, a co się uzbiera grosza za sprzedaż, święcie go przechowamy dla dziedzica. Będzie miał za co jak powróci, mieszkanie sobie naprawić.

I tak też zrobili. Bóg pobłogosławił poczciwej pracy, dał wielki urodzaj i gromada za sprzedane zboże nie mało worków srebra zachowała u sołtysa.

Tak było lat kilka. Gromada coraz więcej grosiwa składała u sołtysa — a była do tego skrzynia dobrze okuta. Nareszcie skończyła się wojna. Kogo Bóg zachował od kulki, ten powracał smutny do domu, bo się na niczem skończyło, a dużo naszych poległo. W Złotowie gromada wiedziała, że młody pan nie zginął i że już jest nie daleko od domu. Tedy wszyscy postroili się w sukmany od święta i czekali przed dworem na pana.

Skoroć wjechał na podwórze, poczęli go witać z okrzykiem i płaczem, a ściskać a całować, to po rękach, to po kolanach, właśnie jakby ojca swego. Dziedzic, chociaż był żołnierz i na twardym chlebie wojackim prawie był odwykł od płaczu, a taki rozpłakał się taraz jak dziecko. W tej chwili zajeżdża na podwórze fura we cztery konie, na niej skrzynia okuta, a na skrzyni siedzi stary sołtys z kluczem w ręku. Fura zatrzymała się tuż przed dziedzicem. Stary sołtys zeskoczył, pokłonił się panu uczciwie i kazał zdjąć skrzynię. Skoroć otworzy, aż tu w skrzyni pełno worków z grosiwem.

— Oto wasze, wielmożny panie, wszystko! rzekł starzec ze łzami. Pilnowaliśmy tego jak źrenicy w oku, oraliśmy, siali, żęli, młócili — i otóż Bóg dopomógł! masz wielmożny dziedzicu za co dwór postawić.

Nie dosyć na tem. Niebawem za furą przypędziła gromada trzodę pięknego bydła i owiec i stadninę koni. Dziedzic jeno płakał i dziękował poczciwym ludziom. W parę dni potem pojechał do miasta gdzie był urząd. Wziął też sołtysa i kilku starszych gospodarzy ze sobą. I opisał się przed urzędem, że odtąd gromada przestała robić *pańszczyznę*, tylko czynsz nie wielki opłacając do dworu od roli, co jej na wieczne czasy podarował.

Dobre zarówno jak złe nie ukryje się przed światem. To też niebawem rozeszła się o tem pogłoska po całym kraju: ***jako wdzięcznie pokazali się Złotowianie względem swego dziedzica.*** (z *Cz. N.*)

Rzecz gospodarska.

Co wróży na pogodę, a co na słotę?

Nie tylko większe zwierzęta i ptaszki umieją przepowiadać na burzę lub na pogodę. I mniejsze stworzenia Boskie mają do tego zmysł niezgorszy: więc nieme ryby, brzydkie płazy, owady i rozmaite robaki kryjące się w ziemi, mogą się w tej mierze przydać gospodarzowi, coby rad wiedzieć jaka będzie pogoda.

Owóż naprzód: *piskorse* — wszak znacie te rybki nieduże? Nie wielka też rzecz postarać się o takiego piskorza — a zda ci się on, mój gospodarzu, zda jeślić o to idzie, abyś wiedział jaki będzie czas na dworze. Weź jeno butelkę, wsyp piasku do niej, ale nie więcej jak na cal wysoko, potem nalej świeżej wody i wpuść żywego piskoza do onej butli na mieszkanie. A potem uważaj: jeżeli ma trwać pogoda, piskorz cichutko i spokojnie będzie się wylegał na piasku — skoro zaś na słotę się zaniesie, będzie niespokojnie pływał tu i owdzie a najczęściej w koło.

Takoż i wszystkie inne *ryby* pływające w stawach, rzekach lub jeziorach, przepowiadają na słotę, jeżeli często z wody wyskakuja lub samym wierzchem pływają, tak że im nieoledwie grzbiet z wody wystaje. Zaś temu taka przyczyna: przed słotą powietrze staje się gęstsze i bardziej naciska na wodę, przezco ryby w głębokości nie mogą już tak swobodnie pływać jak zwykle i dla tego na wierzch wyskakują.

Bardzo są czułe na zmiany powietrza *żaby*, zwłaszcza one zielone w trawach lub po drzewach siedzące. Żabska zwyczajne błotne, jeżeli czasami w miesiącu maju przycichną, to znaczy że będziemy mieć na kilka dni zimna. W czercu i w lipcu wtedy jeno kwakają i to późno w noc, jak się na stałą pogodę zanosi. One zaś *zielone czyli drzewne żabki* na pogodę siedzą sobie cicho, a odzywają się tylko na słotę. — *Ropuchy* przed deszczem wyłażą z ziemi.

Masz gospodarzu pasiekę swoją, to się przyjrzyj pracowitym *pszczółkom*. Jeżeli wczas rano wylatują gromadnie z ula i niebawem znów do niego powracają, bądź pewny deszczu, choćby ani jednej chmurki na niebie nie było. Zmyślneż bo to stworzeńka, te pszczoły i bardzo czułe na lada wilgoć albo zimno. Że się tak wczas rano i tak pilnie wedle pracy krzątają, to znaczy żeby rade jeszcze przed słotą uzbierać sobie tego, coć im potrzeba do ula. A nie oddalają się zbytnie daleko z tej przyczyny, aby temprędzej mogły się schronić jak wypadnie.

Gdy *mrówki* szybko bieżą ku mrowisku, oczekuj deszczu. A kiedy w mrowiskach ku jesieni znajdziesz dużo iglic sosnowych, wtedy gospodarzu zaopatrz dóm i oborę porządnie i nawieź drzewa podostatkiem, bo się znaczy na ostrą zimę.

Jeżeli się *pająki* rozłażą het po ziemi i po ścianach, zawsze deszcz niedaleki.

Nareszcie i te robaki, co je *pijawkami* nazywamy, tak samo jak piskorze pouczyć nas mogą: ażali będzie pogoda lub słota. Więc komu łatwiej o pijawki jak o piskorza, niechże ich sobie z kilka nałowi. Pomieszkanie możesz im sprawić takie same jak i piskorzowi, to jest słoik szklanny lub butelkę. Jeno trzeba do piasku cokolwiek osypki domięszać i także mieć o to staranie, żeby w butelce woda była czysta i świeża. Jeżeli ma nastąpić piękna pogoda, pijawki jedna z drugą leżeć sobie będą spokojnie i skurczone na piasku. Zagraża zaś słota, wtenczas one robaki podnoszą się ze spodu aż na sam wierzch wody i już się ztąd nie ruszą, póki się na piękniejszy czas nie zabierze. A kiedy mają nastać wiatry, wtedy pijawka dopótyć się będzie kręciła tędy i owędy, aż się taki wiater na prawdę nie zerwie. W zimie leży na spodzie i śpi. Dopiero jak ma śnieg padać lub odwilż nastąpić, wzbija się znów ku samej górze.

Na tem już koniec. — Wprawdzie są jeszcze inne sposoby wróżenia o pogodzie — ale o nich rozpowiemy wam kiedy indziej.

RADA

jak macie ratować utonionych.

Siła ludzi do roku zabiera nam woda. Często dzieje się przez przypadek, często przez nieostrożność a także i psota niejednego niespodzianej nabawiła śmierci. Owóż przedewszystkiem należy mieć się na baczności i nie zaufać wodzie, bo woda, zwłaszcza w rzekach, bardzo zdradliwa. I nigdy nie można powiadać: — Nie bój się, ja znam tę wodę i wiem gdzie są głębie a kędy płytko. Takie gadanie już nie jednego omyliło i ani się spodział, kiedy poszedł na spód i utonął tam, gdzie przed rokiem zaledwo żabie było po kostki. Po każdej powodzi trzeba dochodzić rzekę na nowo a nie puszczać się na oślep. Często woda w jednem miejscu wymuli i zrobi się tam głębia, gdzie

przed tem było płytko — a znowu na inne miejsce głębokie tyle piasku i mułu naniesie, że się już tamtędy możesz puścić bezpiecznie. — Także powinni rodzice i starsi uważać na to, aby się dzieci bez dozoru nie kąpały w rzekach ani w stawach. Chłopców niedorosłych nie puszczać z końmi do pławienia. A jeślić który ze starszych gospodarzy dopatrzy, jako chłopcy bawiący się nad rzeką, psoty czynią: jeden drugiego ciska do wody, albo z głową go zanurza i gwałtem trzyma pod wodą niby na żart, albo też na głębie ciągnie — to powinien zaraz skrzyczeć na chłopców, iżby tego nie czynili, a zuchwalszych to i ukarać. — Stał się zaś przypadek że który utonął, ha, to już darmo, nieszczęście! Aleć i w takim razie nie trzeba jeszcze ręce opuszczać, jeno wydobywszy go z wody, wypada szczerze zabrać się wedle niego i co sił ratować. A jaki ma być ten ratunek, posłuchajcie!

Najsamprzód poodganiać precz onych ciekawskich, coby jeno niepotrzebnie zawadzali. Do takiego ratunku więcej jak czterych poczciwych ludzi nie potrzeba.

Na razie wypada oczyścić utonionemu gębę i nozdrza z mułu, błota i piasku.

Zaniechać wszelkiego huśtania: bądź to na rękach, bądź na płachtach — bo to zły zwyczaj. Jeszcze gorzej wiszać topielca za nogi, głową do ziemi niby to dla wypędzenia z niego wody. Tym sposobem może go bardzo łatwo krew zalać i otóż zamiast mu poradzić, zabilibyście go samochcąc. Daleko lepiej położyć go na ziemi, nachylić trochę ku prawej stronie i jeżeli żołądek wydęty, starać się, przez naciskanie brzucha, ażeby woda zeń wyciekła sama przez się. — Najlepiej będzie, podnieść go zwolna na ręce, ale tak żeby głowa nie spadała na dół i nie zakrywając twarzy, wnieść nieboraka do najbliższej chaty.

Po lekarza do miasta radzę natychmiast posłać, bo taki on wie najlepiej, co czynić należy. Tymczasem ciało rozebrać i położyć do ogrzanej pościeli na prawy bok. Uważać przytem, żeby głowa i piersi zawsze były trochę wyżej brzucha.

Pod pachę i około lędźwi kłaść butelki z gorącą wodą, ale dobrze zakorkowane, żeby woda nie wyciekła i obwinięte starzyzną aby go mocno nie poparzyły. Jeżeli zaś nie ma bute-

lek pod ręką, postarać się o cegły albo jakie inne kamienie, które należy dobrze w ogniu rozegrzać, potem w szmaty poobwijać i dopiero położyć w to samo miejsce obok chorego, gdzie miały leżeć butelki. Także piasek gorący we worku użytym być może. Na pierś kładzie się pęcherz wołowy, napełniony gorącą wodą a u góry mocno zawiązany. Nie masz takiego pęcherza, radź sobie takoż piaskiem byle nie nazbyt gorącym. — Poczem okrywa się topielca kożuchem.

Skoro się ciało ogrzeje, weź szczotkę albo też sukno grube do ręki i począwszy od nóg aż het do głowy, nacieraj mocno całe ciało.

Jeżeli utoniony jeszcze nie przyszedł do siebie, utrzyj chrzanu albo rozkrój cebulę i daj mu wąchać. Mocnym octem pocieraj mu skronie i miejsce za uszami.

Gdy ci już ciało zacznie pod palcami mięknąć i ogrzewać się, pierwszy to będzie znak, żeć jeszcze dusza nie wyszła z ciała topielca i że może być uratowanym. Lepszy już znak, kiedy zacznie piersiami robić, kiedy w brzuchu powstanie burczenie i zjawi się kaszel. A toć wtedy nie żałuj ręki ani ustawaj w robocie, ale owszem nacieraj co sił nieboraka, ażci oczy nie otworzy i nie odżyje naprawdę. Wtenczas dopiero ugotuj mięty albo rumianku i takiej herbaty podawaj mu po trosze od czasu do czasu, niech się napije. Jeżeli nie znajdziesz u siebie ani mięty ani rumianku, daj mu ciepłej wody z trochą wódki.

Nieraz ratując utonionego, potrzeba na to *cztery* a nawet i *sześć* godzin, zanim się ocknie i przyjdzie do siebie. Dla tego aż do samego ostatka nie trzeba tracić nadziei, jeno ratować ze wszystkich sił i na chwilę w pracy tej wedle nieboraka nie ustawać.

Tym sposobem niejednego, coć go nieszczęście popchnęło do wody, możecie uratować od wczesnej śmierci. A za taką miłość chrześcijańską Bóg wam zapłaci.

RÓŻNOŚCI.

Pokaranie Boże. W połowie maja we wsi *Kowsku* w Samborskiem zabił piorun kobietę. Aleć tą razą nie powiem, żeby to była nieostrożność co ją śmierci nabawiła. Bo i ksiądz proboszcz z Kawska i wszyscy tamtejsi ludzie uważają to za *pokaranie Boże.* Niewiasta ona porażona od piorunu była młoda i urodziwa, ale jak powiadają, bardzo niedobra dusza. Miała człeka uczciwego za męża, nie pijaka, nie utraciusza — a nie umiała go szanować. Nigdy mu dobrego słowa nie rzekła, jeno ciągle z krzykiem i fukiem na niego, a często i do bicia się zrywała wraz z ojcem swoim i matką, pijaczyskami od świata. O co korowody działy się i we wsi i po urzędach czas długi. Bito nieboraka i kaleczono a że był z natury powolny i spokojny człek, toć mu nareszcie i życie się sprzykrzyło z taką babą sekutnicą i na kilka zawodów uciekał z domu i stawał do służby. Niedobra żona względem męża, nie lepszą też była i dla innych ludzi. Z sąsiadami ustawiczne zwodziła kłótnie i na czem mogła to ich krzywdziła. Najczęściej wpadała na tłokę w czasie ulewy i wykradała ludziom gąsięta a do swoich przykupiała. Owóż i w onym dniu miesiąca maja w samą burzę wybiegła była na tłokę za gąsiętami. Już je zabrała w podołek i ku domowi spieszyła. Ale nie dobiegła do domu! W drodze spotkało grzeszną niewiastę *pokaranie Boże*: piorun poraził ją w samą głowę i została na miejscu. —

Gradobicie. Niesłychane grady spuszcza pan Bóg tego lata na nasz kraj. Bez mała że nie co dzień słychać, jako w tem a w onem miejscu porobił grad wielkie szkody. Owóż piątego czerwca naszła chmura ogromna na Brzozów, miasteczko co w Sanockiem leży i het wszystkie pola tak Brzozowskich mieszczanów, jak i w przyległych wsiach: Malinówce, Humniskach, Przysietnicy i Starejwsi do szczętu wybiło. A nie trwało to wszystko jak ze trzy pacierze. Istny to był sąd ostateczny. Groble u stawów porozrywało, grad co był taki wielki jak włoskie orzechy, pokaleczył bydło i ludzi, hurkot był okropny, a tu jeszcze płacz i krzyk biednych ludzi. Całą dobę bieliło się potem po polach od onego gradu. Niedosyć na tem. Chmura ona porządziwszy takie szkody, pędziła ku Przemyślowi; i tak zacząwszy od miasteczka Birczy aż po Nowe miasto, nawiedził grad ze 20 wiosek. Zbił do szczętu żyto, a szkody porobił w pszenicy i w jarzynach. Trwała ta straszna burza całe trzy godziny. W niektórych zaś miejscach, jak: w Birczy, Ciesowie Brylińcach i Kniażycach padał grad taki ogromny, że nie można się było z chałupy wychylić, bo kaleczył. Niech tam nas Pan Bóg miłościwy ma w swojej opiece, boć to straszne nieszczęście. —

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Stary gospodarz pan Bóg: wie, komu czego potrzeba.
2. Śmielszy kur na swoich śmieciach, jak na cudzych wrotach.
3. Trudno z jednego wołu dwie skóry zedrzeć.



NA ZAKOŃCZENIE.

Przeszłego lata, właśnie o tym czasie, poczęliśmy wam moi mili, dzwonić na tym naszym Dzwonku pisanym. A dzwoniliśmy nie chwaląc się jak pan Bóg przykazał, bo w miłości i dla dobra waszego. Żeśmy sobie kazali ile tyle płacić, niech wam dziwno nie będzie — bo jużcić my także nie bogaci i nie dostajemy za darmo ani papieru, ani druku a i poczta kosztuje niemało... at i nie potrzeba wam gadać, jakie to są wydatki. Zresztą i niewielka to płaca: **na dwa razy** do roku po reńskiemu *— i ręczę że tego nie żałujecie! A i na ten drugi rok, który się zaczyna od 1. Lipca 1860 odżałujecie* nowych dwóch reńskich.

Że z tym numerem kończy się drugie półrocze „Dzwonka," dla tego posyłamy naszym czytelnikom wszystko to samo, jak przed nowym rokiem: więc okładzinkę różową i kartkę tytułową i spis rzeczy.

Zapraszając was na drugi rok do czytania „Dzwonka," krótko powiemy: że zostaje przy pierwszej ugodzie. *My wam będziemy* dzwonić *po dawnemu, a wy też po dawnemu zapłacicie nam:* jeden reński *jeśli na pół roku, a* dwa reńskie *jak na cały rok. Z tem wszystkiem taki was czeka jedna nowina więcej na ten rok. A wiecie jaka? Oto ludzie, szczerze was miłujący, złożyli się na piękną sumę i kazali za te pieniędze wydrukować książkę dla was. W tej książce będą bardzo piękne historje o waszych przodkach, którzy tak samo jak i wy rodzili się w chałupach i mieli ojców pracujących na roli, a potem zostali sławnymi ludźmi w Polsce i każdy się przed nimi kłaniał i każdy ich szanował, a nie dla tego żeby mieli dużo pieniędzy, jeno że kraj swój bardzo kochali i pięknie mu służyli. Taką to książkę dostaniecie na ten rok za darmo, w dodatku do Dzwonka. Jeno prosimy, czytajcie pilnie, a jeśli łaska to i drugim podawajcie i zachęcajcie waszych dzieci do czytania.*

Zostańcie z Bogiem!

Redaktor: **B. Bielawski.** — Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**